

TRZYNAŚCIE

KOTÓW

ANTOLOGIA



**Sapkowski
i nie tylko...**

superNOWA

TRZYNAŚCIE KOTÓW ANTOLOGIA

Pomysł i opracowanie:
Danuta Górską i Mirosław Kowalski



supernOWA

Warszawa 1998

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Dlaczego właśnie kot?

Eugeniusz Dębski

Aa - a, kotki dwa, jeden potwór...

Jacek Dukaj

Ponieważ kot

Włodzimierz Kalicki

Kot typu Stealth

Andrzej Sapkowski

Złote popołudnie

Ewa Białołęcka

Usta Boga

Andrzej Zimniak

Rozpakuj ten świat, Evitt

Piotr Goraj

Ale kyno!

Konrad T. Lewandowski

Rydwan bogini Freyi

Marcin Wolski

Worek

Maciej Żerdziński

Żrenice

Tomasz Kołodziejczak

Dotyk pamięci

1.

2.

3.

4.

Iwona Żółtowska

Marobet

Andrzej Sapkowski

Muzykanci

Opracowanie graficzne serii Małgorzata Śliwińska
Ilustracja na okładce Bogusław Polch
ISBN 83-7054-119-4

Dlaczego właśnie kot? copyright © by Danuta Górka
Aaa, kotki dwa... copyright © by Eugeniusz Dębski
Ponieważ kot copyright © by Jacek Dukaj
Kot typu Stealth copyright © by Włodzimierz Kalicki
Złote popołudnie copyright © by Andrzej Sapkowski
Usta Boga copyright © by Ewa Białołęcka
Rozpakuj ten świat, Evitt copyright © by Andrzej Zimniak
Ale kyno! copyright © by Piotr Goraj
Rydwan bogini Freyi copyright © by Konrad Lewandowski
Worek copyright © by Marcin Wolski
Żrenice copyright © by Maciej Żerdziński
Dotyk pamięci copyright © by Tomasz Kołodziejczak
Marobet copyright © by Iwona Żółtowska
Muzykanci copyright © by Andrzej Sapkowski

Copyright © for this selection by Niezależna Oficyna Wydawnicza NOWA, Warszawa 1997

Druk i oprawa Drukarnia Wydawnictw Naukowych S.A., Łódź, ul. Żwirki 2

Dlaczego właśnie kot?

Kot - jako stworzenie z natury tajemnicze i magiczne - zawsze rozpałał wyobraźnię autorów. Pisywali o kotach najwięksi twórcy z kręgu fantastyki, że wymienię choćby Roberta Heinleina czy Fritza Leibera (który jako posiadacz regularnego kota na punkcie kotów dowiódł niezbicie, że to kot, a nie człowiek, stanowi koronę drabiny ewolucji). Trudno sobie wyobrazić ludzką cywilizację bez kota - tego symbolu wdzięku i swobody, tego puszystego kłębka spokoju w zabieganym, hałaśliwym świecie. Kot często budzi w nas ambiwalentne uczucia, ponieważ jest z nami i jednocześnie jakby obok nas - niezależny, nieprzenikniony, niepoznawalny. Nawet w najbielszym kocie tkwi okrucieństwo, powiada przysłowie. I stąd chyba się bierze nasza fascynacja kotami.

Fascynacja ta doprowadziła do powstania na Zachodzie wielu antologii opowiadań o kotach - fantastyczno-naukowych, fantasy, kryminalnych czy horroru. We wszystkich tych gatunkach i podgatunkach literackich kot czuje się znakomicie, ba, odcisnął ślady swoich łap nawet w poezji! Skoro więc inni mogli, czemu nie my? Polska fantastyka jak dotąd nie eksploatowała nadmiernie kociego tematu. Postanowiliśmy nadrobić to zaniedbanie.

W niniejszej antologii znalazły się opowiadania z gatunku twardej science fiction, fantasy, horroru, groteski, humoreski, sensacji, alegorii i kot jeden wie, czego jeszcze - zresztą właśnie kot stanowi ich wspólny mianownik. Mamy tutaj znanych autorów, jak Andrzej Sapkowski, Jacek Dukaj, Marcin Wolski, mamy interesujące debiuty - Piotr Goraj, Włodzimierz Kalicki, Iwona Żółtowska. Nikomu nie trzeba polecać zawsze cenionego Andrzeja Żmijewskiego czy coraz bardziej popularnej

autorki fantasy, Ewy Białołęckiej. Konrad T. Lewandowski usiłuje nas zaszokować, Maciej Żerdziński chce nas straszyć, Tomasz Kołodziejczak tym razem próbuje wzruszać, zaś Eugeniusz Dębski każe kotu zmierzyć się z amerykańskimi policjantami. Wszystkie prezentowane teksty zostały napisane na nasze zamówienie i nie były wcześniej publikowane, z jednym wyjątkiem: opowiadanie Andrzeja Sapkowskiego „Muzykanci” zostało wydrukowane w antologii *Wizje alternatywne*, jednak uznaliśmy je za tak ważne i cenne, że zasługujące na przypomnienie. Oddajemy zatem do rąk Czytelnika trzynaście bardzo różnych kotów. Co z tego ryzykownego eksperymentu wyniknie?

Danuta Górka *listopad 1997*

Eugeniusz Dębski

Aa - a, kotki dwa, jeden potwór...

McGuire dobrze znał to spojrzenie - w niezrozumiały sposób oko Devey'a stawało się bardziej przejrzyste, jakby klarowało się pod wpływem nagłej myśli. Dlatego lekko tylko się zająknął i kontynuował dalej: - ...nie dało się wytrzymać - musiałem go poprosić, żeby się zatrzymał i sprawdziliśmy wóz. I wiesz co się okazało? - mówił w roztargnieniu dalej rozglądając się możliwie dyskretnie i nie czekając na reakcję sierżanta. - Się okazało... - Zgubił tok perory, nerwowo omiatał spojrzeniem ulicę. I nic nie zauważał. - I się okazało, że - proszę ciebie - że w bagażniku zostały cztery karasie i zaczęły się psuć... Tak, psuć, kurza melodia... - Skończył mu się concept. Zerknął na Devey'a. - Co jest?

- Stop - mruknął Kat. Siedział od pół minuty nieruchomy i zamyślony, w jednym ze swych słynnych transów skojarzeniowych, kiedy widok czegoś uruchamiał sortowanie kawałków innych widoków, słów, gestów. Jak przyznał się kiedyś w zaufaniu Stevowi sam nie wiedział co ma w głowie i niemal zawsze dziwił się, że akurat TO tam było. - Aha! Cofnij do śmietnika, tam obok hydrantu.

Pominał fakt, że trzeba najpierw zatrzymać wóz, Steve miękko wduślił pedał hamulca, przełożył dźwignię i zerkając tylko w lusterka boczne cofnął czterdzieści metrów, zatrzymał przy dwóch kubłach, jeden przykryty był pokrywką, drugi nie miał kapelusza, zawartość wylewała się na chodnik.

- Nikomu nie chce się przenieść pokrywki - powiedział Devey patrząc przed siebie, teraz wyglądał jak człowiek, który widzi zupełnie co innego niż inni okoliczni ludzie. McGuire, z poczuciem, że po raz milionowy robi

z siebie idiotę, popatrzył do przodu i - jak zawsze - nic przed maską wozu nie zobaczył.

- W jednym jest pełno, a w drugim pewnie pełno miejsca - kontynuował analizę postawy społeczeństwa wobec kubłów śmietnikowych.

Steve bezgłośnie zgrzytnął zębami, nauczył się tej sztuczki w czwartym dniu wizyty teściowej i szlifował wykonanie przez pozostałe sześćdziesiąt osiem dni jej pobytu. Devey opuścił szybę leniwym ruchem wysunął rękę, nie patrząc sięgnął do kubła i przeniósł do wozu jeden ze złoto - karminowych papierków. Foliowane od wewnątrz opakowanie słynnego batonika Paradiso, dwóch czekoladowych rurek wypełnionych różnym nadzieniem, na środku jednej rurki migdał, drugiej - orzeszek laskowy, oba mięciutkie i pachnące. Opakowanie było rozdarte w spiralę, jakby ktoś trzymając jeden koniec nerwowo, pośpiesznie odwijał resztę papierka okrągłymi regularnymi ruchami.

Devey upuścił papierek i nagle sięgnął po drugi, wyglądał identycznie, sierżant chwycił całą garść i podniósł do góry.

- Takie same serpentyny - powiedział McGuire - jakby to ta sama osoba odwijała. Tylko kto jest w stanie zapakować się taką ilością... Devey drgnął, syknięciem uciszył Steve'a, wyrwał mikrofon z gniazda.

- Dyżurny, tu Dwudziestka. Jestem w połowie Hirsh Avenue, tuż za skrzyżowaniem z Jedenastą, powiedz mi - w tej dzielnicy nie było jakichś kradzieży w marketach? Chodzi o żywność, a przede wszystkim słodczy. Odbiór.

Czekali w milczeniu. McGuire pomyślał: Gdyby tu ktoś był, to bym się z nim założył, że sierżant trafił w dychę.

- Dwudziestka, uważaj - dwie ulice dalej właścicielka sklepu zgłaszała kradzieże słodczy, sprawdzaliśmy, ale nie było efektów; potem zaczęła zgłaszać jakieś wariactwa - że na taśmie widać znikanie batonów Paradiso i tak dalej. Sprawdziliśmy również, ale nic tam nie widać. To

tyle z tej dzielnicy. Odbiór.

- Dziękuję, dyżurny. Bez odbioru. - Odłożył mikrofon i dopiero teraz zaszczycił spojrzeniem Steve'a. - Coś mi świtało z tymi batonami.

- No co? - mruknął ten. - Mamy złodzieja albo złodziei batonów, a dalej co? Wzięłeś może te małe kajdanki, te specjalne na dziecięce rączyny?

Devey milczał, rytmicznie pomrukiwał silnik, McGuire nagle przydusił pedał gazu, żeby zmusić sierżanta do jakichś działań, drgania silnika przeniosły się częściowo na karoserię, wóz się wahał, antena zakołysała się i wykreśliła na tle nieba kilkanaście zygzaków.

- Poczekaj - powiedział Devey i wyskoczył z wozu. Steve rozparł się wygodnie, poszukał w podłokietniku klawiszy sterujących ułożeniem fotela i wystukał 99, co odpowiadało bardzo relaksującemu układowi. - Zaraz wracam...

- Yhy...

Spod na wpróżymkniętych powiek wpatrywał się w pulsujący dwoma kropkami zegar, czas płynął poszatkowany tymi mrugnięciami, wypychany z czasomierza rytmicznymi spazmami elektronicznego układu. Rytm mrugnięć, niemal zbieżny z biciem serca po kilkuset uderzeniach zaczął mieć hipnotyczne działanie na McGuire'a, poczuł odpływanie, usłyszał własne posapywanie, obsunął się w fotelu przygotowany na krótką smaczną drzem...

- Steve! - „Żeby cię połamało w krzyżu!” pomyślał McGuire, gdy wyskakując ze snu uprzytomnił sobie gdzie się znajduje i kto pisał dłońią w dach radiowozu. - Dawaj, coś jest!

Nie czekając na reakcję partnera ruszył do bramy pewien, że tamten podąży za nim. Steve dogonił go przy windzie.

- Wiarogodny Świadek Numer Dwa powiedziała, że te papierki mogły być tylko z mieszkania numer osiem. Podobno widziała, jak zrzucano je przez okno.

McGuire odruchowo rozejrzał się chcąc zobaczyć wysunięty na

korytarz wężący nos Wiarogodnego Świadka Numer Dwa, w gwarze policyjnej Wścibskiej Staruszki, stworzenia nie wiadomo dlaczego zawsze ozdobionego wąskim ostrym noskiem.

- Zrzucano tak celnie, że większość jest w kuble? - podzielił się wątpliwościami Steve wchodząc za Deveyem do pokrytej wielowarstwowym graffiti windy.

- Właśnie - właśnie - palec Devey'a zawisł na chwilę nad tablicą sterującą, sierżant obliczył, na którym piętrze jest lokal numer osiem, wdusił trójkę. - Poza tym tam mieszka matka z córką. Matka po wielokrotnym leczeniu na oddziałach psychiatrycznych, córka z bezwładem nóg. Córka ma niecałe cztery latka, matki nie widziano od kilku tygodni.

Winda sapnęła, szcęknęła czymś, jakby w powolnym zdobywaniu wysokości musiała rozsuwać głową jakieś zapory, zatrzymała się i nagle obsunęła o kilka centymetrów w dół, wywołując nieprzyjemny chłodny skurcz przepony. Wyszli obaj i rozejrzeli się po korytarzu: nieprzyjemny widok - zniszczony trakt winda - mieszkanie, ślady wielokrotnego przypalania ścian, jakby jakiś dociekliwy sadysta chciał z nich wyciągnąć potrzebne mu informacje. Wyrwany wąż i kran hydrantu, we wnęce złożone dwa czy trzy połamane kije balsebalowe i typowa opakowaniowa makulatura. Na suficie wisały niezliczone małe czarne krótkie stalaktyczki. Devey zatrzymał się i wpatrywał chwilę w czarne strączki. Wskazał je McGuire'owi, a ten skinął głową i powiedział cicho: - Spluwasz na tynk, zdrapujesz patyczkiem zapałki trochę mokrego tynku i zapalając strzelasz zapałką w górę, zapałka przyczepia się tym tynkowym klajstrem i wypala się robiąc takie fajne czarne plamki na suficie.

- Ten kraj ma przesrane, jeśli uważasz to za fajną zabawę - mruknął Devey wskazując, że powinni pójść w lewo. Minęli drzwi, na których został ślad po oderwanej dawno temu szóstce, potem przebili się przez

falę ciężkiego smrodu emitowanego przez drzwi z wypisaną szerokim złotym mazakiem siódmką. Zatrzymali się pod drzwiami dziwnie czystymi, z wycieraczką pod drzwiami, plastikową „posrebrzaną” ósemką na wysokości czół. Nasłuchiwali chwilę, ale drzwi nie zdradzały żadnej z domowych tajemnic. Devey nacisnął przycisk dzwonka, Steve poczuł nagle jakiś chłód na karku, zdążył pomyśleć, że jakoś trzeba było inaczej to rozegrać. Za drzwiami rozległ się głośny i wyraźny dziecięcy głosik: - Kto ta - am?

- Otwórz, dzieczynko - zawahawszy się powiedział Devey.

- Ja jestem kotek, a ty?

Sierżant rzucił szybkie spojrzenie na Steve'a.

- Ja się nazywam Devey, a obok mnie stoi Steve McGuire, chcemy porozmawiać z twoją mamusią... - I niespodziewanie Kat dokończył: - ... kotku.

- Mamusia teraz śpi - odpowiedziała radośnie mała - ale mogę pana wpuścić.

Drzwi szczęknęły zamkiem, McGuire zakołysał się wprawiając górną połowę ciała w ruch, podczas gdy stopy pozostały na miejscu ponieważ Devey dziwnie drgnął, jakby chciał uskoczyć za granicę framugi drzwi. Potem zadziwił Steve'a po raz drugi w ciągu minuty wsadzając kciuk za połą marynarki i przejeżdżając nim po krawędzi paska. Robił tak, i nie tylko on, odruchowo sprawdzając czy poły odchylają się gładko i nie przeszkadzają w wyjęciu broni. McGuire przypomniał sobie zimny powiew w plecy i odchylił połą kurtki. Devey przekręcił klamkę i pchnął wolno drzwi, spodziewali się, że za nimi będzie jakiś wózek z dzieckiem, ale mała zdążyła już odjechać. Sierżant wsunął się do długiego kichowatego hallu, z którego kilkoro drzwi prowadziło do różnych pomieszczeń.

- Gdzie jesteś? - zapytał.

- Tu - u!

Devey cicho podszedł do otwartych drzwi, zatrzymał się z rękami za

plecami. McGuire ze zdziwieniem zauważył, że splecione palce sierżanta podrygują. Od progu uśmiechnął się.

- Dzień dobry - powiedział. - Ja jestem Devey, a ty Kotek, tak?

- Kotek mnie nazywa mamusia - powiedziało dziecko. - I Sandra. Ona mnie gimnastykuje, na zmianę z Conym, ale jego nie lubię, bo zawsze chce wszystko zobaczyć - co jest w safkach i szufladach i w ogóle.

McGuire zrobił pół kroku, ale Devey nie posunął się i Steve zrozumiał, że sierżant nie chce, by i on pokazywał się małej. Na palcach okręcił się wokół własnej osi usiłując odgadnąć rozmieszczenie innych pomieszczeń i ich przeznaczenie. Przy okazji chwycił jakiś zapachowy trop, coś specyficznie zapachniało. Chemicznie i słodkawo. Narkotyki?

Zmarszczył brwi i węszył, zobaczył, że Devey usłyszał jego węszenie i sam, zachowując uśmiech, wciąga powietrze przez nos.

- A mamusia śpi? - zapytał sierżant.

- Tak. Musis być cicho - ostrzegła poważnie mała.

Nie wiadomo dlaczego Steve uznał, że należy uszanować, koniecznie uszanować, jej żądanie.

- Dobrze - powiedział Devey, cicho powiedział. - A gdzie mamusia śpi? Mogę zobaczyć?

Kat, który nie pytał burmistrza, czy może zapalić w jego obecności! Kat, który nie pytał trzymającego go na muszce strzelca czy może podrapać się po nosie?! Kat zapytał potulnie niespełna czteroletnią dziewczynkę czy może popatrzeć na jej mamusię!

- Do - obze - przyzwoliła mała. - Ale jej nie budź!

- No coś ty! Pewnie że nie - zapewnił ją.

Odsunął się z przestrzeni drzwi, krótkim trzepotem dłoni zatrzymał Steve'a w miejscu, a sam ruszył zaglądając do każdych drzwi. Pierwsze prowadziły do łazienki, to widać było z miejsca gdzie stał McGuire, drugie do kuchni, trzecie były uchylone i było za nimi ciemno, widocznie w tym pokoju były opuszczone szczelne rolety czy żaluzje. Devey

zerkając do łazienki i kuchni dotarł do ciemnego pokoju, długą chwilę stał z wychyloną do przodu głową, usiłując dojrzeć coś w mroku. Wyglądało, że coś zobaczył bo zeszywniał, potem wolno wsunął rękę i pstryknął włącznikiem światła. Chwilę później odwrócił się do Steve'a i tępo patrząc gdzieś obok partnera pokazał trzy palce, co oznaczyło konieczność wezwania pełnej ekipy z koronerem i labo na czele. Steve rzucił się do drzwi i pognął do wozu. Czekał na windę usiłował zanalizować minę Devey'a i kogo wezwałby, gdyby sierżant dodatkowo nie pokazał umówionego sygnału. Bo że chciał ściągnąć jak najwięcej ludzi to było pewne. Z jego miny można było wyczytać, że najchętniej sprowadziłby dwa bataliony komandosów - kamikadze. Tylko po co? Przecież Kat nigdy i nikogo się nie bał.

Kapitan Horwits, gorliwy demokrat i radosny optymista niemal we wszystkim co robił, poruszył się na gigantycznej kanapie Chryslera, którym od kilku godzin jechał w nieznanym kierunku. Poruszył się ponieważ wóz zahamował łagodnie prowadzony przez mistrzowską rękę, której Burt Horwits podobnie jak pejzażu za oknami nie widział ani przez ułamek sekundy. Wytracany rozpęd miękko pchnął kapitana do przodu, wóz stanął i mimo że pasażer nadal nic nie widział za oknem - Horwits dałby sobie coś uciąć i postawiłby to na pewno, że stoją przed jakąś bramą i sprawdzane są ich przepustki. I zaraz los podesłał mu swój malutki przychylny uśmiezek - usłyszał zbyt głośno: „Dziękuję, proszę jechać błękitnym szlakiem”. Aha, pomyślał Burt, duża jednostka z kilkoma oznaczonymi poszczególnymi kolorami obiektami, bez nazywania ich jakkolwiek. Jakaś poważna sprawa, ale to wiadomo było od początku, od chwili kiedy do mieszkania weszła trójka wyklonowanych z tego samego niezawodnego garnituru komórkowego mężczyzn, wbitych w niemal identyczne garnitury, same garnitury wyznaczające ich przynależność zawodową. Środkowy mignął jakąś wtopioną w pancerny plastik legitymacją i zaprosił do samochodu,

Horwits nawet nie próbował wrócić do szafy, doświadczenie nauczyło go, że gdzieś czeka nań szcztoteczka Reeder nr 4 i gruby lazuruowy frotowy szlafrok, jakich zmienił w życiu już kilkanaście, choć żadnego nie zdążył nawet zaplamić.

Drgnął gdy zaćwierkał telefon. Na wszelki wypadek, gdyby ktoś przez pomyłkę przełączył rozmowę na ten aparat w wozie, odczekał pięć sygnałów i dopiero wtedy podniósł słuchawkę.

- Słucham?

- Kapitanie, ma pan tam straszne szambo do rozgrzebania. - Horwits odskoczył od słuchawki - ponury mogilny i cholernie mocny bas generała niemal boleśnie uderzył w błonę bębena. Generał zawrócił kiedyś przez okno adiutanta uruchamiając przy okazji dziewięć z jedenastu alarmów w zaparkowanych trzy piętra niżej samochodach. Od tej pory „przypadkowo” powtarzał wyczyn raz na jakiś czas, najchętniej podczas wizyt znaczących osobistości. - Słyszysz mnie? - Siła głosu wzrosła i Burt podziękował swojemu aniołowi stróżowi za pomysł z odsunięciem od ucha słuchawki.

- Tak, oczywiście generale.

- Dobrze, bo myślałem, że coś jest z łącznością - burknął bas niezadowolony z uzyskanego efektu. - Słuchaj więc, nazwijmy operację... Eee... Nazwijmy ją... O! Greenpeace! Akurat mam tych niedojebów na ekranie. Więc tak - odpowiadasz za wszystko głową, nie wiem za co, ale odpowiadasz. Za dobę zameldujesz, najprawdopodobniej będę już na miejscu. Gdyby coś się działo - masz tam kod do mnie. - Pauza. - Pytania!? - ryknął na pożegnanie generała.

- Nie, sir.

Kliknęło coś. Ty durny wale, pomyślał Burt grzebiąc czubkiem małego palca w uchu. Wyobrażam sobie, że gdyby miał dużą silną dłoń to chodziłby po podległych jednostkach i walił każdego napotkanego po plecach, kretyn jeden. No, prawie ogłuchłem! O, chyba...

Wóz wszedł w zakręt i zaraz wyhamował. Kiwnął się na jakimś progu, przejechał jeszcze kilkanaście metrów i zatrzymał. Nagle podwójna błona szyb opadła ujawniając, że stoją na środku podziemnego parkingu. Acha, najpierw godzinna jazda, potem dwugodzinny lot w ładowni transportowca, potem cztery godziny jazdy, policzył Horwits, chociaż mogłem jeździć w kółko wokół własnego domu i latać nad LA i w rezultacie znajdować się trzy kilometry od domu. Szyba między salonem i kierowcą jednak nie opadła, kapitan zrozumiał, że nie tam należy szukać przewodnika. Trącił klamkę drzwi, jędrnie mlasnęły i otworzyły się, stęknął i wysiadł zaraz odchodząc za tylną część karoserii wozu. Skoro on nie widział twarzy kierowcy to i tamten nie powinien widzieć jego. Opony pisnęły i został sam. Po chwili cierpliwego czekania zastukały czyjeś obcasy i w nieokreślonego kształtu plamę jasności weszła mocno zbudowana kobieta w szpitalnym uniformie - bladożółtych spodniach i takiegoż koloru bluzie bez rękawów z wycięciem w krótki szpic. Widząc, że patrzy na nią zatrzymała się i rzuciwszy krótkie „Proszę za mną” ruszyła z powrotem. Przemaszerowali w stałym szyku parking, wąski piwniczny korytarz i wjechali dwie kondygnacje wyżej. Kobieta zatrzymała się i wskazawszy kierunek ręką powiedziała wyraźnie, jakby widziała w Horwitsie obcokrajowca: - Pokój numer dwanaście.

Nie zamierzała odchodzić ani zabierać się do żadnych innych swoich obowiązków zanim kapitan nie wykona dyskretnego polecenia. Skinął głową, ominął pielęgniarkę i poszedł we wskazanym kierunku, ale ominął drzwi z dwunastką na solidnej metalowej tafli, nasłuchując reakcji poszedł aż do końca korytarza, i zajrzał za jego załom. Śluza albo coś dobrze ją udające. Zawrócił i pchnął drzwi.

W pokoju znajdowały się dwie osoby, mężczyźni. Jeden duży, z garbatym nosem i odcisniętym na ciemnoblonde włosach rowkiem od stale noszonego kapelusza, znaczy policjant. Horwits krótko odnotował,

by poświęcić mu więcej czasu, bo wydał się skądś znajomy i w tej samej chwili przypomniał sobie skąd zna tę twarz. Gwizdnął w duchu. Drugi był szczupłym niskim brunetem o wyraźnie semickim pochodzeniu. Horwits spokojnie i metodycznie rozejrzał się po pomieszczeniu, ocenił cholernie szybki i pojemny sześćdziesięcioczerobitowy IBM, panoramiczny telebim z wyostrzonym rastrem, cztery telefony i piąty pod kloszem z karboplexi. Mężczyźni nie przeszkadzali mu w zaspokajaniu ciekawości, policjant sięgnął do kieszeni i wyjął paczkę cameli. Brunet skrzywił się zamierzając protestować, jednocześnie drzwi otworzyły się potrącając lekko Horwitsa. Ktoś z tyłu syknął „Przepraszam!”. Za kapitanem stał z władczą miną grubas z ogoloną matową czaszką. Sapnął przez nos, ominął Horwitsa i zwałił się w fotel. Zdecydowanie czuł się tu gospodarzem i zdecydowanie zamierzał czuć się tak, mimo gości, nadal.

- Dzień dobry, panowie - zatoczył głową precyzyjnie odmierzoną część łuku od policjanta do semity. - Sierżancie, proszę tu nie palić...

Wywołany spokojnie włożył camela do ust i podniósł zapalniczkę. Gdy kłęb dymu uleciał w górę pokazał go grubasowi: - Wyciąg działa znakomicie, a ja nie podpisywałem zgody na odwyk.

Korpulentny gospodarz rzucił okiem na wyciągającą się ku górze wstęgę dymu i obojętnie wzruszył ramionami, jakby ustępował upartemu dzieciakowi.

- Sierżant Devey - powiedział wskazując palacza. - Policja miejska.

- Nie sprecyzował w jakim mieście prawa broni Devey. - Kapitan Horwits, wydział SPT. - Uznał słusznie, że wszyscy wiedzą o co chodzi i nie trudził się rozszyfrowywaniem skrótu. Popatrzył na bruneta i przedstawił go: - Emmerheldt. Ja się nazywam Patchet i dowodzę operacją „Greenpeace”. W danej chwili podział wiedzy jest taki, że sierżant wie skąd mamy obiekt i mniej więcej co potrafi, jest też tu w roli dodatkowej ochrony, doktor Emmerheldt utrzymuje go przy życiu, kapitan zajmie się za chwilę grzebaniem w jego delikatnej maszynerii, a

ja koordynuję całość. Do mnie spływają wszelkie zapotrzebowania, wszystkie pretensje, informacje i hipotezy. Doktor Emmerheldt zajmuje się obiektem od strony medycznej, ale wie mało o prehistorii odkrycia jej, więc powinien z zainteresowaniem wysłuchać jak i dlaczego znalazła się na orb... w orbicie naszych zainteresowań. - Wolno przyjrzał się po kolei wszystkim obecnym, każdemu udzielając tyle samo czasu i wagi spojrzenia. - Należałoby zapytać kto ma pytania, ale myślę, że jeśli nie ma bardzo istotnych, to powstrzymajmy się aż wszyscy będą wiedzieli mniej więcej tyle samo. Sierżant przekonał mnie, że jeśli zaczniemy przerywać mu pytaniami, to jednocześnie będą powstawały hipotezy i rodziły się spory. Tak więc...

Podarował każdemu z obecnych identyczne pytające spojrzenie, które jednocześnie zobowiązywało do milczenia: „Ostatnia szansa na pytania. Nie? To dobrze”.

Odpowiedziało mu zdyscyplinowane milczenie. Horwits miał ochotę je złamać, ale czuł już gdzieś w środku sklepienia czaszki rodzący się czerw ciekawości, zwierzę o niespożytej energii i absurdalnej mocy głodzie, zaspokojenie którego stało się możliwe tylko poprzez przyjęcie oferty pracy w jednym z tych wydziałów Zjednoczonego Dowództwa, które ironicznie określane były przez konserwatywnych i nie rozumiejących „o co tu chodzi” mundurowych jako Specjalne Przez Tajne. To ssąco - gryzące bydlę było na tyle inteligentne, że chwilami, kiedy w grę wchodziło zaspokojenie jego głodu, pozwalało nawet sobą sterować, to znaczy pozornie tłumić. Teraz też - zadrzało, zadygotało, zgrzytnęło zębami i ucichło. Horwits więc zmilczał. Patchet chrząknął dyskretnie i popatrzył na Devey'a. Sierżant strzepnął popiół w kierunku kratki zasysającej powietrze znad podłogi.

- Chronologicznie rzecz ujmując pierwszym tropem były znikające batoniki Paradise. Właścicielka sklepu zgłosiła nękające ją kradzieże tych właśnie batonów, kilka razy policjanci odwiedzili ten sklep, ale poza jej

słowami nic nie potwierdzało notorycznych kradzieży. Kobieta miała w sklepie system kamer na podczerwień, ustawiła jedną na kosz z batonami i przyniosła nam kasetę, ale jej zawartość zamiast potwierdzić jej słowa skierowały nas na fałszywy trop. Krótko mówiąc uznaliśmy, że kobieta jest niezrównoważona i prymitywnie nas usiłuje wykiwać. Oto to nagranie.

- Wychylił się i wdusił „play” w szczerzącym jak zęby dziesiątki podświetlonych klawiszy Panasonicu. Na ekranie telebima pojawił się kosz z setkami batoników w migotliwych złotych i czerwonych opakowaniach. - To jest nagranie z trzeciego czuwania, tuż przed północą. - Devey odczekał chwilę wpatrując się w wężyk cyferek z migocącym ogonkiem - setnymi i dziesiętnymi sekund. - Uwaga!

Kosz drgnął. To znaczy tak to wyglądało jakby drgnął, w rzeczywistości z obrazu na ekranie zostało wyszarpiętych kilkanaście batoników, kilka innych, z tych które pozostały, obsunęło się, w głośnikach zaszleściło. Umilkło i zestaliło się i znów tylko migocący ogonek wężyka zmieniał się na ekranie.

- Nic więcej. Powtarzamy w dużym zwolnieniu - oświadczył sierżant.

- Obraz mignął i znowu zobaczyli ten sam kosz, nieco jakby rozmazany i wolno turlające się cyferki w końcówce, teraz można było spokojnie odczytywać: siedemdziesiąt cztery, siedemdziesiąt pięć, siedemdziesiąt sześć... - Na siedemdziesiąt osiem - ostrzegł Devey.

Dwie sekundy później z ekranu zniknęło, skokowo, bez żadnych smug, mglenia, mżenia i innych efektów, kilkanaście batonów. Sierżant głęboko odetchnął. Zastopował magnetowid. Na ekranie zamarł wysoki stos dwubarwnych beleczek.

- Ilebyśmy nie oglądali i nie zwalniali obrazu - nic nie ma. Ułamek sekundy wcześniej batony były, klatkę, że tak powiem, później - nie ma. Dlatego po pobieżnej analizie na posterunku uznano, że właścicielka sklepu zmontowała po prostu taśmę, nie wiadomo po co, gdzie i jak, ale

zmontowała. Ten etap sprawy był poza mną, dotarłem doń wstecznie, po eee... zapoznaniu z pewnymi innymi elementami. - Sierżant zaciągnął się ostatni raz papierosem i nagle, wywołując u Horwitsa nieprzyjemny skurcz odrazy zgasił papierosa w zagłębieniu lewej dłoni. Chwilę później wyjął z konchy dłoni mały metalowy kapsel i cisnął nim do kosza. - Trop drugi... - zapowiedział sierżant. - Przed jednym z domów uboższej części miasta znajduje się pojemnik na śmiecie, w pojemniku odkrywamy kupę opakowań po batonach Paradiso, dokładnie mówiąc czterysta siedemdziesiąt sześć. Uprzedzając pytania powiem, że dyskretnie zbadaliśmy inne sklepy i w najbliższej okolicy, w pewnym określonym promieniu, stwierdzono zwiększony popyt u młodocianych złodziejasków na te właśnie batony. W domu wspomnianym wcześniej mieszka trzypółletnia dziewczynka. Jest sparaliżowana od pasa w dół, nie ma ojca - popełnił samobójstwo, a o matce mówią w okolicy, że jest nie zrównoważona psychicznie i tę właśnie w opinię podzielają lekarze. Kilka razy spędzała od kilku dni do kilku tygodni w miejskim ośrodku psychiatrycznym. Dziewczynka jest dobrze znana pracownikom opieki społecznej, trzy razy w tygodniu przychodzi do niej przedszkolanka, żeby się pobawić i stymulować rozwój. Dwa razy w tygodniu zaś - rehabilitantka. Tak z grubsza wygląda ta rodzina. W chwili gdy odkryłem kilkaset opakowań i wścibska sąsiadka poinformowała mnie, że widziała jak cały kłęb opakowań spadał z okien do kubła weszliśmy z partnerem do tego mieszkania, gdzie okryliśmy to...

Wychylił się jak przedtem i trącił palcem „play”, ale teraz zrobił to z pewnym wahaniem, może obrzydzeniem czy strachem. Ciekawość Horwitsa zaczęła podskakiwać w miejscu jak dziewczynka niecierpliwie czekająca na odmierzenie czterech gałek lodów. Ekran mrugnął kilka razy. Pojawił się na nim korytarz mieszkania, jasne plamy po mażnięciach halogenów mieszały się z smugami czerni, kilka razy obiektyw liznęły bezpośrednio światła i wtedy jaskrawe powidoki

smużyły przez moment. W polu widzenia kamery znalazł się Devey, stał ponuro oparty barkiem o ścianę, ruchem jednej brwi wskazał kamerzyście ciemny prostokąt drzwi, kamera podskakując przysunęła się bliżej, sierżant wysunął ramię i włączył światło, ale sam nie wchodził do pokoju.

To był mały pokoik z zasuniętymi szczelnie żaluzjami. Było w nim tylko kilka mebli, tapczanik, szafka, ale gdyby nawet wypełniały go oryginalne chippendale i tak co innego przykułoby uwagę. Od sufitu, od haka po żyrandolu, zwisała cienka linka, na jej dolnym końcu nieruchomo wisiała mumia. Skurczona pomarszczona wyschnięta czaszka zwrócona była do obiektywu tak zwanym półprofilem, widać było wyraźnie jedną gałkę oczną, jasną i błyszczącą, co kontrastowało ze skórą, fałdy której zachowały naturalną barwę na wypukłościach zmarszczek i pociemniały w załomach, przez co twarz wisielca wyglądała jakby ktoś pomalował ją w zebzasty wzór, nie wiadomo w jakim celu i jak. Kamerzyście zadrżała ręka, obiektyw zsunął się niżej, na szarą workowatą sukienkę, całą upstrzoną brązowymi podłużnymi smugami, z szerokich rękawów wystawały chude jak oskurowane ręce, choć pokryte cienką warstwą suchej łuszczącej się skóry. Zoom kamery cofnął się, objął całą postać, w raz z chudymi nogami, podobnymi do nóg więźniów obozów koncentracyjnych - okrągłe wystające kolana, piszczele obciążone cienką warstwą tkanki nad i pod kolanami, bosa stopy z rozwartymi we wszystkie strony palcami stóp. Nagle zwłoki poruszyły się, wolno okręciły na linie, ustawiły błękitnymi oczami, niepasującymi do reszty ciała, wpatrując w kamerzystę. W głośnikach ktoś bełkotliwie wyrzucił z siebie długą, ale niespecjalnie oryginalną wiązkę przekleństw. Sierżant Devey odczekał jeszcze chwilę i gdy ciało okręciło się jeszcze bardziej, ustawiło do kamery w pełni en face wdusił klawisz tym razem „pause” i zostawił na ekranie makabryczny widok. Jego milczenie zmuszało pozostałych do wpatrywania się w ekran, w końcu Patchet

poruszył się, ale Devey znakomicie wyczuł jego intencje i powiedział: - To jest właśnie matka dziewczynki, nie żyła od pięciu tygodni, co najmniej. Ciało zostało zmumifikowane, spetryfikowane czy jeszcze coś tam, samobójstwo na sto procent. To jest tak zwany stan zastany - podsumował intonacją sierżant. - Po przesłuchaniu rehabilitantki i pedagoga maluje się następujący obraz - żadna z nich nie widziała od ponad półtora miesiąca matki. Uznały - nie widząc jej gdy przychodziły do małej - że korzysta z ich obecności i wychodzi na zakupy czy załatwiać jakieś swoje sprawy. Ponieważ mała ani razu nie poskarżyła się na nic, nie miały podstaw do niepokoju. Dziewczynka była czysta, miała na sobie czyste ubranka, zresztą, jak mówiły, to bardzo samodzielne dziecko, mieszkanie było w miarę czyste, czyli - jak zwykle. - Niespodziewanie policjant pochylił się i z dziwną miną trzasnął w jeden z klawiszy, z ekranu zniknęły zmumifikowane zwłoki i pojawiła się twarz dziecka, trzyletniej dziewczynki, poważnej, wyraźnie wyczekująco wpatrującej się w obiektyw. Dziewczynka miała wysokie czoło, które miała osłonić grzywka, ale ta nie spełniała swojej roli, ponieważ włosy były rzadkie cienkie, na dodatek miały taką mdłą jasną barwę, o których większość ludzi i protokoły policyjne mówią: „włosy nieokreślonego koloru”. Cierpliwe oczy miały podobną do włosów nieokreśloną barwę ni to jasnoniebieską, ni to szaropopielatą. Poniżej sterczał mały zadarty do góry nosek i blade cienkie wargi. - A to jest Kotek, czyli Agnes Ramona Nascimento, piekielny dzieciak...

- Sierżancie! - wtrącił się Patchet z taką energią jakby czekał tylko na jakieś uchybienie Devey'a, może zresztą, niezgodnie z tuszą, ale dysponował naprawdę dobrym refleksem. Uniósł do góry palec i nabrał tchu do dłuższej perory, Devey pochylił głowę w jego kierunku. Andaluzijski byk szykujący się do szarży, zdążył pomyśleć Horwits. - Umówmy się...

- Nic z tego - mam już wszystkie soboty w tym miesiącu zajęte. -

Wypalił policjant. - Zresztą nie jest pan w moim typie.

Horwits przechwycił szybkie spojrzenie Emmerheldta, tamten jakby chciał mu powiedzieć: „No to mamy za darmo cyrk, choć nienajwyższego lotu”.

- Niech pan zachowa ten swój posterunkowy dowcip na chwilę, kiedy będzie pan z powrotem w swoim bagienku, sierżancie. Z tego co wiem - lubi pan babrać się w jakichś takich gównach.

- Aha. Przecież tu jestem!?

Patchet wbijał przez chwilę jadowite spojrzenie w Devey'a, ale na sierżancie nie sprawiało to widocznego wrażenia.

- Przeżywasz tu przygodę swojego życia - wycedził w końcu Patchet.

- Właśnie, brakuje mi jeszcze żebyś kupił nam po lodzie - natychmiast zaripostował sierżant.

- Proponuję żebyśmy spotkali się za godzinę - wtrącił się Horwits, którego przestało bawić to słowne okładanie się dwu uczestników spotkania, a przypomniało mu się, że tajemniczy powód ich spotkania tu nie został jeszcze wyjawiony. - Chyba sprawa na tym nie ucierpi? - dokończył zjadliwie.

- Niech pan kończy! - warknął Patchet.

- Wnioski są następujące: matka nie żyje od pięciu tygodni, a ktoś - coś udawało, że jest inaczej. To coś - ktoś sprzątało mieszkanie, ale dziwnie: podłoga jest odkurzona czy wymieciona dokładnie wokół mebli, ale ani o milimetr nie przekraczając ich granicy, na przykład pod łózkami - warstwa kurzu. Ktoś - coś kradło w nieznanym sposobie batoniki Paradiso, którymi żywiła się dziewczynka. Również to coś - ktoś doprowadziło do mumifikacji zwłok Sylwii Nascimento.

- Zaraz - wtrącił się Horwits. - Chce pan po...

- To coś - ktoś... - podniósł głos policjant i Horwits posłusznie zamilkł - ...spowodowało, że gdy trzy czy cztery razy fizykoterapeutka zapytała o mamusię ta odzywała się z sypialni mówiąc, że ma straszną migrenę, że

niczego nie potrzebuje, że za chwilę będzie jej lepiej i żeby, broń Boże, nie wchodzić do sypialni, co światło i najmniejszy hałas ją dobijają. - Sierżant odetchnął w widoczny sposób i powiedział jeszcze: - Chcę przez powiedzieć - zwrócił się do Horwitsa - że nasz mały kotek w jakiś sposób robił to wszystko, przy pomocy jakiejś psychotelekinety czy innego szajsu. - Wyciągnął rękę i wystawił kciuk: - Zna ten sklep bardzo dobrze, więc stamtąd kradła w nocy batony, a potem wyrzucała całe kłęby opakowań dokładnie do kubła. Wiedziała, że trzeba posprzątać, ale nie do końca znała metodykę tej działalności. Spowodowała jakoś, że matka przestała się rozkładać, może za bardzo śmierdziało? I - w końcu - wiedząc, że gdy świat dowie się o jej śmierci zmieni się jej życie, symulowała w razie potrzeby głos matki.

W pokoju zapanowała przejmująca wielomegawatowa cisza. Horwits siłą powstrzymał się od otwarcia ust, był przekonany, że jakiegokolwiek pytanie zada okaże się, że Devey z Patchetem już je zadali. Nie wytrzymał Emmerheldt: - Chce pan powiedzieć, że to dziecko dało popis telekinety o takiej mocy? Tak różnorodnej? Z jakimś brzuchomówstwem przy okazji?

- Ja? - teatralnie zdziwił się policjant. - Ja wolałbym niczego takiego nie mówić!

- To jest hipoteza dość wątpliwa, w świetle przedstawionych okoliczności - powiedział w końcu Horwits chcąc wyciągnąć jak najszybciej i jak najwięcej z policjanta, który - był tego pewien - miał jeszcze jakiegoś asa w rękawie.

- W łazience odkryliśmy pralkę ze świeżoupraną bielizną - powiedział wolno sprowokowany sierżant. - Wtyczka tej pralki praktycznie nie istnieje, i to od dawna, tymczasem bielizna była wyprana i odwirowana rankiem tego dnia, kiedy weszliśmy do mieszkania.

Kapitan zastanawiał się chwilę.

- Jeśli się umie można i bez wtyczki podłączyć pralkę do prądu -

powiedział wolno.

- Pod warunkiem, że jest prąd, a w tym mieszkaniu od dwunastu dni nie było, ponieważ od pół roku nie płacono - został odłączony. Tymczasem ja sam widziałem w kuchni ekspres z ciepłą jeszcze choć spleśniałą kawą, i oglądałem zwłoki matki przy świetle; dopiero przed samym przyjazdem ekipy nagle światło zgasło. Kazałem nawet usunąć awarię technikom, ale musieliśmy ciągnąć kable z korytarza.

- Tak, panowie - wtrącił się Patchet. - Nie ma wątpliwości, że stoimy oko w oko z największym fenomenem wszechczasów.

- Żeby już wszystko było jasne - przerwał mu bezceremonialnie, wzbudzając niestarannie maskowaną wściekłość, Devey - kiedy pierwszy raz zjawiliśmy się pod mieszkaniem rozmawialiśmy z dziewczynką pod samymi drzwiami, byłem przekonany, że podjechała pod nie jakimś wózkiem, tymczasem ona siedziała w specjalnym foteliku bez kółek, a jednocześnie kilkanaście sekund wcześniej otworzyła nam drzwi. Jeśli słowo lewitacja może coś oddać, to chyba właśnie to...

Patchet przełknął złość, wyprostował zaciśnięte wcześniej palce aż trzasnęło w jakimś stawie. Sapnął i powrócił do roli koordynatora i szefa: - Fenomen ów, jak widzimy z tej opowieści, składa się z zestawu paranormalnych zjawisk, nieobserwowanych dotychczas w takim nasileniu i - rzecz jasna - w takiej eskalacji. - Zamilkł i - tak to widział Horwits - zaczął odmierzać starannie zaplanowanej efektownej pauzy. Kiedy uznał, że należy zakończyć ją nagle odezwał się Emmerheldt: - Podsumowując, żebym kiedyś nie wyszedł na głupka, matka zmarła, a malutka Agnes dokonała nieumiejętnej mumifikacji ciała, tak?

Patchet niechętnie skinął głową, to on powinien prowadzić podsumowania. Devey prychnął: - Nieumiejętnej?! Nie widział pan tych świeżutkich oczu przy wyschniętej i pomarszczonej jak stare wierzchy butów dziadka skórze?

Emmerheldt miną przyznał się do zarzuconej mu ignorancji i

kontynuował: - Poza tym dziewczynce nie przyszło do głowy nic innego jak ukrywanie śmierci matki poprzez emitowanie z jej pokoju głosu i sprzątanie mieszkania? - zaakcentował wypowiedź prostując wskazujący palec. - Prócz tego dziewczynka może teleportować do siebie przedmioty o nieustalonej, ale znacznej, jak na stan naszej wiedzy, wadze, na dodatek trochę lewituje... Czy coś opuściłem?

- Nie, do diabła - teatralnie plasnął dłonią w kolano Patchet.

- Jest ukochany jeszcze kot, któremu Agnes zapewniała mleko i żwirek tak jak sobie batony - wtrącił się sierżant.

- Tak - niecierpliwie przyklasnął Patchet - Ale to detal. - Odwrócił się ponownie do kapitana: - Co do podsumowania - wyłożył pan wszystko, jak mawia mój syn: doszczętnie. Mamy ten fenomen tu, w stanie oszołomienia, na razie, ale jak najszybciej trzeba by to przerwać. Broń Boże byśmy uszkodzili tę na pewno kruchą strukturę. Musimy dokonać z naszym kotkiem kilku rzeczy - po pierwsze, zapewnić sobie jej współpracę. To powinno być łatwe - dziecko: lody, chipsy, Barbie i tak dalej. Damy jej ciepło i opiekę, to ją do nas przekona. - Wyłapał, bo był na to przygotowany, lekki ruch brwi Horwitsa: - Oczywiście będą w to wciągnięte kobiety, zdaję sobie sprawę, że stado „wujków” niekoniecznie jest najłe - pszym towarzystwem dla niej.

- Póki pamiętam - bezceremonialnie przerwał mu Devey. - To, że ona ukrywała śmierć matki o czymś świadczy, prawda? Nie lekceważmy jej oceny dorosłych, nie ufa nam, co dało się zauw...

- O tym za chwilę! - zdecydowanie i z naciskiem przerwał mu Patchet i Devey, o dziwo, nie zareagował. - Ale dziękuję, za przypomnienie. Rzeczywiście - to bardzo delikatna sytuacja, wszyscy musimy chodzić jak na linie. I dalej - testy z tymi wszystkimi paranormalnymi efektami. - Odwrócił się do Horwitsa: - To pana działka. Propozycje? - rzucił tonem, podpatrzonym na jakimś gangsterskim filmie postukując w stół.

Zapytany myślał chwilę nie przejmując się ponaglającym werblem

trzech palców grubasa.

- Widział pan film „Poltergeist”? - zapytał z lekkim uśmiechem. - Tam jest taka scena, gdzie fachowcy od efektów paranormalnych opowiadają z żarem o już udokumentowanych zjawiskach, że niby sfilmowali pudełko zapalek, które przesunęło się podczas nocy o chyba osiem centymetrów, a pan domu prowadzi ich z dziwną miną po schodach i nic nie mówiąc otwiera drzwi do pokoju córki, gdzie wirują w powietrznym tańcu jej zabawki i meble. Przepraszam, za przydługą wtret, ale czuję się mniej więcej tak właśnie: ja widziałem drgnięcie, drgnięcie! znakomicie wyważonego śmigła, które poruszył zmęczony do granic wytrzymałości telekineta, widziałem trochę innych równie efektownych pokazów i setki oszustw, a pan... - Uśmiechnął nieśmiało się do Devey'a - ... mi mówi, że dziewczynka przenosi się siłą woli, że kradnie na odległość batoniki... - Wzruszył ramionami. - Wystarczyło by poruszenie jednego. Skala zjawiska mnie - przyznaję - oszałamia. Muszę mieć trochę czasu na przemyślenia. Naprawdę - jestem w sytuacji faceta, który modlił się o źródółko, a stanął przed oceanem.

Zastanawiał się długą chwilę, właściwie czekał aż kto inny zabierze głos, co pozwoli mu się wyłączyć i oddać przetrzawianiu usłyszanego. W końcu, widząc, że i tak wszyscy czekają na jego słowa uśmiechnął się i miną zasygnalizował koniec wypowiedzi. Potem spuścił spojrzenie na podłogę i zamyślił porzucając duchem zebranych. Patchet dość głośno zebrał nadmiar śliny z jamy ustnej, przełknął.

- Dalej więc, to już ja opowiem, dziewczynka znalazła się najpierw w sierocińcu, potem, gdy potwierdziły się informacje ze śledztwa, a to stało się bardzo szybko, zabraliśmy ją, już w utajnionej osłonie, do szpitala. Dokonano całej serii badań, nie będę o tym mówił, wszystkie dane dzierży doktor Emmerheldt. Ale potem uznaliśmy, że lepiej będzie odizolować obiekt. - Horwits, uważnie przysłuchujący się jego słowom, nie miał wątpliwości, że w tym miejscu mogły, a nawet powinny się

znaleźć dokładniejsze wyjaśnienia, ale nie znalazły. - Teraz w tej grupie zaczniemy prowadzić kolejne badania i - przede wszystkim - testy. - Posłał znaczące spojrzenie Horwitsowi: - Tu na pana liczę.

- Czy mogę liczyć na jakieś wsparcie? - szybko zapytał kapitan.

- Mmm... Na razie - nie... Może pan do woli wykorzystywać nas i dwie pielęgniarki. Z tym, że one mają pod opieką pacjentkę bez tego sprecyzowania sytuacji, jakie pan już posiadał. I niech tak zostanie.

- Rozumiem. Dobrze.

- Doktorze? - Patchet wywołał Emmerheldta.

Tamten wzruszył ramionami.

- Na razie nie mam niczego, czym mógłbym zaskoczyć panów. Badania w podstawowym zestawie nie wykazały najmniejszych odstępstw od normy. Dopiero teraz zaczniemy wgłębiać się w szczegóły, a właśnie tam, jak wiadomo, siedzi diabeł. - Odchrząknął. - Przepraszam za głupią analogię.

Horwits zapanował nad twarzą, ale we wnętrzu zadrżał, jak dobry ogar zwietrzył tajemnicę i nerwowo teraz wypatrywał jej ogona, by się weń wczepić i nie puścić, nie puścić, nie puścić!

- Szczegóły za chwilę - szybko wtrącił się Patchet usiłując całym swoim dużym ciałem zasłonić ten ogonek od Horwitsa, któremu - jak widzieli wszyscy - rozbłyły oczy. - Jeszcze kilka minut cierpliwości. Teraz... - Rozejrzał się po pokoju. - Może jakieś pytania, na gorąco?

Po chwili Horwits wolno pokręcił głową. Nie widział potrzeby strzelania na oślep i podstawiania się pod pełne politowania spojrzenia bardziej wtajemniczonych „kolegów”, szczególnie, że miał czas.

- Nie mam pytań - powiedział Devey, a Horwits zrozumiał, że sierżant powiedział to umyślnie, by sprowokować Patcheta.

I niemal mu się to udało, zwłaszcza, że zajął się zapalaniem drugiego papierosa, Patchet poruszył ustami, ale opanował się i nawet zdołał ironicznie podziękować policjantowi skinieniem głowy. Popatrzył na

lekarza, Emmerheldt pokręcił głową. A potem mruknął coś przypomniawszy sobie jakąś kwestię.

- Ewentualnie kiedy i do ilu osób można będzie poszerzyć personel?

- To zależy od wyników, ale - zapewniam - nigdy nie będzie to - Patchet szeroko się uśmiechnął zadowolony z wymyślonego tekstu - tematem konferencji prasowej czy doktoratu w ONZ - ecie. Od razu więc ograniczajcie się, panowie, do niezbędnego minimum.

- Ja też mam jednak pytanie - wtrącił się Devey. - Jakie są przewidywane zastosowania dziewczynki?

Zapytany długą chwilę wpatrywał się w policjanta. Pulchne wargi wyduły się i wróciły do normy. Małe oczka zmrużyły się, ich właściciel wyostrzał spojrzenie. Potem poruszyła się grdyka.

- To nie jest pańska sprawa - wycedził w końcu wolno Patchet. - Podział zadań jest tu już znany, prawda? I pan nie jest przewidywany do kreowania linii postępowania... Nie przyszło panu do głowy, że mogłaby szkolić innych telekinetów? - Wyróżnił ostatnie słowa krótką pauzą. - No. Inne kwestie? - zapytał innym tonem, przywódczym, podkreślającym koniec niemrawego zebrania.

Odpowiedziała mu całkowita cisza. Patchet oparł się o podłokietniki i wybił z fotela. Z góry popatrzył na zebranych. Tylko tak, pomyślał Horwits, może nam nami górować, kurdupłowaty nasz dowódca.

- W takim razie możemy iść odwiedzić obiekt.

Zabrzmiało to sztucznie i dość fałszywie. Pierwszy zareagował Devey: - Pokażemy panu kotka, kapitanie.

- Sierzancie! - wrzasnął wyprowadzony z równowagi Patchet. - Wypraszam sobie pańskie głupie uwagi! Nie został pan tu oddelegowany do prowadzenia nędznego kabaretu!

- Agnes powiedziała nam, że mama zawsze do niej mówi „kotku” i dobitnie pokazała, że tego właśnie sobie życzy, nieprawdaż? - wycedził niezrażony krzykiem Patcheta policjant. - Kapitan powinien o tym

wiedzieć. Żeby nie skończyło się...

- Dobrze. Odwiedzmy ją, a potem wyjaśnimy do końca resztę kwestii - przerwał Patchet i zdecydowanie wskazał drzwi. Małe oczka patrzyły teraz przenikliwie i ostro. Mógłby strzelić do człowieka, zdecydował Horwits. Była to jego prywatna ocena zdecydowania i poświęcenia dla jakiejś sprawy. - Reszta informacji po odwiedzinach obiektu. Chodźmy.

Skierował się do drzwi i wyszedł pierwszy, Emmerheldt pośpieszył za nim, Devey nieśpiesznie grzebał niedopałkiem w zaimprovizowanej popielniczce upewniając się, że nic tam się już nie jarzy. Kapitan poczekał na niego, posłał uśmiech, który miał upewnić sierżanta, że Horwits go rozumie i mu sprzyja. Devey krótko spenetrował spojrzeniem kapitana. Oj, nie rzuci mi się na szyję, pomyślał wesoło Horwits. Na korytarzu poczekał na Devey'a.

- Nie ma pan żadnych wątpliwości? - zapytał.

Sierżant od razu zrozumiał co ma na myśli: - Nie. Najmniejszych. Jeszcze dziesięć dni temu postawiłbym swoje półroczne uposażenie, że coś takiego nie jest możliwe... Nawet... - zawahał się i umilkł.

- Dziwnie się wszystko czasem splata - powiedział na tyle cicho, by idący przed nimi Patchet i Emmerheldt nie usłyszeli. - Pan przeżył tę zabawę z przybyszem z Bóg jedyny wie skąd, największą przygodę ludzkości z kosmosem, teraz trafił pan na drugą największą przygodę. Niektórzy to mają szczęście, co?

- A tak. Mam tyle fartu, że rzucam posmarowaną kromkę w górę i zawsze spada z plasterkiem szynki, który akurat przelatywał w pobliżu. Podeszli do czekających przy windzie Patcheta i Emmerheldta, w milczeniu zjechali piętro niżej. Zaraz po wyjściu z kabiny okazało się, że stoją w szklanej klatce - korytarz z obu stron szczelnie zamykały niewątpliwie pancerne śluzy ozdobione okularami obiektywów kamer. Patchet ruszył pierwszy, wsunął w szczelinę czytnika wyjęty z kieszeni identyfikator, odsunął się i przepuścił wszystkich przez otwarte już

drzwi. Teraz prowadził lekarz, ale niedługo cieszył się przywództwem, bo doszli do jeszcze jednych drzwi, przeszli przez nie i znaleźli się w pokoiku, gdzie za biurkiem z dziwaczną szklaną konstrukcją siedziała kobieta w fartuchu pielęgniarki. Powitała ich wyczekującym spojrzeniem, ręce kryjąc pod blatem biurka. Klasyczna mundurwa, pomyślał Horwits, fartuch leży na niej jak na mnie bikini! Emmerheldt minął jej biurko, pozostali podążyli za nim. Znaleźli się przed grubą szklaną ścianą dzielącą duże pomieszczenie na dwie części, w tej wąskiej pierwszej w jednym końcu, tym odleglejszym od wejścia stała na podłodze duża klatka z chudym pręgowanym zaciekawionym wizytą kotem, w drugiej części, tej za szybą, stało szpitalne łóżko otoczone taką ilością aparatury medycznej, że sam jej widok mógł przyprawić sercowca o zawał. Horwits wpił się wzrokiem w leżącą na łóżku postać, ale małe ciało przykryte było aż do szyi pledem. W kilku miejscach wysnuwały się spod niego różnokolorowe przewody i plastikowe rurki. Błądą twarzą otaczały również przewody, czoło pokrywała w całości opaska z odrostami w postaci kilkunastu pstrych kabelków. Podczas gdy wpatrywali się w milczeniu w dziewczynkę łóżko poruszyło się, cała postać zafalowała, zadrżała.

- Pneumatyczny materac - wyjaśnił Emmerheldt choć nikt o nic nie pytał.

- Długo jest w uśpieniu? - zapytał Horwits.

- Osiemnasty dzień.

- Co?!

- Osiemnasty dzień - powtórzył niechętnie lekarz.

- Narkoza?

- Nie, skąd. - Westchnął przeciągle. - Najpierw - rzeczywiście, narkoza, ale tylko przez kilka godzin. Potem zostawiliśmy ją na dwa dni pod lekką dawką ebrytenalu, wie pan co to jest? - Horwits skinął ponagląco głową. - Następnie przeszliśmy po prostu na hipnozę, pan Patchet okazał

się zdolnym hipnotyzerem i to on utrzymuje ją we śnie.

- Ale, na Boga, dlaczego?

Poruszył się Devey, ale Patchet uniósł rękę, zdecydowanie i głośno powiedział: - Ja, pozwoli pan, sierżancie, wyjaśnię, bez specjalnej ekscytacji i afektacji, której pan czasem ulega. - Skrzyżował ręce na piersi, choć musiał w tym celu poruszyć barkami. - Dziewczynka była dwa dni w sierocińcu, cztery - w szpitalu, jak już mówiłem. Podczas tego pobytu doszło eee... do hm... incydentu. Tragicznego, przyznaję. Mianowicie, jedna z pielęgniarek, wbrew wyraźnym poleceniom, postanowiła zająć się wypełnieniem luk w wychowaniu dziewczynki. Nic o tym nie wiedzieliśmy... - Rozplątał ręce i wzruszył ramionami. - Skończyło się to tak, że nagle uderzyła całym ciałem w drzwi i zmarła natychmiast.

- Cisnęła nią o drzwi? - zapytał Horwits mimowolnie rzucając spojrzenie na leżący nieruchomo „obiekt”.

Materac kontynuował masowanie dolnej powierzchni ciała zapobiegając odleżynom. Devey cmoknął przez szparę w zębach i zanim Patchet zdążył zareagować powiedział: - Jej ciało częściowo przebiło drzwi z metalowym szkieletem.

- Tak. Siła uderzenia była ogromna - zgodził się Patchet. Milczał chwilę, ale wiadomo było, że jeszcze nie skończył. W końcu zdecydował się: - Potem zdarzył się przykry incydent z lekarzem. Podobnie się skończyło, niestety. - Nie ulegało wątpliwości, że pragnie jak najszybciej zakończyć rysowanie niebezpiecznych cech i możliwości Agnes. Rzucił spojrzenie na Devey'a i wyraźnie wystraszywszy się ironii wymalowanej na twarzy policjanta dokończył szybko: - Uznała, że lekarz sprawia jej ból, poza tym nie chciał puścić do niej mamy, tak to wyglądało, ten incydent mamy cały na taśmie. Chyba nie zdaje sobie sprawy, że matka nie żyje. W każdym razie powiedziała: „Idź sobie stąd, nie lubię ciebie” i nagle lekarza rzuciło o ścianę, chyba chciała pozbyć się go jak

najszybciej, nie pomyślała o ścianie. To tyle.

- Nie, nie tyle - powiedział głośno sierżant. - Wszystko musi być jasne, nie wystarczy uśmiechać się do Agnes. Trzeba wiedzieć, że w przypadku lekarza jego ciało wymieszało się z betonem; nie tyle rozbiła nim ścianę, co niemal przepchnęła go przez nią. To nie jest telekineza, to jakaś umiejętność mieszania w atomach.

- Pańska ochota do drastycznych...

Patchet zrobił krok do przodu jakby chciał własnym ciałem powstrzymać strumień słów sierżanta. Policjant odwrócił się do niego błyskawicznie jak kobra i wysunął w jego kierunku rękę z żądłem - palcem: - Pierdol się, Patchet! - warknął. - To - nie przestając celować wskazującym palcem przekręcił dłoń i wskazał kciukiem dziewczynkę - może dokonać wybuchu o sile dowolnej bomby atomowej, a pan usiłuje ogródkami powiadomić nas o „pewnym niebezpieczeństwie” - przedrzeźnił Patcheta.

- Kotek może nas rozsmarować na suficie w każdej chwili, kiedy nie posmakują jej przyniesione lody! Wszyscy muszą to wiedzieć, żeby nie dać z siebie zrobić betonowego hamburgera. Więc niech mi pan tu nie ściemnia!

Patchet zrobił dwa gwałtowne kroki w kierunku policjanta, na pulchnej szyi nabrzmiały mu żyły.

- Trzeba było powiedzieć, że masz pietra! - wrzasnął.

- Nie mam pietra, tylko lubię swoje życie trzymać we własnych rękach, rozumiesz palancie? Nie podoba mi się myśl, że mógłbym umierać przeklinając własną głupotę, kapujesz?

Horwits głośno odchrząknął. Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać powiedział sztucznie wesołym tonem: - No, to skoro już sobie wszystko wyjaśniliśmy?..

Jego dobre chęci zawisły w powietrzu. Devey i Patchet mierzyli się jeszcze chwilę złymi spojrzeniami, potem odwrócili się do siebie plecami.

Policjant stanął frontem do izolatki z dziewczynką, Patchet chwilę normował oddech, potem powiedział niemal spokojnie, do nikogo specjalnie się nie zwracając: - Zaraz będę ją budził. Dobrze by, cholera, było na trochę zostawić ją świadomą.

- Oczywiście, powinna się trochę poruszać - wtrącił Emmerheldt wyraźnie ucieszony z zażegnania burzy.

Devey odwrócił się, wsunąwszy kciuki za pas odsunął poły marynarki, widać było kolbę rewolweru. Co za kretyński kolor wykładziny, pomyślał Horwits, jasnozielony! Dla dzieci czy jak? Sierżant wbił ciężkie spojrzenie w Patcheta i powiedział: - Jeszcze jedno, żebyśmy rzeczywiście mieli wszystko wyjaśnione. Do czego chce pan użyć naszego kotka?

- Sierżancie... - Patchet westchnął jakby chciał powiedzieć, że nie ma już zdrowia do tego upartego dzieciaka. - Nasz kraj ma wielu przyjaciół i wielu wrogów, a jeszcze więcej przyjaciół chwiejnych, co to przy najbliższej okazji - fiui - it! - machnął obrazowo dłonią naśladując odlatujący samolot.

- Ona, tak rozumiem, ma ich namawiała do trwałej miłości? - zadrwił Devey.

- Poniekąd - rzucił spokojnie Patchet nie reagując na kpinę sierżanta. - A gdyby się nie dało... Wyobrażacie sobie, jak jakiś watażka podczas odwiedzin swojego własnego poligonu wpada nagle pod czołg? Albo jak zawartość jakichś obcych sejfów z planami strategicznymi na kilka minut ląduje na blatach naszych kserokopiarek? Albo - dlaczego nie - jak zawartość ich silosów idzie w diabły pewnego pięknego dnia? Czym wtedy nam pogrożą? Albo inaczej - przypuśćmy, że uda nam się wyekstrahować czynnik X, stanowiący o jej niezwykłych umiejętnościach?! Może uda się powiększyć ilość obiektów...

Zapalił się do wykładu i perorował z coraz większą energią, w zapale zaczął pomagać sobie gestykulacją, nie zauważył, że już po pierwszym przykładzie Devey pokiwał głową: „Tak właśnie myślałem”, a po słowie

„obiekty” mruknął ironicznie: „Ach, obiekty”, ale natchniony mówca tego nie usłyszał.

- Ale to jeszcze jest w fazie... hm... odległej - wtrącił się niespodziewanie Emmerheldt.

Patchet zamarł niemal w pół słowa, niechętnie przerwał mruknąwszy „No!”. Skinął do jakiejś myśli głową, odwrócił się i poszedł do drzwi bez zamka. Otworzył je kartą kodową i pierwszy wkroczył do izolatki. Zaraz za nim wsunął się Emmerheldt i od razu skierował do pulpitów z wyjściami danych. Kapitan wszedł przed Devey’em, przesunął się w bok i wpił spojrzeniem w twarzyczkę otoczoną płataniną różnobarwnych przewodów; dziewczynka była blada, na powiekach wyraźnie rysowały się cienkie niebieskie żyłki, jedna gruba i wyraźna przecinała po skosie czoło. Z tyłu syknęły drzwi i cicho mlasnął jakiś rygiel. Patchet przeszedł przed łóżkiem na chwilę zasłaniając Horwitsowi widok.

- Jak tam, doktorze? - zapytał przystając po drugiej stronie.

Emmerheldt nie odwracając się pokiwał głową, ale odezwał dopiero po pół minucie, gdy skończył przyglądać się odczytom i porównywać je: - OK. Wszystko w normie. Weźmy pod uwagę, że dziewczynka odżywiała się przez jakiś czas dość dziwacznie, dopiero teraz wskaźniki wracają do normy. Podajemy glukozę, aminokwasy, witaminy, z medycznego punktu widzenia - jest nie najgorzej i idzie ku lepszemu.

- Dobrze. - Patchet zatarł ręce. Rozejrzał się pokoju z miną: „Uwaga! Teraz się zacznie!”. - Pan, kapitanie, proszę nieco z boku, żeby jej nie wystraszyć jak się obudzi. Kiedy jej o panu powiem proszę zacząć rozmowę. Ma pan jakieś doświadczenie z pracy z dziećmi?

Horwits skinął głową. Uświadomił sobie nagle, że przyjął postawę uczniaka - a to przysłuchuje się z przyjemnością kłótniom dorosłych, a to potulnie odpowiada na rzucane niedbale pytania. Nie zdążył się roz - złościć.

- Im prędzej pozyska pan jej zaufanie tym lepiej, chcielibyśmy zacząć

testy jak najszybciej.

Kapitan odpowiedział ponownym skinieniem głową. Nie otwierał ust bojąc się, że chryпка w głosie albo skrzeczenie zdradzi jak bardzo jest zdenerwowany. Patchet odwrócił się do Agnes, zerkając pod nogi, żeby nie zaplątać się w kabelkach podszedł bliżej i przysiadł na brzegu pościela.

- Agnes? - powiedział z mocą. Jego głos zmienił się diametralnie, nabrał głębi i wyrazu. - Agnes, słuchaj mnie i wykonuj polecenia. Policzę teraz do pięciu i gdy usłyszysz ostatnią cyfrę obudzisz się. Obudzisz się w dobrym nastroju... - zawahał się i uzupełnił w sposób zrozumiały dla trzyletniego dziecka: - Będziesz wesoła i będzie ci przyjemnie. Będziesz mogła pobawić się ze swoim kotkiem, laleczkami i wszystkimi zabawkami. Uważaj. Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć!

Agnes nagle poruszyła powiekami, zatrzepotały i podniosły się odsłaniając wyblakłe szaro - popielato - niebieskie oczy. Dziewczynka leżała chwilę nieruchomo ze spojrzeniem wycelowanym prosto przed siebie, gdzieś w spojenie szklanej ściany z sufitem, potem wolno przesunęła je w dół i w bok kierując na Patcheta. Cienkie blade wargi rozchyliły się.

Każdy człowiek pomrugałby, pomyślał Horwits. Każdy normalny człowiek po przebudze...

- Pić mi się chce - powiedziało cicho dziecko.

Emmerheldt podbiegł niosąc plastikowy kubek z musującym napojem pomarańczowej barwy. Wsunął rękę pod głowę dziecka i pomógł mu się napić. Pod koniec kubka przyłożyła do ręki lekarza swoją chudziutką dłoń. Horwits zauważył, że Emmerheldt drgnął lekko jakby uderzyła go słabym elektrycznym impulsem. Agnes wypita napój i usiadła. Niemal bez pomocy.

- No. Fajnie - wyszczerzył zęby Patchet. - Zaraz cię trochę odplączemy - obiecał i zerknął na lekarza. Dziewczynka rozejrzała się dokoła, tyle

samo uwagi poświęcając aparaturze co ludziom. Gdy Emmerheldt uwolnił jej głowę z przyssawek podniosła ręce i dorosłym gestem mocno przetarła oczy. - Przyniosę ci kotka? - zaproponował słodko Patchet.

- A gdzie mama? - zapytała Agnes.

Nie wydawało się, by usłyszała propozycję, w każdym razie nie zareagowała na nią.

- Mamusia przyjdzie później, jeśli zdąży dojechać dzisiaj.

- Dlaczego?

- Dlaczego - co? - zapytał skonsternowany Patchet.

- Dlaczego nie zdąży?

- Bo... jest daleko. Dzwoniła dzisiaj i powiedziała, że wsiada w najbliższy samolot i leci tutaj do nas.

- Mamusia nie lata samolotem, samolot może się zważyć! - kapryśnie krzyknęła mała.

- Może powiedziała, że autobusem, mogłem źle zrozumieć - zaczął się usprawiedliwiać Patchet. - Coś się zepsuło w telefo...

- Chcę do mamusi! - krzyknęła Agnes.

- Agnes, posłuchaj. Mamusia będzie później, przecież w domu też wychodziła po zakupy, prawda?

Mała przymknęła na chwilę oczy, wyglądała teraz staro, dojrzałe, trochę jak karlica. Patchet głośno przełknął ślinę, zerknął na Emmerheldta, chciał też popatrzeć na pozostałych, ale Agnes poruszyła się więc zaniechał odwracania głowy.

- No to idę po kotka - powiedział wesoło.

Poderwał się z posłania, rzucił znaczące spojrzenie Horwitsowi i zrobił dwa ostrożne kroki, zastopował go syczący głos małej: - Kłamiesz!

Horwits uświadomił sobie, że Patchet nie wie jak zareagować, poru - szył się więc w kierunku łóżka choć poczuł emanującą stamtąd złość i napięcie.

- Mamusia umarła! - krzyknęła dziewczynka znowu patrząc gdzieś

przed siebie.

- Eee... Posłuchaj, Agnes - zaczął Horwits. - Pobawimy się z kotkiem... Jak się nazywa twój kotek? A może chcesz, żeby twojemu kotkowi przynieść innego? Co? Żeby się nie nudził? Jak myślisz?

- Mamusia umarła... - powiedziała wolno i cicho mała, całkowicie ignorując Horwitsa i jego niemrawą próbę pocerowania naddartej atmosfery.

- A on kłamie! - równie wolno i cicho, beznamiętnie powiedziała przenosząc ciężkie spojrzenie na Patcheta.

Patchet odwrócił się. Podniósł rękę i powiedział drżącym głosem: - Kiedy doliczę do dziesięciu zaśnieś. Powtarzam: kiedy doliczę do...

- Kłamca! Mamusia mówi... mówi...ła, że kłamca jest najgorsy...

Poblady Patchet szarpnął węzeł krawata w dół.

- Sześć, siedem, osiem...

- Przestań! - warknęła nagle dorosłym niskim i niedobrym tonem Agnes.

- Dzie... Dzie...

Krawat Patcheta szarpnął się w bok, całe ciało grubasa drgnęło i podążyło za krawatem, runął na kolana. Horwits z przerażeniem wpatrywał się w dziewczynkę nie mogąc wykonać najmniejszego ruchu. Agnes zacisnęła wargi aż niemal zginęły z twarzy, a usta wygięły się w ostrą podkówkę. Zmrużyła oczy. Kątem oka Horwits zauważył, że Patchet miota się obok łóżka chrypiąc i machając jedną ręką, żeby nie runąć i nie zawisnąć na własnym wyprężonym w górę krawacie, a drugą usiłując go zerwać. Gdzieś w tle bezwładnie majtnął głową i zrywając z trzaskiem kilka przewodów zwałił się na plecy Emmerheldt. Horwits poczuł, że w jego stronę powiał dziwny zimny i mokry wiatr, a zaraz za nim leci kula gorąca; odruchowo poruszył ręką, chcąc zasłonić twarz przed błyskawicznie pęczniejącą, przesłaniającą wszystko chmurą żaru, ale ręka zdołała podnieść się tylko do pasa i zamarła tam. Skamieniały

zobaczył, że leci na niego wrząca parząca czerń, z której docierał cichy a jednocześnie przeraźliwy wizg: ustokrotniony dźwięk ścierających się ze sobą tysiący przesypanych piaskiem tafel szkła.

A potem z tyłu, gdzie stał sierżant, doleciał huk i zanim ucho w pełni odebrało ten dźwięk, żar i wizg i napór ustały. Górna połowa głowy Agnes eksplodowała, ciało zakołysało się, tak samo jak ciała wszystkich obecnych w pokoju. Potem rozległ się drugi huk i pocisk uderzył w szyję bezwładnie opadającego na plecy ciała małej. Devey z rewolwerem w wyciągniętych dłoniach wysunął się przed skamieniałego Horwitsa, ustawił się tak by mieć pełny widok na ciało dziewczynki i wpakował w głowę pozostałych sześć pocisków.

- Przestań, kurwa, przestań! - zaczął chrypieć Patchet, gdy ustał huk i gdy udało mu się zerwać krawat.

- Dobrze - powiedział spokojnie sierżant wytrząsając wypracowanym pewnym ruchem łuski na podłogę. - Przystaję...

Odsunął się i włożył w rewolwer nowy zestaw nabojów. Patchet dźwig - nął się podpierając łokciami i dłońmi, zakołysał się i pochylił nad łóżkiem; małe szczupłe ciało z odstrzeloną praktycznie głową leżało nieruchomo. Kilka czujników usiłowało zwrócić czyjąś uwagę na ewidentnie odbiegający od normy stan podłączonego doń pacjenta. Lekarz leżał na plecach, jego lewa ręka poruszała się kolistym ruchem, jakby chciał sobie podrapać o podłogę swędzącą lewą dłoń.

- Dlaczego zniszczyłeś... - Patchet prawie zaszlochał kierując załzawione oczy na policjanta - ...obiekt? Odpowiedz, draniu. Przynajmniej głowa...

- Mam nadzieję, że udało mi się ją zniszczyć, a zwłaszcza głowę - rzucił Devey. - Nie potrzebujemy takich potworów. Ja nie potrzebuję, jeśli chcesz żebym sprecyzował.

- Ale ona... Moc...

Devey wyjął z kieszeni drugi zapasowy bębenek i złowieszczo zważył

go w rękę. Horwits poczuł, że to jeszcze nie koniec incydentu. Sierżant podszedł do aparatury i nie zwracając uwagi na chrypienie Patcheta odsunął jakiś monitor, żeby wyszarpnąć skądś kanciasty pojemnik z ciemnobrązową cieczą. Podszedł do łóżka i chlusnął zawartością na ciało. Patchet rzucił się do niego, ale widząc skierowaną na siebie lufę znieruchomiał.

- Odpowiesz za to - załkał ochryple.

- Pierdol się.

Dokończył starannego polewania pościeli przenikliwie pachnącym płynem, rzucił na łóżko pojemnik i wyjął z kieszeni zapalniczkę. Zerknął przez ramię na podnoszącego się z podłogi Emmerheldta. Skinął z aprobatą głową.

- Ewakuacja, panowie - rzucił krzesząc ogień.

Pierwszy chwiejnie runął do drzwi Emmerheldt, pozostali trwali w bezruchu, Devey przyłożył do pościeli płomień, buchnął ochoczo.

- Ja - do widzenia! - powiedział i ruszył za lekarzem.

Horwits nie czekał na Patcheta. Nie śpieszył się, ale też nie widział powodu, by wpatrywać się w płonące łóżko i wachać smród przypalanego ciała. Zanim ruszył zerknął na zegarek; pomyślał, że wizyta trojaczków plus jazda chryslerem plus lot, czyli cały udział w operacji Greenpeace, zajęły mu pięć godzin. Boże, co za... idiotyczne... idiotyczna... Straciliśmy coś ogromnie ważnego, powinienem łkać, dlaczego oddycham wreszcie z ulgą?

Machnięciem ręki przegnał przed oczu napływający kłęb dymu. Horwits pożegnał spojrzeniem małe szczupłe ciało otulane chwiejnym postrzępionym kokonem płomieni.

Wyszedł na korytarz, gdzie sierżant Devey uwolnił właśnie z klatki pomiaukującego małego pręgowanego kotka. „Pielęgniarka” stała obok drzwi z ogromnym pistoletem w spokojnej ręce, ale jej oczy szukały nerwowo celu. Albo przełożonego. Emmerheldt obmacywał swój tył

głowy pojękując przez szeroko otwarte usta. Pierwszy gęsty kłąb dymu wypełził na korytarz, zaraz za nim wypadł Patchet z załzawionymi oczami. Widząc czekającą nań grupę wychrypiał coś, poklepał się po piersi i zrobił dwa niepewne kroki w ich kierunku. Pomajtał ręką przed sobą.

- Rzuć to... - wybełkotał. Pielęgniarka - zobaczył Horwits - zerknęła w dół, na swoją dłoń, ale Patchet sprecyzował żądanie: - Devey, kurwa! Zabiłeś obiekt, a bawisz się tym gównem?! Rzuć kota, najlepiej w ten swój ogień, mówię ci, bo ju...

Nagle oczy fajtnęły mu pod powieki, kolana załamały się, ciało okręciło i wykonawszy niemal cały obrót spoczęło z łomotem na podłodze. Głowa jakby zamierzała się poturlać, ale w końcu zamarła nieruchomo. Emmerheldt z pielęgniarką rzucili się do niego, a Devey - o dziwo - odwrócił i spokojnie wyszedł na korytarz. Jak przykuty doń jakimś rozkazem Horwits zrobił krok, drugi i ruszył za sierżantem. Ponad jego ramieniem do tyłu patrzył wczepiony w materiał marynarki kot, w jego oczach rozjarzyły się iskierki odbitego w źrenicach ognia. W milczeniu doszli do windy i wsiedli do kabiny. Piętro niżej dobiegł ich z góry głośny huk i przeciągły łoskot.

Horwits wiedział, że za nic na świecie nie popatrzy do tyłu, wpatrywał się uparcie w drzwi windy, nie odwracając głowy wykrztusił: - Atak serca?

Po chwili ciszy dobiegło z tyłu: - Tak sędzę.

Kot miauknął cicho.

- Na pewno - szybko powiedział Devey.

Po raz pierwszy jest naprawdę zdenerwowany, pomyślał Horwits. O matko! Żeby się mylił!!!

- Absolutnie pewne, że serce.

To był głos Horwitsa i mówił Horwits, i jednocześnie wydawało mu się, że nie on mówi i nie swoim głosem, i nie serce, i nie atak, ale jednak

ono, i atak... I że...

Och, na Boga, kiedyż ta winda w końcu stanie???

Jacek Dukaj

Ponieważ kot

Chłopiec bawi się z kotem. Kot jest czarny, ma ślepie jak szmaragdy. Porusza się, jakby ktoś przelewał z miejsca na miejsce płynną ciemność. Chłopiec wygląda najwyżej na sześć lat. Jest tak skupiony, że nawet się nie uśmiecha; przygryza wargę, wydyma policzek, robi dziwne miny. Kot czasami umyka przed jego rękoma, czasami nie; czasami poruszają się obydwaj, czasami żaden z nich. Miękki i pozbawiony strachu jest chód kota po wzorzystym dywanie. Kot nigdy nie spogląda w wielkie zwierciadło.

Pokój wygląda jak babciny salon. Ciepło w kolorach, ciepło w kształtach przedmiotów, pastelowa żółć rozproszonego światła o nieznanym źródle. Światło pada ze wszystkich stron, nie ma cieni. W fotelu przy drzwiach siedzi starsza kobieta, wystukuje coś na ułożonym na kolanach notebooku, co chwila zerkając ponad szklami okularów na chłopca i kota. Wyjąwszy klekot klawiszy i szelest poruszeń chłopca - w pokoju panuje cisza.

Nie ma ciszy za zwierciadłem. Zwierciadło jest jednostronne, przepuszcza światło z pokoju do oddzielonej odeń lustrzaną taflą salki obserwacyjnej. Tu panuje półmrok. Salka jest nieco mniejsza, całe jej meblowanie stanowi kilkanaście metalowych krzeseł ustawionych przodem do zwierciadła w nierównych rzędach. Dwa krzesła są zajęte.

Starszy z mężczyzn przyglądających się przez fałszywe lustro dziecku i kotu pali papierosa. Unoszący się dym jest niewidoczny, podobnie jak oczy obu mężczyzn, ukryte w ciężkich cieniach zalegających pod ich łukami brwiowymi.

Ręka z papierosem wskazuje chłopca.

- Wyjątkowo ciekawy przypadek. Masz połączenie? Zajrzyj pod sto dwadzieścia dwa bis.

Młodszy mężczyzna scrolluje ekran na swym laptopie, zimny blask bijący od seledynowego tła liter maluje mu skórę trupim odcieniem.

- Humenopatia progressiva cum neuropatia cum agnosis - czyta i podnosi głowę. - Ten dzieciak? Czy to przypadkiem nie podpada pod eutanazję?

- Jeszcze nie ma orzeczenia o trwałej niezdolności do funkcjonowania w społeczeństwie. Profesor przedłużył okres badań, ktoś się będzie na szczeniaku habilitował.

- Mhm... - młodszy, zmieszany, drapie się w kark, śledząc wzrokiem szybki przepływ akapitów przez ekran. - Po prawdzie niezbyt rozumiem. Co to właściwie znaczy? - Stuka paznokciem, przeskakując kilka okienek. - W słowniku helpu nie ma nawet takiego terminu.

- Bardzo świeża jednostka chorobowa - uśmiecha się starszy - Wyodrębniona właśnie u nas. Jeszcze jedna konsekwencja upowszechnienia wirtualizacji synchronicznej.

- On ma wszczepkę?

- Od czwartego tygodnia życia.

- I co poszło nie tak?

- Mhm - starszy strzepuje popiół z papierosa na podłogę. - Na ile się orientujesz? - pyta.

Tamten śmieje się niepewnie.

- W ogóle się nie orientuję!

- No tak. Cóż. Więc muszę od początku - starszy wzdycha i zakłada nogę na nogę. - Co właściwie robi wszczepka? Trepanują ci czachę i pchają do mózgu nanoelektronikę; ale co to robi? Podłącza się bezpośrednio do wszystkich ośrodków zmysłów. Obiegowy sąd czyni ze wszczepki coś w rodzaju neuronalnego odpowiednika kasku virtual

reality. To uproszczenie. Kask możesz zdjąć, wszczepki usunąć się nie da. Kiedy kask masz założony, zdajesz sobie z tego sprawę; natomiast kiedy wszczepka działa, a kiedy nie działa, nie sposób samodzielnie rozpoznać. A przede wszystkim: iluzja rzeczywistości wywoływana przez środki zewnętrzne, korzystające z pośrednictwa zmysłów, jest zawsze w jakiś sposób ułomna - podczas gdy kłamstwo wstrzykiwane bezpośrednio do mózgu, z pominięciem oczu, uszu, w ogóle: ciała; kłamstwo takie jest doskonałe. Wirtualizacja synchroniczna wykorzystuje właśnie ową demiurgiczną perfekcję.

Rzuca i przydeptuje peta. Chłopiec za zwierciadłem strzela palcami, usiłując zwrócić na siebie uwagę kota. Kot ziewa.

- Włączywszy kask VR wchodzisz w nie istniejący świat. Uaktywnienie wszczepki niczego takiego nie oznacza. Ona wcale nie musi wciągać cię od razu w pełną fikcję wszystkich zmysłów. Rzecz zależy od stopnia wyrafinowania programistów. Najpopularniejszy w tej klasie shareware - okresowo wizualizowany timer - nie zafałszowuje przecież rzeczywistości blokując bądź deformując prawdziwe doznania, on jedynie dodaje nowe. Widzisz wszystko to, co widziałbyś i bez wszczepki; ale nadto widzisz zegar, zegar, którego tak naprawdę nie ma. W zależności od wybranej w setupie opcji, jego algorytm może obejmować jedynie wzrok lub więcej zmysłów. Więc możesz także słyszeć jego tykanie. Możesz czuć pod palcami fakturę materiału, z jakiego go wykonano - co tylko sobie zażyczyłeś: drewno, metal, kamień, plastik. Możesz go nawet powąchać. Na ustalony znak zniknie; na ustalony znak zjawi się ponownie. Wirtualizacja synchroniczna tym się różni od totalnej, że jest subiektywnie weryfikowalna przez jej podmiot. Z tego też powodu nie dotyczą jej te prawne restrykcje, które ograniczają rozpowszechnianie i używanie programów pełnej symulacji. No weź chociażby ten timer, najprostszą wirtualizację synchroniczną z możliwych. Nawet założywszy jego realność dla wszystkich twoich

zmysłów, możesz go odróżnić od przedmiotów istniejących obiektywnie, na przykład przechodząc przez niego. Podczas wirtualizacji synchronicznej nie podlegają bowiem blokadzie i modyfikacjom programu rozkazy wydawane przez twój mózg poszczególnym mięśniom i zawiadujące w efekcie całymi kończynami i ciałem w ogóle; nic cię zatem nie powstrzyma od wejścia w przestrzeń, którą pozornie zajmuje zegar. Wirtualizacja synchroniczna nie jest również w stanie oszukać cię, tak deformując obraz świata, byś mimo wszystko sądził, iż tych kroków nie wykonałeś - ponieważ ex definitione ograniczona jest do danego obiektu, w tym przypadku zegara.

- Tak, tak... ale co to ma wspólnego z tym dzieckiem i jego chorobą?

- Aleś niecierpliwy. Wszystko po kolei - starszy mężczyzna wyjmuje i zapala kolejnego papierosa. - Tłumaczę ci, skąd u niego wszczepka. Parę lat temu, po tym orzeczeniu sądu w sprawie wyjęcia programów wirtualizacji synchronicznej spod ogólnych zakazów, pojawiła się możliwość zakładania wszczepki osobom niepełnoletnim. Aby zadośćuczynić prawu, wszczepki takie posiadały wpisaną nieusuwalną blokadę dla wszelkich wirtualizacji totalnych - bądź synchronicznych powyżej pewnego stopnia szczegółowości. Rozumiesz, kumulujący się efekt sporej ilości programów typu wirtualizacji synchronicznej jakościowo nie jest już tak bardzo różny od scenograficznie wiernej współczesności wirtualizacji totalnej, bo, chociaż wciąż wewnętrznie weryfikowalny, dla umysłu dziecka jest równie groźny. Stąd ograniczenie. Wymusiło to jednak zwiększenie pamięci operacyjnej dzieciennych wszczepek do rozmiarów de facto równych tym u wszczepki zwykłych, ponieważ program decydujący o dopuszczeniu bądź niedopuszczeniu do realizacji kolejnej wirtualizacji synchronicznej, czyli egzekutor owej blokady, zważywszy na niedookreśloność podległej jego wyborowi materii, płynność kryteriów oraz indywidualną ewolucję umysłu każdego dziecka: wymagał pełnej emulacji systemu fuzzy logic. -

Zaciąga się dymem. - I to była owa szczelina, przez którą wcisnęła się humanizacja.

- Humanizacja?

- Yhym - przytakuje starszy. - Na pewno słyszałeś, swego czasu było o niej nawet głośno. Humanizacja... Od Hume'a, był taki filozof. Czego oni dzisiaj uczą... - Kręci głową, wypuszcza dym, krzywi wargi. - Więc właśnie - podejmuje po chwili - szło o edukację. Skoro już dziecko ma założoną wszczepkę... żal marnować taki potencjał. Szło o edukację, o przyspieszenie tempa rozwoju umysłowego, podrasowanie inteligencji. Rzecz jasna, niewielu mogło sobie pozwolić, założenie normalnej wszczepki to już są potworne koszty, co dopiero modelu samoorganizującego się, na mózg niemowlęcia. U nas w kraju dotąd przeprowadzono zaledwie około sześciu tysięcy tych operacji. Chcieli mieć genialne dzieci, płacili słono, kogo było stać; cóż, ostatecznie trudno się dziwić... Początkowo pomysł ograniczał się do synchronicznych wirtualizacji o dowolnej postaci, w rodzaju wiecznie czuwającej opiekunki i zarazem nauczycielki. Ale to wykorzystywało zaledwie ułamek potencjału wszczepki. Pojawiły się więc na rynku humanizatory.

Młodszy mężczyzna zamyka i odkłada laptop. Pochyliwszy się, opiera przedramiona o krzesło stojące przed nim - Nielegalne? - pyta.

- Nie, skąd; legalne absolutnie. To nawet nie są wirtualizatory, nie w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Nie tworzą żadnych subiektywnych obiektów, nie wysyłają do mózgu fałszywych bodźców wzrokowych, słuchowych, dotykowych czy jakichkolwiek innych.

- Więc? W czym rzecz?

- Mhm, tu już wkraczamy na meandry epistemologii. - Masuje skroń w zamyśleniu. - Na czym właściwie polega proces uczenia się? Na początku człowiek nie wie nic. Brak związków pomiędzy odbieranymi doznaniem; brak wiedzy o samych doznaniach. Niemowlę zanurzone jest w jednostajnym, gęstym chaosie. Porządek wynika dopiero z kumulacji

doświadczeń. Dotyczy to także, a może przede wszystkim, relacji najbardziej fundamentalnej ze wszystkich, bo przyczynowo-skutkowej. Po czym poznajesz przyczynę danego zdarzenia?

Młodszy mężczyzna wzrusza ramionami.

- Nie wiem. Poznają. To są oczywistości. Młotek uderza w gwóźdź i gwóźdź zostaje wbity. Następuje przekazanie pędu. Najpierw jest ruch młotka, potem ruch gwoździa. Wynikanie jest oczywiste. Tu nawet nie ma się czego uczyć.

- Błąd, błąd, błąd. Niemowlę nie wie żadnej z tych rzeczy. Niemowlę nie wie nawet, że uderzenie młotka powinno spowodować ruch uderzonego przezeń przedmiotu.

Mylisz się bardzo: to nie są oczywistości. To są wielkie tajemnice, które ono musi dopiero odkryć. Cała ta twoja oczywistość znanych ci związków przyczynowo-skutkowych wynika właśnie z tego, że je znasz. Są to rzeczy znane ci tak dobrze, że nierzadko usynonimowane. Ogień: więc gorąco. Woda: więc wilgoć. A dziecko nie wie, że ogień parzy, dopóki nie wsunie doń ręki. Co więcej: musi się sparzyć kilkakrotnie, by utrwalić ów związek w stałe prawo. Metoda wnioskowania indukcyjnego, choć poniekąd intuicyjna, nie może się opierać na przykładach jednostkowych, rychło bowiem doprowadziłaby wnioskującego do kompletnego absurdu. Lecz i tej reguły trzeba się dopiero nauczyć w osobistym doświadczeniu.

Młodszy mężczyzna marszczy brwi, drapie się w roztargnieniu w podbródek.

- Nie bardzo rozumiem, do czego zmierzasz. Tabula rasa, okay; wszystkiego się uczy my, przyznaję. Ale skoro poznamy w doświadczeniu, iż takowe związki w ogóle istnieją, ich oczywistość staje się tak przemożna, że automatycznie zamyka w przyczynowo-skutkowy schemat całość postrzeganego świata. Czyż dziecko nie przestraszy się, jeśli nagle jego zabawki zaczną się poruszać same, bez przyczyny?

- Nie, nie przestraszy się, o ile już wcześniej nie raz się tak poruszały nie wyrządzając mu przy tym krzywdy. Schemat istnieje, lecz jego kształt nie jest z góry przesądzony. Gdyby tak było, gdyby był to schemat dla wszystkich wspólny, czymże właściwie miałyby się zajmować psychologia? Każdy wypracowuje własne idiosynkrazje, własne ścieżki skojarzeń.

- Tak, lecz tu chodzi o uczucia... Natomiast związki przyczynowo-skutkowe zachodzące w świecie fizycznym są dla wszystkich obserwatorów identyczne.

Starszy mężczyzna kręci głową z politowaniem.

- Nawet chyba nie zdajesz sobie sprawy, jakie głupoty wygadujesz. Po pierwsze, samo rozróżnienie jest fałszywe. Wyobraź sobie, że kobieta łamie sobie nogę. Trzykrotnie na przestrzeni kilkunastu lat. Za każdym razem dzieje się to trzynastego w piątek. Jeśli ona odtąd we wszystkie takie piątki nie będzie w ogóle wychodzić z domu, bojąc się kolejnego wypadku, to czy uznasz to za przesąd nie oparty na zaobserwowanym w ramach świata fizycznego związku przyczynowo-skutkowym?

- O jakim związku mówisz? Jakiej przyczynie i jakim skutku?

- Twierdzisz, że nie miała prawa wyciągnąć takiego wniosku?

- Z wrodzonej głupoty chyba.

Starszy prychnął zniecierpliwiony.

- Wobec tego inny przykład. Religia Azteków nakazywała im składać bogom ofiary z ludzi. Nie chodziło o jakieś pojedyncze egzekucje: szło to w dziesiątki tysięcy zabitych. Po roku 1450 Meksyk nawiedziła długotrwała susza, co spowodowało klęskę głodu. Interpretacja kataklizmu dokonana przez kapłanów była następująca: ziemia i słońce nie zostały dostatecznie zasilone drogocennym napojem. Znaczący się, krwią. Za mało ofiar. Trzeba więcej. Ale brak już jeńców. Zawarto zatem między sąsiadującymi ze sobą państwami specjalną umowę, aby móc prowadzić bez konsekwencji politycznych wojny, dla dostarczenia sobie

nawzajem odpowiedniej ilości jeńców. Nazywano je wojnami kwietnymi, guerras floridas. Tak więc w roku 1455 można już było złożyć bogom ofiary z ludzi w liczbie zadowalającej kapłanów. Natychmiast spadły deszcze. Uzyskano obfite plony. Wszystko fakty historyczne.

- Czego to niby ma dowieść?

- Wykaż różnicę pomiędzy następującymi wnioskowaniami: plony były obfite, ponieważ spadł deszcz; deszcz spadł, ponieważ złożono ofiarę.

- Bardzoś przebiegły - śmieje się cicho młodszy. - Różnica jest taka: zawsze po deszczach plony są obfite i można to zaobserwować wielokrotnie; następstwo deszczu po złożeniu ofiary z ludzi... nie.

- Ależ tak, tak... o ile składasz te ofiary wystarczająco często.

- Co nie zmienia faktu, iż ów związek jest fałszywy.

- Dla ciebie. Dla nich nie. Dlaczego miałyby być fałszywy? Potwierdza się każdorazowo. Wiedza bierze się z doświadczenia. Dziecko obserwuje i wyciąga wnioski. Za każdym razem, gdy rozlega się dzwonek u drzwi, ktoś wchodzi do mieszkania. Usłyszawszy, będzie biec sprawdzić, kto to. Za każdym razem, gdy podkradnie z szafki cukierek, tatuś wraca do domu pijany. Tych razów może być zaledwie trzy, ale dziecku to wystarczy. Potem dopiero będzie się dziwić, dlaczego on jest pijany, mimo iż akurat cukierka nie wzięło.

- Dobrze, dobrze - irytuje się młodszy - ale nadal pytam, co to wszystko ma wspólnego z nim - Wskazuje ruchem brody na chłopca za zwierciadłem.

- Otóż humanizatory - zaczyna starszy, machinalnie strzepnąwszy popiół pod krzesło - mają za zadanie wspomagać poprzez wszczepkę tworzenie się w umyśle dziecka schematów związków przyczynowo-skutkowych. Obliczono, iż potencjalnie pozwoli to na przyspieszenie jego rozwoju intelektualnego nawet ponad trzykrotne. Uświadom sobie, co właściwie oznacza takie wspomaganie. Stajesz oto w obliczu zbiegu kilku

lub kilkunastu wydarzeń, z którymi dotąd nie miałeś do czynienia. Pozbawiony humanizatora musisz sam rozciągać pomiędzy nimi nici wynikania i najczęściej zapewne rozciągniesz je błędnie, w przyszłości zatem będziesz musiał jeszcze nie raz korygować zapisane w pamięci ścieżki skojarzeń, w miarę, jak ponawiane doświadczenia będą wykazywały ich fałszywość. Gdy bowiem stoisz wobec alternatywy połączenia ze sobą w pary przyczyna-skutek zdarzeń A i B, A i C albo A i D, a z każdym z nich, lub z takim akurat ich zestawieniem, stykasz się właśnie po raz pierwszy, wybór jest w mniejszym lub większym stopniu przypadkowy. Dopiero zebrawszy pewne doświadczenie, bo pamiętając, iż korelacja czasowo-przestrzenna zdarzeń A i C wystąpiła razy, dajmy na to, dziesięć, A i B, raz, a A i D, dwa; dopiero wtedy uznajesz za żelazne, naturalne prawo związek przyczyny A ze skutkiem C. Pamiętaj przy tym, iż nie czynisz tego świadomie. Po prostu: tak to ci się w głowie układa. Nie analizujesz tego. Na tym etapie rozwoju nie jesteś zresztą w stanie przeprowadzić żadnej autoanalizy.

- A humanizatory, co?

- Humanizatory oszczędzają ci tej nauki, powtarzanych doświadczeń, nakładających się na siebie wspomnień. Albowiem normalnie schemat powstaje dokładnie w ten sposób: z nałożenia na siebie wystarczająco dużej ilości identycznych lub podobnych wspomnień. Pozwól mi na następującą obrazową metaforę: każde doświadczenie korelacji zdarzeń poszerza ci, pogłębia, umacnia połączenie pomiędzy neuronami kodującymi wspomnienia tych zdarzeń. Co oczywiście nie jest dosłowną prawdą, jedynie efektownym uproszczeniem, lecz dobrze oddaje sens zjawiska. Liczba takich doświadczonych korelacji pomnożonych przez siłę poszczególnych doświadczeń określa moc połączenia. W przytoczonych wyżej przykładach wynikania wrażenia wilgoci z przedmiotu woda i wrażenia ciepła z przedmiotu ogień międzyneuralne połączenie osiąga w końcu taką grubość, że

pomyślenie o przyczynie bez automatycznej myśli o skutku jest już niemożliwe. To wszelako są przykłady skrajne. Grubość owych połączeń jest bardzo różna. Sieć naszych skojarzeń składa się w większości z nici wiotkich niczym pajęczce. Nimi jednak humanizator się nie zajmuje, ich wytworzenie pozostawia przypadkowi, inaczej uniemożliwiłoby powstanie u dziecka indywidualnej osobowości, narzucając uniwersalny dla wszystkich algorytm postrzegania i rozumowania, świadomego i podświadomego. Funkcją humanizatora jest jedynie... czy też aż... jednorazowe wzmocnienie do optimum skojarzeniowych połączeń pomiędzy właśnie zaobserwowanymi przez dziecko zdarzeniami należącymi do klasy powszechnych. Pozwala to takiemu dziecku między innymi nauczyć się mówić w kilka dni.

- Żartujesz! - prychnął młodszy mężczyzna, od jakiegoś już czasu przysłuchujący się wywodom starszego z wyrazem głębokiego powątpiewania na pokrytej niesymetryczną mozaiką cieni twarzy.

- Zastanów się przez chwilę nad tym, co ci powiedziałem. Czymże innym jest umiejętność mowy, znajomość języka, jeśli nie utrwalonym na stałe rozległym schematem połączeń typu dźwięk-desygnat? - Starszy przygląda się z roztargnieniem czerwonemu punktowi żaru na końcu papierosa. - Lecz ucząc się mówić bez pomocy humanizatora, potrzebujesz ogromnej liczby powtórzeń obserwacji owych korelacji, zanim wryją ci się one w umysł na tyle głęboko, by samo spojrzenie na krzesło wywoływało wspomnienie zbitki dźwięków stanowiących słowo „krzesło”. Co dopiero, gdy idzie o denotacje abstraktów w stylu czynności czy suchych predykatów jak przymiotniki odczasownikowe. Ze nie wspomnę o operatorach w rodzaju partykuł i przyimków albo wręcz strukturach syntaktycznych. Dochodzi się do tego powoli, mozolnie, etapami. - Tu unosi znacząco rękę z papierosem. - Lecz nie z humanizatorem. Nie z humanizatorem. Humanizator skleja ci na mur każde odpowiednie skojarzenie, gdy tylko raz się ono u ciebie pojawi. Nie

potrzebujesz wielkiej ilości powtórzeń doświadczeń, by prawem statystyki rozróżniać koherencje autentyczne od pozornych, bo przypadkowych. Humenizator nada pojedynczemu wrażeniu wagę stu. Wryje ci się ono w umysł na zawsze. Pisać nauczysz się w kilka godzin. Raz przeczytawszy poprawnie wydrukowany wyraz, nigdy już nie popełnisz w nim błędu ortograficznego. Zważ, że dotyczy to nie tylko umiejętności w zakresie myślenia abstrakcyjnego. Tak samo szybko przyswoisz sobie zasady gry na dowolnym instrumencie muzycznym, pisania na komputerze, prowadzenia samochodu, tańca, i tak dalej, i tak dalej.

- Kluczem do problemu, przypuszczam - mruczy młodszy z interlokutorów - jest tu owo dokonywane przez program rozróżnienie pomiędzy skojarzeniami odpowiednimi a nieodpowiednimi.

- Oczywiście. Humenizator musi czynić to w czasie rzeczywistym, pomiędzy momentem dotarcia bodźców do receptorów a zapadnięciem interpretacji doświadczenia w umysł. To stąd te wysokie wymagania sprzętowe.

- A co nawaliło w jego przypadku? - młodszy patrzy na chłopca.

- Jak już wspomniałem - kontynuuje starszy - skonstruowanie sztywnego algorytmu wypełniającego te funkcje okazało się niemożliwe i musiano się uciec do potwornie pamięciochłonnych emulacji sieci komórkowych, działających w oparciu o doktrynę fuzzy logic. Tu nawet błąd jako taki rzadko jest błędem w stu procentach; nie uświadczysz twardych tak i nie, pytania i odpowiedzi płyną swobodnie pomiędzy biegunami ekstremów klasycznych systemów zerojedynkowych. Program dojrzewa w miarę korzystania z niego, dostosowuje się do warunków, samodoskonali. Teorytecznie dla humenizatorów powinno być to środowisko wręcz idealne. Co nie znaczy, że zaniedbano opracowania stosownych zabezpieczeń. Firma software'owa, która wypuściła te konkretne humenizatory, przyłożyła dużą wagę do

wpisania w inicjator programu maksymalnie sztywnych kryteriów podejmowania decyzji w zakresie wzmacniania poszczególnych międzyneuronalnych połączeń skojarzeniowych. Co bynajmniej nie uchroniło jej od procesu cywilnego o odszkodowanie dla rodziców; suma wprost astronomiczna, możesz sobie wyobrazić.

- Splajtują.

- Już splajtowali. Teraz prawnicy powodów żrą się między sobą o udziały w masie upadłościowej firmy. Młodszy mężczyzna unosi brwi.

- Było więcej podobnych przypadków?

- Pięć. Na trzy tysiące dwieście kilkadziesiąt zarejestrowanych kopii humanizatorów jej produkcji.

- Dziwne. Czemu jedne zwichrowały, a inne nie? Zawirusiło je, czy co? Mhm?

- Nie, nie. Widzisz, to jest właśnie wada, czy też zaleta, zależy, jak patrzeć, programów pracujących podług prawideł logiki rozmytej: dane wejściowe nie określają danych wyjściowych. Jest w tym coś z teorii chaosu, pewien dogmatyczny aproporcjonalizm reakcji. Chociaż każda kopia początkowo była identyczna z pierwowzorem, funkcjonując w odmiennych warunkach z czasem coraz bardziej odbiegała kształtem od pozostałych. Tak też przecież zostało to zaplanowane - każde z dzieci o wszczepce z zainstalowanym humanizatorem żyje, rozwija się i uczy w innych warunkach, inaczej się zachowuje postawione w tych samych sytuacjach, chociażby z racji różnic w genotypie czy zewnętrznych warunków środowiskowych. Jednak te pięć humanizatorów... Z nimi stało się coś dziwnego.

- Może nareszcie się dowiem - wzdycha młodszy. - Co takiego mianowicie?

- Wyewoluowały daleko poza pierwotnie założone granice doboru wzmacnianych skojarzeń przyczynowo-skutkowych. - Starszy mężczyzna wypluwa peta, przygładza włosy. - Przekopowano je potem z powrotem

ze wszczepek do symulatorów systemu, aby zbadać powód zaszłych dewiacji.

- No i jaki on?

Starszy krzywi się.

- W każdym razie niejasny. Na testach owe humanizatory twardo utrzymują, że w istocie nie popełniły żadnego błędu. Linia obrony, jaką informatycy wyinterpretowali post factum ze wstecznej analizy reakcji programów, przedstawia się mniej więcej tak: obiektywność niektórych związków przyczynowo-skutkowych obserwowanych w świecie fizycznym, założona wyjściowo humanizatorom jako niewzruszalny dogmat, prowadzi według nich do sprzeczności w dalszych konstrukcjach owych zależności w umyśle dziecka. Rozumiesz: że niby humanizatory zostały zmuszone do redefinicji kryteriów obiektywności tych związków. Odkryły sprzeczności w obrazie świata tam, gdzie my żadnych sprzeczności nie dostrzegamy. No ale to przecież maszyny; o tym zapominać nie należy. Ogrom ich mocy obliczeniowej stanowi w tym wypadku jedynie wadę, bo pozwala na wyprowadzenie wniosków idących tak daleko, jak nie poszedłby w swym rozumowaniu żaden człowiek. Na każdym systemie ciąży wszak od zarania przekleństwo Góbla. Humanizatory dostrzegły sprzeczności grożące im w nieokreślenie odległej perspektywie, podczas budowy w umyśle dziecka powiązań przyczynowo-skutkowych. Poczęły się zatem cofać po szkieletach swych wnioskowań, aby znaleźć i usunąć błąd; tym się wszak różni system fuzzy logic od binarnego, że niekoniecznie musi od razu pluć komunikatami o błędach i zawieszać się w połowie wykonywanych operacji... on może, a nawet powinien, samodzielnie wyewoluować do postaci eliminującej zaszły problem. Więc humanizatory ewoluowały. Nie było alarmu, ponieważ ta zmiana zachodziła płynnie, równoległe z innymi zmianami, doprofilowującymi dany program do danego dziecka - widzisz, założono przecież konieczność jakiejś wewnętrznej

reorganizacji. Nikomu jednak nie przyszło do głowy, że humanizatory pójdą w tym procesie aż tak daleko, że odważą się zakwestionować prawa fundamentalne.

- Zapewne utrzymują, że prawa fundamentalne to one dopiero odkryły i że to programiści wcisnęli im fałsz, co? Jeśli dobrze cię zrozumiałem.

- Tak to wygląda w naszej interpretacji - przytakuje starszy mężczyzna. - Idąc wstecz po implikacjach zadanych aksjomatów, dotarli do źródła sprzeczności, a odnalazwszy je, zaczęły szukać najodpowiedniejszej konfiguracji pozostałych parametrów. Cztery nie zanotowały na tym polu żadnych sukcesów, zatrzymując się na etapie zakwestionowania dotychczasowych praw. Natomiast humanizator tego tu dzieciaka - wskazuje za szybę - samodzielnie skonstruował alternatywny system postrzegania i umysłowej organizacji postrzeganej rzeczywistości. Twierdzi, ten humanizator, ma się rozumieć, iż system ów jest wolny od wszystkich wad swego poprzednika. Zupełnie się program popieprzył: spłodził absurd do kwadratu i usiłuje argumentować za nim zdrowym rozsądkiem.

- To znaczy... Co konkretnie on zrobił temu dziecku?

- Widzisz kota? - Starszy mężczyzna uśmiecha się pod nosem.

- Widzę.

- No więc to mu zrobił.

- Co?

- Rodzice trzymali w domu tego zwierzaka, mały dorastał wraz z kotem. Weź pod uwagę, że mowa tu o dorastaniu, w każdym razie jeśli chodzi o intelekt, znacznie szybszym od normalnego. Intelktualnie, bo nie emocjonalnie, ani biologicznie, ten chłopak ma co najmniej dwakroć więcej lat, niż wygląda: przecież tak właśnie, niezależnie od wszelkich aberracji ideologicznych, działa humanizator. Przez cały czas rozwoju dziecka, stymulowanego przez zarządzaną owym zwichniętym

programem wszczepkę, kot był wraz z nim. Wszystkie doznania, zanim jeszcze zapadły malcowi w umysł, przechodziły przez wszczepkę, i humanizator, dokonując ich analizy w czasie rzeczywistym, decydował, czy je wzmacniać i w jakim stopniu, aby tym sposobem, jak ci to już tłumaczyłem, jednym bodźcem tworzyć trwałe łącza skojarzeniowe w mózgu chłopca, zamiast skazywać go na powolną, obarczoną nieusuwalnym marginesem błędu, kumulację podobnych bądź identycznych doświadczeń. I o ile humanizator działa poprawnie, efekty są zaiste imponujące, bez wątpienia warte wydanych pieniędzy. W tym przypadku wszakże poprawnie nie działał i skutek jest opłakany. Podpiął chłopakowi kota chyba w co drugi wielkoskalowy związek przyczynowo-skutkowy.

- Jako co?

- Jako przyczynę.

- Mhm... - Młodszy mężczyzna spogląda to na kota, to na chłopca, marszczy brwi, masuje nadgarstek; najwyraźniej próbuje sobie to wszystko jakoś ułożyć w głowie. - Ale co to oznacza w praktyce?

- Nie znam szczegółów, więc mogę się mylić co do konkretnych przykładów, lecz mnie tłumaczono rzecz tak: cokolwiek byś teraz temu dzieciakowi nie mówił, jakich logicznych argumentów nie wytaczał, jakich danych empirycznych nie przedstawiał, nie jesteś w stanie go przekonać, że... bo ja wiem... deszcz pada z innego powodu, niż wielogodzinne wylegiwanie się kota na słońcu dzień wcześniej.

- Żartujesz!

- Akurat! On cały świat ma tak zorientowany: podług kotów.

- Ale przecież to czysty idiotyzm!

- Dla nas. Dla niego oczywistość.

- Jaka znowu oczywistość! - Młodszy z rozmówców macha we wzburzeniu ręką. - Bezsens i głupota! W ten sposób w ogóle nie można rozumować! Dzieciak sam powinien się połapać w sprzecznościach!

- Rzecz w tym, że właśnie żadnych sprzeczności tam nie ma, humanizator już tego dopilnował. A chociażby były. Wyjaśniałem ci wszak, jaką metodą dochodzimy do rozpoznawania w zachodzących w otaczającym nas świecie zdarzeniach przyczyny i skutku: prawem siły wspomnień o ich przeszłych koincydencjach.

- Co z tego, to i tak...

- Z równymi szansami na powodzenie - przerywa mu starszy - mógłbym ci teraz zacząć perswadować, że choroby powodują nie wirusy, a niewidzialne wróżki. Uwierzyłybyś mi? Choćbym ci przedstawił niezliczoną ilość dowolnie przekonujących dowodów właśnie przeczących twemu dotychczasowemu doświadczeniu, a przemawiających za hipotezą wróżek - uwierzyłybyś mi? Zresztą z tobą i tak miałbym jednak większe szanse, bo ty nie dorastałeś ze wszczepką z humanizatorem we łbie i nie od razu doszedłeś do przekonania o przyczynowo-skutkowym związku wirusów i chorób, zapewne miewałeś jakieś błędne, poboczne skojarzenia. On - wskazuje chłopca - miał tylko takie, jakie chciał u niego humanizator. Nie przekonasz go.

Chwila milczenia.

- Może lobotomia... - podsuwa bez przekonania młodszy mężczyzna.

Starszy kręci głową.

- Nic z tego. Musiałbyś mu cały mózg amputować. Tu nie chodzi o pamięć: tu chodzi o całość połączeń międzyneuralnych powstałych po uruchomieniu humanizatora.

- Więc jednak trwałe nieprzystosowanie.

- Mówiłem ci: eutanazja.

- Czemu mu nie zabrali tego kota?

- Nie wiem. A jakie to teraz ma znaczenie? Niech się bawi.

Ponownie zapada milczenie; siedzą i patrzą, ciemne myśli w ich źrenicach. Cisza panuje już po obu stronach zwierciadła. Chłopiec bawi się z kotem. Kot jest czarny, ma ślepie jak szmaragdy. Porusza się, jakby

ktoś przelewał z miejsca na miejsce płynną ciemność. Ale dla chłopca to nie jest zabawa. Inne jego motywy, inne znaczenie premedytowanych czynności. On wie - wie, czego mu nie powiedzieli, co mówić mu zabronili. Wygląda jak dziecko, lecz humanizator zjadł mu dzieciństwo, odkrywając w zamian prawdę. Gdy tylko rodzice nie zabraniali, a coraz rzadziej zabraniali; gdy nie pilnowała guwernantka, a coraz mniej uwagi zwracała - bawił się z kotem. To nigdy nie były zabawy. Rozumiał - rozumiał - przyczynę. Koty. To są operatory świata, węzły kauzalne. Czy fakt nieznamości przez ogół roli muchy tse-tse w roznoszeniu choroby, usunięcie owada z łańcucha przyczynowo-skutkowego w Tajemnicę - czy czyni to tym samym muchę stworzeniem magicznym? W żadnym razie. Ale czyż sama wiedza o prawdziwej naturze rzeczy nie daje wiedzącemu przewagi nad otaczającym go tłumem ignorantów? Wszystko jest kwestią grubości kauzalnego węzła i subtelności, z jaką przypadek zamaskował sprzeczności w najsilniej narzucającym się obrazie świata. Bawił się z kotem, gdy tylko mógł. To nigdy nie były zabawy.

Kot jest kapryśny i nie chce uczynić, czego uczynienie stara się na nim wymusić chłopiec. Nie ma tu zresztą mowy o świadomym sprzeciwie, bo kot nie jest świadomy prawdziwej wagi swych ziewnięć, skoków i mrugnięć bardziej, aniżeli pistoletowa kula - konsekwencji uderzenia w ludzką czaszkę. Kaprys leży w jego naturze jak obłość i ciężar w naturze kuli - jak nagłość burz, zmienność temperatury, bezlitosność kataklizmów w naturze ziemskiej pogody.

Mija czas, a on bawi się z kotem. Algorytm jest bardzo skomplikowany, procedura wieloetapowa, oczekiwane przez chłopca skutki - trudne do uzyskania.

W końcu jednak - na odpowiednią kombinację delikatnych stąpień kocich łap nicuje się czas. Chłopiec bierze kota na rękę i głaszcze. Obracają się w piątym wymiarze ruchem smolistoczarnej głowy kota.

Chłopiec daje krok w nie istniejącą stronę, wychodząc trzysta mil poza klinikę. Czas nicuje się ponownie, bo kot zeskoczył z ramion chłopca na ziemię. Świat się kręci i kręci i kręci. Ponieważ kot.

Tarnów, styczeń 1997

Włodzimierz Kalicki

Kot typu Stealth

Tygryswi, Gambrinusowi i Mice - kotom z klasą

- Samochód zostaje na wewnętrznym parkingu. Proszę za mną. Szeregowiec zaczekał, aż senatorowie wysiądą z limuzyny i pierwszy ruszył w stronę wartowni. Szli za nim w milczeniu, rozsypani w maleńką tyralierę. Wszyscy patrzyli na jego zgrabną sylwetkę. Maszerował przepisowo, ale jednak zupełnie inaczej niż zupacy z West Point. Nie walił podkutymi buciorami o żwir, nie machał rękami jak puszczone samopas holenderski wiatrak. Szczupłe plecy jakby gięły się w rozgrzanym do obłądu powietrzu, miękki, delikatny krok ledwo było słychać.

- Uuuuch, jak sobie zgrabnie idzie - jęknął demokrata z Nowego Jorku, Joe Slovik, senator.

- Panie senatorze, jesteście tu służbowo - niemal natychmiast zadudnił bas republikańskiego senatora Jonathana L. Corvusa z Mississipi.

- Chciał pan coś przez to powiedzieć, panie senatorze? - rozmarzenie zniknęło ze szczupłej, ptasiej twarzy demokraty. Był już zebrany w sobie, czujny, spięty. Jak zawsze, gdy spodziewał się ataku na prowadzoną przez siebie od lat akcję obrony gejów i lesbijek w armii. Ale senator Corvus tylko sapnął i odrzucił z ociekającego potem czoła imponujący pukiel kruczoczarnych włosów. Przejście czterdziestu metrów z klimatyzowanej limuzyny do wartowni było w tym upale prawdziwą katorgą. Dranie, umyślnie kazali zaparkować samochód na końcu

parkingu, chcą nas tym upałem zmiękczyć, przemknęło przez myśl republikanina z Missisipi, ale już jego rozpalone czoło skrył cień wartowni, a spoconą rękę ścisnęła chłodna, miękka dłoń witającego go oficera.

- Pułkownik Francis Cougar, jestem zastępcą szefa do spraw kontaktów ze światem zewnętrznym i członkiem rady naukowej instytutu. Proszę się i wypełnić formularze, za chwilę sierżant przyniesie państwu identyfikatory.

Pułkownik stał z założonymi rękoma, a czwórka kongresmenów przy eleganckim szklanym stole pracownicy wgryzała się w gąszcz rubryczek. Przez dłuższą chwilę słychać było tylko skrzypienie stalówek. Ten dźwięk, charakterystyczny dla piór, których cena bywa porównywalna z ceną średniej wielkości sondy kosmicznej, ten upał... Kongresmena Josepha Adlera z Teksasu przeszył nagły dreszcz. Na kręgosłupie załaskotał strumyczek potu, pióro paliło mdlejące palce. Znowu wróciło przekłete wspomnienie ze szkoły w Austin: klasówki, testy, wieczny upał, wieczne kłopoty z nauką, bicie linijką po rękach przez dyrektora i w końcu te przekłete koty. Adler skurczył się w sobie, ścisnął w dłoniach skronie i starał się przypomnieć, co w takich przypadkach radził mu psychoanalityk, ale w jego senatorskiej głowie chlupotała tylko pustka. Ocknął się, gdy ujrzał, jak rubryka w jego formularzu sama pokrywa się pismem. Wytrzeszczył oczy tylko po to, by przeczytać: „Jaki silny i gibki, jaka śliczna pupa, jakie cudne, dzikie oczy”. Nie, nie przerażało go, że wypisuje takie obrzydliwości jak pierwszy lepszy gej. Przerażało go raczej to, że obrzydliwości wypisywał dłonią ozdobioną długimi ciemnozielonymi paznokciami. Poczuł nagły ból w okolicy serca.

- Joseph, nie śpij, skończ wreszcie wypełnianie tej cholerniej ankiety - zahuczał mu nad prawym uchem znajomy bas Nata Corvusa.

Senator Adler drgnął i natychmiast zastygł ze wstydu. Prawy łokieć senator z ramienia Partii Demokratycznej, Rebeki Vogel z Arkansas,

wpijał mu się w mostek, a jej zdobna zielonymi paznokciami dłoń wypisywała właśnie w rubryce „Odznaczenia wojenne” słowa: „cudny purpurowy jęczyczek”. Najwyraźniej sąsiadka nie uznawała pisania linijka po linijce. Zjechała piórem ze swojego formularza, chwilę poskrobała po szklanym blacie i dalej pisała już po ankiecie kongresmena Adlera.

Chrząknął, ale wychylona w jego stronę pani senator nadal gryzmoliła coś na leżącej przed nim kartce i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w pułkownika Cougara. Nie ulegało wątpliwości, że pułkownik wpadł w oko demokratce z Arkansas. Pani Vogel wyspecjalizowała się w kwestiach ochrony natury, poza Kongresem zaś - w wyszukiwaniu i otaczaniu opieką rzadkich, dzikich zwierząt. Chyba potrafiła także wyszukać i otoczyć opieką rzadkiego, dzikiego mężczyznę.

Senator Adler dał swej koleżance z kongresowych ław otrzeźwiającego kuksańca i zabrał się za ankietę. W rubryce „Wykształcenie” skreślił słowa: „śliczna pupa” i wpisał: „dyplom MIT”, a „cudny purpurowy jęczyczek” sprytnie przerobił na „Medal Purpurowego Serca”. Właśnie ocierał z satysfakcją pot z czoła, gdy sierżant wyrwał mu spod ręki ankietę i wręczył plastikowy identyfikator: „Instytut Broni Futerkowych. Kongresmen Joseph Adler. Gość.”

- Zapraszam do szefa - uśmiechnął się pułkownik Cougar. Jego spokojne złotozielone oczy już nie miały kształtu migdałów, przypominały raczej dwie morskie fale. Senator Vogel szła tuż przy pułkowniku, gapiała się na niego jak sroka w gnat.

- Cudownie pan pachnie. Co to jest, pułkowniku?
- Coś w rodzaju piżma, pani senator.
- Od Kenzo?
- Raczej nie.
- Lagerfeld?
- Nie sądzę.
- Miyake!

- Niekoniecznie, to zapach zdecydowanie bardziej naturalny.

Trzej senatorowie szli o krok za Cougarem i Vogel.

Tych trzech mężczyzn dzieliło prawie wszystko, teraz jednak łączyło uczucie niesmaku z powodu rozgrywającego się przed nimi spektaklu. Zachowuje się jak kotka w marcu, pomyślał z niechęcią o swej partyjnej koleżance Joe Slovik. Korytarz zdawał się nie mieć końca i końca nie miało też przymilne szczebiotanie Rebeki Vogel. Slovik z ulgą zatrzymał się przed solidnymi drzwiami z ciemnego drewna. Pułkownik Cougar z szacunkiem zapukał tuż pod dużą mosiężną tabliczką z wygrawerowanym napisem: „Gen. dr Leo N. Kater. Szef”. Odpowiedziała cisza. Pułkownik znieruchomiał. Chwilę nasłuchiwał, po czym znów zapukał. I znów odpowiedziała mu cisza. Po trzecim pukaniu nic się nie zmieniło, ale tym razem cisza najwyraźniej ośmieliła pułkownika. Otworzył drzwi i wprowadził gości.

Generał Kater był potężnym, wzbudzającym szacunek mężczyzną o zadziwiająco młodzieńczej twarzy. Okrągłą głowę okalały krótko ostrzyżone, zaczesane na jeża włosy. Senator Slovik od razu zauważył, że włosy generała ani myślą wypadać, co usposobiło go do wojskowego niechętnie. On sam sporą łysinę maskować musiał nylonowymi wszczepkami. Prawdziwą ozdobą twarzy generała były wąsy. Tak jasne, że właściwie białe, proste, rozłożyste, przywodziły na myśl raczej dziewiętnastowiecznego brytyjskiego marszałka polnego niż współczesnego amerykańskiego trzygwiazdkowego generała. Ale w gruncie rzeczy, pasowały do marsowej sylwetki szefa, do staroświeckiego, orzechowego biurka, georgiańskiej biblioteki i stojącego obok olbrzymiego akwarium. O dziwo, w gabinecie panował nie mniejszy upał niż na zewnątrz, ale generał trzymał formę. Na jego szerokim czole nie zalśniła ani jedna kropelka potu. Miękkim, uprzejmym ruchem wskazał gościom fotele i niedostrzegalnie, właściwie tylko zmarszczeniem nosa, odprawił pułkownika. Joseph Adler kątem oka

zauważył, że Rebeka Vogel od razu wpadła z tego powodu w zły humor.

- Witam w Instytucie Broni Futerkowych - zaczął generał. - Chciałbym sprawę postawić jasno, bo jasne stawianie spraw oszczędza czasu i nieporozumień. To jest utajniony wojskowy instytut badawczy. Od osiemnastu lat nie było tu żadnych cywilów, żadnych inspekcji, nawet wojskowych. Pani i panowie jesteście cywilami. Zmiany w procedurze zatwierdzania i kontroli budżetu armii spowodowały, że jako reprezentanci Kongresu musicie zatwierdzać budżety poszczególnych instytutów. Jestem wojskowym i nie podoba mi się to. Prowadzimy tu badania mające podstawowe znaczenie dla obronności kraju i nie zamierzam zdradzać tajemnic wojskowych przed nie upoważnionymi. Proponuję państwu lunch, potem pułkownik Cougar zapozna was z ogólnymi podstawami filozoficznymi naszych prac badawczych. Przy kawie będą państwo mogli zatwierdzić nasz preliminarz budżetowy.

Gdzieś daleko sennie bzyczała mucha, mruczała pompka w akwarium. Stężenie dwutlenku węgla we krwi kongresmena Slovika rosło nieustępliwie, ale demokratyczny reprezentant Nowego Jorku nie był w stanie wciągnąć do płuc nawet krztyny powietrza. Oburzenie na niebывałą bezczelność generała sparaliżowało go jak haust kurary. Jego wytrzeszczone w bezbrzeżnym zadziwieniu oczy dostrzegły, jak po prawej stronie twarz Josepha Adlera przybiera niedobry, buraczkowy odcień. Po lewej Rebeka Vogel w absolutnej ciszy kurczowo rzucała głową w obie strony. Tylko po starym wydze, Nacie Corvusie, nie było nic znac. Gdy zagęszczona upałem cisza stała się nie do zniesienia, Corvus odezwał się beznamiętnie: - Nie sądzę, byśmy chcieli zapoznać się z prolegomenami do filozofii badań w kierowanym przez pana instytucie, panie generale. Nie sądzę, byśmy mieli okazję zjeść tu lunch. Nie sądzę, byśmy mieli zatwierdzić instytutowi projekt budżetu. Szczerze mówiąc, tego ostatniego jestem zupełnie pewien. Cóż, na nas chyba już czas. - Wstał i skierował się do drzwi.

Głos generała Katera był łagodny i melodyjny: - Nie zrozumiał mnie pan. Chodzi mi tylko o dobro badań Tak samo jak i wam. Bez urazy, ale nie możemy zdradzać szczegółów badań. To najściślejsza tajemnica najwyższej wagi.

- Nie możemy płacić pieniędzmi podatników w ciemno, generale. Nie kupujemy kotów w worku - odparł Corvus.

Kater sapnął gniewnie i wstał. Ryby w akwarium za fotelem gwałtownie przypadły do dna i znieruchomiały. Mucha ucichła; w tle pytania generała było już tylko mruczenie pompki: - Co chcecie wiedzieć, by podpisać budżet?

- Wszystko, panie generale. Jeszcze przed przyjazdem uzgodniliśmy, że nie zatwierdzimy budżetu instytutu w całości, ale wyłącznie budżety poszczególnych projektów badawczych.

- Pan żartuje, senatorze.

- Nie, panie generale, ja daję pieniądze, a pieniądze to sprawa jak najbardziej serio.

Rebeka Vogel patrzyła w oczy Katera. Ciemne migdały przeistoczyły się w dwie fale. Ale to nie były śliczne zielone fale oczu uśmiechniętego pułkownika Cougara, to były czarne fale oceanu podczas jesiennego sztormu.

- Dobrze, poproszę do gabinetu moją radę naukową - mruknął Kater pojednawczo. - Proszę tylko o jedno: absolutna tajemnica, żadnych fotografii, żadnych nagrań, żadnych notatek. Po podpisaniu raportu końcowego zapominacie państwo, gdzie byliście i coście widzieli.

- Panie generale, przysięgę zachowania tajemnicy złożyliśmy na początku kadencji w Komisji Obrony.

Kater zachowywał się tak, jakby uwaga Jonathana Corvusa do niego nie dotarła: - Więc jak, zgoda na moje warunki?

- Dobrze - odparł Corvus.

- Pytam panią Vogel, czy się zgadza.

Rebeka Vogel, oburzona tym podręcznikowym wręcz przykładem męskiego szowinizmu, rzuciła okiem na swych kolegów, ale nie znajdując w ich oczach poparcia, skinęła tylko głową.

- W takim razie proszę panią o wyłączenie magnetofonu.

- Słucham?

- Proszę wyłączyć magnetofon.

- No nie, posuwa się pan za daleko!

- Proszę tylko o dotrzymanie obietnicy i wyłączenie magnetofonu, który przykleiła pani pod lewą piersią.

Pompka w akwariu zakrztusiła się i ucichła. Senator Jonathan Corvus z zaskoczeniem odkrył, że senator Rebeka Vogel ma piersi i wpatrywał się w lewą z nich z niesłychanym napięciem. Pomiedzy nastroszonymi brwiami senatora nabrzmiewała sina żyła. Kongresmen Adler, siedzący po lewej ręce Rebelii Vogel odruchowo się odsunął. Niepotrzebnie. Biust pani senator ani nie syczał, ani nie rozdymał się, ani nie wykonywał innych niepokojących ruchów. Nieporuszony pozostał tylko kongresmen Joe Slovik. Damskie piersi nie interesowały go. Tym bardziej piersi podtrzymywane przez magnetofon.

Rebeka Vogel nerwowo poprawiła ekologiczny naszyjnik z szyszek i kamieni.

- Bardzo dziękuję. I proszę więcej go nie włączać - głos generała Katera nie zdradzał żadnych emocji.

- Skąd pan wiedział? - wyszeptała pani senator.

- Słyszałem, jak pracuje.

Okrągłe ze zdumienia oczy pani Vogel wystarczyły za wszelki komentarz. Szef Instytutu był nieporuszony.

- Naprawdę. Mam niezły słuch. Sądząc po szeleście, na przykład, nosi pani jedwabną bieliznę.

- Ha, ha, wspaniałe, to naprawdę wspaniałe. Z takim słuchem powinien być pan oddelegowany do nasłuchiwania, co w trawie piszczy!

- Nat Corvus zaśmiał się rubasznie, ale nikt mu nie zawtórował. Jego żarcik wcale nie rozładował atmosfery. Było gorąco, duszno i niezręcznie. Generał dziwacznie zasyczał, ale zaraz opanował się i wygłosił beznadziejnie sztopowy spicz o tym, że najtrudniejszy jest zawsze początek, przełamanie barier i ustalenie reguł gry, sama zaś praca zespołowa jest już prawdziwą przyjemnością. Gdy tylko niebacznie spytał, czy ktoś ma jeszcze jakieś pytania, nabuzowana i dość rozdygotana pani Vogel rzuciła się na niego niczym mewa na rannego rozbitka.

- Co to znaczy Instytut Broni Futerkowych? Dręczycie tu zwierzęta?

Boże, tylko nie to, jęknął w myślach Jonathan Corvus. Pani Vogel znana była z bezkompromisowych wystąpień w senackiej komisji ds. Zapobiegania Okrucieństwu Wobec Zwierząt. Wiosną złożyła projekt ustawy zobowiązującej rzeźników do uboju bydła pod pełną narkozą w takt odprężającej muzyki. W maju zgłosiła autopoprawkę: rzeźnie powinny być pomalowane na jasnozielony, relaksujący kolor wiosennej łąki.

- Po prostu badamy możliwości wykorzystania zwierząt futerkowych w naszym systemie obronnym. Sądziłem, że nazwa instytutu mówi jasno, o co chodzi.

Głos generała brzmiał znów twardo i kongresmen Joseph Adler poruszył się niespokojnie. Bardzo zależało mu na powodzeniu tej inspekcji. Gdyby w IBF wszystko poszło bez zgrzytów, fotel spikera Izby Reprezentantów znalazłby się w zasięgu jego ręki. Kongresmen Adler pochylił się ku szefowi Instytutu z mdławym uśmiechem.

- Wie pan, panie generale, z nazwami to różnie bywa. W maju wizytowaliśmy Narodowy Instytut Broni Śrutowych. Niech pan zgadnie, czym oni się tam zajmują?

- Bardzo dużą dubeltówką, jak sądzę?

- Ha, ha, ha - roześmiał się usłużnie Adler. - Otóż pracują tam nad

modyfikacją eksportowanej przez nas do Chin śruty zbożowej, tak żeby tuczone nią wieprze znienawidziły żółtków i po usłyszeniu pierwszych taktów najnowszego przeboju Michaela Jacksona rzuciły się im do gardeł.

- To bardzo, bardzo ciekawe. Tylko dlaczego zastosowali zapalnik Michael Jackson? To chyba dość kosztowne rozwiązanie? - Twarz Katera była nieprzenikniona niczym oblicze sfinksa. Jego rozmówca wybałuszył bezradnie oczy: - Przecież cały świat słucha Michaela! To drogi zapalnik, ale najpewniejszy. To musi zadziałać.

- Zdaje się, że on od trzech lat niczego nie nagrał? - Kater coraz bardziej przypominał wielkiego sfinksa.

- Ba! Cały czas potajemnie nagrywa w Instytucie Przebojów Strategicznych w Memphis. Już dwa longplaye czekają na premierę, to znaczy na wybuch wojny cywilizacji. A sam Jackson jest już trzygwiazdkowym generałem, ale to naturalnie tajemnica państwowa - dodał przymilnie kongresmen Adler.

Generał Kater w zamyśleniu wystukiwał na biurku melodię *I'm bad*. Nagle przestał, wzdrygnął się i gwałtownie obejrzał za siebie. Rybki nadal leżały na dnie i udawały, że ich nie ma. Ale Rebeka Vogel nie zamierzała iść w ich ślady. Otworzyła pękatą aktówkę i ostentacyjnie wertowała jakieś dokumenty. Papiery furkotały w powietrzu. Nawet nie zwróciła uwagi na propozycję generała Katera, by, skoro szczęśliwie uzgodniono zasady inspekcji, wypić coś orzeźwiającego.

Corvus wziął bourbona. Adler szkocką. Slovik poprosił o wodę mineralną. Rebeka Vogel nie zareagowała na powtórne pytanie generała i jak szalona przekładała kartki, więc Kater zrobił drinki mężczyznom. Potem zaczął mieszać swojego w wysokiej szklance. Nat Corvus, który lubił mawiać o sobie, że zaraz po pomyślności Ameryki interesuje go dobra wódka, bacznie przyglądał się miksturze komponowanej przez Katera. Dwa kieliszki bourbona, w porządku, kieliszek cinzano, łyżeczka

do kawy angostury i kilka kropel cointreau. Dobrze potłuczony lód... Sprawne wstrząśnięcie szklanką. Klasyczny manhattan, odetchnął senator z ulgą. W kwestii alkoholi Nat Corvus był konserwatystą bardziej konsekwentnym niż w kwestii deficytu budżetowego. Faceci pijący bourbona i manhattana byli dla niego ludźmi godnymi szacunku. Po facetach pijących francuskie wody mineralne spodziewał się wszystkiego, nawet czerwonych koronkowych majtek pod dwurzędowym garniturem. Senator uśmiechnął się przyjaźnie do generała, ale uśmiech nagle zamarł mu na twarzy. Kater otworzył drzwiczki biurka, wyjął sporą okrągłą butlę z niewielką ilością przezroczystego płynu. Szybko ją odkręcił i chlusnął pięćdziesiątkę do szklanki. Magicznie płynnym ruchem zakręcił butlę, potrząsnął szklanką i wychylił jednym haustem. Generalskie oko błysnęło dziko, pod mundurem przebiegł dreszcz.

- Myślałem, że pija pan manhattana, panie generale.

- Zmodyfikowanego.

- Co pan dodaje, jeśli wolno spytać?

- Trochę waleriany.

- O! Podkręca smak?

- Taaak, też. Ale wie pan, z walerianą manhattan jest jakby pełniejszy, na mnie przynajmniej działa znacznie wszechstronniej.

Drzwi gabinetu otworzyły się i wmaszerował jeden z sierżantów z wartowni. Generał nawet na niego nie spojrzał.

- To bardzo uprzejme z waszej strony, sierżancie, że raczyliście przybyć. Dzwoniłem na was pięć minut temu.

Sympatyczny pucołowaty sierżant ze strachu skurczył się w sobie. Włosy na głowie stanęły mu dęba i przypominał teraz kulkę puchu z wpiętym bez sensu identyfikatorem: „Michael Koshkin. Sierżant.” Zaczął bełkotać nieskładnie o nowym wartowniku z drugiej strefy, którego właśnie nakryto na oglądaniu po służbie kreskówek Disneya, i że zgodnie

z instrukcją najpierw trzeba było zrobić z nim porządek, a więc stąd wzięło się to niedopuszczalne spóźnienie, które oczywiście się nie powtórzy i... Samoupokorzenie sierżanta było dostatecznie żalnym widowiskiem, by kongresmen Slovik otrząsnął się z ogłupienia upałem i zapytał generała, dlaczego żołnierzom po służbie nie wolno oglądać akurat kreskówek Disneya.

- Ależ wolno - odparł uprzejmie generał.

- Przecież wyraźnie słyszałem, że nie.

- Ach, odradzamy żołnierzom tylko niektóre z kreskówek i to niekoniecznie produkcji Disneya.

- Na przykład?

- Na przykład *Toma i Jerry'ego*. Po prostu nie wydaje nam się, żeby takie filmy dobrze działały na morale żołnierzy.

Nim kongresmen Slovik zdołał zastanowić się, dlaczego akurat te kreskówki rozkładają morale żołnierzy, do gabinetu wkroczyło czterech oficerów. Przyjemnie było popatrzeć. Szczupli, sprężyści, tchnący spokojem i kompetencją równie intensywnie, jak senator Corvus bourbonem. Generał Kater przedstawił ich jako członków rady naukowej. Pułkownik Cougar siadł przy Rebecce Vogel, która natychmiast porzuciła papiery i wpiła się w niego zamglonym wzrokiem. Obok senatora Adlera zajął miejsce pułkownik Steven L. Gattopardo, z tyłu zaś pułkownik Noam Kfir, którego generał przedstawił jako izraelskiego konsultanta projektu futerkowych broni przeciwpancernych. Obok biurka szefa stanął pułkownik Stanley W. Irbis, na którego plakietce widniała niejasna informacja: „Koordynator projektów konwencjonalnych”.

Głos pułkownika Irbisa miał w sobie coś z przyjaźnie mruczącego starego silnika diesla: usypiał. Kongresmen Adler rozpaczliwie walczył z opadającymi powiekami, miękącym kręgosłupem i lęgnącą się w brzuchu senną błogością. Przed drzemką powstrzymywał go jedynie

strach. Mruczenie pułkownika przypominało mu nieodparcie głos nudnego profesora od literatury dziewiętnastowiecznej w Austin, a to oznaczało, że koszmarne wspomnienia szkolne są tuż-tuż.

- Podstawowym projektem badawczo-wdrożeniowym jest futerkowy czynnik pola walki... - Do pomruku pułkownika Irbisa dołączył znów pomruk akwaryjnej pompki i bzyk ośmielonej nie wiedzieć czym muchy.

- Ze studium przyszłego pola walki - mruczał pułkownik Irbis - wynika zapotrzebowanie na dwa podstawowe czynniki przyszłego pola walki mały żywy czynnik futerkowy pola walki i duży żywy czynnik futerkowy pola walki Mały czynnik służyć ma do zwalczania niedużej siły żywej nieprzyjaciela, w pierwszym rzędzie myszy, szczurów, wróbla i gołębi pocztowych. Badania pokazały, że najlepszym małym żywym czynnikiem futerkowym jest raczej żbik niż kot. Jest bardzo dobry w zwalczaniu małej siły żywej nieprzyjaciela, a także ma przewagę nad nieprzyjacielskimi kotami domowymi, naturalnie, jeśli wróg rzuci je przeciwko nam.

- Dlaczego sądzi pan, że myszy i gołębie mogą być dla nas zagrożeniem?

Trzeźwe pytanie kongresmena Adlera wyrwało wszystkich z półdrzemki - Oddziały wrogich myszy i szczurów wyżerać będą ziarno z magazynów, formacje wróbla i gołębi bezpośrednio z pól. W sumie oznacza to perspektywę ogólnonarodowego głodu. Proszę nie zapominać też o możliwości przenoszenia zarazy - głos pułkownika Irbisa nabrał życia i wigoru: - Duży żywy czynnik futerkowy pola walki służyć ma do zwalczania piechoty nieprzyjaciela, dezorganizowania łączności i zaopatrzenia nawet na głębokich tyłach, gdyż zakładamy, że nie będzie wymagać zaopatrywania w żywność. Mówiąc po prostu, duży żywy futerkowy czynnik pola walki zawsze wyżywi się sam. W ramach tego problemu badawczego zrealizowaliśmy obszerne studium wielkiego kota przyszłego pola walki Ostatecznie proponujemy zorganizowanie

samodzielnych kompanii gepardów przy każdym batalionie piechoty.

- A tygrysy? - zapytał senator Corvus z miną prymusa college'u.

- Niestety, tygrysy są absolutnie nieprzydatne na azjatyckim teatrze działań wojennych. Ci cholerni Chińczycy wyrzynają wszystkie na pniu, od Kołomy po Cejlon, i przerabiają na afrodyzjaki.

- Faktycznie głupio. Nie dość, że zółtki wybiją nam najlepsze oddziały, to jeszcze na nasz koszt będą się pieprzyć i mnożyć - senator Corvus uśmiechnął się szeroko, ale przez twarze wojskowych nie przemknął nawet cień uśmiechu.

- Czemu nie lwy? - kongresmen Adler usiłował myśleć logicznie mimo obezwładniającej duchoty.

- Chyba lwice, senatorze, bo cholerne lwy tylko żrą, śpią i przyczesują sobie grzywki. - Szansa zmanifestowania swych poglądów sprawiła, że Rebeka Vogel nadludzkim wysiłkiem oderwała się na chwilę od złotozielonych oczu pułkownika Cougara. Pułkownik Irbis zachowywał się tak, jakby niczego nie usłyszał: - A trzecim podstawowym programem badawczym jest studium futerkowej broni przeciwpancernej. Generalna koncepcja polega na przenoszeniu w pysku przez odpowiednio duże kotowate, na przykład pantery, ładunków kumulacyjnych i umieszczaniu ich na wrażliwych punktach czołgów i transporterów opancerzonych nieprzyjaciela. Z dotychczasowych badań wynika, że jest to metoda najskuteczniejsza, choć pułkownik Kfir poinformował nas ostatnio, że w Izraelu eksperymentuje się z przeciwpancernymi szybkimi kotami domowymi. Po strzale z armaty koty te wskakują do lufy i przebiegają ją na pełnym gazie, by zdążyć przed załadowaniem następnego pocisku. A potem wewnątrz czołgu eliminują załogę, nie niszcząc maszyny.

- Jak? - Kongresmen Slovik najwyraźniej odczuł nieodpartą potrzebę zaznaczenia swojej obecności.

- Hm, myśleliśmy o przegryzaniu tętnic szyjnych czołgistów, ale to się nie sprawdza w Rosji, gdzie jest chłodno i załogi noszą ciepłe wełniane

golfy. Poprzestaniemy chyba na wydrapywaniu oczu, ale oczywiście mamy świadomość, że mogą przydarzyć się problemy, gdy ktoś z załogi niedowidzi i nosi szkła korekcyjne. Po prostu domowe koty są za małe na skuteczne zwalczanie załogi czołgu. Ale ideę oceniamy jako bardzo przyszłościową. Cała nadzieja w systematycznym wzroście kalibru czołgowych armat i tym samym kalibru zdolnych przebiec je przeciwpancernych kotów. - Pułkownik Kfir skłonił się lekko i usiadł. Wszyscy byli pod wrażeniem profesjonalizmu i kompetencji gościa z Izraela. Wszyscy, z wyjątkiem pani Rebeki Vogel.

- Panie generale, czegoś tu nie rozumiem. Jesteśmy w Instytucie Broni Futerkowych, a ja ciągle słucham o tygrysach, panterach, gepardach i kotach domowych. Co z innymi zwierzętami?

- Nie eksperymentujemy w IBF-ie z innymi zwierzętami. Po prostu skoncentrowaliśmy się na kotowatych.

- Jak to, tak po prostu skoncentrowaliśmy się na kotowatych - przedrzeźniała Katera senator Vogel. - A psy? Nie słyszał pan o rzymskich molosach? A o sowieckich psach... żywych torpedach pod Stalingradem?

- Jestem pod wrażeniem pani erudycji, naprawdę doskonale przygotowała się pani do inspekcji.

- Nie chodzi o komplementy, panie generale. CIA twierdzi, że Rosjanie cały czas eksperymentują z psami szturmowymi.

- Ale my nie.

- Dlaczego?

- Psy są bez charakteru. W porównaniu z kotami to lokaje.

- A szczury? Są bardzo inteligentne.

- Są obrzydliwe.

- Niedźwiedzie?

- Śpią w zimie.

- Krety?

- To działka CIA. Są objęte programem ochrony świadków.
- Bobry?
 - Od sześćdziesięciu lat nikt nie buduje drewnianych mostów, więc nie ma już dla nich zadań bojowych.
- Świnie?
 - Czy widziała pani pokrytą futrem świnie?
 - No to dziki!
 - Są już objęte programem badawczym „Wielka Wędzona Szynka” prowadzonym przez Intendenturę Wojsk Lądowych.
- A małpy?
 - Przemądrzałe inteligenciki, które nadają się tylko do rozwiązywania testów i upijania się w trupa.
- Słucham?
 - Mówiąc wprost, pani senator, w sytuacjach stresowych małpy chleją na umór. W Instytucie Podstawowych Problemów Wojen Gwiazdnych kilka szympanów, para goryli, pawian i dwie kapucynki w trakcie programu badawczego „Gwiazdny Wojownik Wobec Stresu” systematycznie podkrażały z barku naukowców alkohol i dziś są kompletnie zdemoralizowanymi nałogowcami.
- Co piły? - włączył się z nagłym ożywieniem Jonathan Corvus.
- Białe wino kalifornijskie - odparł generał Kater.
- Są rzeczywiście do niczego - senator Corvus opadł zrezygnowany w głąb fotela.
- A kuny, łasice? - nie dawała za wygraną Rebeka Vogel.
- Kuny i łasice mnie wkurzają, proszę pani, potwornie mnie wkurzają i dopóki jestem tu szefem, to żadna żywa kuna ani żadna żywa łasica nie zrobi w tym instytucie jednego nawet kroku! - Czupryna generała Katera lekko się zjeżyła, a jego głos przeszedł niemal w syk. Niespodziewany wybuch gniewu generała obudził podrzemujących członków komisji. Generał sapał i parskął, stroszył długie, białe wąsiska, ale upał robił

swoje. Generalskie posykiwanie ucichło, rozmyło się w gorącym, gęstym jak wojskowa grochówka powietrzu. Było bardzo cicho i bardzo nieprzyjemnie Kongresmenowi Josephowi Adlerowi, prócz duchoty, znów zaczęła dolegać wizja oddalającego się w niebyt fotela spikera Izby Reprezentantów. Postanowił działać energicznie, ale nic mądrego nie przychodziło mu w tym upale do głowy. W końcu zapytał uprzejmie, czemu generał nie używa klimatyzacji albo chociaż wiatraczka. Kater odburknął, że wiatraczki też go maksymalnie wkurzają i zrobiło się jeszcze bardziej duszno i jeszcze bardziej nieprzyjemnie Adler czuł, że jeśli nie zrobi czegoś naprawdę zdecydowanego, inspekcja Instytutu Broni Futerkowych zakończy się kląpą. Odchrząknął, przełknął bulwę zgęstniałej śliny i zaproponował podpisanie przez komisję przygotowanego przez generała Katera projektu budżetu IBF. Z lękiem zerknął na Reбекę Vogel, ale ta, zamiast zaatakować go za pochopność lub za cokolwiek innego, z rozmarzoną twarzą wysłuchiwała szepczącego jej do ucha pułkownika Cougara. Kongresmen Slovik patrzył badawczo na Jonathana Corvusa, a ten kiwał głową, regularnie i zamasyście, jak ptak dziobiący ziarno.

- To znaczy podpisujemy? - szepnął z nadzieją Adler.

- No tak, chyba po to tu jesteśmy. - Corvus sprawiał wrażenie kogoś, kto nie do końca jest pewien, gdzie właściwie się znalazł.

Pułkownik Irbis podał kongresmenom projekty budżetu w twardych okładkach kolorystycznie imitujących tygrysie futro. Senatorowi Corvusowi przemknęło przez myśl, że nawet w dzisiejszych czasach trudno o coś w gorszym stylu, ale zmienił zdanie, gdy rzucił okiem na stronę tytułową budżetu.

Słowa. „Instytut Broni Futerkowych” oplatały logo instytutu: porośnięty gęstym, pręgowanym futrem czołg M1A1 Abrams. No nie, ci wojskowi posunęli się za daleko, pomyślał. Po chwili jednak musiał jeszcze raz zmienić zdanie. Cały budżet bowiem składał się z tytułu i

trzech linijek tekstu:

1. Bronie kotowate 78 mln dolarów 2. Bronie kotoidalne 210 mln dolarów W sumie: 288 mln dolarów

I tylko tyle. Senator Corvus z napięciem wpatrywał się w kartkę, ale nie dostrzegł w niej niczego poza tymi trzema nieszczęsnymi linijkami. Jak przez mgłę słyszał głos generała Katera pytającego, czy kongresmeni mają jakieś uwagi. Skupił się i sprawdził, czy siedemdziesiąt osiem dodane do dwustu dziesięciu rzeczywiście daje dwieście osiemdziesiąt osiem.

Dawało.

Sprawdził raz jeszcze, ale rachunek się zgadzał. Nie, nie tędy droga, przemknęło mu przez głowę, ale niestety nie widział przed sobą nic, co mogłoby mu dać wskazówkę, którądy droga. Popatrzył więc na kolegów.

Kongresmen Adler spoglądał na swą kartkę w głębokiej zadumie. Kongresmen Slovik w zamyśleniu wodził wzrokiem po suficie. Projekt budżetu leżał na jego kolanach. Wydawało się, że to senator Jonathan L. Corvus będzie musiał coś zrobić. A jednak - nie.

- Czy mógłby mi pan coś wyjaśnić, generale? - głos Rebeki Vogel płynął w upalnym powietrzu niczym wiosenny miód. Pani kongresmen siedziała nieco wychylona do przodu i najwyraźniej zawartość tygrysyich okładek interesowała ją bardziej niż pułkownik Cougar.

- Jeśli dobrze rozumiem, bronie kotowate to przymuszane do służby wojskowej rozmaite gatunki kotów, o których opowiadał nam pułkownik Irbis.

- Zapewniam panią, że nie trzeba ich zmuszać. Służba to dla nich przyjemność.

- Och, tak, nie wątpię, panie generale - złocisty miód lał się słodko z ust pani Vogel. - Czymże zatem są bronie kotoidalne?

- To bronie zmodyfikowane.

- Troszkę kotowate, a troszkę nie, generale?
- No cóż, nie chciałbym pani zanudzać szczegółami technicznymi...
- Ale jedno może pan wyjaśnić. Bronie kotoidalne nie występują w naturze, prawda?
- No cóż, w zasadzie można by tak to określić.
- Czy zatem bronie kotoidalne to nie są przypadkiem koty poddane manipulacjom genetycznym?
- Oczywiście, że nie. Świetnie pani przecież wie, że dokonywanie jakichkolwiek zmian w genotypach zwierząt bez publicznej zgody Federalnej Rady Etyki jest absolutnie zabronione ustawą Ribak-Sarnovich sprzed dwunastu lat.
- Cudownie. Czy zatem mógłby zademonstrować nam pan, panie generale, jakąś broń kotoidalną?

Generał znieruchomiał za biurkiem i wpatrywał się hipnotyzującym wzrokiem w Reбекę Vogel. Nic z tego jednak nie wychodziło. Najwyraźniej monopol na hipnotyzowanie jej miał pułkownik Cougar. Po dłuższej chwili generał zrezygnował i przywołał pułkownika Irbisa. Szeptali tak, że nic nie można było zrozumieć. W końcu generał Kater uroczyście wyprostował się i powiedział: - Tak, możemy pokazać państwu jeden projekt broni kotoidalnej. W zamian oczekujemy zatwierdzenia budżetu bez dalszego molestowania personelu Instytutu.

Usłyszawszy uwagę o molestowaniu personelu Rebeca Vogel z oburzeniem poderwała się i zatrzepotała rękami, ale zaraz opamiętała się i usiadła.

- Zgoda - odparła krótko, nawet nie oglądając się na trójkę swych kolegów. Oszołomieni pokiwali głowami.

Generał Kater nacisnął przycisk w biurku. Tym razem sierżant Koshkin wpadł do gabinetu niemal natychmiast. Generał przez chwilę wystukiwał na blacie melodię *Dangerous* z cywilnej płyty Michaela Jacksona, potem wstał: - Sierżancie, zaprowadzicie naszych gości do

strefy C bloku N. Pułkownika Cougar, pułkownika Gattopardo, będziecie towarzyszyć gościom.

Na biurku zadzwonił telefon bez tarczy. Generał podniósł słuchawkę i powiedział beznamiętnym głosem: - Za chwilę będzie u was inspekcja Kongresu. Proszę pokazać jej niewidzialnego kota.

Szli w milczeniu długim korytarzem. Było parno. Na zewnątrz uderzyła ich fala wściekłego gorąca, powietrze zatykało oddech. Sierżant Koshkin ruszył pierwszy. Budynek, z którego wyszli, otoczony był wysoką na trzy metry gęstą metalową siatką. Na siatce wisiała spora czerwona tabliczka: „Wysokie napięcie. Nie dotykać”. Nieduża furtka w ogrodzeniu miała powlekaną gumą klamkę. Sierżant Koshkin wstukał kod w elektroniczny zamek, otworzył furtkę, rozpiął spodnie i wysiusiał się na piasek. Patrzyli na niego osłupiali. Wreszcie Rebeka Vogel wykrztusiła: - No, sierżancie, posunął się pan stanowczo za daleko.

- Skądże znowu, proszę pani, to jeszcze teren mojej sekcji - odparł Koshkin pogodnie i wmaszerował za ogrodzenie.

Na szarym parterowym budynku bez okien wisiała tylko tabliczka z literą „N”. Wartowni nie było. Każdy z gości wprowadzał swój identyfikator do czytnika i wchodził do środka. Na korytarzu czekał uśmiechnięty, tęgawy mężczyzna w białym laboratoryjnym kitlu.

- Major John Serwal - przedstawiał się radośnie, mocno ściskając kongresmenom rękę. - Witam w królestwie kotów i proszę za mną.

Zeszli po schodach, skręcili w lewo i znów trafili na klatkę schodową. Kongresmen Slovik uzmysłowił sobie właśnie, że są już dwa piętra pod ziemią, gdy John Serwal zatrzymał się.

- Na końcu korytarza na wprost jest kaplica. Jak państwo widzą, nie zaniedbujemy życia duchowego. W korytarzu po prawej są różne stanowiska badawcze. A my już tutaj.

Pokój oświetlony był jasnym rozproszonym światłem. Na środku stał spory biały stół, na którym leżał duży beret z czarnego karakułowego

futra. Nad beretem pochylali się dwaj laboranci. Major Serwał gestem polecił gościom otoczyć stół i triumfalnym głosem oznajmił: - Proszę państwa, oto niewidzialny kot.

Kłopotliwą ciszę przerwał dopiero kongresmen Slovik: - Imponujące. A tak przy okazji, to gdzie on właściwie jest?

- Kto? - major Serwał wydawał się być zaskoczony.

- Kot. Ja go naprawdę nie widzę.

- Ha, ha, ha, no po prostu znakomity żart - rozpromieniony major Serwał teatralnie plasnął w dłonie. - Behemot, ślicznotko nasza niewidzialna, podnieś się.

Czarny futrzany beret poruszył się, zamruczał i podźwignął na wysokość mniej więcej pięciu centymetrów. Było to coś na kształt flądry na cienkich nóżkach, tyle że dziwaczny, kanciasty grzbiet pokrywało krótkie, kręcone futerko.

- Przecież ja to widzę - wyszeptał Joe Slovik.

- Ha, ha, ha, widzi go pan, bo jest pan kongresmenem, a nie radarem - major Serwał cieszył się jak dziecko. - Nasz Behemocik jest niewidzialny dla radarów, bo jest pierwszym na ziemi kotem wykonanym w technice Stealth Futrzasta flądra zabezpieczała jak owca i dopiero teraz Rebeka Vogel dostrzegła jej spłaszczony jak u persa, wprasowany w grzbiet pyszczek.

- A to drań! Pański szef, panie majorze, okłamał nas. Twierdził, że nie prowadzicie tu eksperymentów genetycznych.

- Oczywiście, że nie. Są przecież ograniczenia...

- A ten, jak mu tam...

Major Serwał rozsunał stopy i wziął głęboki oddech jak śpiewak operowy przed arią: - Behemot jest produktem naturalnym, szanowna pani. Uzyskaliśmy go budując formę w kształcie myśliwca F-117 Stealth, naturalnie stosownie mniejszą. W formie zamknęliśmy młodego kota perskiego, który w trakcie ośmiu miesięcy osobniczego rozwoju dostosował się do kształtu formy i wypełnił ją całkowicie.

- I rzeczywiście jest niewidzialny dla radaru? - zainteresował się senator Corvus.

- Niestety, są pewne problemy. W trakcie modelowania kota w formie nastąpiło skarakułowanie sierści. Takie futro minimalnie odbija fale radarowe i daje jednak cień na ekranie. Co gorsza, Behemot lubi jeść i mimo kontroli trochę przybrał na wadze. Proste płaszczyzny zaokrągliły się i to także daje pewien obraz na czułym radarze. W sumie na ekranie nie widać kota, tylko dość regularną plamę w kształcie uśmiechu. Jak po kocie z Cheshire - dodał najwyraźniej zachwycony sobą major.

- Niedobrze mi, muszę iść do toalety - wybełkotała Rebeka Vogel.

- Na lewo, znów na lewo i trzecie drzwi po prawej stronie - rzucił major Serwal.

Za panią Vogel najchętniej wyszedłby też kongresmen Adler. Szumiało mu w głowie, paliły policzki, nogi miał jak z waty. Widok Behemota, a zwłaszcza widok dość prymitywnej kanciastej formy z blachy na kota typu Stealth, przywołał najgorsze wspomnienia z dzieciństwa w szkole w Austin. Starał się o tym nie myśleć i po prostu przetrwać. Z odrętwienia wyrwało go trzaśnięcie drzwiami.

- Bardzo długo pani nie było, niepokoił się już - zauważył z troską major Serwal.

- Trochę kiepsko się poczułam, ale już lepiej - skwitowała zainteresowanie gospodarza Rebeka Vogel. Senator Corvus dodał, że już czas i wszyscy ruszyli do wyjścia.

Na dworze pani Vogel kopnęła w kostkę Nata Corvusa. Za sierżantem Koshkinem włókł się Joseph Adler, parę metrów z tyłu Joe Slovik zawzięcie perorował z oboma pułkownikami. Gdy panią senator i Nata Corvusa dzieliło od nich jakieś trzydzieści kroków, Rebeka Vogel szepnęła do ucha swego republikańskiego kolegi: - Wdepnęliśmy w potworne szambo, senatorze. Nie poszłam do toalety, tylko do sąsiedniego korytarza. Na końcu wisiał segregator na pocztę

wewnętrzna, zauważył go pan?

Corvus skinął głową.

- Wie pan, jakie tam znalazłam nazwiska?

Corvus pokręcił głową.

- Larry I. Naumann, Vito Piotrovich, Mark O. Remus, Matthias Dampfer, Milton M. Kowalsky, Larry L. Rollo, Gottfried Druebe, Makiko Matsuoka, Romanas Zipauskas, Carlo Kalutek.

- Aha.

- Senatorze, niech pan się weźmie w garść! To najlepsi genetycy świata, którzy przed piętnastu laty zginęli w katastrofie samolotowej nad Atlantykiem w czasie lotu na konferencję w Acapulco. Informację o katastrofie odszukałam w swoich notatkach pół godziny temu. Nie ma mowy o pomyłce.

- Wspaniale, musimy pogratulować generałowi Katerowi uratowania tyłu uczonych!

- Jezu Chryste! Pan nic nie rozumie!?! To znaczy, że oni zostali porwani, że sfingowano ich śmierć, że od wielu, wielu lat pracują tu potajemnie, być może pod przymusem.

- Tajna operacja? Wiedziałem, że Kongres nie zdołał urwać jaj chłopakom z CIA!

- Senatorze, poszłam jeszcze do kaplicy. Tam nie ma krzyża! To jest kaplica egipskiej bogini Bastet. Dookoła jej posągu stoi z czterdzieści egipskich mumii kotów.

- To chyba inspirujące - szepnął mdlejącym od upału głosem Nat Corvus. - O ile pamiętam, ci wariaci od New Age nie przeszkadzają pani...

Przeszli przez furtkę, weszli do budynku głównego. Pani Vogel szeptała tak cicho, że senator Corvus ledwo ją słyszał: - Szkoda, że pana tam nie było, bo widok ołtarza Bastet z pewnością zaintrygowałby i pana. Tam jest kilkaset zdjęć w czarnych ramkach. Na każdym zaś numer i data, najwcześniej sprzed siedemnastu lat.

- No to co?

- Jak to co! Na tych zdjęciach są jakieś koszmarnie embriony, mają okropne trójkątne twarze, a niektóre są obrośnięte futerkiem.

- Pierwsze koty za płoty! - zawołał wesoło major Serwal.

Rebeka Vogel ocknęła się. Nawet nie zauważyła, jak weszła do gabinetu generała Katera. Razem z Jonathanem Corvusem, Josephem Adlerem i Joe Slovikiem stała na środku gabinetu. Oficerowie otaczali wianuszkami stojącego za biurkiem szefa.

- Panie generale, mam ciekawą wiadomość. Pani Vogel odkryła korytarz z naszym trustem mózgow i kaplicę - zameldował major Serwal.

- Co pan insynuuje? - zaprotestowała słabym głosem pani senator.

- My mamy naprawdę świetny słuch - uśmiechnął się major.

- A ja, moi panowie, dostałem właśnie ciekawe teczki personalne naszych gości. - Generał Kater rozłożył na biurku cztery pękate skoroszyty. - Wpadły nam w ręce niezłe ptaszki. Pan Corvus na przykład przed trzema laty głosował za wprowadzeniem specjalnego podatku od kotów w miastach powyżej miliona mieszkańców. Pan Slovik zgłosił w zeszłym roku w Kongresie wniosek o wykastrowanie wszystkich bezdomnych kotów. Najciekawszy przypadek to pan senator Adler. W dzieciństwie regularnie torturował koty. Był leczony przez psychologa. Za upieczenie żywcem siedemnastu kotów w piecu do pizzy został wyrzucony ze szkoły w Austin. Mały Hitler!

Zadzwoił telefon. Generał podniósł słuchawkę, chwilę słuchał: - Tak, rozumiem. Niestety nie ma ich już w naszym instytucie. Odlecieli przed czterema godzinami. Niestety, nie w tej chwili. Mamy tu teraz potężną burzę piaskową. Jeśli jutro rano nie pojawią się na lotnisku, wyślę na pustynię żołnierzy. Tak, wniosek budżetowy podpisali bez zastrzeżeń. Oczywiście, będę meldował.

Generał odłożył słuchawkę i uśmiechnął się szeroko, pokazując równy rząd zadbanych, trójkątnych zębów.

Andrzej Sapkowski

Złote popołudnie

All in the golden afternoon

Full leisurely we glide...

Lewis Carroll

Popołudnie zapowiadało się naprawdę ciekawie, jako jedno z tych wspaniałych popołudni, które istnieją wyłącznie po to, by spędzać je na długotrwałym i słodkim far niente, aż do rozkosznego zmęczenia się lenistwem. Rzecz jasna, błogostanu takiego nie osiąga się ot tak sobie, bez przygotowania i bez planu, uwaliwszy się w pozycji horyzontalnej byle gdzie. Nie, moi drodzy. Wymaga to poprzedzającej aktywności, tak intelektualnej jak i fizycznej. Na nieróbstwo, jak mawiają, trzeba sobie zapracować.

Aby tedy nie stracić ani jednej ze ściśle wyliczonych chwil, z których zwykły się składać rozkoszne popołudnia, przystąpiłem do pracy. Udałem się do lasu i wkroczyłem doń, lekceważąc ostrzegawczą tabliczkę BEWARE THE JABBERWOCK, ustawioną na skraju. Bez zgubnego w takich razach pośpiechu odszukałem odpowiadające kanonom sztuki drzewo i wlażłem na nie. Następnie dokonałem wyboru właściwego konara, kierując się w wyborze teorią o revolutionibus orbium coelestium. Za mądrze? Powiem więc prościej: wybrałem konar, na którym przez całe popołudnie słońce będzie wygrzewać mi futro.

Słoneczko przygrzewało, kora pachniała, ptaszęta i owady śpiewały na różne głosy swą odwieczną pieśń. Położyłem się na konarze, zwiesiłem malowniczo ogon, oparłem podbródek na łapach. Już miałem zamiar zapaść w błogi letarg, już gotów byłem zademonstrować całemu

świata bezbrzeżne lekceważenie, gdy nagle dostrzegłem ciemny punkt na dalekim horyzoncie.

Punkt zbliżał się szybko. Uniosłem głowę. W normalnych warunkach może nie zniżyłbym się do skupiania uwagi na zbliżających się ciemnych punktach, albowiem w normalnych warunkach takie punkty w większości wypadków okazują się ptakami. Ale w Krainie, w której chwilowo zamieszkiwałem, nie panowały normalne warunki. Lecący po niebie ciemny punkt mógł przy bliższym poznaniu okazać się fortepianem.

§ § §

Statystyka po raz nie wiadomo który okazała się jednakowoż być królową nauk. Zbliżający się punkt nie był, co prawda, ptakiem w klasycznym znaczeniu tego słowa, ale też i daleko było mu do fortepianu. Westchnąłem, albowiem wolałbym fortepian. Fortepian, o ile nie leci po niebie razem ze stołkiem i siedzącym na stołku Mozartem, jest zjawiskiem przemijającym i nie drażniącym uszu. Radetzky natomiast - albowiem to właśnie Radetzky nadlatywał - potrafił być zjawiskiem hałaśliwym, upierdliwym i męczącym. Powiem nie bez złośliwości: to było w zasadzie wszystko, co Radetzky potrafił.

- Czy nie mewają koty na nietoperze ochoty? - zaskrzeczał, zataczając koła nad moją głową i moim konarem. - Czy nie mewają koty na nietoperze ochoty?

- Spierdalaj, Radetzky.

- Aleś ty wulgarny, Chester. Haaa - haaa! Do cats eat bats?

Czy nie mewają koty na nietoperze ochoty?

A czy nie mewają czasami na koty nietoperze ochoty?

- Najwyraźniej pragniesz mi o czymś opowiedzieć. Zrób to i oddal się.

Radetzky zaczepił pazurki o gałąź powyżej mojego konara, zawisł głową w dół i zwinął błoniaste skrzydełka, przybierając tym samym

sympatyczniejszy dla moich oczu wygląd myszy z Antypodów.

- Ja coś wiem! - wrzasnął cienko.

- Nareszcie. Natura jest nieogarnięta w swej łaskawości.

- Gość! - zapiszczał nietoperz, wyginając się jak akrobata. - Gość zawitał do Krainy! Wesoooooły nam dzień nastaaaa! Mamy gościa, Chester! Prawdziwego gościa!

- Widziałeś na własne oczy?

- Nie... - stropił się, strzygąc wielkimi uszami i śmiesznie poruszając połyskliwym guziczkiem nosa. - Nie widziałem. Ale mówił mi o tym Johnny Caterpillar.

Miałem przez moment chęć zganić go surowo i nie przebijając w słowach za zakłócanie mi sjesty poprzez rozpuszczanie niepotwierdzonych plotek, powstrzymałem się jednak. Po pierwsze, Johnny "Blue" Caterpillar miał wiele przywar, ale nie było wśród nich skłonności do bujdy i konfabulowania.

Po drugie, goście w Krainie byli rzeczą dość rzadką, zwykle bulwersującą, ale tym niemniej zdarzającą się wcale regularnie. Nie uwierzycie, ale raz trafił się nam nawet Inka, kompletnie odurniała od liści koki czy innej prekolumbijskiej cholery. Z tym dopiero była uciecha! Płatał się po całej okolicy, zaczepiał wszystkich, gadał w niepojętym dla nikogo narzeczu, krzyczał, pluł, bryzgał śliną, wygrażał nam nożem z obsydianu. Ale wkrótce odszedł, odszedł na zawsze, jak wszyscy. Odszedł w sposób spektakularny, okrutny i krwawy. Zajęła się nim królowa Mab.

I jej świta, lubiąca określać się mianem "Władców Serc". My nazywamy ich po prostu Kierami. Les Coeurs.

- Lecę - oznajmił nagle Radetzky, przerywając moją zadumę. - Lecę powiadomić innych. O gościu, znaczy się. Bywaj, Chester.

Wyciągnąłem się na konarze, nie zaszczycając go odpowiedzią. Nie zasługiwał na żaden zaszczyt. W końcu, ja byłem kotem, a on tylko latającą myszą, nadaremnie usiłującą wyglądać jak miniaturowy hrabia

Dracula.

§ § §

Co może być gorszego od idioty w lesie?

Ten z was, który krzyknął, że nic, racji nie miał. Jest coś, co jest gorsze od idioty w lesie.

Tym czymś jest idiotka w lesie.

Idiotkę w lesie - uwaga - poznać można po następujących rzeczach: słyhać ją z odległości pół mili, co trzy lub cztery kroki wykonuje niezgrabny podskok, nuci, mówi do siebie, leżące na ścieżce szyszki stara się kopnąć, żadnej nie trafia.

A gdy dostrzeże was, leżących sobie na konarze drzewa, mówi "Och", po czym gapi się na was bezczelnie.

- Och - powiedziała idiotka, zadzierając głowę i gapiąc się na mnie bezczelnie. - Witaj, kocie.

Uśmiechnąłem się, a idiotka, choć i tak niezdrowo blada, zbladła jeszcze bardziej i założyła rączki za plecy. By ukryć ich drżenie.

- Dzień dobry, Panie Kotku - wybąkała, po czym dygnęła niezgrabnie.

- Bonjour, ma fille - odpowiedziałem, nie przestając się uśmiechać. Francuzczyzna, jak się domyślacie, miała na celu zabicie idiotki z pantałyku. Nie zdecydowałem jeszcze, co z nią zrobię, ale nie mogłem sobie odmówić zabawy. A skonfundowana idiotka to rzecz wielce zabawna.

- Oû est ma chatte? - pisnęła nagle idiotka.

Jak słusznie się domyślacie, nie była to konwersacja. To było pierwsze zdanie z jej podręcznika francuskiego. Tym niemniej, reakcja była ciekawa.

Poprawiłem mą pozycję na konarze. Powoli, by nie płoszyć idiotki. Jak wspomniałem, nie byłem jeszcze zdecydowany. Nie bałem się zadrzeć z Les Coeurs, którzy uzurpowali sobie wyłączne prawo do unicestwiania

gości i stawiali się ostro, gdy ktoś ośmielił się ich w tym wyręczyć. Ja, będąc kotem, naturalnie olewałem ich wyłączne prawa. Olewałem, nawiasem mówiąc, wszelkie prawa. Dlatego zdarzały mi się już drobne konflikty z Les Coeurs i z ich królową rudowłosą Mab. Nie bałem się takich konfliktów. Wręcz prowokowałem je, gdy tylko miałem chęć. Teraz jednak jakoś nie czułem specjalnej chęci. Ale pozycję na konarze poprawiłem. W razie czego wolałem załatwić sprawę jednym skokiem, bo na uganianie się za idiotką po lesie nie miałem ochoty za grosz.

- Nigdy w życiu - powiedziała dziewczynka lekko drżącym głosem - nie widziałam kota, który się uśmiecha. W taki sposób.

Poruszyłem uchem na znak, że nic to dla mnie nowego.

- Ja mam kotkę - oznajmiła. - Moja kotka nazywa się Dina. A ty jak się nazywasz?

- Ty tu jesteś gościem, drogie dziewczę. To ty powinnaś przedstawić się pierwsza.

- Przepraszam - dygnęła, spuszczać wzrok. Szkoda, albowiem oczy miała ciemne i jak na człowieka bardzo ładne. - Rzeczywiście, to nie było grzeczne, powinnam wpierw się przedstawić. Nazywam się Alicja. Alicja Liddell. Jestem tu, bo weszłam do króliczej nory. Za białym królikiem o różowych oczach, który miał na sobie kamizelkę. A w kieszonce kamizelki zegarek.

Inka, pomyślałem. Mówi zrozumiale, nie pluje, nie ma obsydianowego noża. Ale i tak Inka.

- Paliliśmy trawkę, panienko? - zagadnąłem grzecznie. - łykaliśmy barbituraniki? Czy może naćpaliśmy się amfetaminki? Ma foi, wcześniej teraz dzieci zaczynają.

- Nie rozumiem ani słowa - pokręciła głową. - Nie pojęłam ani słowa z tego co mówisz, kocie. Ani słóweczka. Ani słówenienieczka.

Mówiła dziwnie, a ubrana była jeszcze dziwniej, teraz dopiero zwróciłem na to uwagę. Rozkloszowana sukienka, fartuszek, kołnierzyk z

zaokrąglonymi rogami, krótkie bufiaste rękawki, pończoszki... Tak, cholera jasna, pończoszki. I trzewiczki na rzemyczki. Fin de sićcle, żebym tak zdrow był. Narkotyki i alkohol należało zatem raczej wykluczyć. O ile, rzecz jasna, jej ubiór nie był kostiumem.

Mogła trafić do Krainy wprost z przedstawienia w szkolnym teatrze, gdzie grała Małą Miss Muffet siedzącą na piasku obok pająka. Albo wprost z imprezy, na której młodociana trupa świętowała sukces spektaklu garściami prochów. I to właśnie, uznałem po namyśle, było najbardziej prawdopodobne.

- Cóż tedy zażywaliśmy? - spytałem. - Jakaż to substancja pozwoliła nam osiągnąć odmienny stan świadomości? Jakiż to preparat przeniósł nas do krainy marzeń? A może po prostu piliśmy bez umiaru ciepławy gin and tonic?

- Ja? - zarumieniła się. - Ja niczego nie piłam... To znaczy, tylko jeden, jeden maciupęńki łyzeczek... No, może dwa... Lub trzy... Ale na buteleczce była przecież karteczka z napisem "Wypij mnie". To w żaden sposób nie mogło mi zaszkodzić.

- Zupełnie, jakbym słyszał Janis Joplin.

- Słucham?

- Nieważne.

- Miałeś mi powiedzieć, jak masz na imię.

- Chester. Do usług.

- Chester leży w hrabstwie Cheshire - oznajmiła dumnie. - Uczyłam się o tym niedawno w szkole. Jesteś więc Kotem z Cheshire! A jak mi usłużysz? Zrobisz mi coś przyjemnego?

- Nie zrobię ci niczego nieprzyjemnego - uśmiechnąłem się, szczerząc zęby i ostatecznie decydując, że jednak zostawię ją do dyspozycji Mab i Les Coeurs. - Potraktuj to jako usługę. I nie licz na więcej. Do widzenia.

- Hmm... - zawahała się. - Dobrze, zaraz sobie pójdę... Ale wpierw... Powiedz mi, co robisz na drzewie?

- Leżę w hrabstwie Cheshire. Do widzenia.

- Ale ja... Ja nie wiem, jak stąd wyjść.

- Chodziło mi wyłącznie o to, byś się oddaliła - wyjaśniłem. - Bo jeżeli chodzi o wychodzenie, to daremny trud, Alicjo Liddell. Stąd nie da się wyjść.

- Słucham?

- Stąd nie da się wyjść, głupiutka. Należało spojrzeć na rewers karteczki na buteleczce.

- Nieprawda.

Machnąłem zwisającym z konara ogonem, co u nas, kotów, odpowiada wzruszeniu ramionami.

- Nieprawda - powtórzyła zadziornie. - Pospaceruję tu, a potem wrócę do domu. Muszę. Chodzę do szkoły, nie mogę opuszczać lekcji. Poza tym, mama tęskniłaby za mną. I Dina. Dina to moja kotka. Mówiłam ci o tym? Do widzenia, Kocie z Cheshire. Czy byłbyś jeszcze łaskaw powiedzieć mi, dokąd prowadzi ta dróżka? Dokąd trafię, gdy nią pójde? Czy ktoś tam mieszka?

- Tam - wskazałem nieznacznym ruchem głowy - mieszka Archibald Haigha, dla przyjaciół Archie. Jest bardziej szalony niż marcowy zając. Dlatego mówimy na niego: Marcowy Zając. Tam zaś mieszka Bertrand Russell Hatta, który jest szalony jak kapelusznik. Dlatego też mówimy na niego: Kapelusznik. Obaj, jak się już zapewne domyśliłaś, są obłąkani.

- Ale ja nie mam ochoty spotykać obłąkanych ani furiatów.

- Wszyscy tu jesteśmy obłąkani. Ja jestem obłąkany. Ty jesteś obłąkana.

- Ja? Nieprawda! Dlaczego tak mówisz?

- Gdybyś nie była obłąkana - wyjaśniłem, trochę już znudzony - nie znalazłabyś się tutaj.

- Mówisz samymi zagadkami... - zaczęła, a oczy rozszerzyły się jej nagle. - Ejże... Co się z tobą dzieje? Kocie z Cheshire! Nie znikaj! Nie

znikaj, proszę!

- Drogie dziecko - powiedziałem łagodnie. - To nie ja znikam, to twój mózg przestaje funkcjonować, przestaje być zdolny nawet do delirycznego majaczenia. Ustają czynności. Innymi słowy...

Nie dokończyłem. Nie mogłem jakoś zdobyć się na to, by dokończyć. By uświadomić jej, że umiera.

- Widzę cię znowu! - zawołała triumfalnie. - Znowu jesteś. Nie rób tego więcej. Nie znikaj tak nagle. To okropne. W głowie się od tego kręci.

- Wiem.

- Muszę już iść. Do widzenia, Kocie z Cheshire.

- Żegnaj, Alicjo Liddell.

§ § §

Uprzedzę fakty. Nie poleniuchowałem już sobie tego dnia.

Wycmucony ze snu i wyrwany z błogiego letargu nie byłem już w stanie odbudować w sobie poprzedniego nastroju. Cóż, na psy schodzi ten świat. Żadnych względów i żadnego szacunku nie okazuje się już śpiącym lub odpoczywającym kotom. Gdzie te czasy, gdy prorok Mahomet, chcąc wstać i iść do meczetu, a nie chcąc budzić kotki, uśpionej w rękawie jego szaty, uciął rękaw nożem. Nikt z was, załóżę się o każde pieniądze, nie zdobyłby się na równie szlachetny czyn. Dlatego też nie przypuszczam, by komukolwiek z was udało się zostać prorokiem, choćby jak rok długi biegał z Mekki do Medyny i z powrotem.

Cóż, jak Mahomet kotu, tak kot Mahometowi.

Nie zastanawiałem się dłużej niż godzinę. Potem - sam się sobie dziwiąc - zlazłem z drzewa i nie spiesząc się nadmiernie podążyłem wąską leśną ścieżką w stronę domostwa Archibalda Haighy, zwanego Marcowym Zającem. Mogłem oczywiście, gdybym chciał, znaleźć się u Zająca w ciągu kilku sekund, ale uznałem to za zbytek łaski, mogący sugerować, że na czymkolwiek mi zależy. Może i zależało mi trochę, ale

nie miałem zamiaru tego okazywać.

Czerwone dachówki domku Zająca rychło wkomponowały się w ochrę i żółć jesiennych liści okolicznych drzew. A do moich uszu dobiegła nastrojowa muzyka. Ktoś - lub coś - cichutko grało i śpiewało "Greensleeves". Melodię znakomicie dopasowaną do czasu i miejsca.

Alas, my love, you do me wrong To cast me out discourteously And I have loved you so long Delighting in your company...

Na podwórko przed domkiem wystawiono nakryty czystym obrusem stół. Na stole ustawiono talerzyki, filiżanki, imbryk do herbaty i flaszkę whisky Chivas Regal. Za stołem siedział gospodarz, Marcowy Zając, i jego goście: Kapelusznik, bywający tu niemal stale i Pierre Dormousse, bywający tu - i gdziekolwiek - niezmiernie rzadko. W szczycie stołu siedziała natomiast ciemnooka Alicja Liddell, z dziecięcą bezczelnością rozparta w wiklinowym fotelu i trzymająca oburącz filiżankę. Wyglądała na zupełnie nie przejętą faktem, że przy five o'clock whisky and tea towarzyszą jej zając o nieporządnych wąsach, karzełek w kretyńskim cylindrze, sztywnym kołnierzyku i muszce w grochy oraz grubiotki suseł, drzemiący z głową na stole.

Archie, Marcowy Zając, dostrzegł mnie pierwszy.

- Popatrzcie, któż to nadchodzi - zawołał, a tembr jego głosu wskazywał niedwuznacznie, że herbatę w tym towarzystwie piła tylko Alicja. - Któż to zbliża się? Czy mnie wzrok nie myli? Byłobyż to, że zacytuję proroka Jeremiasza, najszlachetniejsze ze zwierząt, mające chód wspaniały a krok wyniosły?

- Musiano gdzieś potajemnie otworzyć siódmą pieczęć - zawtórował Kapelusznik, łyknąwszy z porcelanowej filiżanki czegoś, co ewidentnie nie było herbatą. - Spójrzcie bowiem, oto kot blady, a piekło postępuje za

nim.

- Zaprawdę powiadam wam - oznajmiłem bez emfazy, podchodząc bliżej - jesteście jako cymbały brzmiące.

- Siadaj, Chester - powiedział Marcowy Zając. - I nalej sobie. Jak widzisz, mamy gościa. Gość zabawia nas właśnie opowiadaniem o przygodach, jakich zaznał od momentu przybycia do naszej Krainy. Założę się, że też chętnie posłuchasz. Pozwól, że przedstawię ci...

- My się już znamy.

- No pewnie - powiedziała Alicja, uśmiechając się uroczo. - Znamy się. To właśnie on wskazał mi drogę do waszego ślicznego domku. To jest Kot z Cheshire.

- Czegoś to napłótl dzieciakowi, Chester? - poruszył wąsami Archie. - Znowu popisywałeś się elokwencją, mającą dowieść twej wyższości nad innymi istotami? Co? Kocie?

- Ja mam kotkę - powiedziała ni z gruszki ni z pietruszki Alicja. - Moja kotka nazywa się Dina.

- Wspominałaś.

- A ten kot - Alicja niegrzecznie wskazała mnie palcem - czasami znika, i to tak, że widać tylko uśmiech, wiszący w powietrzu. Brrr, okropność.

- A nie mówiłem? - Archie uniósł głowę i postawił sztorcem uszy, do których wciąż przyczepione były źdźbła trawy i kłosa pszenicy. - Popisywał się! Jak zwykle!

- Nie sądźcie - odezwał się Pierre Dormousse, całkiem przytomnie, choć wciąż z głową na obrusie - abyście nie byli sądzeni.

- Zamknij się, Dormousse - machnął łapą Marcowy Zając. - Śpij i nie wtrącaj się.

- Ty zaś kontynuuj, kontynuuj, dziecko - ponaglił Alicję Kapelusznik. - Radziłyśmy posłuchać o twych przygodach, a czas nagli.

- Jeszcze jak nagli - mruknąłem, patrząc mu w oczy. Archie zauważył to i prychnął lekceważąco.

- Dziś jest środa - powiedział. - Mab i Les Coeurs grają w ich idiotycznego krokietu. Założę się, że jeszcze nic nie wiedzą o naszym gościu.

- Nie doceniasz Radetzkiego.

- Mamy czas, powtarzam. Wykorzystajmy go zatem. Taka zabawa nie trafia się każdego dnia.

- A cóż wy, jeśli wolno spytać, znajdujecie w tym zabawnego?

- Zobaczysz. No, droga Alicjo, opowiadaj. Zamieniamy się w słuch.

Alicja Liddell powiodła po nas zainteresowanym spojrzeniem swych ciemnych oczu, jak gdyby oczekiwała, że faktycznie w coś się zamienimy.

- Na czym to ja stanęłam? - zastanowiła się, nie doczekawszy żadnej metamorfozy. - Aha, już wiem. Na ciasteczkach. Tych, które miały napis "Zjedz mnie", ślicznie ułożony z czerwonych porzeczek na żółtym kremie. Ach, jakże smaczne były te ciasteczka! Naprawdę czarowny miały smak! I były czarodziejskie, w samej rzeczy. Gdy zjadłam kawałek, zaczęłam rosnąć. Przeraziłam się, sami rozumiecie... I prędko ugryzłam drugie ciasteczko, równie smaczne, jak to pierwsze. Wtedy zaczęłam maleć. Takie to były czary, ha! Mogłam raz być duża, a raz mała. Mogłam się kurczyć, mogłam się rozciągać. Jak chciałam. Rozumiecie?

- Rozumiemy - rzekł Kapelusznik i zatarł dłonie. - No, Archie, twoja kolej. Słuchamy.

- Sprawa jest jasna - oświadczył dumnie Marcowy Zając. - Majaczenie ma podtekst erotyczny. Zjedzenie ciasteczek to wyraz typowo dziecięcych fascynacji oralnych, mających podłoże w drzemającym jeszcze seksualizmie. Lizać i ciamkać, nie myśląc, to typowe zachowanie pubertalne, chociaż, przyznać trzeba, znam takich, którzy z tego nie wyrosli do późnej starości. Co do spowodowanego jakoby zjedzeniem ciasteczka kurczenia się i rozciągania, to nie będę chyba zbyt odkrywczy, gdy przypomnę mit o Prokruście i Prokrustowym łożu. Chodzi o podświadome pragnienie dopasowania się, wzięcia udziału w misterium

wtajemniczenia i wkroczenia do świata dorosłych. Ma to również podłoże seksualne. Dziewczynka pragnie...

- Na tym więc polega wasza zabawa - stwierdziłem, nie zapytałem. - Na psychoanalizie, mającej dociec, jakim cudem ona się tu znalazła. Szkopuł wszakże w tym, że u ciebie, Archie, wszystko ma podłoże seksualne. To zresztą typowe dla zajęców, królików, łasic, nutrii i innych gryzoni, którym tylko jedno w głowie. Powtarzam jednak moje pytanie: co w tym jest zabawnego?

- Jak w każdej zabawie - powiedział Kapelusznik - zabawne jest zabicie nudy.

- A fakt, że kogoś to nie bawi, bynajmniej nie dowodzi, że ten ktoś jest wyższą istotą - warknął Archie. - Nie uśmiechaj się, Chester, nikomu tu nie zaimponujesz twoim uśmiechem. Kiedy wreszcie zrozumiesz, że choćbyś nie wiem jak się wymądrzał, nikt, z tu obecnych nie obdarzy cię boską czcią? Nie jesteśmy w Bubastis, ale w Krainie...

- Krainie Czarów? - wtrąciła Alicja, wodząc po nas spojrzeniem.

- Dziwów - poprawił Kapelusznik. - Kraina Czarów to Faërie. To jest Wonderland. Kraina Dziwów.

- Semantyka - burknął znad obrusa Dormousse. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

- Kontynuuj, Alicjo - ponaglił Kapelusznik. - Co było dalej, po tych ciasteczkach?

- Ja - oświadczyła dziewczynka, bawiąc się uszkiem filiżanki - bardzo chciałam odszukać tego białego królika w kamizelce, tego, który nosił rękawiczki i zegarek z dewizką. Tak sobie myślałam, że jeśli go odzyskam, to może trafię też do tej nory, w którą wpadłam... I będę mogła tą norą wrócić. Do domu.

Milczeliśmy wszyscy. Ten fragment wyjaśnień nie wymagał. Nie było wśród nas takiego, który nie wiedziałby, czym jest i co symbolizuje czarna nora, upadek, długie, niekończące się spadanie. Nie było wśród

nas takiego, który nie wiedziałby że w całej Krainie nie ma nikogo, kto choćby z oddali mógł przypominać białego królika, noszącego kamizelkę, rękawiczki i zegarek.

- Szłam - podjęła cicho Alicja Liddell - przez ukwieconą łąkę, i nagle pośliznęłam się, bo cała łąka była mokra od rosy i bardzo śliska. Upadłam. Sama nie wiem jak, ale nagle chlupnęłam do morza. Tak myślałam, bo woda była słona. Ale to nie było wcale morze, wiecie? To była wielka kałuża łez. Bo ja płakałam wcześniej, bardzo płakałam... Bo bałam się i myślałam, że już nigdy nie odnajdę tego królika i tej nory. Wszystko to wyjaśniła mi jedna mysz, która pływała w tej kałuży, bo też tam przypadkiem wpadła, tak samo jak ja. Wyciągnęłyśmy się z tej kałuży nawzajem, to znaczy trochę mysz wyciągnęła mnie, a trochę ja wyciągnęłam mysz. Cała była mokra, biedaczka, i miała długi ogonek...

Zamilkła, a Archie popatrzył na mnie z wyższością.

- Niezależnie od tego, co myślą o tym różne koty - oświadczył, wystawiając na widok publiczny swe dwa żółte zęby - ogonek myszy to symbol falliczny. Tym tłumaczy się, nawiasem mówiąc, paniczny lęk, który na widok myszy ogarnia niektóre kobiety.

- Jesteście obłąkani - powiedziała z przekonaniem Alicja. Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

- A słone morze - zadrwiłem - powstałe z dziewczęcych łez, to oczywiście doprowadzająca do płaczu zazdrość o penisa? Co, Archie?

- Tak jest! Piszą o tym Freud i Bettelheim. Zwłaszcza Bettelheima godzi się tu przywołać, albowiem zajmuje się on psychiką dziecka.

- Nie będziemy - skrzywił się Kapelusznik, nalewając whisky do filiżanek - przywoływać tu Bettelheima. Freud też niech sobie requiescat in pace. Ta flaszka to w sam raz na nas czterech, comme il faut, nikogo więcej nam tu nie potrzeba. Opowiadaj, Alicjo.

- Później... - zastanowiła się Alicja Liddell. - Później przypadkowo napotkałam lokaja. Ale gdy się lepiej przyjrzałam, okazało się, że to nie

lokaj, ale wielka żaba, ubrana w lokajską liberię.

- Aha! - ucieszył się Marcowy Zając. - Jest i żaba! Płaz wilgotny i oślizgły, który pobudzony nadyma się, rośnie, zwiększa swe rozmiary! Czego to symbol, jak wam się zdaje? Penisza przecież!

- No pewnie - kiwnąłem głową. - Czegóżby innego. Tobie wszystko kojarzy się z penisem i z dupą, Archie.

- Jesteście obłąkani - powiedziała Alicja. - I wulgarni.

- No pewnie - przytaknął Dormousse, unosząc głowę i patrząc na nią sennie. - Każdy to wie. Och, ona tu jeszcze jest? Jeszcze po nią nie przyszli?

Kapelusznik, wyraźnie zaniepokojony, obejrzał się na las, z głębi którego dobiegały jakieś trzaski i chrupotanie. Ja, będąc kotem, słyszałem te odgłosy już od dawna, zanim jeszcze się przybliżyły. To nie byli Les Coeurs, to była wataha zbłąkiń, szukających wśród ściółki czegoś do żarcia.

- Tak, tak, Archie - nie zamierzałem uspokajać Zająca, który również słyszał chrupotanie i płochliwie postawił uszy. - Powinieneś pospieszyć się z psychoanalizą, w przeciwnym razie Mab dokończy jej za ciebie.

- Może więc ty dokończysz? - Marcowy Zając poruszył wąsami. - Ty, jako istota wyższa, znasz wszakże na wylot mechanizmy zachodzących w psychice procesów. Niewątpliwie wiesz, jak to się stało, że umierająca córka dziekana Christ Church, miast odejść w pokoju, nie budząc się z letargu, błąka się po Krainie?

- Christ Church - pohamowałem zdziwienie. - Oksford. Który rok?

- Tysiąc osiemset sześćdziesiąt dwa - burknął Archie. - Noc z siódmego na ósmy lipca. Czy to ważne?

- Nieważne. Uczynź podsumowanie twego wyводу. Bo przecież masz już gotowe podsumowanie?

- Jasne, że mam.

- Płonę z ciekawości.

Kapelusznik nalał. Archie łyknął, jeszcze raz popatrzył na mnie wyniośle, odchrząknął, zatarł łapy.

- Mamy tu - zaczął uroczyście i podniośle - do czynienia z typowym przypadkiem konfliktu id, ego i superego. Jak szanownym kolegom wiadomo, w psychice udzkiej id jest tym, co niebezpieczne, co popędowe, co groźne i niezrozumiałe, tym, co wiąże się z niemożliwą do pohamowania tendencją do bezmyślnego zaspakajania przyjemności. Owo bezmyślne uleganie popędom usiłuje dana osoba - jak to przed chwilą obserwowaliśmy - niezdarnie usprawiedliwiać imaginowanymi instrukcjami typu "wypij mnie" czy "zjedz mnie", co - oczywiście fałszywie - pozorować ma poddanie id kontroli racjonalnego ego. Ego danej osoby to bowiem wpojona jej wiktoriańska zasada rzeczywistości, realności, konieczności poddania się nakazom i zakazom. Realność to surowe wychowanie domowe, surowa, choć pozornie barwna realność "Young Misses Magazine", jedynej lektury tego dziecka...

- Nieprawda! - wrzasnęła Alicja Liddell. - Czytałam jeszcze "Robinsona Crusoe"! I Sir Waltera Scotta!

- Nad tym wszystkim - Zając nie przejął się wrzaskiem - próbuje bez rezultatu zapanować nierozbudowane superego rzeczonyj i - sit licentia verbo - przytomnej tu osoby. A superego, nawet szczątkowe, przesądza między innymi o zdolności do fantazjowania. Dlatego też próbuje przekładać zachodzące procesy na wizje i obrazy. Vivere cesse, imaginare necesse est, jeśli pozwolą szanowni koledzy na parafrazę...

- Szanowni koledzy - powiedziałem - pozwolą sobie raczej na uwagę, że wywód, choć w zasadzie teoretycznie prawidłowy, niczego nie tłumaczy, stanowi więc klasyczny przypadek akademickiej gadaniny.

- Nie obrażaj się, Archie - niespodziewanie poparł mnie Kapelusznik. - Ale Chester ma rację. Nadal nie wiemy, jakim sposobem Alicja się tu znalazła.

- Toście tępaki są! - zamachał łapami Zając. - Przecież mówię! Wniosła

ją tu jej przepełniona erotyzmem fantazja! Jej lęki! Pobudzone jakimś narkotykiem utajone marzenia...

Urwał, wpatrzony w coś za moimi plecami. Teraz i ja słyszałem szum piór. Usłyszałyby wcześniej, gdyby nie jego gadanina.

Na stole, dokładnie pomiędzy butelką a imbrykiem, wylądował Edgar. Edgar jest krukiem. Edgar dużo lata a mało gada. Dlatego w Krainie służy wszystkim głównie jako posłaniec. Tym razem również tak było, bo Edgar trzymał w dziobie sporą kopertę, ozdobioną rozdzielonymi koroną inicjałami MR.

- Cholerna banda - szepnął Kapelusznik. - Cholerna efekciarska banda.

- To do mnie? - zdziwiła się Alicja. Egdar kiwnął głową, dziobem i listem.

Wzięła kopertę, ale Archie bezceremonialnie wyrwał ją jej, złamał pieczęć.

- Jej Królewska Wysokość Mab *etc. etc.* - odczytał - zaprasza do wzięcia udziału w partii krokieta, która odbędzie się...

Popatrzył na nas.

- Dziś - poruszył wąsami. - A więc dowiedzieli się. Pieprzony nietoperz rozgadał i dowiedzieli się.

- Cudownie! - Alicja Liddell klasnęła w dłonie. - Partia krokieta! Z królową! Czy już mogę iść? Byłoby niegrzecznie się spóźnić.

Kapelusznik chrząknął głośno. Archie obrócił list w dłoni. Dormousse zachrapał. Edgar milczał, strosząc czarne pióra.

- Zatrzymajcie ją tu, jak długo się da - zdecydowałem się nagle i wstałem. - Zaraz wracam.

- Nie wygłupiaj się, Chester - mruknął Archie. - Nic nie zdziałasz, choćbyś i dotarł na miejsce, w co wątpię. Już za późno. Mab o niej wie, nie pozwoli jej odejść. Nie uratujesz jej. Nie ma sposobu.

- Może się założymy?

Wiatr czasu i przestrzeni wciąż jeszcze szumiał mi w uszach i jeżył sierść, a ziemia, na której stałem, za nic w świecie nie chciała przestać się trząść. Równowaga i twarda realność szybko i konsekwentnie wypierały jednak horror vacui, który towarzyszył mi przez kilka ostatnich chwil. Mdłości, jakkolwiek niechętnie, ustępowały, oczy z wolna przyzwyczajały się się do euklidesowej geometrii.

Rozejrzałem się.

Ogród, w którym wylądowałem, był prawdziwie angielski, to znaczy zarośnięty i zakrzaczony jak cholera. Gdzieś z lewej załatywało bagienkiem i dał się co i raz słyszeć krótki kwak, wywnioskowałem więc, że nie brakuje tu i stawu. W głębi płonęła światłami pokryta bluszczem fasada niedużego piętrowego domu.

W zasadzie pewien byłem swego, to znaczy tego, że trafiłem we właściwe miejsce i właściwy czas. Ale wolałem się upewnić.

- Czy jest tu ktoś, u diabła? - zapytałem zniecierpliwiony.

Nie czekałem długo. Z mroku wyłonił się rudy i pręgowaty jegomość. Nie wyglądał na właściciela ogrodu, choć usilnie starał się wyglądać. Głupkiem nie był, najwyraźniej wpojono mu też w wieku kocięcym nieco manier i savoir vivre'u, bo gdy mnie zobaczył, pozdrowił grzecznie, siadając i owijając łapy ogonem. Ha, chciałbym zobaczyć któregoś z was, ludzi, reagujących w sposób równie spokojny na pojawienie się którejś z istot z waszej mitologii. I demonologii.

- Z kim mam przyjemność? - zapytałem krótko i obcesowo.

- Russet Fitz-Rourke Trzeci, Your Grace.

- To - ruchem ucha pokazałem, co mam na myśli - oczywiście Anglia?

- Oczywiście.

- Oksford?

- W samej rzeczy.

Trafiłem więc. Kaczka, którą słyszałem, pływała zapewne nie po stawie, ale po Tamizie lub Cherwell. A wieża, którą widziałem podczas

ładowania, to była Carfax Tower. Problem tkwił jednak w tym, że Carfax Tower wyglądała identycznie podczas mojej poprzedniej wizyty w Oksfordzie, a było to w 1645, na krótko przed bitwą pod Naseby. Radziłem wówczas królowi Karolowi, by rzucił wszystko w cholerę i uciekł do Francji.

- Kto w tej chwili rządzi Brytanią?
- W Anglii, Merlin z Glastonbury. W Szkocji...
- Nie pytam o koty, głupcze.
- Przepraszam, Wasza Miłość. Królowa Wiktorja.

Dobra nasza. Chociaż, z drugiej strony, babsko rządziło sześćdziesiąt cztery lata, 1837 - 1901. Zawsze była możliwość, że przestrzeliłem odrobinę w przód lub w tył.

Mógłbym wprost zapytać rudzielca o datę, ale nie wypadało mi, jak sami rozumiecie. Mógłby sobie pomyśleć, że nie jestem wszechwiedzący. Prestiż, jak to mówią, über alles.

- Do kogo należy ten dom?
- Do Venerj Whiteblack... - zaczął, ale natychmiast się poprawił. - To znaczy, ludzkim właścicielem jest pan dziekan Henry George Liddell.
- Dzieci są? Nie pytam o Venerę Whiteblack, ale o dziekana Liddella.
- Trzy córki.
- Któraś ma na imię Alicja?
- Średnia.

Odetchnąłem ukradkiem. Rudzielec też odetchnął. Był przekonany, że nie wypytuje, lecz egzaminuje.

- Jestem wielce zobowiązany, sir Russet. Udanego polowania.
- Dziękuję, Your Grace.

Nie odwzajemnił życzenia udanego polowania. Znał legendy.

Wiedział, jakiego rodzaju polowanie może oznaczać moje pojawienie się w jego świecie.

Przechodziłem przez mur, przez ściany, oklejone krzykliwą kwiecistą tapetą, przez sztukaterię, przez meble. Przechodziłem przez zapach kurzu, lekarstw, jabłek, sherry, tytoniu i lawendy. Przechodziłem przez głosy, szepty, westchnienia i łkania. Przeszedłem przez oświetlony living room, w którym dziekan i dziekanowa Liddell rozmawiali ze szczupłym przygarbionym brunetem o bujnej fryzurze. Znalazłem schody. Minąłem dwie dziecięce sypialnie, tchnące młodym, zdrowym snem. A przy trzeciej sypialni wpakowałem się na Strażniczkę.

- Przybywam w pokoju - powiedziałem szybko, cofając się przed ostrzegawczym sykiem, kłami, pazurami i wściekłością. - W pokoju!

Leżąca na progu Venera Whiteblack płasko położyła uszy, poczęstowała mnie następną falą nienawiści, po czym przybrała klasyczną pozę bojową.

- Pohamuj się, kotko!

- Apage! - zasyczała, nie zmieniając pozycji. - Precz! Żaden demon nie przejdzie przez próg, na którym ja leżę!

- Nawet taki - zniecierpliwiłem się - który nazwie cię Diną?

Drgnęła.

- Zejdź mi z drogi - powtórzyłem. - Dino, kotko Alicji Liddell.

- Wasza miłość? - spojrzała na mnie niepewnie. - Tutaj?

- Chcę wejść do środka. Usuń się z progu. Nie, nie, nie odchodź. Wejdź ze mną.

W pokoiku, zgodnie z obyczajem epoki, stało tyle mebli, ile wlaźło. Ściany i tu pokrywała tapeta z przeraźliwym kwietnym motywem. Nad komódką wisiała niezbyt udana grafika, przedstawiająca, jeśli wierzyć podpisowi, niejaką Mrs. West w roli Desdemony. A na łóżeczku leżała Alicja Liddell, nieprzytomna, spocona i blada jak upiór. Majaczyła tak silnie, że w powietrzu nad nią niemal widziałem czerwone dachówki domku Zająca i słyszałem "Greensleeves".

- Pływali łódką po Tamizie, ona, jej siostry i pan Charles Lutwidge

Dodgson - Venera Whiteblack upредиła moje pytanie. - Alicja wpadła do wody, przeziębila się i dostała gorączki. Był lekarz, przepisał jej różne leki, leczono ją też domową apteczką. Przez nieuwagę zaplątała się między lekarstwa buteleczka laudanum, a ona ją wypila. Od tego czasu jest w takim stanie.

Zamyśliłem się.

- Czy ów nieodpowiedzialny Charles, to ten z fryzurą pianisty, rozmawiający z dziekanem Liddellem? Gdy przechodziłem przez salon, czułem emanujące od niego myśli. Poczucie winy.

- Tak, to właśnie on. Przyjaciel domu. Wykładowca matematyki, ale poza tym do zniesienia. I nie nazwałabym go nieodpowiedzialnym. To nie była jego wina, na łódce. Wypadek, jaki każdemu mógł się zdarzyć.

- Czy on często przebywa w pobliżu Alicji?

- Często. Ona go lubi. On ją lubi. Gdy na nią patrzy, mruży. Wymyśla i opowiada małej różne niestworzone historie. Ona to uwielbia.

- Aha - poruszyłem uchem. - Niestworzone historie. Fantazje.

I laudanum. No, to jesteśmy w domu, pun not intended. Mniejsza z tym. Pomyślmy o dziewczynce. Życzeniem moim jest, aby wyzdrowiała. I to pilnie.

Kotka zmrużyła złote oczy i nastroszyła wąsy, co u nas, kotów, oznacza bezbrzeżne zdumienie. Opanowała się jednak szybko. I nie odezwała się. Wiedziała, że pytanie o motywy byłoby potwornym nietaktem. Wiedziała też, że nie odpowiedziałbym na takie pytanie. Żaden kot nigdy nie odpowiada na takie pytanie. Robimy zawsze to, co chcemy i nie zwykliśmy się usprawiedliwiać.

- Życzeniem moim jest - powtórzyłem dobitnie - aby choroba opuściła pannę Alicję Liddell.

Venera usiadła, mrugnęła, poruszyła uchem.

- To twój przywilej, książę - powiedziała łagodnie. - Ja... Ja mogę wyłącznie podziękować... za zaszczyt. Kocham to dziecko.

- To nie był zaszczyt. Nie dziękuj więc, tylko bierz się do roboty.

- Ja? - niemal podskoczyła z wrażenia. - Ja mam ją uleczyć? Przecież to zabronione dla zwykłych kotów! Myślałam, że wasza wysokość sama raczy... Zresztą, ja nie umiałabym...

- Po pierwsze, nie ma zwykłych kotów. Po drugie, mnie wolno złamać każdy zakaz. Niniejszym go łamię. Bierz się do roboty.

- Ale... - Venera nie spuszczała ze mnie oczu, w których nagle pojawił się przestrah. - Przecież... Jeśli wymruczę z niej chorobę, wtedy ja...

- Tak - powiedziałem lekceważąco. - Umrzesz zamiast niej.

Jakoby kochasz tę dziewczynkę, pomyślałem. Udowodnij to. Myślałaś może, że wystarczy leżeć na kolanach, mruścić i pozwalać się głaskać? Umacniać przekonanie, że koty są fałszywe, że nie przyzwyczajają się do ludzi, lecz wyłącznie do miejsca?

Oczywiście, mówienie takich banałów Venerze Whiteblack było poniżej mojej godności. I całkowicie niepotrzebne. Stała za mną potęga autorytetu. Jedyne autorytetu, jaki akceptuje kot.

Venera miauknęła cicho, wskoczyła na piersi Alicji, zaczęła mocno uciskać łapkami kołdrę. Słyszałem ciche trzaski pazurków, czepiających się adamaszku. Wyczuwszy właściwe miejsce, kotka ułożyła się i zaczęła głośno mruścić. Mimo ewidentnego braku wprawy robiła to doskonale.

Niemal czułem, jak z każdym pomrukiem wyciąga z chorej to, co należało wyciągnąć.

Nie przeszkadzałem jej, rzecz jasna. Czuwałem, by nie przeszkodził nikt inny. Okazało się, że słusznie.

Drzwi otwały się cicho i do pokoiku wszedł ów blady brunet, Charles Ludwig czy Ludwig Charles, zapomniałem. Wszedł ze spuszczoną głową, cały skruszony i przepełniony żalem i winą.

Natychmiast zobaczył leżącą na piersi Alicji Venerę Whiteblack i natychmiast uznał, że jest na kogo winę zwalić.

- Ejże, kkk... kocie - zająknął się. - Psik! Zejdź z łóżka nnnaaa...

natychmiast!

Postąpił dwa kroki, spojrział na fotel, na którym leżałem. I zobaczył mnie - a może nie tyle mnie, co mój uśmiech, zawieszony w powietrzu. Nie wiem, jakim cudem, ale zobaczył. I zbladł. Potrząsnął głową. Przetarł oczy. Oblizał wargi. A potem wyciągnął ku mnie rękę.

- Dotknij mnie - powiedziałem najśłodziej jak potrafiłem. - Tylko mnie dotknij, grubianinie, a przez resztę życia będziesz wycierał nos protezą.

- Kim ty jee... - zająknął się - jeee... steś?

- Imię moje jest legion - odrzekłem obojętnie. - Dla przyjaciół Malignus, princeps potestatis aeris. Jestem jednym z tych, którzy krążą, rozglądając się, quaerens quem devoret. Na wasze szczęście, tym, co chcemy pożerać, z reguły są myszy. Ale na twoim miejscu nie wyciągałbym pospiesznych i zbyt daleko idących wniosków.

- To nnn... - zająknął się, tym razem tak gwałtownie, że oczy o mało nie wylazły mu z orbit. - To nnniee...

- Możliwe, możliwe - zapewniłem, nadal uśmiechnięty na białło i ostro. - Stój tam, gdzie stoisz. Ogranicz aktywność do minimum, a daruję cię zdrowiem. Parole d'honneur. Zrozumiałeś, co powiedziałem, dwunogu? Jedynym, czym wolno ci poruszyć, są powieki i gałki oczne. Zezwalam też na ostrożne wdechy i wydechy.

- Ale...

- Na gadanie nie zezwalam. Milcz i nie ruszaj się, jakby twoje życie od tego zależało. Bo zależy, nawiasem mówiąc.

Pojął. Stał, pocił się w ciszy, patrzył na mnie i intensywnie myślał. Miał bardzo powikłane myśli. Nie oczekiwałem takich u wykładowcy matematyki.

W tym czasie Venera Whiteblack robiła swoje, a powietrze aż wibrowało od magii jej pomruków. Alicja poruszyła się, jęknęła. Kotka uspokoiła ją, kładąc lekko łapkę na twarzy. Charles Lutwidge Dodgson - przypomniałem sobie jego miano - drgnął na ten widok.

- Spokojnie - powiedziałem nadspodziewanie łagodnie. - Tutaj się leczy. To terapia. Bądź cierpliwy.

Przyglądał mi się przez chwilę.

- Jesteś mmm... moją własną fantazją - mruknął wreszcie. - Nie ma sensu, bym z ttt...tobą rozmawiał.

- Z ust mi to wyjąłeś.

- To - wskazał łóżko lekkim ruchem głowy - to ma być ttt... terapia? Kocia terapia?

- Zgadłeś.

- Though this be madness - wybąkał, o dziwo bez zająknięcia - yet there is method in't.

- I to także wyjąłeś mi z ust.

Czekaliśmy. Wreszcie Venera Whiteblack przestała mruzczyć, położyła się na boku, ziewnęła i kilkakrotnie przeczesła futro różowym jęczorkiem.

- Chyba już - oznajmiła niepewnie. - Wyciągnęłam wszystko. Truciznę, chorobę i gorączkę. Miała jeszcze coś w szpiku kostnym, nie wiem, co to było. Ale dla pewności wyciągnęłam również.

- Brawo, My Lady.

- Your Grace?

- Słucham?

- Ja wciąż żyję.

- Chyba nie sądziłaś - uśmiechnąłem się z wyższością - że pozwolę ci umrzeć?

§ § §

Kotka zmrużyła oczy w niemym podziękowaniu. Charles Ludwidge Dodgson, od dłuższej chwili śledzący niespokojnym wzrokiem nasze poczynania, chrząknął nagle głośno. Spojrzałem na niego.

- Mów - zezwoliłem wspaniałomyślnie. - Tylko nie jākaj się, proszę.

- Nie wiem, co za rytuał się tu odprawia - zaczął cicho. - Ale są rzeczy na niebie i ziemi...

- Przejdź do tych rzeczy.

- Alicja wciąż jest nieprzytomna.

Ha. Miał rację. Wyglądało na to, że operacja się udała. Ale wyłącznie lekarzom. *Medice, cura te ipsum*, pomyślałem. Zwlekałem z zabranieniem głosu, czując na sobie pytający wzrok kotki i niespokojny wzrok wykładowcy matematyki. Rozwazałem różne możliwości. Jedną z nich było wzruszenie ramionami i pójdźcie sobie precz. Ale za mocno zaangażowałem się już w tę historię, nie mogłem teraz się wycofać. Flaszka, o którą założyłem się z Zającem, to jedno, ale prestiż...

Myślałem intensywnie. Przeszkadzono mi w tym.

Charles Lutwidge podskoczył nagle, a Venera Whiteblack wyprężyła się i gwałtownie uniosła głowę. Na esach-floresach wiktoriańskiej tapety zatańczył szybki, ruchliwy cień.

- Haa-haa! - zapiszczał cień, kołując przy żyrandolu. - Czy nie mewają koty na nietoperze ochoty?

Venera położyła uszy, zasyczała, wygięła grzbiet, prychnęła wściekle. Radetzky przezornie zawisł na abażurze.

- Chester! - zawołał z wysokości, rozwijając jedno skrzydło. - Archie kazał powtórzyć, byś się pospieszył! Jest źle! Les Coeurs zabrali dziewczynę! Pospiesz się, Chester!

Zakląłem bardzo brzydko, ale po egipsku, więc nikt nie zrozumiał. Rzuciłem okiem na Alicję. Oddychała spokojniej, na jej twarzy dostrzegałem też coś na kształt rumieńca. Ale, cholera jasna, nadal była nieprzytomna.

- Ona wciąż śni - odkrył Amerykę Charles Lutwidge Dodgson. - Co najgorsze, obawiam się, że to nie jest jej sen.

- Ja też się tego obawiam - popatrzyłem mu w oczy. - Ale nie czas na teoretyzowanie. Trzeba wyrwać ją z maligny, zanim nie dojdzie do rzeczy

nieodwracalnych. Radetzky? Gdzie jest w tej chwili dziewczyna?

- Na Wonderland Meadows! - zaskrzeczał nietoperz. - Na polu krokietowym! Z Mab i Les Coeurs!

- Lecimy.

- Lećcie - Venera Whiteblack wysunęła pazury. - A ja będę tutaj czuwać.

- Zaraz - Charles Lutwidge potarł czoło. - Nie wszystko rozumiem... Nie wiem, dokąd i po co chcecie lecieć, ale... Chyba nie obejdzie się beze mnie... To ja muszę wymyślić zakończenie tej historii. Żeby to zrobić... By Jove! Muszę pójść z wami.

- Chyba żartujesz - parsknąłem. - Nie wiesz, o czym mówisz.

- Wiem. To moja własna fantazja.

- Już nie.

W drodze powrotnej horror vacui był jeszcze gorszy. Bo spieszyłem się. Zdarza się, że w podczas takich podróży pośpiech okazuje się zgubny. Mała pomyłka w obliczeniach i nagle trafia się do Florencji w roku 1348, w czas epidemii Czarnej śmierci. Albo do Paryża, w noc z dwudziestego trzeciego na dwudziesty czwarty sierpnia 1572.

Ale miałem szczęście. Trafiłem tam, dokąd należało.

§ § §

Kapelusznik nie mylił się ani nie przesadzał, zwąc całą tą paskudną bandę efekciarzami. Oni wszystko robili z efektem i dla efektu. Zawsze. Tym razem też tak było.

Usytuowany pomiędzy akacjami trawnik nieudolnie udawał pole do krokietu, dla efektu ustawiono nawet na nim półokrągłe bramki, w krokietowym żargonie zwane arches. Les Coeurs - w liczbie około dziesięciu - trzymali w rękach rekwizyty: młotki, czyli mallets, a po murawie walało się coś, co miało imitować piłki, ale wyglądało zupełnie jak zwinięte w kłębek jeże. Rej zaś wśród szajki wiodła oczywiście

płomiennowłosa Mab, ustrójona w karminowe atłasy i krzykliwą biżuterię. Podniesionym głosem i władczymi gestami wskazywała Les Coeurs miejsca, które winni zająć. Jedną rękę trzymała przy tym na ramieniu Alicji Liddell. Dziewczynka przyglądała się królowej i przygotowaniom z żywym zainteresowaniem i płonącymi policzkami. W oczywisty sposób nie pojmowała, że szykuje się nie zabawa, lecz sadystyczna i efekciarska egzekucja.

Moje niespodziewane pojawienie się wywołało - jak zwykle - lekkie poruszenie i szumek wśród Les Coeurs, które Mab szybko jednak opanowała.

- Żałuję, Chester - powiedziała zimno, mnąc falbanki na ramieniu Alicji uzbrojonymi w pierścienie palcami. - Bardzo żałuję, ale mamy już komplet graczy. Między innymi z tego powodu nie wysłano ci zaproszenia.

- Nie szkodzi - ziewnąłem, demonstrując siekacze, kły, łamacze, przedtrzonowce i trzonowce, łącznie całą kupę zębiny i szkliwa. - Nie szkodzi, Wasza Wysokość, i tak zmuszony byłbym odmówić. Nie przepadam za krokietem, wolę inne gry i zabawy. Co zaś tyczy kompletu graczy, to tuszę, że macie i rezerwowych?

- A co ciebie - Mab zmrużyła oczy - może obchodzić, co mamy a czego nie?

- Zmuszony jestem zabrać stąd pannę Liddell. Licząc, że nie zepsuję wam tym zabawy.

- Aha - Mab odwzajemniła mi się demonstracją uzębienia, słabo imitującą uśmiech. - Aha. Rozumiem.

Wytlumacz mi jednak, dlaczego nasze odwieczne spory o hegemonię mają polegać na wzajemnym wyrywaniu sobie zabawek?

Czy musimy zachowywać się jak dzieci? Czy nie możemy, ustaliliśmy czas i miejsce, załatwić tego, co jest do załatwienia? Czy mógłbyś mi to wyjaśnić, Chester?

- Mab - odrzekłem. - Jeśli chcesz dyskutować, to ustal czas i miejsce. Ze stosownym wyprzedzeniem. Dziś nie jestem w nastroju do dysputy. Poza tym, gracze czekają. Zabieram więc Miss Liddell i znikam, przestaję się narzucać.

- Po kiego grzyba - Mab, gdy się denerwowała, zawsze wpadała w jakieś okropne argot - i po kiego wała ci ten dzieciak, cholerny kocie? Dlaczego ci tak na nim zależy? A może to wcale nie chodzi o tego dzieciaka? Co? Odpowiedz mi!

- Powiedziałem, nie mam ochoty na dyskusje. Obejmuje to również odpowiedzi na pytania. Chodź tu, Alicjo.

- Ani mi się waż ruszyć, smarkulo - Mab zacisnęła palce na ramieniu Alicji, a twarz dziewczynki skurczyła się i pobladła z bólu. Z wyrazu jej ciemnych oczu wnosiłem, że chyba zaczynała rozumieć, w jaką grę tu się gra.

- Wasza Wysokość - rozejrzałem się i stwierdziłem, że Les Coeurs powoli mnie okrążają - raczy łaskawie zdjąć śliczną rączkę z ramienia tego dziecka. Bezzwłocznie. Wasza Wysokość raczy również łaskawie poinstruować swych sługusów, by wycofali się na przewidzianą protokołem odległość.

- Doprawdy? - Mab zademonstrowała dalsze zęby. - A jeśli nie raczę, to co, jeśli można wiedzieć?

- Można wiedzieć. Wtedy, ryża szelmo, ja też zachowam się nieprotokolarnie. Powypuszczam wątpia z całej waszej zasranej bandy.

I na tym zakończyło się gadanie. Les Coeurs zwyczajnie rzucili się na mnie, nie czekając, aż przebrzmi okrzyk Mab, a jej upierścieniona dłoń zakończy władczy gest. Rzucili się na mnie wszyscy, ilu ich było. Kupą.

Ale ja byłem na to przygotowany. Poleciały kłaki z ich ozdobionych karcianymi symbolami kubraków. Poleciały kłaki z nich. I ze mnie też, ale znacznie mniej. Przewaliłem się na grzbiet. Trochę to zmniejszyło moją ruchliwość, ale mogłem robić z nich sieczkę również za pomocą tylnych

łap. Wysięk pomału zaczął się opłacać - kilku Les Coeurs, zdrowo poznaczonych moimi pazurami i kłami, rzuciło się do sromotnej rejterady, lekceważąc wrzaski Mab, która w niewyszukanych słowach rozkazywała im, co i z czego mają mi wyrwać.

- A kto się w ogóle z wami liczy? - rozdarła się nagle Alicja, wnosząc do rejwachu zupełnie nowe nuty. - Jesteście talią kart! Tylko talią kart!

- Tak? - zawyła Mab, tarmosząc nią gwałtownie. - Co ty nie powiesz?

Jeden z Les Coeurs, kędzierzawy młodzian ze znakiem trefla na piersi, chwycił mnie oburącz za ogon. Nie znoszę takich poufałości, więc urwałem mu głowę. Ale inni siedzieli już na mnie i robili użytek z pięści, obcasów i krokietowych młotków, dysząc przy tym mocno. Zawzięci byli, jak cholera. Ale ja też byłem zawzięty. Po chwili trochę się dokoła przeluźniło. Mogłem przejść od wojny pozycyjnej do manewrowej. Murawa była już diabło czerwona i diabło śliska.

Alicja z całej siły kopnęła Mab w goleń. Jej królewska wysokość zakłęta plugawie i strzeliła ją z rozmachem w twarz. Dziewczynka upadła, lądując na jednym z Les Coeurs, który właśnie usiłował wstać. Nim zrzucił z siebie Alicję, wydrapałem mu jedno oko. Temu, który starał się przeszkadzać, wydrapałem oba. Dwaj pozostali dali nogę, a ja mogłem wstać.

- No, kochana Queen of Hearts? Może wystarczy na dziś? - wydyszałem, oblizując krew z nosa i wąsów. - Może dokończymy innym razem, ustaliwszy wprzód czas i miejsce?

Mab poczęstowała mnie wiązką, w której określenie "pręgowany skurwysyn" było najłagodniejszym, choć i najczęściej się powtarzającym. Najwyraźniej nie miała zamiaru odkładać konfliktu do innego razu. Kilku Les Coeurs ochłonęło już z pierwszego szoku i szykowało się do ponownego ataku. A już byłem nieco zmęczony i ponad wszelką wątpliwość miałem złamane żebro. Zastłoniłem sobą Alicję.

Mab rozdarła się triumfalnie. Krzaki akacji rozstąpiły się nagle niczym

Morze Czerwone. A stamtąd, zagrzewany do boju hałłakowaniem Les Coeurs, wybiegł truchtem Banderzwierz. Dokładniej, ładnie wyrośnięty egzemplarz Banderzwierza. Zgroźliwego Banderzwierza.

- Czapkę sobie z ciebie każę uszyć, Chester! - wrzasnęła Mab, wskazując Banderzwierzowi, na kogo ma się rzucić. - Jeśli zostanie z ciebie dość futra na czapkę!

Jestem kotem. Mam dziewięć żywotów. Nie wiem jednak, czy mówiłem wam, że osiem już wykorzystałem.

- Uciekaj, Alicjo! - warknąłem. - Uciekaj!

Ale Alicja Liddell nie poruszyła się, sparaliżowana strachem. Niezbyt się jej dziwiłem.

Banderzwierz drapnął szponami murawę, jakby zamierzał wykopać stację metra albo tunel pod Mont Blanc. Zjeżył czarno-rudą sierść, przez co zrobił się blisko dwukrotnie większy, choć i tak był dostatecznie duży. Mięśnie pod jego skórą zagrały Dziewiątą Symfonię, ślepią zapłonęły piekielnym ogniem. Rozwarł paszczę w sposób, który mi bardzo pochlebiał. I rzucił się na mnie.

Broniłem się zawzięcie. Dałem z siebie wszystko. Ale on był większy i sakramencko silny. Nim udało mi się wreszcie strącić go z siebie i odpędzić, dał mi solidny wycisk.

Ledwo trzymałem się na nogach. Krew zalewała mi oczy i stygła na bokach, a ostry koniec jednego z licznych złamanych żeber usilnie próbował szukać czegoś w moim prawym płucu. Alicja darła się tak, że w uszach świdrowało. A Banderzwierz zamasyście wytarł jaja o trawę, poruszył resztkami uszu, spojrzął na mnie spod poharatanych powiek a sponad broczącego nosa. Znowu rozwarł paszczę. I zupełnie niespodziewanie ją zamknął. Zamiast znowu skoczyć i dobić mnie, stał w czarsmutleniu cichym. Jak dupa wołowa.

Obejrzałem się odruchowo i powiadam wam, ostatni raz widziałem coś podobnego w "Narodzinach narodu" Griffitha. Bo oto spomiędzy

drzew szarżowała odsiecz. Ale nie była to U.S Cavalry ani Ku-Klux-Klan. Był to mój znajomy, niejaki Charles Lutdwige Dodgson. Wyglądał, powiadam wam, niczym święty Jerzy na obrazie Carpaccia, a uzbrojony był w miecz worpalny, ślący oślepiające migbłystalne refleksy.

Nie uwierzycie, ale Banderzwierz uciekł pierwszy. śladem jego podkulonego ogona salwowali się ucieczką ci z Les Coeurs, którzy jeszcze władali nogami. A ostatnia zeszła z placu boju królowa Mab, płacząc się w atlasową suknię. Ja zaś widziałem to już jak przez napełnione buraczanym barszczem akwarium. A w chwilę później...

Przyrzeknijcie, że nie będziecie się śmiać.

W chwilę później zobaczyłem królika o różowych oczach, patrzącego na cyferblat zegarka, wyciągniętego z kieszeni kamizelki. A potem wpadłem do czarnej, bezdennej nory.

Spadanie trwało długo.

Jestem kotem. Spadam zawsze na cztery łapy. Nawet jeśli tego nie pamiętam.

§ § §

- Ach - powiedział nagle Charles Lutwidge Dodgson, opierając się łokciem o wiklinowy koszyk z kanapkami. - Czy znasz, Kocie z Cheshire, to rozkoszne uczucie senności, towarzyszące przebudzeniu o letnim poranku, gdy powietrze dzwoni ćwierkotaniem ptasząt, ożywczy wiaterek wieje przez otwarte okno, a ty, leżąc leniwie z półprzymkniętymi oczyma, widzisz, jakby wciąż śniąc, kołyszące się leniwie zielone gałązki, powierzchnię wody, marszczoną złotymi falkami?

Ach, wierzaj mi, Kocie, to rozkosz granicząca z głębokim smutkiem, rozkosz, która napełnia oczy łzami niby piękny obraz lub wiersz...

Nie uwierzycie. Nie zająknął się ani razu.

Piknik trwał w najlepsze. Alicja Liddell i jej siostry bawiły się

hałaśliwie na brzegu Tamizy, po kolei wchodząc na przycumowaną łódkę i po kolei zeskakując z niej. Jeśli którejs zdarzyło się plusnąć przy tym w płyciutką wodę przy brzegu, piszczała przeraźliwie i wysoko unosiła sukieneczkę. Wówczas siedzący obok mnie Charles Lutwidge Dodgson ożywił się lekko i lekko rumienił.

- And I have loved you so long... - zanuciłem pod wąsem, dochodząc do wniosku, że Marcowy Zając miał sporo racji w tym, co mówił.

- Słucham?

- "Greensleeves". Mniejsza z tym. Wiesz co, drogi Charlesie? Opisz to wszystko. Bajka, jak widać na załączonej ilustracji, z wolna jak gmach urosła i pełna jest postaci osobliwych. Czas, by to opisać. Tym bardziej, że początek już został zrobiony.

Milczał. I nie odrywał wzroku od piszczącej radośnie Alicji Liddell, unoszącej sukieneczkę tak, by dokładnie widać było majtki.

- Pół życia nas rozdziela - powiedział nagle cicho. - I czas, okrutnie szybko mknący. Nigdy już o mnie nie pomyśli w latach młodości nadchodzącej...

- Sugerowałbym raczej prozę - nie wytrzymałem. - Poezja się nie sprzedaje.

Spojrzał na mnie i skrzywił się lekko.

- Czy mógłbyś się... hmmm... bardziej umaterialnić? - spytał. - To denerwujące, patrzeć na twój uśmiech, zawieszony w nicości.

- Dzisiaj, drogi Charlesie, nie potrafię niczego ci odmówić. Zbyt wielki mam dług u ciebie.

- Nie mówmy o tym - powiedział z zakłopotaniem, odwracając wzrok. - Każdy na moim miejscu... Nie mogłem przecież pozwolić, by ją... i ciebie... zabiła moja własna fantazja.

- Dziękuję, że nie pozwoliłeś. A tak między nami: skąd, chlubno jazd i piechot, miałeś miecz worpalny migbłystalny?

- Skąd miałem co?

- Forget it. Charlesie, odbiegamy od tematu.

- Książka, opisująca to wszystko? - zamyślił się znowu. - Czy ja wiem? Doprawdy, nie wiem, czy potrafiłbym...

- Potrafiłbyś. Twoja fantazja ma siłę, zdolną łamać żebra.

- Hmmm - zrobił ruch, jakby chciał mnie pogłaskać, ale rozmyślił się w porę. - Hmm, kto wie? Może jej... spodobałaby się taka książka? Poza tym, uczelnia płaci marnie, zdałoby się parę funtów na boku... Oczywiście, musiałbym wydawać pod pseudonimem. Moja posada wykładowcy...

- Niezbędne jest ci porządne nom de plume, Charlesie - ziewnąłem. - Nie tylko ze względu na władze uczelni. Twoje rodowe nazwisko nie nadaje się na okładkę. Brzmi tak, jakby ktoś umierający na odnę płuc dyktował testament.

- Niesłychane - udał oburzenie. - Masz może jakąś propozycję? Coś, co brzmi lepiej?

- Mam. William Blake.

- Szydzisz.

- Emily Brontë.

Tym razem zamilkł i długo się nie odzywał. Panny Liddell znalazły na brzegu skorupkę szczeżui. Radosnym okrzykiem nie było końca.

- Śpisz, Kocie z Cheshire?

- Staram się.

- No, to śpij, tygrysie gorejący w gęstwinie nocy. Nie będę ci przeszkadzał.

- Leżę na rękawie twojego surduta. Co będzie, gdy zechcesz wstać?

Uśmiechnął się.

- Odetnę rękaw.

Milczeliśmy długo, patrząc na Tamizę, po której pływały sobie kaczki i perkozy.

- Pisarstwo... - powiedział nagle Charles Lutwidge, sprawiając wrażenie raptownie przebudzonego o letnim poranku. - Pisarstwo jest

sztuką martwą. Nadchodzi wiek dwudziesty, a ten będzie wiekiem obrazu.

- Masz na myśli zabawę, wymyśloną przez Luisa Jacquesa Monde Daguerre'a?

- Tak - potwierdził. - Właśnie fotografię mam na myśli. Literatura jest fantazją, a więc kłamstwem. Pisarz okłamuje czytelnika, wiodąc go na manowce własnej imaginacji. Zwodzi go dwuznacznością lub wieloznacznością. Fotografia nie kłamie nigdy...

- Doprawdy? - poruszyłem końcem ogona, co u nas, kotów, niekiedy oznacza szyderstwo. - Fotografia nie jest dwuznaczna? Nawet taka, która przedstawia dziewczynkę w wieku lat dwunastu, w dość dwuznacznym, daleko posuniętym dezabilu? Leżącą na szezlongu w dość dwuznacznej pozie?

Zaczerwienił się.

- Nie ma się czego wstydzić - poruszyłem znowu ogonem. - Wszyscy kochamy piękno. Mnie też, drogi Charlesie Lutwidge, fascynują młodziutkie kotki. Gdybym parał się fotografią, jak ty, też nie szukałbym innych modelek. A na konwenanse pluń.

- Nigdy nikomu nie ppp... pokazywałem tych fotografii - niespodziewanie znowu zaczął się jąkać. - I nigdy nie ppp... pokażę. Choć trzeba ci wiedzieć, że był taki mmm... moment, gdy wiązałem z fotografią pewne nadzieje... Natury finansowej.

Uśmiechnąłem się. Założę się, że nie zrozumiał tego uśmiechu. Nie wiedział, o czym myślałem. Nie wiedział, co widziałem, lecąc w dół czarną sztolnią króliczej nory. A widziałem i wiedziałem między innymi to, że za sto trzydzieści cztery lata, w lipcu 1996, cztery jego fotografie, przedstawiające dziewczynki w wieku od jedenastu do trzynastu lat, wszystkie w romantycznej i podniecającej wiktoriańskiej bieliźnie, wszystkie w dwuznacznych, lecz erotycznie sugestywnych pozach, pójdą pod młotek w Sotheby's i zostaną sprzedane za sumkę czterdziestu

ośmiu tysięcy pięciuset funtów szterlingów, ładną, jak na cztery kawałki obrobionego techniką kolotypową papieru.

Ale nie było sensu mu o tym mówić.

Usłyszałem szum skrzydeł. Na pobliskiej wierzbie usiadł Edgar. I zakrakał przyzywająco. Niepotrzebnie. Sam wiedziałem, że już czas.

- Pora kończyć piknik - wstałem. - Żegnaj, Charlesie.

Nie okazał zdziwienia.

- Jesteś w stanie iść? Twoje rany...

- Jestem kotem.

- Byłbym zapomniał. Jesteś Kotem z Cheshire. Spotkamy się jeszcze kiedyś? Jak sądzisz?

Nie odpowiedziałem.

- Spotkamy się jeszcze kiedyś? - powtórzył.

- Nevermore - powiedział Edgar.

§ § §

I to byłby, moi drodzy, w zasadzie koniec. Będę się więc streszczał. Gdy wróciłem do Krainy, popołudnie trwało w najlepsze, bo czas płynie u nas nieco inaczej, niż u was. Nie poszedłem jednak do Zająca i Kapelusznika, by wspólnie wypić wygraną w zakładzie flaszki i pochwalić się kolejnym - po upartym Szekspirze - sukcesem w naprawianiu losów światowej literatury. Nie poszedłem do Mab, by spróbować załagodzić konflikt za pomocą banalnej, acz nadzianej komplementami konwersacji. Poszedłem do lasu, by poleżeć na konarze, wylizać rany i wygrzać futro na słońcu.

Tabliczkę z napisem BEWARE THE JABBERWOCK ktoś złamał i wyrzucił w krzaki. Prawdopodobnie zrobił to sam Jabberwock, osobiście, bo zwykł był często to robić. Lubi zaskakiwać, a ostrzegawcza tabliczka psuje mu cały efekt zaskoczenia.

Mój konar był tam, gdzie go zostawiłem. Wlazłem na niego.

Spuściłem malowniczo ogon. Położyłem się, upewniwszy, czy gdzieś w okolicy nie kręci się Radetzky.

Słoneczko przygrzewało. W gąszczu tumtumów i tulżyc wesoło kląskały peliczaple. Zbłąkinie rykoświstąkały. Jasmije smukwijnę robiły coś na pobliskim gargazonie, ale nie widziałem, co. Odległość była zbyt duża.

Było złote popołudnie.

Było smaszno. I smutcholijnie. Jak to u nas.

Zresztą, przeczytajcie sobie o tym sami. W oryginale. Albo w którymkolwiek z przekładów.

Tyle ich przecież jest.

Ewa Białołęcka

Usta Boga

- Zabiłaś go - powiedziała Mała. - Zabiłaś i nie żyje. To jest śmierć! Śmierć! - dodała zaczepnie.

Dotyczyło to niedawnej opowieści Kot. Jednej z wielu. Kot mówiła im o rzeczach, które uważała za ważne lub potrzebne. Nigdy jednak nie było wiadomo, kiedy nadejdzie czas, by zechciała przekazać im następną część wiedzy.

- Dżungla jest życiem - powtarzała po wielokroć Kot. - Nie ma śmierci dookoła nas, gdyż nie ma nieistnienia. Drzewa, po których się wspinamy, żyją. Dążą do światła, rosną, dając oparcie młodszemu rodzeństwu: lianom. Pnie, które padły, żyją nadal, bo są siedliskiem wielonogów i norami węży. Powietrze w naszych nozdrzach, ziemia pod naszymi łapami stanowią życie, istnienie i wieczną przemianę życia w życie. Nie ma śmierci w dżungli, wszystko jest tu żywe.

A teraz Kot przytrzymała łapą bezwładne ciało ptaka i wrywała mu zębami pióra, by odsłonić najsmaczniejsze kawałki mięsa. Zaledwie ruszyła spiczastym uchem, lekceważąc bezczelne słowa Małej.

Miau zanurzyła dłoń we włosy, złapała zręcznie pchłę. Zgniotła ją między paznokciami i przełknęła, prawie nie myśląc o tym, co robi. Pchły były oczywistością, tak samo jak to, że Mała była bardzo głupiutka. Nie wyrosły z dzieciństwa, wciąż jeszcze wymagający opieki kociak.

Ptak miał przegryziony kark i nie ruszał się, ale jego życie podtrzyma życie Kot, więc równowaga istnień nie zostanie zachwiana. „Nie ma śmierci w dżungli” - powiedziała przecież Kot i Miau wierzyła w to. Sama nosiła w sobie więcej żywotów, niż miała palców. Dwa, może trzy razy

więcej. Kot zaś miała ich w sobie tyle, że nie dawało się tego ogarnąć.

Mała była głupiutka i niewiele rozumiała. Kucnęła teraz, podparła okrągłą buzię pięściami. Patrzy na jedzącą Kot, marszcząc ciemne brewki, i z pewnością myśli, że Kot kłamała.

§ § §

Zwierzę o pręgowanym futrze barwy mgły nad bagnem, pociętej ciemnymi krechami mokrych gałęzi, pożywiało się, rozrywając ptasi zewłok. Obok trwały w swobodnych pozach dwie dziewczynki. Większa dorównywała rozmiarami wielkiemu kotu.

Obie - nieopisanie brudne, podrapane, poznaczone szramami po niezliczonej liczbie skaleczeń i ukąszeń.

Wokoło szalała dżungla, dusząc się, kipiąc zielenią, zjadając się i rodząc równocześnie. W tym oceanie bytów jeden tylko nie należał do dżungli. Opierał się jej prawom i burzył naturalny rytm jej istnienia. Skryty wśród zarośli obserwator patrzył na dwójkę dzieci oraz kota, który przypominał postać z niezwykłego snu. Czarne oczy w brązowej twarzy rozszerzyły się, pełne fascynacji. Człowiek poruszył wargami, pochylił kornie głowę i bezgłośnie klasnął w dłonie.

O, moja Bogini - pomyślał. - Zwiastun dobrych wieści zostanie nagrodzony. Dzięki, o, Bogini, że mnie wybrałaś, abym je zaniósł.

§ § §

Mogłoby się wydawać, że dżungla to zieleń i tylko zieleń, że kolor ten króluje niepodzielnie między błękitem nieba a czernią żyznej ziemi. Nie jest to jednak prawda. Wśród liści najrozmaitszej wielkości i kształtów wybuchają drapieżnym oranżem i amarantem kielichy kwiatów. Ich barwa wabi owady i drobne zwierzęta. Sprzeciwiają się władcy kolorów szafirowe skrzydła motyli, lśniące fioletem pancerze chrząszczy, białe,

żółte i czerwone pióra papug. Wężę szczyłą się czarnymi i pomarańczowymi obrączkami na smukłych ciałach. Nawet pająki pragną indywidualności, strojąc się w białe wzory swych klanów. Tylko lińce i patyczaki wiernopoddająco dostosowują swe stroje do zielonej władczyni - drobne ozdoby na sukni olbrzymki. Zbyt skromne, by je zauważyć. Taka jest dżungla - jednolita i zwarta, a równocześnie podzielona. Pragnąca podziwu. Kapryśna. Będąca jednocześnie i całością, i wielością.

Tego dowiedziała się Miau od Kot, a potem sama obserwowała po wielekroć przejawy natury dżungli. Znała jej oddech, jej głos złożony z tysięcy głosów. Ciało, na które składa się milion różnych ciał.

Nie należał do dżungli przedmiot, jaki znalazły w tanecznym kręgu ciężkonogich jednoroźców. Wśród udeptanej roślinności lśniła rzecz okrągła jak owoc, lecz nie będąca owocem. Przezroczysta niczym ogromna kropla wody, a nie wsiąkająca w ziemię i drwiąca z pragnienia słonecznego żaru. Obca, zupełnie obca.

I nieżywa.

Miau oderwała wzrok od przedmiotu, który ją fascynował i przerażał jednocześnie. Spojrzała na Kot. Kocica cofała z wolna przednie łapy, wyginając grzbiet, na którym zaczynała się stroszyć pasiasta sierść. Lecz nie wysunęła pazurów i nie obnażyła kłów. Powoli, jakby niechętnie opadła na ziemię. Owinęła łapy ogonem.

- To należy do innego świata - rzekła, a niski pomruk, prawie warczenie, rósł w jej gardle.

- Skąd przybyło? - spytała Miau.

- Stamtąd, skąd i ty - odpowiedziała Kot. Jej mruczenie stawało się coraz głębsze i coraz bardziej ponure.

- Jestem stąd! Z dżungli! - zawołała Miau, drapiąc ziemię. - Nie należę do innego świata! Zawsze tu byłam!

Paskudna, błyszcząca kropla wody-nie-wody wydała jej się teraz

jeszcze brzydsza i bardziej niebezpieczna.

- Gdzie twoja sierść, kocię? - zapytała Kot spokojnie. - Gdzie twój ogon, pazury i kły? Gdzie zgubiłaś pióra albo łuskę? Do jakiego klanu należysz, malutka Miau?

Miau nie zdążyła zastanowić się nad odpowiedzią. Zobaczyła, że Mała drepcze drobnym, jakby letargicznym kroczeniem w stronę rzeczy.

- Mała, wracaj!! - wrzasnęła Miau ze złością.

Mała nie słyszała, a właściwie nie chciała słyszeć. To Małej zdarzało się często i często też miewała kłopoty przez swój głupi upór.

- Mała!! Zostaw to! Odejdź stamtąd! Nie zatrzymała się.

- Kot, zawołaj ją! Ciebie posłucha.

Kot zmrużyła oczy błyszczące jak dwa żółte księżycy.

- Idź, kocię - mruknęła. - Przyrowadź ją. Zaczekam.

Miau pobiegła za Małą. W pędzie ujrzała, jak dziewczynka robi jeszcze parę kroków, prawie już dotyka rzeczy, a potem zapada się w ziemi. Niknie, unosząc tylko ku górze twarzyczkę, na której maluje się wyraz zaskoczenia i strachu. Rozpęd przeniósł Miau o jeden, jedyny krok za daleko. Grunt skończył się nagle. Jej ręce chwyciły powietrze, nie znalazły oparcia. Runęła w dół i spadła na Małą, która dopiero teraz krzyknęła i rozplakała się, popiskując żałośnie. Miau rozejrzała się. Dziura w ziemi, do której wpadły, była głęboka i zwężała się ku górze. Gałęzie, którymi zamaskowano pułapkę, leżały teraz na dnie, ale żadna nie była dość długa, by można się było nią posłużyć, wspinając się na górę.

Miau krzyknęła, długo i przeciągle: - Koooot...! Koooot...!

Kot pojawiła się natychmiast. Miau zobaczyła jej okrągłą głowę na tle nieba. Za nią przesuwały się białe kłęбки obłoków. Kot obchodziła krawędzie pułapki dookoła. Spod jej łap osuwały się drobne grudki ziemi.

- Nie możemy stąd wyjść! - pisnęła Miau przestraszona. - Nie

wydostaniemy się, Kot. Pomóż nam!

Mała chlipała cicho, trąc oczy piąstkami. Miau patrzyła z dołu w ogromne, żółte oczy kocicy, lecz nie znalazła w nich troski. Tylko spokojną rezygnację.

- Tak miało być - powiedziała Kot. - Przyjdą po was, kocięta. Nie bój się i bądź mądra. Chroń Małą.

Potem łeb o trójkątnych uszach zniknął. Tylko gardłowe miauknięcie zawisło w powietrzu.

Miau przesypywała piasek między palcami, myśląc o tym, co usłyszała od Kot. „Przyjdą po was...” Ale kto? Czy będzie to ktoś z rywali? Stworzenie o ostrych pazurach i żądnej mordy paszczy? „Chroń Małą”. A to przecież właśnie przez nią siedzą teraz w tej dziurze.

Mała obracała w rękach rzecz. Była ciężka, nagrzana od słońca. W jej wnętrzu Mała widziała samą siebie, jak na powierzchni wody. Podniosła rzecz wysoko nad głowę, w smugę słonecznego światła. Przejrzysta kula rozblęsnęła i zamieniła się w oślepiająco białe serce kwiatu.

Miau skrzywiła się i osłoniła oczy przed światłem. Mała wpatrywała się w blask z otwartymi ustami, zachwycona i przejęta. Obracała powoli w dłoniach małe białe słońce, a w jej oczach igrały setki lśniących plamek.

§ § §

Żołnierz padł na kolana, ugiął kark i przylgnął czołem do chłodnego kamienia posadzki. Dwa długie pióra wetknięte we włosy - oznaka rangi - legły płasko na podłodze.

- Mów! - rozkazał niecierpliwym tonem kapłan. Zacisnął dłonie na poręczach krzesła rzeźbionego w węże. Żołnierz uniósł głowę, lecz nie powstał z klęczek.

- Schwytano obie dziewczynki, Czerpiący z Ust Boga - powiedział, nie podnosząc wzroku. Nikt ze służby świątynnej nigdy nie patrzył wprost w

twarz najwyższego kapłana. Nie tylko ze względu na tradycję. Czerpiący z Ust Boga zjyjt przypominał wyobrażenie Śmierci. Wygolona skóra głowy i spoglądające przenikliwie oczy obwiedzione czarną farbą. Powiernik tajemnic bóstw i najwyższa władza. Dawca życia lub śmierci.

- Czy obie są zdrowe?

- Tak, Czerpiący z Ust Boga - potwierdził żołnierz, po czym dodał z wahaniem: - Mają wiele blizn, o, Czerpiący z Ust Boga, lecz żadna z dziewczynek nie jest okaleczona. Umyto je i nakarmiono.

- Dobrze - kapłan skinął głową. - Twoja służba podoba się Bogini. Możesz odejść.

Żołnierz zerwał się i wycofał ku drzwiom. Ledwo zniknął z oczu kapłana, twarz Czerpiącego z Ust Boga ściągnęła się. Wstał z krzesła, chodził po komnacie. Sandały ze złoconej skóry skrzypiały lekko. Skrzyżował ręce na piersi i przebierał nerwowo palcami po przedramionach. Jeszcze bardziej niż przed chwilą przypominał zagniewane bóstwo śmierci.

- Dwie! - syknął. - Dlaczego dwie?! Pokręcił głową, zirytowany.

- Dwie - powtórzył cicho.

Podszedł do kotary zasłaniającej ścianę za jego krzesłem, uchylił ją i wstąpił na schody ukryte za draperią haftowaną w węże. Starannie zaciągnąwszy ją za sobą, szedł coraz wyżej po krętych stopniach, oplatających trzpień wieży. Wewnątrz było ciemno, lecz nie potrzebował światła. Chodził tędy tak często, że znał na pamięć każdy schodek. Gdy dotarł na szczyt, pchnął drewniane drzwi. Uchyliły się ze skrzypieniem. Nikt nigdy nie natłuszczał zawiasów ani nie śmiał naprawić paczącej się futryny. Wieża stanowiła tabu. To tutaj, na najwyższym szczycie największej budowli państwa-miasta Mohte-Reyo znajdowały się Usta Boga - pionowy szyb sięgający niewyobrażalnie głęboko, gdzieś w niebyt. Usta Boga nie mają dna, mówiono. Prowadzą do innego świata, który jest siedzibą bogów, i właśnie przez nie bogowie oznajmiają swą wolę

Czerpiącym. Tutaj, jak wierzyli mieszkańcy Mohte-Reyo, poprzedni Czerpiący z Ust Boga został przyjęty do grona wieczystych, gdyż nigdy już nie zszedł do swych komnat. Z grona niższych kapłanów został wybrany nowy Czerpiący - człowiek chodzący żołnierskim krokiem, energiczny w ruchach, o cienkich, okrutnych wargach i oczach płonących fanatyzmem. Ani tak pełen dostojeństwa jak jego poprzednik, ani tak święty, został jednak podczas odwiecznego rytuału wskazany przez Oko Świata i nic nie mogło tego zmienić. Tradycji stało się zadość. Czerpiący z Ust Boga podejmował działania w imieniu Wieczystych i było to słuszne.

Komnata na szczycie wieży była zupełnie pusta. Nie było tu ani jednego mebla, nawet poduszki, na której można by usiąść. Poszarzałych ze starości ścian nie zdobił żaden fresk. Nie zadbano nawet o uchwyt do osadzenia pochodni. Dwa okna pozbawione okiennic wychodziły na wschód i na zachód, dając niezbędne światło.

Kapłan usiadł na zimnym kamieniu, krzyżując nogi. Potem podniósł z posadzki sznur i owiązał się nim w pasie. Drugi koniec liny przywiązany był do haka, który Czerpiący już dawno temu wbił w futrynę. Nie wierzył w chwalebne, jak twierdzili wyznawcy Bogini, zstąpienie swego poprzednika w świętą otchłań Ust Boga. Uważał, że był to raczej zwykły upadek podczas transu wieszczenia. Czerpiący z Ust Boga uczył się na cudzych błędach. Z pewnością nikt, nawet jego poprzednik, nie był godny wstąpienia między Wieczystych.

Bogowie przemawiali do Czerpiących - w to wierzył nawet przy i całym swym cynizmie. Czyż sam tego nie doświadczał? Waśnie tutaj, przed ciemną gardzielą Ust Boga, zesłano mu widzenie i wydano rozkazy, które wypełniał, jak potrafił najstaranniej. Jedna z bogiń w swej łasce zechciała odwiedzić świat. I miała zjawić się w ludzkim ciele.

Wspominając wypadki sprzed dwóch lat, pochylił czoło i klasnął parokrotnie w dłoń.

- O, Bogini - wyszeptał. - Wskaż mi drogę i oświeć moje myśli.

§ § §

Nagie dziecko tańczyło wśród zieleni dżungli, wirując i wyrzucając ręce w górę. Bose stopy rytmicznie biły w ziemię. Czarna, splątana grzywa włosów fruwała w powietrzu. Muzyką dla tego tańca był chór ptasich głosów i ćwierkanie wielkich świerszczy. Z koron drzew opadały powoli płatki kwiatów, mieszając się z krążącą wokół chmurą różnobarwnych motyli. Spomiędzy pni wychodziły stworzenia rozmaitych gatunków - jednorożce, lamparty, ogromne węże i mały, jaszczury o kolczastych grzbietach i pręgowane koty. Nadchodziły płochliwe koziołki, mrówkożery i ścierwniki, a nawet wyklęte zwierzary o półludzkich ciałach. A każdy przybysz składał hołd tańczącemu dziecku.

„Zwierzęta ci wskażą. Posłuchaj zwierząt.”

Czerpiący z Ust Boga zamrugnął, odzyskując przytomność. Miał wyschnięte gardło i bolał go przygryziony język. W ścierpniętych nogach biegały drobne mrówki, gotowe zacząć kąsać, gdy tylko się poruszy.

Wizja była identyczna z tą sprzed lat. Składające hołd zwierzęta i małe dziecko w wieku trudnym do określenia. Zaledwie dało się dostrzec, że była to dziewczynka, tyle fruwało wkoło niej kwiatów i motyli skrzydełek.

I tylko te parę słów...

- O, Bogini, o, Bogini... - westchnął kapłan, bardziej do siebie niż do kogokolwiek. Usta Boga pozostały, jak zwykle, ciche i ciemne. Wiało z nich chłodem.

Najwyższy kapłan wstał z trudem, uwolnił się od sznura i zaczął schodzić niezgrabnie w dół, do swych komnat. Myślał o niewdzięcznej pracy, jaka go czekała. Bezimienna Wieczysta niczego mu nie ułatwiała, o nie.

§ § §

To miejsce było jak wydrążony pień drzewa - puste w środku, o twardych ścianach, ale na tym kończyło się podobieństwo. Miau nienawidziła tej zamkniętej przestrzeni każdym włóknem swego ciała. Jak dżungla była życiem, tak tutaj wszystko wydawało się śmiercią - martwe drewno, martwe szczątki zwierząt, tak zniekształcone, że ledwie dawały się rozpoznać. Nawet powietrze jakby zamarło.

Tęskniła do drzew i do Kot, lecz droga ucieczki zarośnięta była twardymi nie-gałęziami. Miau siedziała w otworze nie-dziupli, zaciskając palce na nie-gałęziach i patrzyła na jedyną dostępną jej zmysłom żywą rzecz - niebo. Było takie samo jak nad dżunglą. Błękitne i pełne drobnych chmur, pełzających leniwie niby najedzone kocięta.

Odwróciła się niechętnie od miłego widoku, by sprawdzić, co robi Mała. Dopiero co objadała się owocami. Teraz, z napełnionym brzuszkiem, drzemie, zwinięta w kłębek na miękkim legowisku. Jest umazana sokiem, w ręce trzyma jeszcze różowy, soczysty kąsek. Jej powieki kryją oczy jak dwie jasnobrązowe łupinki i ani drgną. Mała wydaje się być zupełnie pogodzona ze swym losem. Ma co jeść, jest bezpieczna i ma czym się bawić. Maleńka, głupiutka Mała.

Miau spojrzała na coś, co było chyba kiedyś drzewem, i na leżący na tym okrągłym drewnianym czymś kawałek mięsa. Łaziły po nim muchy. Duże, tłuste, z błyszczącymi niebieskimi brzuchami. Miau nie mogła się nadziwić, jak muchy mogą jeść podobną rzecz. Coś zrobiono z tym mięsem, tak że było już całkiem martwe, jak wszystko wokół. Miau nie potrafiła się zmusić, by go choć skosztować. W mięsie nie zostało nic, zupełnie nic, czym mogłaby się pożywić. Czuła gniew, że dano jej pokarm, a ktoś inny zabrał z niego wcześniej całe istnienie. Czym miałyby się napełnić? Niebytem?

§ § §

Czerpiący z Ust Boga stał pod drzwiami komnaty, w której umieszczono dziewczynki. Zaglądał do środka przez otwór wywiercony w drewnie.

Dwie małe istoty, tak do siebie podobne, a jednocześnie tak różne. Która jest wcieleniem Bogini? Czy ta starsza, wyglądająca na pięć lat? Dzika, silna, o ciele chudym i muskularnym, prawie nie dziecięcym? Nie pozwoliła się ubrać. Jest naga, na jej skórze wyraźnie odznaczają się białawe blizny biegnące przez biodro ku pośladkowi - ślady po pazurach jakiegoś drapieżnika. Wiele przeżyła od czasu, gdy rodzice, chcąc złożyć ofiarę bogom lub po prostu zbyt biedni, by ją karmić, porzucili dziewczuszkę w zielonym piekle.

Odwróciła głowę. W jej oczach znać gniew oraz inteligencję, jaką Czerpiący z Ust Boga widywał w źrenicach boskich zwierząt. Obcy rozum. A może to tylko złudzenie? Po prostu dzikość wychowanki wielkiego kota?

Mniejsza dziewczynka musiała mieć zaledwie rok, gdy trafiła do kociego gniazda. Już to, że przeżyła, było cudem. Czy to ją właśnie upodobała sobie Bogini i postanowiła wypełnić swoim boskim jestestwem?

Czerpiący z Ust Boga patrzył na małe ciało zwinięte w kłębuszek i posapujące cichutko przez sen. Dziecko okrywały żółte strzępki czegoś, co niedawno jeszcze było sukienką.

Gdy odziano dziewczynkę w nową szatkę, natychmiast zaczęła oglądać ją z ogromnym zaciekawieniem, a potem darła w wąskie pasy, od rąbka aż do szyi, wyraźnie rozkoszując się odgłosem, jaki wydaje pruta tkanina. Zachwycona nowo nabytą ozdobą, skakała i kręciła się, pozwalając powiewać barwnym strzępom.

Z ciekawością badała wszystkie sprzęty. Biegała po stole i po łożu. Obmacywała kolorowe gobeliny. Bez obaw pozwalała dotykać się służącym. Zupełnie jakby nie spędziła prawie całego swego życia wśród

zwierząt.

Ciekawa, bystra, urocza - ocenił malutką Czerpiący z Ust Boga. Lecz czy to właśnie ją widział w swej wizji, tańczącą przed zwierzętami pełnymi uwielbienia?

Dziewczynka siedząca w oknie nagle spojrzała wprost na niego, całkiem jakby mogła go dostrzec przez warstwę drewna. Drobne wargi wygięły się, odsłaniając zęby, z gardła wydobył się głuchy pomruk, który w chwilę później wzniósł się do poirytowanego miauknięcia. Czerpiący z Ust Boga drgnął i oderwał czoło od drzwi. Niższy rangą kapłan stał obok, starając się ukryć niepokój. Czekał na decyzję zwierzchnika.

Czerpiący z Ust Boga zastanawiał się głęboko, kryjąc twarz za rozpostartą dłoń. W niższych kręgach kapłańskich dobrze znano jego apodyktyczność i surowe żołnierskie maniery, nie licujące z zajmowaną przezeń pozycją. Szeptano, że urodził się, by nosić pióra przywódcy wojennego, a jego szerokie barki i długie nogi z pewnością znacznie lepiej prezentowałyby się osłonięte pancerzem i nagolennikami niż w szacie kapłana. Ale czyż Wieczyści nie wiedzieli lepiej? Czyż Oko Świata mógłby się mylić?

Czerpiący opuścił rękę. Jego twarz przypominała teraz maskę z cienką kreską zaciśniętych ust.

- Niech przygotują na jutro miskę słodyczy. Ciastek. Dużo miodu, suszonych owoców. Żadnych przypraw, które tak uwielbia kucharz. Do jednego, tylko jednego - podkreślił - dodasz truciznę. Coś szybko działającego.

- Jad białego węża? - spytał młody kapłan.

- Głupcze! - syknął Czerpiący z gniewem. - Masz sprowadzić śmierć, a nie wizję! Przespałeś chyba tę lekcję!

Zawstydzony akolita zgiął się kornie.

- Pestki dojrzałego owocu krzewu cho, Czerpiący z Ust Boga - wyszeptał z oczami wbitymi w kamienne płyty posadzki. Cienkie

warkoczyki zwisały po obu stronach jego twarzy jak strugi czarnego deszczu.

- Dobrze. Możesz odejść.

Młodszy kapłan, zgodnie ze zwyczajem, postąpił cztery kroki do tyłu, po czym odwrócił się i odszedł. Wierzchnia szata kapłańska - pas błękitnej tkaniny z otworem na głowę - ciągnęła się za nim po podłodze. Czerpiący z Ust Boga odpędził od siebie chęć, by przydepnąć ten absurdalny ogon i zobaczyć, jak jego właściciel dusi się, niczym schwytyany na arkan.

§ § §

Jedzenie pachniało słodyczą i pszczołami, zupełnie jakby było żywe. Wrażliwe nozdrza Miau łowiły smakowity zapach. Była głodna, a ta woń, bliska dawnym zapachom dżungli, wzmagająca jeszcze apetyt. Obcy wciąż jeszcze nie odszedł, a Mała już zagarnęła jedzenie.

- Nie obżeraj się sama - warknęła Miau.

Mała fuknęła tylko i wepchnęła do buzi następny słodki kawałek. Zdawało się, że im bardziej Miau boi się i niknie w tym dziwnym, obcym świecie, tym lepiej czuje się w nim Mała - rosnąc, rozkwitając i stając się coraz zuchwalsza.

Miau wyprysnęła z kryjówki, nastroszona i zła. Mała, wydając z siebie odstrasające fuknięcia i szczerząc drobne ząbki, nakryła jedzenie ciałem. Obcy wyszedł. Miau próbowała wyrwać Małej swoją część. W odwecie Mała drapnęła ją w twarz.

Nie było z nimi Kot, która uspokoiłaby walczące i obdzieliła je jedzeniem. Walczyły na koci sposób, drapiąc, drąc się za włosy i kopiąc w brzuch. Nie chodziło już o słodycze, rozsypane teraz wszędzie, a o przywództwo w ich maleńkim stadzie.

Było oczywiste, że Mała przegra jako młodsza i mniejsza, lecz walczyła dzielnie, gryząc i drapiąc do krwi. I dłużej trwało, niż Miau się

spodziewała, zanim Mała, piszcząc, przyznała się do porażki i zrezygnowała z oporu. Miau trzepnęła ją jeszcze parę razy, już bez rozmachu, zaznaczając w ten sposób swoją wyższość. Tak, jak robiła Kot, gdy karała je miękką łapą ze schowanymi pazurami.

Lizały potem skaleczenia i podbiegające krwią ślady uderzeń. Zbierały i jadły słodkie grudki. Ich złość uciekała, dając miejsce zmęczeniu. Wreszcie zwinęły się w kłębek i ciasno do siebie przytulone zasnęły.

§ § §

Najwyższy kapłan klęczał przed Ustami Boga, dotykając czołem zapyłonej posadzki. Krew cienkimi strużkami spływała z jego poranionych pleców. Czamo-błękitny kłęb zmiętej szaty leżał obok cienkiego łańcucha - narzędzia kary. Tak należało. Ukorzyć się i mieć nadzieję, że rozgniewana Bogini nie ześle stokroć dotkliwszego bólu. Jakimże okazał się głupcem i arogantem, chcąc działać na swój własny sposób. Czyż Bogini nie przemówiła do niego?

Obie dziewczynki żyły. Czegóż mógł spodziewać się innego? W swej pysze nie postąpił zgodnie z wolą Wieczystej. To nie trucizna miała wskazać śmiertelne dziecko.

Czerpiący z Ust Boga sięgnął do koszyczka, który przyniósł ze sobą. Wyjął z niego małego węża. Chłodne ciało oplotło nadgarstek kapłana, a rozwidlony języczek dotknął skóry. Było to jedno z dzieci Oka Świata. Na całej długości jego smukłej postaci mieniły się kolorowe cętki przypominające oczy. Czerpiący z Ust Boga delikatnie ujął węża w dłonie, ucałował wąską głowę, po czym szybko zacisnął zęby na karku stworzątką. Wężyk drgnął konwulsyjnie. Koniuszek ogona uderzył kapłana w ucho i zwisał bezwładnie.

- O, Bogini - powiedział cicho Czerpiący z Ust Boga. - Zgrzeszyłem. Wybacz i przyjmij ofiarę.

Wyciągnął rękę nad Ustami Boga i pozwolił, by martwy wąż zsunął się

z jego dłoni w ciemność.

- Słucham i jestem posłuszny. Zwierzęta wskażą - dodał.

Miau drżała z podniecenia. Raz po raz oblizywała wargi. Z wnętrza skorupy podobnej do wielkiego orzecha wypęłzały węże - żywe mięso. Nareszcie otrzymały życie, które podtrzyma ich własne życie.

- To klan Nadrzewnych - powiedziała Mała. - Są smacznymi - dodała łakomie.

- I bardzo szybcy - ostrzegła Miau. - Uważaj. Łap tuż za głowę.

Mała mruknęła potwierdzająco.

Węże były cienkie, trudne do pochwycenia. Lecz na tyle czaszki każdy posiadał jaskrawożółtą plamę z białą obwódką i to ułatwiało ocenę odległości. Miau błyskawicznie chwyciła najbliższego i zmiażdżyła mu łeb o ścianę, nim zdążył obnażyć swe groźne kły.

Rozrywały zębami świeże mięso. Jadły, czując, jak krew żywiej w nich krąży. Daleki świat dżungli przybliżył się troszeczkę. Nadrzewne były smaczne. Może następnym razem będzie ich więcej?

§ § §

Patrzył na szczątki sześciu jadowitych węży i czuł, że wszystko to przerasta jego rozumienie. Gady miały potrzaskane głowy. Niektóre pożarte były niemal całkowicie, inne napoczęte, jeden nie naruszony - tylko martwy. Czerpiący z Ust Boga na własne oczy widział, jak dwie małe dziewczynki bez większego trudu rozprawiły się z sześcioma węzami budzącymi wśród wyznawców Bogini nabożny lęk. Żadna nie została ukąszona. Żadna nawet się nie przestraszyła. Kolejna próba zawiodła.

Lecz dlaczego? Co tym razem nie spodobało się Bogini? Jeszcze raz przemyślał swoją decyzję i nie znalazł w sobie grzechu. Co mogło być niewłaściwego w odwołaniu się do instynktu węży, skoro te właśnie stworzenia są symbolem wiedzy i potęgi jego świątyni?

Kilka lat temu to właśnie Oko Świata wskazał jego - wówczas jeszcze zwykłego kapłana - jako najodpowiedniejszego do pośredniczenia między światem ludzi i bogów. Pamiętał, jakby to było wczoraj, łaskotanie rozwidlonego języka na twarzy i ciężar potężnego ciała, oplatającego mu ramiona. A także ból, gdy Oko Świata zatapiał zęby w jego policzku, oznajmiając w ten sposób: Ciebie wybieram! Zaciskające gardło wzruszenie. Zdumienie i zazdrość na twarzach towarzyszy, którzy odtąd mieli mu być posłuszni.

Czerpiący z Ust Boga podniósł zabitego węża, patrząc na złotą cętkę oka zdobiącą jego głowę.

Oko Świata dokonuje słusznych wyborów, pomyślał.

§ § §

Noc już zapadła, lecz Miau nie spała. Leżała w ciemności, słuchając głosów. One także różniły się od wieści słanych przez dżunglę. Te tutejsze były niemrawe, przygłuszone, leniwe, czasem złe. Lecz nawet ta złość była sucha i zamierająca. Skądś nadpłynęła miłosna pieśń Cichołapych, ale był to ktoś obcy, nie Kot, i chwilowe ożywienie Miau opadło. Zadrzemiała.

Zbudził ją szelest. Coś przesuwano się po ziemi. Ogromne cielsko wpełzło na legowisko. Nie, nie był to żaden z małych, nerwowych Nadrzewnych. To był ktoś, kogo bała się nawet Kot i mówiła o nim z wielkim szacunkiem.

- Witaj, Oko Świata - powiedziała Miau nieśmiało.

- Witaj, maleńka - odpowiedział wąż łaskawie. - Kim jesteś?

- Nazywają mnie Miau.

- Imię klanu Cichołapych. - Oko Świata owinał się wokół ciała dziewczynki kilkoma luźnymi splotami. Był chłodny i gładki. Czuła, jak jego potężne mięśnie przesuwają się pod wzorzystą skórą. To było przyjemne.

- Nie boisz się, kocię? - spytał.

- Nie, Oko Świata. Kot uczyła mnie, że nie żywisz się Cichołapymi.

- Znam Kot, tę zwinną mądralę. Dobrze cię chroniła, wybranko, i dobrze przygotowała.

- Do czego, Oko Świata? Wąż ułożył się wygodniej.

- Do tego, byś przyprowadziła tutaj to ludzkie dziecko. Do miejsca, które jest jej. A może do tego, byś trochę zamąciła w głowie komuś z klanu Ludzi. On nic nie wie o własnej potędze. Myśli, że czerpie ją z zewnątrz, a ona jest w nim.

Miau pogładziła łuskę węża.

- Nic z tego nie rozumiem.

- Sięgnij tylko w głąb samej siebie, a zobaczysz, że możesz zrozumieć więcej. Więcej niż ja, Kot i na pewno więcej niż ten, którego ja wybrałem.

Miau zastanowiła się.

- Czy ja też jestem wybrana?

- Tak, kocię.

- To Kot mnie wybrała, tak?

Wąż dotknął jej ust językiem, smakując zapach.

- Nie. Kot była tylko opiekunką. A kto cię wybrał i w jaki sposób, dowiesz się później. Nauczysz się czerpać ze swej siły. I będziesz wiedzieć, kim naprawdę jesteś.

Wąż powoli zaczął zsuwać się z legowiska, zwój za zwojem.

- Nie mam futra, piór ani łusek - Miau przypomniała sobie słowa Kot. - Oko Świata, czy ja jestem z klanu Ludzi?

- Między innymi - zasyczał tajemniczo wąż.

Przeplótł muskularne cielsko między nie-gałęziami i wygiął je, pozornie bez żadnego wysiłku. Zazgrzytało, nie-gałęzie upadły z hałasem na ziemię. Mała obróciła się we śnie na drugi bok, mrużąc coś niewyraźnie.

- Idź, kocię - syknął Oko Świata. - Jesteś wolna. Idź, dziecko zieleni. Tu

nic dobrego cię nie czeka.

Miau skoczyła w otwór prowadzący na wolność. Lecz jeszcze zawahała się.

- Mała...

- Nie wołaj jej. Niech śpi. Tutaj będzie szczęśliwa. Nie padnie ofiarą swoich rywali i nie będzie głodna. Zajmę się nią - obiecał wąż.

Miau zniknęła w mrokach nocy. Oko Świata czuwał, smakując powietrze. Mówiło mu o Miau - jak skacze, przemyka się, biegnie ku przeznaczeniu. Ciepła, promieniująca życiem i radością.

Wszystko było tak, jak być powinno.

Rankiem słońce obudziło dziewczynkę śpiącą dotąd smacznie niczym pisklę w gnieździe w opłotach ogromnego węża. Dziwiła się, skąd się wziął - taki wielki, gładki i chłodny jak woda.

Nie wiedziała, dlaczego ludzie, którzy przyszli do niej, klaszczą w ręce i uderzają czołami w podłogę. Była przecież tylko małą dziką dziewczuszką i nie miała pojęcia, że właśnie została przeznaczona wielkości i chwale.

Czerpiący z Ust Boga wziął na ręce zaspane dziecko.

- Chwała Bogini - rzekł. - Oto Vint/ereyo-Na, Wcielenie Wieczystej.

§ § §

Jakże szybko mija czas. Zdawałoby się, że to było tak niedawno, rozmyślał Czerpiący z Ust Boga, idąc w stronę komnat Vint/ereyo-Na. A minęło już jedenaście lat. Słodkie dziecko wyrasta na bystrą i stanowczą kobietę. Kochaną i szanowaną - jest przecież Wcieleniem Wieczystej.

- Czemu więc wątpię? - wyszeptał kapłan. - Może z jej powodu - odpowiedział sam sobie, oglądając figurkę trzymaną w ręku. Wyrzeźbiono ją w miękkim drewnie i starannie wypolerowano. Przedstawiała nagą, muskularną kobietę, kładącą dłonie na łbach dwóch wielkich kotów, siedzących u jej stóp. Fantazja domorosłego artysty obdarzyła jej szeroko rozstawione oczy pionowymi źrenicami, a biodra,

plecy i ramiona ozdobiła falującymi pręgami.

Coraz częściej takie figurki - mniej lub bardziej udane - pojawiały się w chatach myśliwych i rolników wydzierających dżungli ziemię pod uprawy. Stawały obok symboli Ust Boga, na równi z nimi. Zielona Pani uzurpowała sobie władzę, zabierając część ludzkich modlitw, próśb i ofiar.

Czerpiący z Ust Boga wszedł do komnaty Wcielenia Bogini. Tuż za progiem oswojony kot otarł się o jego nogę, mruczając przyjaźnie. Drugi siedział na oknie. Trzeci ostrzył pazury o sofę. W sumie sześć kotów przebywało ze swą panią, umilając jej czas i psocąc, ku zmartwieniu służących. Miłość do kotów - to zostało jej ze wspomnień najwcześniejszego dzieciństwa. Czasami, gdy Czerpiący z Ust Boga był absolutnie pewien, że są sami, przywoływał Vint/ereyo - Na cichym „Muęę...”, jak wtedy, gdy była jeszcze mała i nie знаła ludzkiej mowy.

Vint/ereyo - Na, widząc gościa, oddaliła służbę.

- Co cię sprowadza, Bracie Węży? - spytała, nazywając go imieniem, które sama wymyśliła.

Podał jej figurkę.

- Zwą ją Zieloną Panią. Myśliwi twierdzą, że istnieje naprawdę. Wierzą, że opiekuje się zwierzętami i karze ludzi, gdy zabijają ciężarne samice lub przewodników stad. Zsyła zarazę i szkodniki na pola tych, co bez umiaru wypalają dżunglę.

Vint/ereyo-Na z uwagą oglądała statuetkę. Uniosła ją w górę i obracała w dłoni.

- Koty - powiedziała cicho, marszcząc brwi.

- Niżsi kapłani radzą zlikwidować kult w zarodku - ciągnął Czerpiący z Ust Boga. - Niszczyć podobizny Zielonej Pani i karać surowo tych, którzy chcą jej oddawać cześć.

- A czego ty chcesz? - spytała Vint/ereyo-Na. Położyła rzeźbę na kolanach i wodziła palcem po drewnianej twarzy.

- Chcę rady Wcielenia Bogini - powiedział najwyższy kapłan. - Chcę, by droga, jaką pójdę, na pewno była tą właściwą.

Vint/ereyo-Na potrząsnęła głową.

- Mam tylko czternaście lat, Bracie Węży. Jesteś znacznie starszy i bardziej doświadczony. Dlaczego miałbyś słuchać poleceń dziewczynki?

- Bogini patrzy twoimi oczami i mówi przez ciebie. Takie było przesłanie z Ust Boga. Tak wskazał Oko Świata.

Vint/ereyo-Na długo milczała, wciąż wpatrując się w figurkę Zielonej Pani. A gdy już podniosła oczy na Czerpiącego, była w nich powaga i nadspodziewana dojrzałość.

- Każ zbudować świątynię na skraju dżungli. Ma być otwarta na wszystkie strony świata. W środku niech stanie posąg Zielonej Pani, z kotami i węzem Oko Świata u stóp. W misach ofiarnych będziemy składać owoce, sól i mięso. I nikt nie będzie miał prawa zabić tam żadnego żywego stworzenia, czy to będzie człowiek, drapieżny lampart czy zwierzar. Tak chce Bogini!

Czerpiący z Ust Boga pochylił głowę i klasnął w dłonie.

- Chwała Bogini! Chwała Wcieleniu Wieczyste!

- Nie nazywaj mnie już tym imieniem - powiedziała dziewczyna, podając mu posążek. - Uprzedź też innych. Nie jestem Vint/ereyo-Na, lecz Mohte-Runja, Przejście. A Bogini... - jej palec wskazał okno, za którym w oddali widać było wierzchołki wiecznie zielonych drzew - jest tam!

§ § §

Czerpiący z Ust Boga usiadł ciężko na skraju bezdennej przepaści. W głowie szumiało mu wino.

- Usta Boga... - wymamrotał niewyraźnie. - Też coś... Po prostu dziura w ziemi. I ma dno... Na pewno ma dno, bo właśnie... je osiągnąłem.

Zaśmiał się gorzko. Zalała go fala senności. Przewrócił się na zimne, twarde płyty posadzki.

- Usta Boga... Bogini... Przejście... Bogowie, bogowie, jeśli jesteście...
Jakie to wszystko beznadziejne...

Zasnął.

I nie miał żadnych snów.

Obudził się zziębnięty, z ręką zwieszającą się z brzegu otchłani. Głowę miał ciężką. Usiadł i wpatrywał się w ciemność głębokiego szybu. Może gdyby wrzucił tam coś dostatecznie dużego i ciężkiego, usłyszałby odgłos upadku?

- A może rozbiłbym głowę jakiemuś Wieczystemu? - powiedział na głos z ironią.

Nie miał niczego odpowiedniejszego, więc zdjął z ramienia grubą złotą bransoletę. Wyciągnął rękę, jak mógł najdalej, i wrzucił ozdobę w przepaść. Nasłuchiwał długą chwilę, lecz, ku jego rozczarowaniu, z dołu nie dobiegł żaden hałas.

- Czy to była ofiara?

Spłoszony, rozejrzał się gwałtownie. Kto śmiał pogwałcić zakaz wstępu na wieżę Ust Boga? Nie było nikogo, tylko we wschodnim oknie siedział skulony niewielki, brązowo pręgowany kot. Czerpiący z Ust Boga przez chwilę myślał, że to któryś z oswojonych kotów przyszedł za nim na górę.

Kot otworzył pyszczek i wymruczał powtórnie: - Czy to była ofiara?

- Nie śpię - wyszeptał kapłan, zdumiony.

- I wytrzeźwiałeś - dodał kot.

Czerpiący z Ust Boga uderzył czołem w posadzkę, aż ból oślepił go na chwilę. W panice przypominał sobie karygodne pijaństwo i straszne bluźnierstwa, jakich się dopuścił. Kot był niewątpliwie wysłannikiem Wieczystych, a może nawet samym Wieczystym, który za chwilę strąci go w otchłań.

- Nie. Przestań. Zrobisz sobie krzywdę - wymruczał kot. - Wstań, to jest po prostu śmieszne.

Mężczyzna nie poruszył się, zacisnął mocniej powieki. Poczuł miękką łapę na głowie.

- Czy nie powinieneś ogolić głowy? Z tą króciutką sierścią wyglądasz nieco dziwnie.

W końcu kapłan zdecydował się ostrożnie unieść wzrok. Spojrzał wprost w zielone ślepie. Kot siedział tuż przed nim i mruczał, jakby był nadzwyczaj z czegoś zadowolony.

- Czy masz jakieś imię? - spytał kot z uprzejmym zaciekawieniem.

- Czerpiący... - zaczął kapłan i urwał. - Pióro - dopowiedział cicho, wymieniając imię, jakie nadała mu matka.

- Albo Brat Węży - uzupełnił kot. - To dobre imiona. Prawdziwe.

- Czy jesteś posłańcem Bogini? - odważył się zapytać kapłan.

- Mówię we własnym imieniu, ale znam Zieloną Panią. I ty też ją znasz.

- Dziewczynka z bliznami - westchnął Brat Węży. - Więc Oko Świata się pomylił!

- Nie. Po prostu zrobił to, co uznał za słuszne. A ty wciąż szukasz prawdy, słuchając odgłosów z ciemnych dziur, podszeptów węży... albo kotów. Tymczasem cała prawda i siła są tylko w tobie i nigdzie indziej.

- A Usta Boga...?

- To tylko miejsce, w dodatku zimne - prychnął kot. - Prawdziwe Usta Boga są w tobie. Czas, byś zaczął bardziej poważać samego siebie.

Brat Węży zastanawiał się dłuższą chwilę, usiłując uporządkować myśli.

- Bogowie istnieją?

- A jak myślisz? - spytał kot i zaczął lizać łapę.

- Tak - powiedział kapłan stanowczo. - I nadal będą zsyłać mi wizje?

- A jak sądzisz? - kot znów odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Raczej tak - odrzekł kapłan. - Ale to się okaże. Rozejrzał się po pustym, ponurym pomieszczeniu.

- Pewnie nie muszę już tu przychodzić - powiedział. - Ale służba

zacznie plotkować. Mogą być kłopoty.

- Możesz hodować tu kwiaty - poradził kot niefrasobliwie. - Niektóre gatunki lubią takie otoczenie.

Komnata Ust Boga, odarta z tajemniczości, w jednej chwili stała się tylko opuszczonym, smutnym, nieprzytulnym wnętrzem. Brat Węży pomyślał, że byłoby miło postawić tu kilka donic z kwiatami. Położyć parę poduszek na kamieniach. Zjeść czasem coś lekkiego, napić się wina, spoglądając przez okno na rozpościerający się poza murami Mohte-Reyo bezmiar dżungli. Samotnie lub z... Odpędził od siebie tę myśl, przerażony własną śmiałością.

Kot przerwał mycie pyszczka i wskoczył mężczyźnie na kolana.

- Po prostu zejdz na dół - zamruczał, jakby odgadując myśli kapłana. - I powiedz jej, że ją kochasz.

Brata Węży oblało gorąco.

- Jestem taki stary. A ona jest jeszcze dzieckiem.

- Już niedługo - stwierdził kot. - A ty nie jesteś starcem. W porównaniu z wiekiem Bogini można by powiedzieć, że nawet jeszcze się nie narodziłeś.

- Nie zaszkodzi przypomnieć, że oprócz węży, lubisz też koty - dodał, moszcząc się w fałdach kapłańskiej szaty.

Brat Węży podniósł się i biorąc kota na rękę, wstąpił na schody.

- Usta Boga - powiedział cicho do siebie. - Usta Boga - powtórzył i zaśmiał się cicho, uświadamiając sobie, że każde usta są Ustami Boga, należy tylko umieć słuchać.

Kot na jego rękach znów zaczął mruścić.

Gdańsk, luty 1997

Andrzej Zimniak

Rozpakuj ten świat, Evitt

Dalekie góry dymiły tego dnia nie tak jak zwykle, dudniąc i wyrzucając z wierzchołków pióropusze żółtych wyziewów, tylko jakby parowały całą powierzchnią, pociły się wszystkimi skalnymi porami. Wiatr ucichł i siarczana mgła powoli napełniała kotliny.

Główny Apple zajazgotał, na monitorze skakały rzędy kolorowych liter, jeden wiersz zielony, drugi żółty, żeby było łatwiej czytać. Evitt wiedział, że będzie tak kwiczał, aż ktoś przyjmie E-mail. Ktoś, czyli on. Powłócząc nogami, podszedł do klawiatury. O tak wczesnej porze nie poruszał się jeszcze zbyt szybko. Zresztą i później nikt nie mógłby nazwać go rączym. Zdjął Mrusię z obudowy monitora, na której zwykła się wygrzewać, przytulił ją, pomiętosił i puścił w stronę uchylonych drzwi.

- Przebiegnij się, mała.

Kotka przeciągnęła się, otrząsnęła i ułożyła na podłodze w środku słonecznej plamy. Zawsze robiła tylko to, na co miała ochotę, za to z wysublimowaną gracją.

- Prawdziwa dama. Na dodatek prawdziwie wolna. Niedościgniony wzór dla pań - mamrotał, stukając w klawisze. Pracował powoli i uważnie, bo nie chciało mu się powtarzać procedury. A cholerne Jabłko nigdy nie puszczalo najmniejszej pomyłki.

- Mamy gościa - zaskrzeczał. - Czy słyszysz mnie, dobra kobieto?

Ada spała, leżąc na wznak i chrapiąc. Usta miała półotwarte i łapała powietrze spazmatycznie, jakby czuła, że każdy oddech może być ostatni. Przewróciła się na bok.

Evitt na dobre rozsiadł się przy monitorze. Najpierw wybrał kawę z cukrem i zawahał się, ale w końcu podwójnie kliknął w jaja na bekonie. Mruknął, gdzie ma podwyższony poziom cholesterolu, i że w tym miejscu nie jest on już specjalnie szkodliwy. Zresztą należało jakoś wyróżnić ten dzień: szykowałą się wizyta.

Ada znowu zasnęła, więc przeskanował ją na adrenalinę. Usiadła i spojrzała ze złością.

- Zapowiedział się gość - bąknął przepaszajaco. Zaakceptował matriarchat już sześćdziesiąt lat temu, ale od czasu do czasu pozwalał sobie na małe odstępstwa. Ada była mądrą kobietą i też na nie pozwalała.

- Już dobrze, dobrze. Kto to?

Rozłożył ręce.

- Jakiś starszy facet z siwą brodą. Nazwisko... - Zaczął szukać po ekranie.

- Daj sobie spokój, wszystko jedno. Przecież już od dwudziestu lat nie mamy znajomych. Kiedy będzie?

- Wieczorem. Chce pogadać i przejść się po skansenie.

- Nocą?

- Może. Nie wiem, przecież nic więcej nie napisał - odparł niecierpliwie. Od jakichś trzydziestu lat bywał niecierpliwym, ale szacunek dla żony zaraz osadzał go na miejscu. Cenił to, co naturalne i nie skanował się trankwilizatorami. W przeciwieństwie do Ady, która uważała, że leki są dla ludzi.

- Dobrze, już dobrze. Też chcę jaja z kawą.

Nie zdziwił się, że czyta w jego myślach. Po tylu latach potrafiła w zależności od sytuacji przewidzieć niemal każdy ruch męża.

Zaraz po posiłku wzięli się do roboty. Według standardowej procedury wybrali dwanaście spakowanych obiektów, sczytali je teleskanerem i poddali rozarchiwizowaniu. Na polu za oknem bezkształtny kamień rozwinął się w XVI-wieczną chłopską zagrodę z

Alzacji, a zakopany do połowy obelisk w żydowski lombard z Warszawy, typowy dla początków XX wieku. Kwadratowa płyta rozkwitła w miniaturę katedry Notre-Dame, natomiast brązowe jajo w krzakach w 100-krotnie pomniejszoną Krzywą Wieżę z Pizy. Robota szła coraz sprawniej, aż wreszcie dokoła ich okrągłaka wyrosło prawdziwe muzeum na wolnym powietrzu.

- Wystarczy - zarządziła Ada. - Starzy ludzie nie są aż tak ciekawi, żeby porównywać na przykład sumeryjskie domy schadzek z podobnymi przybytkami w Paryżu.

- A jeśli jego przewodnikiem będzie ktoś młodszy? - ostrożnie dowcipkował Evitt.

- Ee tam, ojczulku, fantazjujesz. Młodszych już nie ma. A gdyby trafił się jakiś zachłanny historyk, zawsze możemy dorzucić coś z zaplecza, no nie? Dostyc tych eksponatów leży po krzakach.

Ponieważ mężczyzna tylko pokiwał głową i zaczął przeglądać serwis informacyjny, kobieta przeskanowała się na zwykłą porcję leków i poszła spać. Często buszowała po nocach, porządkując swoje sukienki sprzed kilkudziesięciu lat, a potem odsypiała w dzień. Tak przynajmniej tłumaczyła to sobie i jemu, a naprawdę potrzebowała coraz więcej snu.

Evitt czytał piąte przez dziesiąte, bo naprawdę niewiele obchodziły go interpelacje parlamentarne w sprawie proszku na rekiny czy wciąż wznawiane próby pobudzenia rozrodczości u kobiet po pięćdziesiątce. Najpierw kazał maszynie czytać głosem przedwcześnie dojrzałej nastolatki (Ada spała już dostatecznie mocno), a potem machnął ręką i wylogował się z wiadomości. Jeszcze potem wyczuł czyjąś obecność za plecami.

- Już jesteś? Miałeś przybyć wieczorem - zapytał, nie odwracając głowy. Gimnastykowanie kręgów szyjnych nie było jego ulubioną czynnością, wolał wykręcić się z całym fotelem.

Ale w biurze nie było nikogo oprócz niego i Ady. Podniósł się i zajrzał

do innych pomieszczeń, a potem wyszedł przed dom. Nic. Tylko wiatr szumiał pośród dachów skansenu i przeczesywał trawę na polu. Dostrzegł jakiś ruch między wieżami monumentalnej Sagrada Familia, ale to zwykłe wróble skakały po krużgankach, po miniaturyzacji w sam raz pasujących im rozmiarami.

Odetchnął głęboko łagodnym jesiennym powietrzem i przysiadł na progu. Słońce przyjemnie pieściło przez koszulę, wiatr napierał, ale nie był uciążliwy. Co go obchodzi, że coś się kończy, wali, że ludzie są głupi? Zawsze tak było, a koniec świata mijał już z dziesięć razy za jego długiego żywota. Doceniał swój piękny wiek i każdy następny ranek traktował jako wspaniały dar od Boga.

Coś (czy może ktoś?) znowu poruszyło się gdzieś bardzo blisko. Słyszał, jak Mrusia szasta się po izbie; w końcu otarła się o jego bok i smyrgnęła na dwór. Nie oglądał się, bo bał się jeszcze raz spłoszyć zjawisko. Jeśli to coś przyszło ze świata jego własnej imaginacji, to albo przybyło w jakimś celu, albo najwyższa pora zacząć skanować się na psychotropy. A może przyszło z zewnątrz, po to, żeby w końcu go zabrać?

- Pamiętaj - powiedział półgłosem - że ja i Ada to jedno drzewo. Ono rośnie od sześćdziesięciu lat.

Roz-pa-kuj, Roz-pa-kuj - szeptało coś z boku, z tyłu, z góry. Zrób-to, zrób-to. Skansen, skansen - powtarzał wiatr nad dachami.

- Ada - poprosił bezradny mężczyzna. - Ada, coś ze mną nie tak.

Lecz Ada właśnie schodziła w swojej codziennej drzemce do takiego poziomu oderwania od rzeczywistego świata, że nawet najgłośniejsze wiadomości nie były w stanie zakłócić jej wypoczynku. Cóż dopiero słaby głos męża.

Odwrócił się bardzo powoli. W pokoju oczywiście nie było nikogo obcego. Ada chrapała, a monitor bluzgał obligatoryjną pstrokacizną. Cholera!

Evitt w stosunku do spraw ostatecznych był w zasadzie stoikiem: akceptował porządek rzeczy w całej (no, niemal całej) rozciągłości, bezdyskusyjnie włączając w ten system swoją osobę. Bóg daje, Bóg bierze. Przed nieuchronnym należy z szacunkiem pochylić głowę.

Podniósł się i niespiesznie podszedł do centralnego urządzenia w biurze, komputera Apple Macintosh, który stał się również główną osią aktywności ludzkiej cywilizacji. Jabłko panoszyło się wszędzie, ale także umożliwiało życie. Wierzył, że bez niego ciągle ginąca i nie mogąca zginąć cywilizacja przepadłaby już dawno.

Tuż przy klawiaturze leżała łyżka. Ciepła, nagrzana padającym przez okno słońcem, ciężka, powyginana. Skąd się tu wzięła? Jadali w kuchni, a w ogóle czy mieli takie stare łyżki? Już nie pamiętał. Kiedyś, w innym domu, w innych czasach, to na pewno... Musiał wziąć ją ze sobą. Nie lubił rozstawać się z przedmiotami.

Nie wiedział, dlaczego to robi, ale namierzył ją superskanerem, zaczytał do pamięci i dał komendę rozarchiwizowania. Nie miał pojęcia, skąd ten pomysł: chciał rozpakować łyżkę, którą rano wcinał jaja na bekonie, a którą dostali z Adą w komplecie w prezencie ślubnym pod koniec Drugiej Wojny Światowej! Pomyślał, że zgłupiał do reszty. Dobrze, że żona nie widzi jego eksperymentów.

Tymczasem z łyżką działy się dziwne rzeczy. Najpierw skurczyła się w sobie, kiedy superskaner uruchomił sprzężenie zwrotne. Zaczęła zmieniać położenie drobnymi drganiem, tak że jej obraz rozmazał się, a potem roztopiła się i zlała w kulę żółtego metalu. Na koniec rozsypała się w proch, ale okazało się, że dopiero teraz rozpoczęła się najdziwniejsza przemiana. Z prochu wykiełkowała roślina, w okamgnieniu wyrosła pod sufit i zakwitła wielkim, czerwonym kwiatem.

Evitt był tak wzburzony, że zaklął dosadnie, co zdarzyło mu się po raz pierwszy od sześćdziesięciu lat. Nieznany dźwięk w środowisku rozbudził Adę skuteczniej od adrenaliny.

- W tym domu nie używa się takich wyrazów - pouczyła mentorskim tonem, nie zwracając się wszakże do Evitta. Usiadła i spojrzała w kierunku kuchni. - Gdzie nasz gość?

- Nnie... chyba jeszcze nie przyjechał. Zobacz co...

- Jak to: nie przyjechał? Widziałam go, jak kręcił się po pokoju. Majstrował przy Jabłku, a teraz przeklina. Co za maniery!

- Przecież spałaś, kochanie. Śniło ci się.

- Też coś! Wiem dobrze, kiedy śpię. Facet nie zwracał na mnie uwagi, więc znów przysnęłam. Nie lubię bufonów.

- Ado, co myślisz o tej roślinie?

- Niezłe zielsko. Po co przytargałeś to-to do domu?

- Ja nie... To jest... Zresztą poczekaj.

Wyjrzał na dwór. Dalekie góry pociemniały i parowały szarą mgłą, którą wiatr rozwiewał w żałobne welony. Rozpakowany skansen śpiewał w ostrych podmuchach. Nie było widać żywej duszy. Wrócił na palcach, jakby jednak ktoś mógł podsłuchiwać. Poruszał się znacznie energiczniej niż zwykle.

- Coś ci pokażę - zarządził. Ada czekała, bo następowała jedna z tych rzadkich chwil, w których jej mąż bezapelacyjnie przejmował inicjatywę.

- Tylko nie rób bałaganu. Mamy gościa - upomniała.

- Dopiero będziemy mieli. Zaraz wszystko się sprzątnie. Spróbujmy to teraz spakować.

Już dawno nie operował na klawiaturze z taką szybkością. Namierzył dziwną roślinę i zarchiwizował ją. Na blacie stołu leżała stara, powyginana łyżka.

- Ta sama, czy taka sama? - powiedział do siebie.

- Co ty robisz? O czym mówisz? To nie na mój rozum.

Zawsze powtarzała, że jest najmądrzejszy, a on jej na to, że jest najpiękniejsza, a potem, po latach, że najzaradniejsza. No i spędzili razem sześćdziesiąt wiosen. Na pewno wygraliby każdy małżeński interquiz.

Zawsze robili za wzór cnót pośród rodziny, przyjaciół i znajomych, dopóki w maratonie zwanym życiem nie zostali sami. Jednakże cnota pozostała, choć nikt już jej nie podziwiał, bo oni sami uznawali ją za coś tak normalnego jak poobiednia drzemka.

Evitt poruszał się coraz zwawiej, zupełnie jakby ubyło mu ze trzy krzyżyki. Chwycił długopis i umieścił go obok klawiatury.

- To mój - zaprotestowała Ada. - Weź sobie inny.

Westchnął z rezygnacją. Kobiety, nawet takie jak jego żona, bywają perfekcjonistkami, niestety często w podniosłych chwilach. Wziął swoje pamiątkowe pióro na atramentowe patrony.

Zeskanował je z największą rozdzielną i rozpoczął rozpakowywanie. Z blatu stołu wyrosła kępa trawy, poprzątkana kwiatami, których nie znał. Ze środka wyskoczyło jakieś zwierzątko podobne do miniaturowej łasicy. Też nigdy takiego nie widział.

- Do licha - mruknęła Ada. - Nie wiedziałam...

- A kto wiedział? Czy rozumiesz, że... że...

- Nie jestem aż taka głupia, Ev. Weź teraz ten fotel, sztukmistrzu.

Jakby na to czekał. Od razu namierzył sprzęt teleskanerem.

- Tylko nie rozpakuje tego tutaj w środku, bo może być duże - przestrzegła.

Evitt święcie wierzył w żoniną intuicję, więc wyeksportował zdekompresowany plik na dwór, ze sto metrów od okrągłaka. I dobrze zrobił, bo wyrosło w tym miejscu drzewo wielkie i rozłożyste, podobne do palmy. Jego szerokie, wrzecionowate liście tworzyły naturalny dach, zwieszający się na obrzeżach aż do ziemi.

- Chodźmy tam - powiedziała Ada. Była wyraźnie poruszona.

Pod koroną panował półmrok i było ciepło. Z pnia wyrastały owoce w kształcie gruszek. Soczyste, w smaku przypominały melony. Pod liśćmi przecisnęła się Mrusia i, wyraźnie zadowolona, spacerowała na sztywnych nogach i z uniesionym ogonem. Najwyraźniej czuła się jak u

siebie.

- Rozumiesz coś z tego? - spytał bezradnie.

- Tylko tyle, że to drzewo jest jakimś domem.

- Jak myślisz... które rodzaje plików są prawdziwe? Czy bardziej prawdziwe?

- Złe pytanie. Wszystkie jednakowo, tylko służą innym celom, ojcuzku. Jak ci wiadomo, kompresja służy tylko do przechowywania. W aplikacjach stosuje się pliki rozpakowane.

- W normalnych okolicznościach. Przecież fotel zupełnie dobrze służy do siedzenia.

- Pod tą palmą też możesz siedzieć, leżeć, schronić się przed deszczem i chłodem, a nawet coś zjeść. Chodź, mam pomysł. Teraz rozarchiwizujesz... no, mnie. Moją osobę! - Obwiodła dłońmi swoje boki, żeby nie było wątpliwości, ale on ciągle nie kojarzył.

- Co?!

- Zeskanujesz moje ciało, a potem rozpakujesz plik. To będzie łatwe, męzusiu. Zresztą mogę nawet zrobić to sama.

- Nie zgadzam się. Nie i już!!

Ada spojrzała ze zdumieniem. Jej sześćdziesięcioletni mążzonek nigdy jeszcze nie odezwał się takim tonem.

- Ja... przepraszam. - Nie dał sobie przerwać. - Ale na to nie mogę pozwolić. Ty i ja to jedno stare drzewo. Już nie możemy żyć osobno.

Pogłaskała go pomarszczoną dłonią po policzku i przytuliła się. Zatańczyli kilka kroków swojego pradawnego miłosnego tanga. Kiedyś rozgrzewali się w ten sposób, teraz wyrażali wzajemne oddanie.

- Więc zrobimy to razem.

Uwolnił się z jej uścisku, wyszedł spod liścianego dachu.

- Nie - odparł powoli. - Skąd wiesz, co będzie za tą zasłoną? Tu jesteśmy razem i... jest dobrze.

- Ev, czy nie widzisz, że to wszystko, co dzisiaj się dzieje, jest

wskazówką? Dlaczego nie chcesz czytać znaków?

- Chcę dotrzeć w spokoju do końca życia, które zostało mi dane. Z tobą. Szanuję ten dar. To dar... wyjątkowy.

Wracali do okrągłaka w milczeniu, każde zatopione we własnych myślach. Evitt wiedział, że nie do końca przekonał żonę. Właściwie podejrzewał, że wcale jej nie przekonał, szukał więc nowych argumentów. Może grać na zwłokę? Zwykle była to dobra metoda, bo Ada często płonęła słomianym ogniem jakiegoś pomysłu, który wygasiał równie szybko, jak się rozpałał. Ale tym razem w jego piersi czał się chłodny lęk.

W domu kobieta zaatakowała z innej flanki.

- Już wiesz, Ev, że całe nasze biuro to jakiś spakowany skansen. My pewnie też, cała nasza rzeczywistość. Nie ciekawi cię, kim jesteśmy naprawdę, bo chcesz pozostać w znanym sobie świecie. Dobrze, ale proszę cię o jedno: sprawdźmy, z czego składa się to, co jest za oknem. Trawa, drzewa, kamienie, góry. Wszystko. Chcę wiedzieć, czy cały świat jest jednym wielkim spakowanym zbiorem. Zgadzasz się?

- Taaak... Dobrze - odparł z ociąganiem. Wietrzył podstęp, ale czuł, że ze względów taktycznych musi teraz trochę ustąpić. Trochę... Ale tak naprawdę cóż go obchodził świat, jakieś przestrzenie i problemy bardzo dalekie od niego, Ady i tego miejsca?

Uruchomili program. Krajobraz za oknem odmieniał się jak zaczarowany: trawy rozrastały się w baldachy prekambryjskich paproci, sosny w dziwne odmiany sekwoi i eukaliptusów, żwir rozpląnął się w białe wydmy, a góry... Góry nie dały się tak łatwo.

Na monitorze pojawiła się informacja: Obiekt zbyt złożony. Możliwa operacja sekwencyjna z parcjalnym nieodwracalnym kasowaniem pliku pierwotnego. Kontynuuj lub Anuluj.

Evittowi koszula przykleiła się do pleców. Odezwał się jednocześnie z Adą.

- Anuluję.

- Kontynuuj.

- Kochanie, zrobimy coś, czego nie da się już cofnąć. Zniszczymy cząstkę świata. Zamienimy ją na coś, czego kształtu nie potrafimy nawet w przybliżeniu przewidzieć!

- Przecież to tylko małe pasmo niskich wulkanów. Bezżyteczne hałdy popiołu. Ojczulku, dlaczego tak się boisz?

- Bo zwyczajnie dobrze mi tutaj i teraz!

- Mnie również. Ale to nie znaczy, żeby obawiać się małej próby, uzupełniającej naszą wiedzę. Czy mógłbyś przynieść mi szklanek wody, mój dobry duszku? Zupełnie zaschło mi w gardle od tych dyskusji.

Evitt oczywiście dał się nabrać na „szklanek wody”, tak jak tysiące albo i miliony mężczyzn przed nim. Ten babski chwyt, jak widać, nie zestarzeje się do samego końca świata.

Ada zakrzywionym palcem wskazującym dziobnęła literę „K”. Góry zaczęły zanikać mozaikowo, a z pustych miejsc wylewała się jakaś zielona masa, spływając niby zielona lawa. Wkrótce uformowały się oliwkowe pagórki o lekko nachylonych stokach, po których spacerowały łagodne zwierzęta nieznanymi gatunków.

- Może kliknąć dwie herbaty? - dopytywał się z kuchni Evitt. - Mnie też nieźle suszy od tych emocji.

- Świetny pomysł, mój drogi. Mam również ochotę na kruche ciasteczka, jeśli dasz sobie radę na naszym kuchennym Jabłuszku.

- Już się robi, łakomczuchu.

Tymczasem Ada nie próżnowała. Była głęboko przekonana o swoim posłannictwie, ogień jej determinacji zdążył wzbić się ponad kraterę ostatnich znikających wulkanów. W ramach działającego programu wybrała Wszystko poza centrum. Komputer zareplikował kolejną informację.

Ta aplikacja spowoduje naruszenie światowych zasobów

energetycznych. Ścieżka dostępu jest aktywna. Wybierz Wszystko lub Anuluj.

Wybrała W. Niebo nagle zmieniło kolor na głęboki błękit, jaki można oglądać z wysoko lecącego samolotu. Jaśniejsze gwiazdy i planety stały się widoczne, a słońce nie oślepiało, lecz było ciepłą, przyjazną kulą światła.

- Co ty robisz? - zapytał Evitt zmienionym głosem. Stał na progu, trzymając dwie szklanki herbaty w trzęsących się dłoniach.

- Och, kończę robotę za ciebie. Już wszystko dobrze. Otacza nas inny świat, tylko my pozostaliśmy tacy jak przedtem. Sam zdecyduj, co dalej.

Tymczasem Jabłko straciło łączność z Siecią i przeszło na lokalne połączenie z wewnętrzną pamięcią cząstkową. Palił się czerwony wskaźnik, co oznaczało awaryjne zasilanie.

- Co zrobiłaś? - powtórzył Evitt, spoglądając za okno. Jedna ze szklanek wypadła mu z ręki i z brzękiem uderzyła w podłogę. Nie stłukła się, bo była z imitacji szkła.

- Po prostu: rozpakowałam świat. Był taką samą imitacją jak ta szklanka, mój drogi. Tam - wskazała za okno - jest wreszcie coś prawdziwego. Czy chcesz opuścić wraz ze mną ostatnią enklawę rzeczywistości wirtualnej, jaką stanowi ten budynek?

- A więc zrobiłaś to. Pomimo mojej prośby. Po raz pierwszy zignorowałaś mnie, Ado.

- Ależ nie, kochany. Nie chciałeś zmieniać nas i naszego małego światka, więc pozostał taki sam jak dawniej: biuro, pomieszczenia mieszkalne i wspaniałe Apple Macintosh. I my w naszym okrągłaku, też tacy sami. Tylko co dalej? Czy chcemy żyć na bezludnej wyspie? Chodź, Evitt, i rozpakuj ten świat. Rozpakuj go do końca!

- Ja... już nie wiem. Nic nie wiem.

Postawił przed nią szklankę i usiadł ciężko.

Zza okna napływało ciepłe, świeże powietrze. Pośród zarośli załopotał

barwny ptak. Gwiazdy świeciły w biały dzień. Ale za palmowymi zaroślami i pasmami trawiastych wzgórz czaiło się Nieznane. To, co jeszcze przed minutą było jego światem, już nie istniało. Oprócz Ady, którą też miał utracić. I kilku porozrzucanych wokół drobiazgów. Zgadząc się na próbę, zapomniał, że nie będzie już codziennych wiadomości, źródeł energii, dostaw żywności, pracy w skansenie. Cóż, ta kobieta, jego żona od niepamiętnych czasów, wykonywała ostateczny wyrok. Tyle w tym wszystkim dobrego, że wejdą za zasłonę wspólnie, bo zawsze najbardziej obawiał się cierpienia osobnego życia. Tylko czy TAM znów się spotkają?

- Mam propozycję. - Ada jak zwykle czytała w jego myślach. - Przeprowadzimy proces odwracalny, uaktywnimy automatyczną funkcję Cofnij w ciągu dziesięciu minut. Wyjrzymy na chwilę i wrócimy, a dopiero później zdecydujemy, co dalej. Zgoda?

- Czyń, co musisz, kobieto.

- Nie bój się. - Przykryła jego dłoń swoją. - Jestem z tobą.

Nie zwlekała. Wywołała program i wybrała Centrum. Odpowiedź maszyny była do przewidzenia: Obiekt zbyt złożony przy braku połączenia z Siecią. Możliwa operacja sekwencyjna z parcjalnym nieodwracalnym kasowaniem pliku pierwotnego. Kontynuuj lub Anuluj.

Bez namysłu wybrała K. Decyzję powzięła wcześniej, o wiele wcześniej, przed tysiącami lat. Lecz wtedy, choć bardzo pragnęła się cofnąć, było już za późno, i zaczął się karnawał zła, i miara musiała się dopełnić. Obawiała się, żeby nie spóźnić się po raz drugi.

Wszystko poszło gładko i bez bólu. Okrągłak i skansen zamieniły się w owocowy sad. Na ostatku samorozpakowania dokonał komputer Apple Macintosh. W kamiennej misie spoczęło dorodne zielone jabłko.

I wydarzył się cud: Evitt i Ada stali naprzeciw siebie młodzi, nadzy i piękni. Chwycili się za ręce i krzyczeli z radości, a potem odtańczyli swój rytualny miłosny taniec. Objęci, poszli w kierunku nowego domu z

szafasowej palmy. Mieli co robić: przecież należało zaludnić cały nowy świat. Zupełnie zapomnieli o Gościu i o zaklętych kosmosach. Byli wolni i niewyobrażalnie młodzi!

O ich nogi ocierała się Mrusia. Ona jedna pozostała taka sama, bo od początku była prawdziwa: idealne piękno i gracia. Doskonałość jej urody przetrwała wszystko i pozostała doskonałością nawet w dniu ostatecznym.

Gdy już znikli za ścianą liściowych wrzecion, na polanę wyszedł oczekiwany Gość, który okazał się Gospodarzem. Siwobrody ogrodnik zabrał swoje jabłko z kamiennej misy i bez zwłoki powiesił je na gałęzi drzewa, do której przyrosło w okamgnieniu. Zaróżowiło się i zapachniało.

Znów kusiło jak niegdyś.

Warszawa, marzec 1996

Piotr Goraj

Ale kyno!

bajka deliryczno-depresyjna

Wszedłem, zamontowałem wszystko jak trzeba, no i ruszyło. Miałem dosyć mgliste pojęcie na temat tego rodzaju zabawy, ale zdaje się, że oczekiwałem niezłego czadu na samym wstępie. Nic bardziej błędnego. Zanim całkiem zapomniałem, gdzie jestem, zastanawiałem się przez chwilę, czy coś przypadkiem nie nawaliło. Nie, nie wiem, od czego się zaczęło. Przejście było raczej płynne, rozmyte. Po prostu siedziałem sobie i zacząłem trochę rozmyślać. O byle czym. Ale tak jakby coraz mocniej.

Myślałem o ludziach i nieludziach. Ściślej mówiąc, myślałem o Chudej, tyle że globalnie. Chuda od dziecka prana była w wybielaczu myślenia konsumpcyjnego. Iloraz inteligencji na tym nie ucierpiał, ale jej zasobnik emocjonalny został tak dokumentnie wyjałowiony, że pozostał z niej sterylny, wykrochmalony kawał prześcieradła.

Przypominała kota. W odróżnieniu od psa. Pies kocha swojego pana za darmo i to niezależnie od tego, czy pan napełni mu miche, czy wykopie za drzwi. Kot jest twoim kumplem, dopóki go drapiesz za uchem: kiedy przestaje być rozkosznie, wypina się na ciebie i rusza na spacer własnymi drogami. Kot ma wszystko w dupie. Emocje zostawia frajerom: psom. Kiedy pan wraca do domu, pies dostaje nagłej gorączki z radości, ślini się, sika po nogach. Kot patrzy na frajera z politowaniem. Ogólnie podchodzi do tego wszystkiego beznamiętnie. Przerost luzu. Na pieszczoty się zgadza, o ile nie ma akurat własnych spraw do załatwienia.

Niespecjalnie interesuje się, kto go drapie za uchem; ważny jest sam akt drapania, zdepersonalizowany akt robienia dobrze kotu. Dla kota świat dzieli się na zjawiska, które robią mu dobrze i te, które robią mu źle albo nie robią mu nijak. Zjawiska, które reprezentują pierwszą kategorię, mają zaszczyt wzbudzić leniwe zainteresowanie kota. Resztę się kasuje.

Jej kocie istnienie widoczne było w każdym jej geście. Potrafiła dawać fałszywe poczucie ciepła, zwijając się kocio w rogu kanapy, wklejając się w ciebie całą swoją kocią istotą. Wzorem perskiego cwaniaka potrafiła sprawić, że wierzyłeś bezgranicznie w swoją wyjątkowość. Gdyby miała wąsy, umiałaby nimi poruszać. Uwielbiała psy. A zwłaszcza największe mięczaki i najcięższych frajerów.

- Wyobraź sobie, że yorkshire terier może dostać zawału, jak stłuczysz koło niego szklankę - kroić swoje wywody jak tort lodowy, oddzielając zdania długimi rzęsami. - Śliczne, słodkie maleństwo, szczeniak mieści się w dłoni - mruczała, serwując lodowatą słodycz w zgrabnych plasterkach. U jej stóp czołgała się sparszywiata rasa podległa, która dostaje zawału od stłuczonej szklanki. Koty *über alles*. Koty w butach Martensa i spodniach moro i ich maskotki mięczaki. Dopóki maskotka nie wkurwi pana.

- Nie chciałybyś mieć dziecka? Drażnienie wielkiego kota.

- Och, przestań.

Sprzeczne interesy dwojga mafii. Ty, Vittorio, możesz sobie kosić szmal ze swoich lokali, ale jak przyjdzie wielki zły Benito, będziesz musiał oddawać mu siedemdziesiąt procent swojej kapuchy. Wiedziała, że małe bebe też jest z mafii. Chodzi własnymi drogami, ma innych w dupie i ciągle czegoś chce. Dwa koty w jedno miejsce to za wiele. Braknie frajerów do podziału.

- Mój kumpel Linda chciał kiedyś zrobić biznes na nalepkach - powiedziałem. - Chciał nadrukować serduszek na wzór tych, które sprzedaje Orkiestra Świątecznej Pomocy, ale nie czerwonych, tylko

czarnych. Z napisem: „Nie bądź frajerem”.

Teraz walnie jakąś bzdurę.

Nie walnęła. Brak odzewu. Strzał przeszedł obok i wyrwał dziurę w płocie. W tym czasie płot był już w stanie dosyć opłakanym. Sterczało tylko parę smętnych kikutów. Gdyby to były malowane wrota, a nie płot, mógłbym się w nie wpatrywać jak cieleń. Zamiast tego wpatrywałem się jak cieleń w kota, który w istocie był wymalowany obficie, a wrota gotowe nie tylko do tego, żeby się w nie wpatrywać. Ubolewałem, że nie jestem kotem, nie bo miałem przed sobą nic innego, jak zjawisko pierwszej kategorii.

Późnym wieczorem zasiadłem przy piwie z Brzęczącym Jasiem i zasłaniając się dymem z papierosa, myślałem o laserowych ludziach, technonacji, która wyprodukowała takie cyborgi jak kobieta kot, o ludziach węzach i ludziach kameleonach, o migotliwym świecie bez zastanowienia i mętnych wątpliwości i nie wiedziałem już, kto tu jest mutantem, czy ja, czy cała reszta, i czy to ja zdarzyłem się ni w pięć, ni w dziewięć pośrodku stada neandertali czy stado neandertali zdarzyło się wokół mnie.

Jasio brzęczał niezawodnie.

- Może i myślisz, że jestem lump - rzucił. - Właśnie dlatego powinieneś mi znowu postawić. Każdy musi mieć kogoś, kogo uważa za szmatę. Twoje wielkie ja musi się czasem przejrzeć w brudnej kałuży. Po to tu przychodzisz i stawiasz mi kolejki. A w ogóle...

Dym niestrudzenie budował w ciężkim powietrzu zawiłe arabeski. Wyginał je, wykoślawiał, defasonował. Wykrzywić się jeszcze bardziej, wynaturzyć jak przejrzwały kartofel. Być jeszcze bardziej nie na miejscu. W złym czasie i w złej przestrzeni.

- Co ty, stary, robisz w takim chamowatym kuflocie - bzyknął pytaniem retorycznym i zaraz się wyszczerzył, co miało wyglądać chytrze. - Ja ci powiem, co. Tutaj przestajesz myśleć, że nawaliłeś. Bo tu

są same śmieci. Wydaje ci się, że z ciebie wcale nie taki śmieć.

- Zamów jeszcze po jednym. - Odstawiłem pusty kufel: łup, brzdęk! Jasio obnażył garnitur brązowych pieńków, zsunął się ze stołka i pozęglował, krępy lump, gładko przemierzając labirynt stolików w kierunku najjaśniejszego miejsca na świecie: baru. Myster Bogdan zwiesił dolną wargę i zaokrąglił ślepią, gotowy całą swoją istotą przyjąć zamówienie. Wielka, włochata brodawa na lewej flance zuchwy też jakby zastygła w oczekiwaniu.

Sąsiad przy stoliku obok też był niezły. Nie wiadomo dlaczego patrzył w swoje piwo z niebotyczną rozpaczą. Chrapy rozdęte, na czole rozpacz wyźłobiła cztery grube bruzdy. Może też myślał. Było w nim coś z mądrego basseta. „Co ty, stary, robisz w takim chamowatym kuflolocie”. Oglądam mikrokosmos. Dno jest piękne, bo żywe. Tam, gdzie ci się wydaje, że byłbym na miejscu, nie ma czego oglądać. Jak w sklepie meblowym. Stoją eksponaty, martwe. Nakręcone, to jadą.

Jasio przybywał zwieńczony dwoma kuflami, halsując wdzięcznie swoim tłustym zadem.

- Widziałem brudną wersję Panta Reia. - Palec wskazujący Jasia wyłowił z gęstwy meneli właściwy obiekt. Tłuszcioch w białej niegdyś podkoszulce, zmięte fałdy buldożego pyska spoczywające zmęczone w wielkiej łapie, łokieć wsparty ciężko na zaświnionym blacie. Tak wyglądałby przyszły mąż mojej kuzynki, gdyby się stoczył. Niestety, nie zostawiał cienia nadziei. Gość robił w branży mięsnej i kochał to. Kupa słoniny. Kiedy się poruszał, jego podskórne zasoby przemieszczały się, przelewały. Nazywałem go Panta Rei: Wszystko Pływa.

Zeszmacona wersja Panta Reia leniwie przekazywała kompanom perełki wiedzy marynistycznej.

- No powiedz, Roman. Jez łóć podwodna?

Roman zaczął grzebać kołkami paluchów w zmiętej paczce fajek. Nie chciał się wygłupić.

- Ty, Marian, no jez łóc podwodna czy nie?

- Jes.

Niezbyt pewnie. Właśnie o taką odpowiedź chodziło.

- A gwno - sprostował z wdziękiem Panta Rei, połykając kluczowe samogłoski w rasowym pijackim stylu. - Łóc to jez, jak pływa po wierzchu. Pdwodny to jez okrent, baranie.

Oryginalny Panta Rei był wzorowym amerykańskim troglodytą. Robił z mięsa pieniądze, a pusty kubek swojej duszy zapychał żarciem. Ładował do gardzieli, ile wlażło, odpalał silniki i ruszał na spotkanie mięsa, żeby zamienić je w jak największą górę szmalu. Pustkę wypełniał też masą innych towarów, których nie dało się zeżreć. Był wytrawnym kupującym, uwielbiał mieć nowe ładne rzeczy i pokazywać je tym, którzy takich rzeczy nie mają. Ograniczony aż do bólu, w handlu nie miał sobie równych. W rzeczywistości troglodytów, zamerykanizowanej i wycenionej na wszystkie strony, poruszał się tak zgrabnie i szybko jak troglodyta po skałach. Wyrobił sobie pełny asortyment sztucznych zachowań. Na każdą okazję miał coś na miejscu, wypchany worek komunałów w postaci gestów, komentarzy, zagajeń i innych potrzebnych rzeczy. Nigdy w życiu nie zachował się niewłaściwie.

- To jego astral tu siedzi - Jasio podjął nowy temat. - Jak załatwi żonę i walnie wreszcie w kimono, jego astral wychodzi, żeby się wytarzać w brudzie. On sam nie wie, czego tak naprawdę chce. Jego astral załatwia te potrzeby po nocy w knajpach. Gość ma naturę wieprza i musi się od czasu do czasu zwieprzyć.

Oj, zamęcza, jak może.

- Każdy tego potrzebuje - zawyrokował.- Ale mało kto o tym wie. Ludzie byliby szczęśliwi, gdyby raz na parę dni wleźli po szyję w gówno. To by ich odświeżyło.

- Ty nie wyglądasz najświeżej - powiedziałem.

- Psychiczenie, stary, psychiczenie. Moja dusza jest świeża jak wiosenny

szczypior. Upodlenie to jest podstawa dobrego samopoczucia. Trzeba spaść na dno, żeby było się od czego odbić.

Mój kumpel Linda wymyślił kiedyś biznes z komercyjnym numerem telefonu. Ogłoszenie w gazecie miało informować, że pod tym numerem można zostać zwyzywanym. Po wykręceniu numeru odzywałoby się rutynowe: „Po co tu zadzwoniłeś, cymbale?“, a ciąg dalszy zależałby od wymagań klienta. Linda dopuszczał założenie kilku numerów, od wersji łagodnej przez standardową aż do ekstremalnej i hardcore. Był przekonany, że „brudtelefon” zarobi krocie.

Zgrzytnęło z lewej: astral Panta Reia dźwignął się, żeby wyjść do kibla. Wielkie gacie zwisały z niego, jakby były pełne. Coś jednak mają wspólnego, ten i oryginał. Lubią mieć autorytet. Najważniejszy przy stole: tylko on wie, czy jest łódź podwodna. Dobrze wywlec ignorancję innych na światło dzienne. Pokazać, kto tu jest cwany. Jedną z podstawowych zasad zdrowej amerykańskiej społeczności: pomóc frajerom znaleźć swoje miejsce. Kiedy już zapoznają się z układem sił, można się wyluzować i pozwolić sobie na pewną dozę pobłażliwości. Baryła zatrzymała się w pół kroku. Półobrót, wielka morda klapnęła.

- Weź mi jeszcze sete, Roman.

Wszędzie to dociera. *American Dream*. Pokaż się. *You can do it*. Amerykański troglodyta siedzi na sedesie i wytwarza masowo sakramenty nowoczesnego świata. Rura doprowadzona do muszli zasysa produkty, a podciśnienie ciska je w kierunku wylotu, gdzie tłoczą się spragnione karmy umysły i łykają, ile wlezie. Nasycone uśmiechają się błogo, mówią: „That was cool” i przybijają piątkę z sąsiadem, który też swoje przełknął. Przeważnie najłatwiej łykają rozmaite wrzody pop kultury. Ostatnio łyknęli program telewizyjny, który polega na robieniu sobie jaj z poczciwości, najlepiej z poczciwości osadzonej w niezbyt bystrym mózgu. Program nazywa się: „Przygody Leona”. Rzeczony Leon filmuje ukrytą kamerą swoje wybrane z tłumu ofiary. Szczególne

upodobanie ma Leon do niezbyt bystrych babinek i dziadków. Pokazuje ich na szklanym ekranie, a troglodcy w baseballówkach na swoich pustych łbach kwiczą ze śmiechu, bo babinki nie są takie cwane jak Leon i niespecjalnie sobie z nim radzą. Przykład: babinka przyskrzyniona przez Leona dostaje pod chwilową pieczę jajka rzekomo prosto z inkubatora; lada chwila wyklują się kurczątko, ale trzeba jeszcze trochę na nie pochuchać, żeby dojrzały, bo inaczej kurczątko się wykończy. Babinka przejęta rolą chucha na jajka, a pół Polski rechocze z uciechy. Dostali wreszcie godziwą rozrywkę na poziomie. Brakuje jednak puenty: Leon nie zadbał o postawienie kropki nad „idiotyzyzm”. Mógł przynajmniej na koniec rozbić babince jajka na głowie, a byłoby zupełnie ekstra, gdyby przy tym opadły jej gacie. To by był dopiero ubaw po pachy! *That would be cool!* Poczciwe babinki można też wykorzystać w *Live show* wzorem dawnych teatrów ulicznych, które pokazywały gawiedzi wybryki natury. Można wozić je po rynkach większych miast i za pomocą inteligentnych dowcipów pokazywać, jakie to one tępe, że boki zrywać ze śmiechu. Ostatecznie człowiek musi się czasem zabawić, nie tylko praca i obowiązki. I chętnie zapłaci za godziwą rozrywkę.

A gdyby tak oddział poczciwych babinek dorwał Leona, przywiązał mu do zadka wiadro z głodnym szczurem w środku, obciął nos, poszerzył uśmiech, a na koniec wyrwał kręgosłup? I nakręcić to wszystko z ukrytej kamery!

Drzwi baru, pchnięte brutalnie od zewnątrz, wyrysowały nagle półkole na zapapranej podłodze i trzaskprasnęły w zapapraną ścianę. Pośrodku czarnego prostokąta nocy stanął zapapraną Leon w zarzyganym prochowcu.

Musiałem w tej chwili wyglądać niewymownie głupkowato, bo ustało brzęczenie.

- A tobie co? - zatroszczył się Jasio.

- Ty... - zacząłem. - Jest tu jeden facet z telewizji... Jasio siedział tyłem

do drzwi. Odwrócił się, obejrzał Leona beznamiętnie, zajął się znów swoim piwem.

- Z regionalki ten gość?

- Nie. Z TVP.

Harde spojrzenie Leona wymiękło, kiedy napotkało emanującą niesmakiem minę Myster Bogdana, zgarbionego nad barem jak zmęczony marabut. Muszę przyznać, że niesmak na twarzy Myster Bogdana wyglądał przepotwornie.

Leon przeobrażał się pod ciężarem wzroku zza baru. Oczy Leona nabrały wyrazu służalczości, pokornej prośby, prawie modlitwy. Jednym słowem: spsiły się. Leon spozierał na Myster Bogdana wzrokiem zbitego spaniela.

- Ile ci tam wiszę?

- Czterysta sześćdziesiąt osiem tysięcy pięćset. - Każde słowo strudzonego marabuta zdawało się wbijać Leona głębiej w zasmarowaną podłogę.

- Dopisz jeszcze ćwiare - zaproponował.

Zbyt zmordowany, żeby odmówić. Przyglądałem się Leonowi, który trzęsącymi się grabami chwycił swoją ćwiare, i pieściłem swoje przyjemne zdziwienie. Taki Leon z Warszawy żebrze o flachę. No, no, kto by pomyślał... Taki niby idealny model mutantu cywilizacji. Idealny małopolud, postawił totem z banana przed swoim tipi, a jego małe każdego dnia oddają mu hołd. Swój rozsądek przyprowadził zasadami. Umieblał sobie mózg w nowoczesnym stylu, wsiadł do windy i powoli, bez wysiłku jedzie do góry. Aż tu nagle coś zazgrzytało. Gdzieś pod czaszką zrobiło się zwarcie i umysł zakwitł nowotworami zwątpienia. Wylazły wściekłe pajacyki potrzeb dotąd nie znanych. Jasio brzęczał coś o homoseksualizmie.

- ...bo ci się podoba? Gościa z telewizji nie widziałeś?

- To takie normalne, że facet z drugiego końca Polski pojawia się w

środku nocy w najbrzydszej spelunie najbrzydszego miasta i bierze wódkę na kredyt. I do tego barman go zna? Jak zły szeląg?

Jasio rozwiązał problem.

- Może przyjechał do babci - zasugerował.

Drzwi od kibla spotworniały wielgachną górą sadła. Lodołamacz brzuchola rozgarnął ciężkie powietrze: Panta Rei dotarł, uuuch-usiadł. Chwilę przyglądałem się neseserowi, który stał oparty o jego krzesło. Ten sam. Zapluty, niechlujny, posmolony. Ale ten sam. Neseser z nalepką: „Wtirste GmbH”, niezaprzeczalna własność narzeczonego mojej kuzynki.

Teraz popatrzyłem wyżej. Gęba. Jak mogłem od razu nie poznać tej mordy? Zmyliło mnie, bo też zgnojona była owa morda niewymownie. Poznał mnie. (Dopiero teraz?) - Sie mano - zagulgotało mu w tchawicy. - Pjemy, nii-je? Bo stygnie! No to bach. Oby jak najdłużej rosły drzewa, z których zrobią nasze trumny! - zagał toastem i wlał w czeluść połowę swojej setki.

- Ty s kim pijesz? - zeźlił się Roman. - Znmi pijesz czy znim, e?

O dziwo, buldogowaty pysk spokorniał. Fałdy pyska, ściągnięte w dół mocą wypowiedzi Romana, zwisały jak flak z kaszanki, uszy dostały stulenia ostrego, karczycho zjechało w dół.

Chciałbym to pokazać Chudej. Jej pogarda dla emocji.

Że niby większość facetów bierze wszystko na zimno i nigdy nie ma wątpliwości. Że uczucia dotyczą raczej yorkshire terierów, a te nadają się tylko na maskotkę. Jej szacunek dla cyborgów. Bardzo proszę, mamy tu jednego cyborga, który podobno zajmuje się wyczarowywaniem ciężarówek szmalu z furgonetek miecha, ma zawsze nieskazitelny gangol, białe zęby, pachnie świeżością i jest elegancki, mimo że jest obrzydliwie tłusty. Mamy tu oto takiego cyborga. Przedstawiciel rasy doskonałej. Znieczulony. Siedzi w mięsie, nic go nie rusza. Beznamiętnie robi biznes. Nigdy żadnych wątpliwości. Jest też niezły w przekonywaniu siebie i innych o słuszności swojego istnienia. Istnienie cyborga, powie, dowodzi

słuszności istnienia cyborga. Odmaluje przed tobą wielką panoramę odruchów zainstalowanych w cyborgu i udowodni na przykładach, jak bardzo są one potrzebne. W poetyckich słowach odda paschalną radość zakupu kuchenki mikrofalowej. Albo płukarki do sałaty. Wypruje z siebie flaki, żeby zagadać pustkę. W jego domu z sufitów zwisają lepy na muchy niewiary i bezsensu. Zdaniem Chudej, jestem jednym z niewielu, którym te muchy łożą we włosach i regularnie składają jaja. Prawda, łożą mi. I jaja też składają. Co gorsza, zwykła packa nie poradzi sobie z nimi, bo to są wielkie zielone muchy, które przybyły wielkimi gromadami, przyjechały wozami zaprzężonymi w konie, aby się osiedlić, zbudowały rancza, wyhodowały stada bydła, postawiły drapacze chmur. Robią teraz wielki biznes, rozwijają się: rozłożą się po klatce piersiowej, otwierają przedstawicielstwa i agencje. Zwykła packa sobie z nimi nie poradzi.

Teraz przyjrzyj się idealnemu cyborgowi. Zrobi ci się niedobrze, kiedy zobaczysz, ile much bezsensu roi się w jego przerzedzonych włosach.

- Wszystko chuj - ogłosił Panta Rei, z którego nagle opadła euforia.

- Naprawdę mi się tu podoba - poinformowałem Jasia. Błysk w oku: manna z nieba. Facet przy nadziei.

- Jeszcze po jednym?

- Na luzie. - Włożyłem pieniądze w jego łaknącą dłoń.

Odpłynął w jasność. Skurczony Leon przy barze odsunął się z szacunkiem, przykurczył jeszcze bardziej. Kiedy Jasio zażądał dwóch kufli i wyprostował się przy tym, czując się poniekąd panem świata, Leon ostrożnie obwąchał jego spodnie.

- A, ty zarazo, paszoł won - zirytował się Myster Bogdan podciągając do góry zwisającą dolną wargę (wyrażało to złość). Leon skulił się tak bardzo, jak to tylko było możliwe, wzrokiem i postawą dając do zrozumienia, że wie, kto tu jest panem i że jego, Leona, wcale tu nie ma. Nieśmiało zamoczył pysk w szklance, pragnąc, by o nim zapomniano. Chciał być tak bardzo nieważny, że zrobił się prawie przezroczysty. Jego

uszy spełniały funkcję małych radarów rejestrujących sygnały niebezpieczeństwa: sterczały, odsłaniając w ten sposób czujne wnętrza małżowiny.

- Leon się zaciera - zauważyłem.

- W tej chwili nienawidzi swojej tożsamości. Jego tożsamość ma długi. Chciałby się jej pozbyć. Najlepiej byłoby mieć kilka tożsamości na wymianę. Na przykład...

Zaczął brzęczeć. Wyłączyłem fonię. Nietypowe dla Leona: chceć się wygumować. Amerykański troglodyta ma zwyczaj szpanować swoją osobowością, chociaż jej nie ma. Obnosi się ze swoją rzekomą indywidualnością. Lubi pokazać, że jest jedynym egzemplarzem. Mój kumpel Linda planował kiedyś zrobić biznes na zamiłowaniu do indywidualności. Chciał sprzedawać T-shirty oznaczone kolejnymi, nie powtarzającymi się numerami. Do każdego T-shirta dołączona byłaby na tasie niewielka książeczka, która informowałaby posiadacza, że jest właścicielem koszulki o takim a takim numerze, której nikt inny nie ma, i dzięki temu od tej pory nie jest już zwykłym człowiekiem.

- No choś tu do nas! - huknął nagle Roman jak z kałacha, machając pokrzywionym łapskiem do postaci majaczącej w drzwiach knajpy. Wielce niestabilna postać podjęła ryzyko uczynienia kilku kroków. W ten sposób wychynęła nieco z ciemności. Była to niewątpliwie postać kobieca, lecz niezbyt zadbana: tak, jakby ktoś dopiero co zwymiotował ją do muszli.

Panta Rei uśmiechnął się koszmarnie.

- Kamon ewrybady! - zachęcił niestabilne indywiduum. Brutalnie przerwałem brzęczenie Jasia.

- Zaraz urodzę małego Buddę - ostrzegłem go. Wytrzeszczyłem oczy. Zgłupiałem kompleksowo. Chwiała się nad stołem Panta Reia, Romana i Mariana; ciężkie powieki raz po raz odsłaniały zbieżnego zęza, strużka śliny z lewego kącika. Nabrzmiały pryszcz pod nosem świetnie

komponował się z brudnym, krwawym plastrem umiejscowionym po skosie w dolnych partiach brody. Napis na zaplamionym T-shircie oznajmiał: „Nobody can force me to have sex”.

- Chuda przyszła.

- E? - Tym razem Jasio zbaraniał. - Beee - rzekł. - Y-y? - dodał mało konkretnie.

Pijana Chuda zawisła na pijanym ramieniu Romana.

- Lubizmje troche? - zagadnęła nieśmiało.

- Roman, dej papierocha - zbulgotał przepastny gardziel Panta Reia, znów pełnego entuzjazmu i chęci do zabawy. Ciekawe: ani cienia nakazu w tym bulgocie, raczej szacunek. Zazdrosny o powodzenie u płci p...

Jakby nagle zmienił się układ sił.

- Fajkę chcesz? - Nieoczekiwanie na gębie Romana zakwitły czarne kwiaty złośliwości. Wyszczrzył swojego jedynego zęba urągliwie. Brwi spotkały się tuż nad świńskimi oczkami. Szyderczo. Jadowicie.

- Służyć - wycedził zjadliwie. Jak zjadliwie!

- Roman... - zaczął Panta Rei, wyłamując sobie spocone paluchy.

- Służyć - zażądał Roman nieugięcie. - Siad!

Grrruuuchnął na kolana, łapska wyciągnięte wierzchem dłoni w górę, przepisowo. Posadził swój ciężki zad, ten spasiony buldog, fałdy skóry zwisały pokornie z masywnego pyska. Spod zadu powoli rozpełzła się po podłodze niewielka kałuża. Ze strachu.

- Dej łape! - wrzasnął Roman złym głosem, ciskając z oczu błyskawice.

- Nie te! Drugie! Nie te, ty ścierwo! Drugie łape dej mi tu zara!

Fffuch!... Kopniak poturlał wielkie, tłuste psisko pod ścianę.

- Do nogi, bydlaku! Szczekaj! Zadudniło.

- Na pana szczekasz, ścierwo? Na pana?!

Łłłup! Znów czołgał się od ściany, szmata z psa. Roman w amoku popisywania się przed płcią p... cisnął w zwierzę brzemiennym litrowym kuflem. Celnie! Buldog ze strzaskaną zadnią łapą wyskomlał przeraźliwie

swój ból, wtaczając się pod stół.

Jasio od dłuższego czasu siedział otępiały. Zombi.

- I-dę do klo-pa - powiedział zombi. Wstał sztywno. Mówienie i działanie wykonywał małymi porcjami. Noc żywych trupów. Kilka szczudłokroków. Kilka szczudłokroków. Kilka szczudłokroków. Drzwi do ustępu. Mijając bar, nawet nie zauważył, że Myster Bogdan karmi wynędzniałego spaniela.

- A żryj, ścierwo - mrucał Bogdan. - I tak już jesteś padlina.

Leon smakowicie połykał resztki z obiadu, starając się okazać akurat tyle wdzięczności, ile trzeba: żeby podziękować, ale nie być nachalnym. Miotła z pozlepianych kudłów pracowicie szurszurwała po podłodze. Jęzor starannie zbierał wszystko z owrzodziałego pyska.

Chuda na kolanach rozbisurmanionego Romana lizała go po twarzy. Jej piękne rysy były jakieś wessane, jakby same siebie konsumowały; twarz nabrała wyrazu wystraszonej mumii, groteskowo przyzdobionej brudną czerwoną kokardą na czubku czerepu. Chuda była nie tylko chuda, była mała, skurczona, miniaturowa. Nerwowo pracowała jęzorkiem. Romana niespecjalnie to pochłaniało. Bardziej interesował go rozwalony pod sąsiednim stołem basset.

Basset wiedział. Nie robił nic. Był pogodzony z losem. Z jego przekrwionych oczu wyglądała cała prawda o świecie. Jego pokrzywione łapy były kwintesencją istnienia. Jego nadwerężony kręgosłup dawał do zrozumienia. Jego smętnie obwisły pysk sugerował. Tuż przed jego melancholijnym nosem leżał strzaskany kufel. Basset patrzył na te szczątki z niebotyczną rozpaczą. Na jego plastycznym czole rozpacz wyźłobiła cztery głębokie bruzdy. Był tym, czym był, i coś tak banalnego, jak kopniaki menela nie mogły ani znieść, ani pogłębić rozpacz basseta. Był tego świadom i dlatego się nie ruszał, chociaż wiedział.

- Pimpek - chrypnął Roman. - Dnogi! Wiedział.

- Choźno do pana.

Bardzo zły na psy. Znał to uczucie. Nienawidził siebie czującego się w ten sposób. Dobrze być po drugiej stronie. Poczuj to jeszcze raz.

- Ty kunlu, jak si kwa przypie...

Uch! But w żebra, aż jęknęło; basset na buldogu. Pazury Chudej kurczowo, panicznie wczepione w ciskającego się Romana. Chyba zapomniał, że siedziała mu na podołku. Taki mały pies kanapowy: prawie nic nie waży. Mniejszy od poduszczeni, ten yorkshire terier. Najprawdziwsza nędza, słabizna. Parszywa rasa.

Ten kynologiczny klimat wszechogarniający knajpę zainspirował mnie. Morderczy zamysł czaił się gdzieś w alkwie mojego umysłu; teraz wychynął na moment. Przez chwilę zawisło w powietrzu widmo jego obrzydliwego oblicza.

- Kamon ewrybady - zachęciłem go, żeby wylazł i pokazał się w pełnej krasie. Wystawił najpierw jedną parszywą nogę i... hop!, zaprezentował pełnię swojego obrzydlistwa. Był fascynujący, ten mój zamysł.

Gwizdnąłem. Chuda zdążyła już odpaść od uświnionego kubraczka Romana, który metodycznie przylepiał kopniaki dwóm skamlącym psom, i teraz kręciła się w kółko oszołomiona upadkiem. Mój gwizd osadził ją w miejscu i postawił strzępiaste uszy yorkshire teriera na sztorc.

- Chodź, piesku, chodź - powiedziałem łagodnie. Podbiegła natychmiast, rozmerdana. Patrzyła mi w oczy. Powoli uniosłem prawie pełen kufel na wysokość półtora metra. Wtedy zobaczyłem w jej oczach cień zrozumienia. Potem przerażenia. To był właściwy moment: ułamek sekundy i czmychnęłyby na bezpieczną odległość kilku metrów. I w tej ulotnej chwili udało mi się uchwycić w tych tak dobrze mi znanych zimnych oczach przeblysk człowieczeństwa.

Trrrach!!! Kufel trzasnął o podłogę tuż przed nosem Chudej! Wysztwywniło ją, skręciło. Oczy wylazły z orbit. Padła zwinięta nienaturalnie: zawał.

Przyglądałem się jej nieruchomo, ręka wciąż uniesiona na wysokość

półtora metra. Nie, żeby poruszył mnie widok Chudej, która była teraz Szttywna. Nie to. Nie ruszałem się, bo właśnie doświadczałem zupełnie niesamowitego uczucia. Moja krew niosła ze sobą rozpełzającą się po całym ciele przyjemność; czułem, jak wszystko we mnie mięknie, rozluźnia się. Nerwowość, napięcia - wszystko się jakby uspokajało. Tamy puściły, strumień swobodnie płynącej krwi zmiatał pomniejsze blokady. Miałem wrażenie, że cały mój organizm zaczyna funkcjonować płynnie, gładko, bez sztucznie budowanych zapór i przeszkód. Czułem mrowienie w końcach palców. Wszechogarniającą błogość. Miętkość. Fizycznie i psychicznie czułem się zdecydowanie kocio.

Wnętrze knajpy powoli stało się nieostre. Postacie zamazywały się, stawały się brudnokolorowymi plamami przelewającymi się z kąta w kąt, łączyły się, dzieliły, pączkowały, rozbryzgiwały, skakały do oczu, konsumowały się wzajemnie, kopulowały, rodziły nowe, coraz bledsze twory. Rzeczywistość przede mną wyraźnie dążyła do integracji, do plazmatycznego połączenia bezbarwnej, bezkształtnej jedności. Szarzała, przestawała istnieć. Teraz otaczała mnie niematerialna szarość, zmysły reagowały leniwie; bardziej czułem niż widziałem tę bezbarwność, w której tkwiłem zanurzony, spokojny.

§ § §

Najwspanialsze było właśnie to uczucie beczasowości i suspensu. Nie chciałem opuszczać tego limbo, pragnąłem tkwić w tej zawieszynie na wieki i nie zdawać sobie sprawy z eonów przebiegających obok wariackim galopem. Dla mnie największa atrakcja kina wirtualnego to właśnie to końcowe katharsis. A najbardziej boli, kiedy seans się kończy i twój oniryczny świat wypluwa cię w rzeczywistość, nie pytając o zdanie; wtedy z brzucha lepszego świata wyłazi wbrew własnej woli kulawa pokraka, upośledzona wersja istoty, która po drugiej stronie umiała robić zupełnie niesamowite rzeczy.

Rzeczywistość zaczęła obmacywać mnie swoimi bezczelnymi paluchami. Najpierw głowa: półświadome mlaśnięcie dało mi jakie takie pojęcie o zatęchłym *universum* wnętrza mojej gęby, zamkniętej przez parę godzin. Nos co nieco zapchany. Grudki ropy w kącikach oczu. Lewy kulas zeszywniały, prawa ręka nie moja: ścierpła.

Zdjąłem kask, gogle i rękawice. Wokół pulpity, przy nich amatorzy wirtualnych odjazdów. Zabawa na całego. Rzeczywistość budowana wokół ciebie na bazie kompleksowej analizy twoich najgłębiej skrywanych marzeń, fobii i apetytów. Fajnie było też popatrzeć na tych ludzi. Facet na lewo, jeszcze w kasku, chyba właśnie przeżywał swoją prywatną ekstazę: szczęki zaciśnięte, podrygujące mięśnie twarzy, palce wybijały na pulpicie mocno synkopowane rytmy. Kobieta w średnim wieku, siedząca tuż koło mnie, pewnie właśnie skończyła: błędny wzrok, usta rozchylone niemym pytaniem: „Gdzie ja jestem”. Pewnie wyglądałem tak samo.

Już jadąc tramwajem do domu wiedziałem, że ten seans w kinie wirtualnym w jakiś sposób zmienił moje spojrzenie na życie. Nie mogłem zapomnieć tego niewiarygodnego poczucia lekkości i miękkości. I nie mogłem z niego zrezygnować.

Kiedy otwierałem drzwi wejściowe do mojego mieszkania, zgrzyt klucza w zamku poderwał z popołudniowej drzemki mojego psa Hektora. Zdażył coś wyczuć, zanim mnie zobaczył. Nie rozdarł się jak stara szmata z radości, jak to miał w zwyczaju. Zatrzasnąłem za sobą drzwi i stanąłem przed jego zdezorientowanym nosem. Zawarczał. Jednym skokiem znalazłem się na szafie, zjeżyłem się, prychnąłem. Wydawało mu się, że prawie mnie dopadł. Ślinił się teraz, przebierając łapami po drzwiach szafy. Za godzinę się zmęczy i uśnie. Wtedy wyskoczę połączyć po dachach. Na razie miło jest tak leżeć i patrzeć na tego cymbała, jak się spala. Frajer.

Sosnowiec, 1-10 maj 1996

Konrad T. Lewandowski

Rydwan bogini Freyi

Czas jest prędkością ruchu fali poznawalności wzdłuż wymiaru prostopadłego do trzech wymiarów rzeczywistości fizycznej. Ponieważ nie dostrzegamy tego czwartego wymiaru, odbieramy samo wrażenie ruchu, czyli przemijanie, następstwo chwil.

*Jerzy Błyszko-Sażyński,
Teoria poznawalności,
wydanie pośmiertne,
Warszawa A.D. 2016*

I znowu sukces. Kiedy po wypiciu porannej herbaty otworzyłem list od agenta, okazało się, że *Metafizyka chaosu* została w Stanach zauważona, doceniona i obecnie robią trzeci dodruk. Trzy amerykańskie uniwersytety już postanowiły zaprosić autora, czyli mnie - Tomasza Kobierskiego, niedoszłego magistra filozofii - z kilkoma innymi uczelniami trwały negocjacje w tej sprawie. Agent szacował, że zaliczę ich co najmniej sześć i doradzał, bym już zaczął trenować noszenie muszki.

Amerykanie i metafizyka! Pięćdziesiąt lat temu na takie zestawienie słów każdy koń pękłby ze śmiechu. I to jeszcze na tamtejszych uniwersytetach, gdzie przez blisko wiek niepodzielnie królowało nawiedzone lewactwo. Cóż, coś się widać zmieniło. Trzech ostatnich hippisów, w wieku stu piętnastu, stu szesnastu i stu dwudziestu lat dogorywało właśnie pod namiotami tlenowymi. Nieco młodszy postmoderniści, wypychani stopniowo z rad nadzorczych i naukowych,

jeden po drugim grzęzli na emeryturach bądź schodzili z tego świata w wyniku zakażenia szpitalnego po osiemdziesiątej którejś operacji plastycznej. To drugie dotyczyło głównie postfeministek. Kończyła się pewna epoka.

A Nowe Średniowiecze nabierało impetu. Po spontanicznej, ósmej wyprawie krzyżowej w obronie miejsc świętych w Etiopii, nikt już nie miał wątpliwości, w jakim okresie historii żyjemy. Tylko Arabowie nie mogli wyjść z osłupienia spowodowanego faktem, iż ośmielono się wypowiedzieć im świętą wojnę, a na dodatek chrześcijańscy terroryści okazali się skuteczniejsi w podkładaniu bomb.

I oto ja: kandydat na największego teoretyka nowej epoki, „odnowiciel metafizyki”, ani trochę nie poczuwałem się do swej społecznej roli. Podliczyłem z grubsza spodziewane honoraria i wyszło, że otwierając tę kopertę, zarobiłem na dwuletnie utrzymanie rodziny. Dzień pracy można było uznać za zakończony. Mogłem teraz pobawić się z dziećmi albo iść na piwo. Ponieważ jednak Agnieszka odprowadziła już Irenkę do przedszkola, a sama poszła do szkoły, natomiast Maria pakowała do wózka Jarogniewka i właśnie wyruszała do parku, pozostawało tylko to drugie. Mogłem, rzecz jasna, iść na spacer z żoną i synem, ale doprawdy zupełnie nie wiedziałem, co miałbym robić w towarzystwie niewiast z parkowego klubu matek z wózkami. I tak czułem się wystarczająco głupio, będąc jedynym mężem, który nie musiał, jak Pan Bóg przykazał, tyrać cały dzień, by zarobić godziwe pieniądze. Może gdyby Gniewko już chodził...

Może! Może...

Znowu oszukiwałem sam siebie. Chciałem zobaczyć Oktawie, ot co! Chrześcijański filozof, mąż i ojciec, głowa rodziny, zakochany jak szczeniak nie we własnej żonie! Oczami duszy ujrzałem zastępy moich czcigodnych poprzedników: świeckich, świętych, Doktorów Kościoła patrzących na mnie z głębokim niesmakiem. Ze mnie taki był święty jak z

kartofla granat - z daleka każdy by się pomylił.

Ożeniłem się bez miłości i miałem teraz za swoje. Piętnaście lat temu, zajęty użeraniem się z profesorami potrafiącymi tylko jak papugi recytować Wittgensteina oraz antymetafizyczne tezy Koła Wiedeńskiego, spławiany z redakcji czasopism fachowych, przez kumpli z roku traktowany jak przygłup, a wreszcie wywalony ze studiów za odmowę napisania pracy magisterskiej na przydzielony temat (wybierać nie było w czym), zapragnąłem, by przynajmniej jedna dziedzina mojego życia nie była pasmem nieustających kataklizmów. Nadto dość miałem burzliwych romansów, trwających średnio około roku i rozgrywających się według ustalonego schematu. Poślubiłem więc miłą, uległą dziewczynę tylko po to, by zyskać trochę spokoju i pewności. Nie powiem, bardzo to mi się przydało. Mając gdzie wracać i spokojnie zebrać myśli, zacząłem wypychać światu w gardło kolejne artykuły, felietony i eseje. Po kilku latach uzbierało się dość miejsc, w których chcieli mnie drukować, by dało się z tego żyć. Można było zacząć książkę. Gdy ją skończyłem, okazało się, że została napisana na właściwy temat i we właściwym czasie. Motylek pana Lorentza - pierwszy fraktal i symbol teorii chaosu - machnął skrzydełkami i z głębokiej przeciętności wyrzucił mnie prosto na szczyt intelektualnego Olimpu. Dla byłych kumpli, których szczytem życiowego sukcesu była posada domowego filozofa w pałacu jakiegoś biznesmena, stałem się legendą i wyrocznią. Stworzyłem modę. Albo raczej załapałem się na nią jako pierwszy. Reszta działa się sama, nie miałem na to praktycznie żadnego wpływu. Sukces, sukces i znowu sukces. Jeden większy od drugiego. Ja - Filozof Wielki i Niezależny...

A teraz przyszło za to zapłacić. W zeszłym roku poznałem Oktawie i okazało się, że powinienem był zacisnąć zęby i czekać na tę dziewczynę przez te wszystkie minione lata. To właśnie była Ta - stworzona specjalnie dla mnie, tylko ja okazałem się człowiekiem małej wiary. Serce i uroczysta przysięga stanęły naprzeciw siebie. W tej sytuacji nie

pozostawało nic innego, jak udać się do „Brylancika” na kilka kufla. Potem może dam komuś po ryju i od razu poczuję się lepiej.

„Brylancik” był najpodlejszą speluną w dzielnicy. Kiedyś przyprowadziłem tam znajomą pisarkę, żeby się podciągnęła ze stylizacji dialogowej. Była autentycznie zafascynowana usłyszawszy, ile razy w jednym zdaniu można użyć słowa: „kurwa”. A poza tym wybitny filozof powinien od czasu do czasu zintegrować się z ludem, nawet jeśli w tej roli występują zapijaczone bezrobocie. Niestety, polskie ustawodawstwo socjalne w żaden sposób nie chciało przyjąć do wiadomości, że w wolnym kraju obywatel ma święte prawo zdechnąć pod płótnem i nie należy mu przeszkadzać, gdy umyślnie robi wszystko, by ów cel osiągnąć.

Założyłem kurtkę i poszedłem do „Brylancika”. Po drodze zdecydowałem, że niech się dzieje, co chce, ale muszę dzisiaj zobaczyć Oktawie. Kto wie, może mi się uda zabrać ją do Stanów... Ale skurwiel ze mnie!

Pierwsze piwo wypłem trzema haustami od razu przy ladzie, by ugasić pragnienie. Drugie zabrałem do stolika i sącząc je powoli, zacząłem przysłuchiwać się rozmowom stałych bywalców. Byłem tu „swój”, który to status zapewniało mi miejsce zamieszkania, kilkanaście rozbitych głów i pokiereszowanych twarzy oraz bliżej nieokreślona liczba skrzynek piwa osuszonych na zgodę.

Dziś głównym tematem knajpackich dysput był czarny kot morderca. Komu przebiegł drogę, ten ginął wkrótce w jakimś nieszczęśliwym wypadku. Słuchałem tego z lubością. Filozofowie mieli Absolut, plebs - zabobony. To było w porządku. Ogień i lód - bez takich kontrastów istniałaby tylko letnia papka masowej kultury. Dzięki nim od razu czuło się, że to Nowe Średniowiecze - boska epoka, w której wszystko, zgodnie z wolą Pana, było albo zimne, albo gorące.

- ...i kiedy przeleciał mu pod nogami, Paweł za nim, żeby ukatrupić bydlaka, żeby nieszczęścia nie ściągnął. Więc pogonił za nim, a kocur był

po byku, prawie jak pies i czarny jak smoła...

- A skąd ty, kurwa, to wiesz? - wtrącił się jakiś sceptyk.

- Piłem z Pawłem następnego dnia, jak robaka zalewał, bo wiedział, że już po nim, to mi powiedział.

- Aha.

- No, dawaj dalej - ponaglił inny słuchacz.

- Gonił go kawałek, ale nie dorwał, bo ten czort jakby się pod ziemię zapadł. Wtedy Paweł skapował, że już po nim. Resztę wiecie... Jak usłyszałem o wypadku, zaraz mi się przypomniało, co mówił o tym kocie.

- A co dokładnie było? - dopytał się ktoś.

- Nie wiesz? Na Ludwiki kawał gzymsu na łeb mu zleciał, coś z dziesięć kilo, z mózgu naleśnik.

- Te stare kamienice dawno powinni wyremontować.

- Jaki, kurwa, remont?! Nic by nie dało, kiedy mu ten kot drogę przebiegł. I tak byłoby po chłopie.

- Pogrzeb kiedy?

- Jutro.

Zamilkli na chwilę.

- No to za Pawła!

Wypili. Też pociągnąłem łyk. Znałem tego Pawła, nawet wypić coś się z nim kiedyś zdarzyło. W sumie to nawet wypadało iść na pogrzeb.

- A pamiętacie tych gnojków, co się nad kotami znęcali?

- Weź, kurwa, nie mów! Sam widziałem, jak flaki spod tramwaju wyciągali.

- To jeden. Drugi w tym samym miesiącu się na Mazurach utopił. Trzeci przez dziewczynę powiesił...

- Widać niezły był, kurwa, kociak! - podsumował ten, przed którym stało najwięcej pustych kufli.

- Weź nie bluźnij, bo i tobie drogę przeleci - obruszył się główny opowiadacz. Właściwie to powinienem był wiedzieć, jak się nazywa, on i

pozostali, ale jakoś nigdy nie chciałem zaprzętać sobie głowy ich imionami. Wszyscy byli tak do siebie podobni, bezbarwni... Ale to właśnie dla nich starałem się uporządkować świat. Należało o tym pamiętać.

- I wszystkim trzem ten kot, przez drogę?

- Tak mówią. Podobno go nawet szukali, bo futro chcieli zedrzeć. A zamiast tego on ich...

- Ale jak to tak? Żeby tak trzech, jednego po drugim? Ten problem przerastał ich możliwości intelektualne.

Zapadła cisza, a potem wszystkie spojrzenia powoli zwróciły się na mnie.

- Ej, filozof, czemu tak się dzieje?

- Są rzeczy między niebem a ziemią, o których się filozofom nie śniło - odparłem z powagą.

Pokiwali głowami nad głębią mojej mądrości. Zdaje się takiej odpowiedzi oczekiwali. A swoją drogą... zakładając, że ten kot istotnie był sprawcą... W sumie nie byłoby to tak bardzo sprzeczne z moją teorią... Zmiana struktury prawdopodobieństwa zdarzeń oznaczała zmianę stanu poznawalności. Tylko po co tu kot? Kota można by spokojnie potraktować brzytwą Ockhama, to zbędny byt... E, tam! Wstałem, poszedłem po trzecie piwo.

- Czekaście, kurwa! A Felek Kasiak, co się rok temu samochodem rozbił?! On też coś o kocie mówił!

- Faktycznie, chyba mówił...

- Słuchajcie, może tu co radzić trzeba? Moja stara mówiła, żeby do księdza...

- Trzeba by to obgadać. Kto stawia kolejkę? Spojrzałem na zegarek. Za pół godziny Oktawia kończy zajęcia na uniwerku. Pora iść. Dopięłem piwo.

Autobus miałem po trzech minutach. Szczęśliwy początek.

Wchodząc na teren uniwersytetu, poczułem miły niepokój. A swoją drogą, uświadomiłem sobie, niedługo skończą się te jawne randki. Jeśli

nadal będzie mi szło tak dobrze, nie zdołam się nigdzie ruszyć bez ogona łowców autografów i paru brukowych reporterów. Już teraz, a ściślej trzy dni temu dzwoniła jakaś idiotka z pisma kobiecego z prośbą o wywiad, w którym miałbym „przybliżyć gospodyniom domowym zagadnienia współczesnej metafizyki”. Zabiłem ją śmiechem na miejscu. Wiem, nie tak powinny wyglądać maniery przedstawiciela intelektualnej elity, ale nie mogłem się powstrzymać. Byłem przeciwny popularyzacji nauki wśród osób, które od myślenia „bolała głowa”. Po co kucharkom metafizyka? Jeszcze by doszło do nieszczęścia...

Zatrzymałem się przed gmachem wydziału prawa. Wyszła Oktawia. Stałem nieruchomo, wpatrując się w nią i czekając, aż mnie zauważy. Zauważyła. Po chwili miałem ją w ramionach.

- Cześć. - Głęboko w płuca wciągnąłem zapach jej włosów.

- Witaj. Piwo?

- Uhum... - nachyliłem się do jej ust. Do diabła z piwem! Dopiero teraz poczułem, że się upijam. Myśli uleciały. Pozostała tylko łapczywa niecierpliwość warg.

Czas jakiś później zapytałem: - Jakie masz plany na dziś? - zanurkowałem w jej zielonych oczach.

- Teraz żadnych.

- Odkryłem niedawno piekarnię, w której sprzedają brzoskwinie zapiekane w bułkach. Idziemy?

- Pewnie! A co u ciebie?

- Jak zwykle same sukcesy - opowiedziałem o liście od agenta.

- Nie cieszysz się? - spytała zdziwiona.

- Bardziej z tego, że cię widzę.

- Wariat!

Poszliśmy w miasto. Po drodze rozgadałem się zupełnie. Opowiadałem, co kiedyś z moim udziałem wydarzyło się w miejscach, które mijaliśmy. Mówiłem, co mi się z tym kojarzyło, na bieżąco

improvizowałem filozoficzne systemy. Myśli przesyływały się jak w kalejdoskopie. Zamknąłem dziób tylko na czas niezbędny, by docenić urok zapiekanych brzoskwiń. I po to, by posłuchać o wakacyjnych planach Oktawii. Byłem szczęśliwy.

Zupełnie niepostrzeżenie znaleźliśmy się pod akademikiem.

- Nadal masz wolny pokój? - spytałem.

- Tak. - Jej oczy zasnuła znajoma mgła.

- Chciałbym cię wycierać od stóp do głów...

- Czekałam na to - wydyszała.

Ledwie weszliśmy do pokoju, zdarłem z niej wszystko, co przeszkadzało jej być nagą. Kształty bogini! Ale nawet nie pozwoliła się pocałować. Przepadła pod prysznicem.

Czekałem, jak zwykle, o wieczność za długo. Wróciła ubrana i znów musiałem zacząć od początku. Miała ciało harmonijne, twarde jak rzemień i elastyczne jak rzemień. Nigdy nie mogłem się zdecydować, czy więcej przyjemności sprawia mi patrzenie na nią, czy pieszczanie jej. Reagowała na dotyk, jakbym miał dłonie pod napięciem. Była plasteliną, zwinną jaszczurką i hartowaną stalą zarazem. Wziąłem ją na ręce i teraz w zasięgu mych ust znalazły się jej brzuch, piersi, uda i wznórek łonowy. Zabłądziłem w gęstwinie pocałunków. Sam nie wiem, jak i kiedy położyłem Oktawie na łóżku. Szyja... kark... przełęcz talii... pośladki... słonawy srom... wewnątrz ud... przestrzenie między palcami stóp... dłonie... stwardniałe sutki... usta... płatki uszu...

Wrzała. Nieskończenie ciepła, a przede wszystkim moja, pasująca do mnie każdym zmysłem, każdym zakończeniem nerwowym. Gdybym teraz w nią wszedł, byłbym prawdziwie sobą, dopełniony do ideału. Byłbym. Lecz nie wchodziłem.

Nie chciałem. Przysięga owszem, ale nie to. Oktawia była zbyt cenna, drogocenna, zbyt jedyna, by wtłoczyć ją w banał, w trywialną rolę kochanki żonatego i dzieciatego mężczyzny. Za bardzo kochałem tę

kobietę, bym mógł ją mieć inaczej niż w pełnym majestacie praw boskich i ludzkich. To oznajmiłem jej już dawno, na samym początku. Więc nie.

Delikatnie doprowadziłem Oktawie do orgazmu i odsunąłem się, zarywając twarz w poduszkę. Miłość to dawanie, nie branie. Tylko że... Rozdygotany, prawie wszystko miałem jak z waty. Krew rozłupywała skronie. Nie. Może wieczorem, z Marią... Mógłbym teraz przerznąć stado słonic. W sumie był to najlepszy sposób, by się dorobić problemów ze wzwodem. Nieważne, byle dojść do siebie. Potem, w którejś knajpie na pewno znajdzie się agresywny żul. Przynajmniej z adrenaliną będzie spokój. Testosteron zaczeka... Ech, ty ofiarno własnych idei! Gdyby tak mniej skrupułów... Dobrze wiesz, baranie, że teraz na jej dnie znalazłbyś jedynie pustkę. I rozkosz taką samą, jaką może dać każda inna. Ale kiedy... Jak? Pewnie nigdy. Wiesz o tym! Nigdy. Zmarnowałeś życie, baranie.

Poczułem, że dotyka mojego ramienia. Uniosłem i odwróciłem głowę. W jej oczach nie było już mgły. Ale wciąż była naga. Dlaczego marnuję czas z nosem w poduszce? Patrzyć, patrzeć! Wchłonać każdy foton odbity od jej ciała!

- Nasz związek nie ma przyszłości - powiedziała.

No tak, nadeszła chwila refleksji.

- Ma terazniejszość - wychrypiałem.

- Jak długo?

- Nie mam ochoty o tym decydować. - Oktawia nie była gęsią, skoro więc poruszyła ten temat, z pewnością myślała o czymś konkretnym. - Masz jakiś plan?

Szybko wciągnęła powietrze. Robiła tak zawsze, gdy udało mi się odgadnąć jej myśli. Nie było to specjalnie trudne, w końcu była mi tak bliska, że stanowiła bez mała część mnie.

- Jest ktoś, kto mógłby nam pomóc. Żebyśmy mogli być razem...

- Bóg czy szatan? - syknąłem. - Pierwszego prosić nie wypada,

drugiego nie warto. - Nie spuszczałem oczu z jej piersi.

- To ma coś wspólnego z twoją teorią...

- Co?! - aż mnie podrzuciło. - Co ty mówisz, Oktawio?

- Przynajmniej obiecaj, że sprawdzisz.

- Co mam sprawdzić?

- Jest pewna kobieta, chyba czarownica... Milczałem, słuchałem.

- Ona potrafi, chyba... - zmieszała się i odruchowo naciągnęła na siebie ręcznik. Tak niedbale okryta wyglądała jeszcze bardziej zmysłowo. - Zastosować w praktyce to, co napisałeś o potencjalnych rzeczywistościach...

- To nie ja - poprawiłem ją odruchowo. - Teorię aktualizacji bytów potencjalnych wymyślił na początku wieku niejaki Sażyński, czarownik zresztą, który marnie skończył. On pierwszy wpadł na pomysł przepływu poznawalności... - zamknąłem się, bo właśnie dotarł do mnie sens słów Oktawii. Praktyczne wykorzystanie metafizyki? Toż to absurd! Metafizyka nie jest po to, by ją wykorzystywać w praktyce. Ona dawała całościową wizję Bytu i rzeczywistości, po to, by można było zadawać pytania, z tych wysnuwać teorie przyrodnicze, a dopiero z teorii mieć jakieś pożytki techniczne. Było już wystarczająco idiotyczne, że ja dzięki metafizyce mogłem wykarmić rodzinę, opłacać komorne i szewca. Ale... Z niejasnych plotek na temat Sażyńskiego wynikało, że potrafił on nie tylko pisać traktaty metafizyczne. Ponoć niewytłumaczalny fakt jego nagłego zestarzenia się był wynikiem jakiegoś dziwnego eksperymentu z rzeczywistością...

- Mów, co wiesz? - warknąłem. Chyba trochę za głośno, bo zaczęła się ubierać.

- Aśka, koleżanka z roku, chciała wyjść za mąż, ale jej rodzicom nie podobał się chłopak. On poszedł do tej kobiety i potem okazało się, że starzy nie mają już nic przeciwko niemu. Nawet nie pamiętali, że byli przeciw.

- W jaki sposób?

- Nie wiem. A teraz ostatnio, sama Aśka mówi, że z tą niechęcią starych to jej się tylko wydawało.

- O, szlag... - zamyśliłem się. Utrata poznawalności?

- Pójdiesz? - popatrzyła błagalnie.

- Pójdę, ale nie zakrywaj jeszcze piersi, proszę.

§ § §

Szedłem Potrzebną - cichą uliczką we Włochach, dla której czas zatrzymał się jakieś sto lat temu. Parterowe domki po obu stronach, płoty obrośnięte bluszczem i dzikim winem, chodnik rozsadzany korzeniami drzew, z trudem wciśniętych w wąski pas trawnika między betonowymi płytami a jezdnią.

Wędrowałem, wypatrując tabliczek z numerami domów. Średnio na co trzeciej pomiędzy plamami rdzy dało się odczytać cyfry. Czasem nie było żadnego oznaczenia i budynek wydawał się trwać poza rzeczywistością.

Z zadumy wyrwało mnie głośnie miauknięcie. Trzy kroki przede mną, na trawniku pod drzewem siedział wielki, czarny kot. Wielki to złe określenie, był ogromny, tylko nieco mniejszy od przeciętnego psa. Krzyżówka ze żbikiem albo bieźnikowany biotechnologicznie, pomyślałem w pierwszej chwili. Żółte oczy spojrzały na mnie z wyrzutem. Kucnąłem, wyciągając dłoń w jego kierunku.

- Ciśśś - syknąłem łagodnie.

Miauknął znowu i podszedł. Starannie obwąchał koniuszki moich palców, po czym łaskawie podsunął grzbiet do głaskania. Mruknął gardłowo, zadzierając łeb. Podrapałem go za uszami, przezornie unikając dotykania szyi. Pierwszy raz spotkanego kota nie głaszczę się pod brodą.

To tak, jakby dopiero co poznanej dziewczynie pakować rękę za dekolt. Później i owszem, ale nie podczas pierwszych dziesięciu minut

znajomości. Obita gęba lub poharatana łapa jak w banku. Oczywiście bywają wyjątki, ale częściej dotyczą one dziewczyn niż kotów.

Zadowolony obszedł mnie, ocierając się o łydki i ruszył przed siebie. Po kilku krokach przystanął, obejrzał się i miauknął zachęcająco. Najwyraźniej było nam po drodze. Dreptał przodem z wysoko uniesionym ogonem, co chwila sprawdzając, czy nie zostaję zanadto w tyle.

Wkrótce okazało się, że zdążamy w to samo miejsce. Zaledwie uchyliłem furtkę, kocur smyknął przez szparę i przepadł w krzakach okalających zadbaną, ale zupełnie przeciętną willę.

Za drzwiami znajdowała się stylowa poczekalnia z dębową boazerią, skórzaną kanapą i stolikiem z czasopismami gnostyckimi. Urzędowała tu sekretarka w długiej popielatej sukni, zapiętej wysoko pod szyją i o zaczesanych do tyłu włosach. Przedstawiłem się, po czym oznajmiłem, że chcę się widzieć z panią tego domu.

- Proszę zaczekać - odpowiedziała dziewczyna i wyszła. Wróciła po minucie.

- Kapłanka przyjmie pana - stwierdziła. - Proszę tędy. Korytarz był krótki, przedzielony w połowie czerwoną kotarą. Za nią znajdowały się następne drzwi z desek spiętych sztabami z kutego żelaza.

Salon willi przekształcono w świątynię jakiegoś pogańskiego bóstwa. Symbolika sugerowała, że chodzi tu o jeden z kultów płodności. Gospodyni stała nieruchomo na środku pomieszczenia. Była to kobieta w średnim wieku, ubrana w białą szatę, marszczoną na podobieństwo togi. W tej samej chwili dostrzegłem identycznie ubraną postać, namalowaną na ścianie za podwyższeniem pełniącym rolę ołtarza. Kobieta z fresku stała na rydwanie zaprzężonym w parę czarnych kotów.

- Życie potrafi płatać figle - odezwała się gospodyni. - Nigdy bym nie przypuszczała, iż powitam tu samego Tomasza Kobińskiego, największego filozofa XXI wieku.

- Co to za miejsce? - spytałem oschle. Słuchanie komplementów ciągle jeszcze przyprawiało mnie o irytację.

- Sanktuarium Freyi, skandynawskiej bogini miłości i płodności - odparła. - A pan, jak sądzę, przybył tu, gdyż w pańskim życiu miłosnym potrzebna jest zmiana. Potrzebuje pan pomocy bogini, prawda?

- Nie tak od razu - wycedziłem przez zęby, zastanawiając się przelotnie nad rozmiarami własnego upadku. - Chcę najpierw dokładnie wiedzieć, w jaki sposób miałyby się to odbyć - położyłem nacisk na słowo „dokładnie”.

Do pokoju wślizgnął się kot. Kapłanka przyklękła i zaczęła go głaskać.

- Z Astro zawarł pan już znajomość - odparła wymijająco. - A to jest Heli - wskazała na ołtarz. Wszedł zza niego drugi kot, równie wielki i czarny. Musiał tu być już wcześniej. - Przejdźmy do biblioteki - dodała rozkazującym tonem.

Oba koty ruszyły przodem. W otoczeniu książek poczułem się znacznie lepiej niż w towarzystwie atrybutów falliczno-waginalnych.

- Z zasady nikomu nie tłumaczę „jak” i „dlaczego” - kapłanka wróciła do tematu. - Od moich klientów wymagam tylko, by podporządkowali się woli bogini i regułom ceremonii. Dla pana jednak mogę zrobić wyjątek, gdyż to pan stworzył teorię, której tezy wykorzystuję. Można rzec: jesteśmy współnikami.

- Słucham?

- Proszę spojrzeć! - Musnęła dłonią biblioteczną półkę. Stał na niej szereg dzieł metafizycznych, od Arystotelesa poczynając, przez świętego Tomasza, neotomistów, Bergsona, po klasyczny traktat Sażyńskiego z początku wieku. Na osobnej podpórce spoczywała moja *Metafizyka chaosu*, pierwsze wydanie, nakład pięćset egzemplarzy, teraz już absolutny biały kruk.

- Mogę prosić o autograf? - spytała. - Będzie to wliczone w poczet honorarium.

Bez słowa wyjąłem długopis. Darowałem sobie dedykację, poprzestając na podpisie i dacie.

- Dziękuję. - Zerknęła i ostrożnie odłożyła książkę na miejsce. Pochlebiała mi ta pieczołowitość. - Zatem... - Usiadła, biorąc na kolana jednego z kotów. Drugi, chyba Astro, zbliżył się do mnie. - Nie będę panu streszczać pańskich idei, powiem lepiej, jak mają się do tego koty.

- Słucham. - Również usiadłem i Astro niezwłocznie runął mi na kolana. Był ciężki.

- Lubi pana - zauważyła. - To dobrze. To bardzo dobrze. Czy próbował pan kiedyś śledzić kota?

- Nigdy.

- I słusznie, bo to nie jest możliwe. Nie darmo mówią, iż koty chodzą własnymi drogami. Jak pan sądzi, dlaczego tak mówią? Dlaczego drogi kotów są tak niezwykle?

- Nie wiem. Czy mogłaby mnie pani zwolnić z obowiązku odpowiadania na pytania retoryczne?

- Proszę bardzo. Powszechnie uważa się, że koty są jakieś dziwne, ale nikt nie wie, z jakiej przyczyny. Poprzestaje się na stwierdzeniu, że te zwierzęta mają w sobie jakąś magię. To banał, którego źródłem jest ignorancja. Koty w toku ewolucji wykształciły pewną cechę, której nie ma żaden inny gatunek na Ziemi. Proszę zwrócić uwagę, co napisano w podręcznikach biologii na temat ewolucji kotów. Wszystkie informacje są mętne, fragmentaryczne i zupełnie nie tłumaczą, czemu koty są inne.

- Więc czemu są? - postanowiłem skrócić tę przemowę.

- Potrafią poruszać się pomiędzy alternatywnymi wariantami rzeczywistości - rzekła. - To jest ich cecha ewolucyjna. Wykształciła się ona jako forma ucieczki przed wrogiem bądź metoda polowania. Na przykład zabawa w kotka i myszkę, gdy na przemian chwytają i ponownie puszczają złapaną mysz. To rodzaj treningu, który pozwala kotu ćwiczyć przeskok w te warianty rzeczywistości, w których mysz

zostaje złapana i omijać te, w których mu ucieka.

- Wir poznawalności... - szepnąłem zdumiony.

- O, widzę, że zaczyna się pan domyślać - stwierdziła z uśmiechem. - Ale po kolei. Podobnie jest z powiedzeniem, że kot żyje dziewięć razy, i przykładami kociej żywotności. Śmiertelnie zagrożony kot stara się umknąć w alternatywny łańcuch wydarzeń, w którym czynnik zagrożenia zostaje wyeliminowany bądź jest znacznie mniejszy.

- Nie zawsze im się to udaje - zauważyłem.

- Owszem - przyznała. - Ta cecha, jak każda zdolność wrodzona, może być rozwinięta silniej lub słabiej. Są koty zupełnie jej pozbawione, jak i obdarzone ogromnym talentem. Tak jak siła czy ostrość zmysłów, zależy to od genów. Umiejętność przebiegania między światami wyraźnie łączy się z czarnym umaszczeniem sierści. Te geny z reguły występują razem.

Spojrzałem na towarzyszące nam koty.

- Zatem Astro i Heli...

- Tak. To talenty najwyższej próby. Efekt trzydziestu lat starannej hodowli, selekcji i doboru partnerów. Widzi pan, zaczynałam karierę jako typowa „kociara”, prowadziłam hodowlę kotów rasowych. Przekwalifikowałam się dopiero w ostatnich latach - uśmiechnęła się znacząco. - Kult bogini Freyi ma, jak pan widzi, całkiem solidne podstawy naukowe.

- Czy te zwierzaki są zaprzęgane do...

- Znowu pan zgadł, rydwan zobaczy pan w swoim czasie. Właśnie dlatego Astro i Heli są tak rosłe i silne. To była największa trudność: tak poprowadzić selekcję, by geny odpowiedzialne za wielkość i siłę wystąpiły razem z genem umożliwiającym zmianę rzeczywistości. Przez to genetykę i prawa Mendla mam w małym palcu, jeśli chce pan wiedzieć. Jak również pańską teorię metafizyki...

- Sugeruje pani, że kot widzi wiry poznawalności?! - nie wytrzymałem.

- To niemożliwe!

- Och, co za okropne słowo! - udała szczerze zdumioną. - Pan, największy wizjoner XXI stulecia, mówi: „Niemożliwe”?

- Poznawalność nie ma cech fizycznych! - oznajmiłem z naciskiem. - Dlatego nie może być ważona, mierzona ani oglądana.

- Niech pan to powie kotom - wtrąciła drwiąco.

- Postrzegamy tylko byty potencjalne naznaczone poznawalnością, czyli byty rzeczywiste. Potem poznawalność przepływa dalej i byt rzeczywisty staje się znowu bytem potencjalnym.

- Och, wiem, wiem - przerwała mi. - To klasyczne równanie Sażyńskiego: byt potencjalny plus poznawalność równa się byt rzeczywisty i odwrotnie. My sami tysiąc lat temu byliśmy bytami potencjalnymi i za tysiąc lat znów nimi będziemy. Wiem, że Sażyński wyobrażał sobie metafizyczny wszechświat jako obszar wypełniony bytami potencjalnymi, przez które przemieszcza się fala poznawalności.

- Wielowymiarowy wszechświat z ruchomą, trójwymiarową powierzchnią poznawalności - uściśliłem. - A właściwie z wieloma izolowanymi płatami poznawalności, poruszającymi się z różnymi prędkościami, żeby być w zgodzie z fizyką relatywistyczną i jej wymogiem wielu terażniejszości...

- Dobrze, dobrze - machnęła ręką. - Ale to pan wprowadził pojęcie wiru poznawalności. Sażyński poprawił koncepcję „płynącej rzeczywistości” Bergsona. Pan udoskonalił model Sażyńskiego, odkrywając, że przepływ poznawalności jest przepływem burzliwym, że tworzą się w niej całe kaskady wirów różnej wielkości. Pozwoliło to połączyć pomysły Sażyńskiego z teorią chaosu i teorią burzliwości oraz udowodnić, że zjawisko powtarzalności historii jest spowodowane przez wiry poznawalności o największych rozmiarach. Pogodził pan metafizykę z fizyką, biologią, historią i socjologią, a teraz wzbrania się pan przed przyjęciem do wiadomości praktycznych konsekwencji tego faktu? Przecież wiry poznawalności istnieją od zawsze, a skoro tak, to

czemu przez miliony lat nie miałyby powstać zwierzę zdolne je postrzegać i wykorzystywać w walce o przetrwanie? Właśnie kotom przytrafiła się odpowiednia mutacja!

- To brzmi logicznie - przyznałem. - Zatem kult bogini Freyi...

- Skandynawscy Germanie nie mieli teorii, ale nieźle radzili sobie w praktyce. Potem jednak zagubili umiejętność hodowania kotów o pożądanym cechach. Zamiast kotów zaczęto wykorzystywać młodych mężczyzn, których potem zabijano - westchnęła. - Kult służący pierwotnie pomnażaniu szczęścia i miłości, dzięki któremu zakochane pary mogły pokonywać trudności, a bezpłodni mieć dzieci, z czasem wyrodził się, doprowadzając do krwawych orgii.

- Cóż... - myślałem intensywnie - mogę zrozumieć, że kot potrafi dokonać korzystnej dla siebie korekty rzeczywistości, ale to zmiana zbyt mała, by znajdujący się z boku obserwator mógł ją odczuć.

- Można podążyć za kotem - powiedziała kapłanka. - I razem z nim wejść w nowy wariant rzeczywistości albo, używając pańskiej terminologii, utworzyć nową strugę poznawalności, która popłynie wzdłuż alternatywnego łańcucha przyczynowo-skutkowego.

- Zaraz! - wykrzyknąłem. - Czy te wypadki w okolicy, o których słyszy się ostatnio, to robota pani pupilków?!

- Ich albo ich potomków. Astro i Heli muszą się czasem wypuścić na panny... - mrugnęła znacząco.

- Ależ one są niebezpieczne! - szarpnąłem się w fotelu, aż Astro prychnął gniewnie.

- Tylko dla ludzi, którzy chcą je skrzywdzić - odparła spokojnie. - Nie należy nigdy biec za czarnym kotem, który przebiega człowiekowi drogę.

- Powinna je pani trzymać zamknięte - oznajmiłem stanowczo.

- Panie Kobierski! - podniosła głos. - Pan się zapomina. Kot to nie zwierzę pociągowe. Nie zdołam ich zmusić, by ciągnęły rydwan, jeśli same nie będą tego chciały. Dla nich to tylko zabawa i by nie zniechęcić

ich do współpracy, muszę dawać im maksimum swobody. Zresztą, dla pana nie okazały się groźne, bo pan od początku był do nich pozytywnie nastawiony. Tak bardzo żał panu paru tępych chamów, którym sprawia przyjemność katowanie słabszego zwierzęcia?

- To jednak ludzie - odparłem.

- Powiedzmy: człowieczki - skrzywiła się z pogardą. Nie miałem ochoty kontynuować tego tematu. Musiałem dowiedzieć się jeszcze jednej rzeczy.

- Dlaczego one, na tym rydwanie, miałyby zawieźć mnie w wariant rzeczywistości korzystny akurat dla mnie?

- Z sympatii dla pana. One świetnie wyczuwają ludzkie nastroje, dlatego po wejściu w wir poznawalności wybiorą taki ciąg zdarzeń, w którym pański problem powinien zniknąć. Dlatego mówiłam, że to dobrze, iż Astro pana lubi. On zwykle dominuje w zaprzęgu.

- Kot ma decydować o moim życiu? - spytałem. - Wybrać to, co jego zdaniem będzie dla mnie dobre?

- One robią to z fenomenalną wprost intuicją, zapewniam pana. Efekty są zawsze zdumiewające, nawet dla mnie.

- Dziękuję - przeniosłem Astro na podłogę i wstałem.

- Muszę to przemyśleć.

- Od sekretarki dostanie pan wizytówkę z numerem telefonu - odpowiedziała. - Będziemy na pana czekać. Do widzenia.

§ § §

Siedziała naga, skulona w kącie łóżka i patrzyła na mnie z wyrzutem.

- Dlaczego? - spytała.

Akurat teraz logiczne myślenie to była ostatnia czynność, do której byłem zdolny. Cóż, są rzeczy pomiędzy kobietą a mężczyzną, o jakich się filozofom nie śniło. Ale musiałem wziąć się w garść. Właściwie jeszcze nie powiedziałem „nie”. Musiała to wyczytać w moich oczach lub w

intensywności pieśzczoł, którymi ją obdarzyłem.

- Za duże ryzyko - na początek spróbowałem najgłupszego argumentu.

- Ryzyko to było, gdy w zeszłym roku w pubie wdaneś się w bójkę z sześcioma naraz - parsknęła. - Jakoś cię to wtedy nie powstrzymało!

- Oktawio... - trzeba było wytoczyć najcięższe działo.

- Nie chcę, by coś się stało Marii. Znieruchomiła.

- Czemu miałyby się jej coś stać?

- Bo aby ożenić się z tobą, musiałbym zostać wdowcem. A nie może być mowy o naszym szczęściu, jeślibym w jakikolwiek sposób przyłożył rękę do śmierci mojej żony. Prędzej niech mnie szlag trafi!

Powoli, ale szczerze owinęła się kołdrą.

- Przecież wcale nie musiałyby się tak stać - zaproponowała bez przekonania.

- Sądzisz, że zniknęłaby z mojego życia, po prostu rozpluwając się w powietrzu?

- Mogłaby odejść.

- Kobieta z trojgiem dzieci miałaby odejść od męża? To *wykonalne, lecz najpierw ja musiałbym stać się bydlakiem, który tylko pije i bije. Zrobiłabyś kiepski interes, wychodząc wtedy za mnie.*

- Tomaszu...

- Oktawio, nie należy igrać z rzeczywistością.

- Ale Aśka...

- Obawiam się, że cenę przyjdzie jej zapłacić za kilkanaście, może już za kilka lat. Nie chciałbym być wtedy w skórze jej męża, a tobie nie radziłbym znaleźć się na jej miejscu.

- Czemu tak sądzisz?

- Mam przeczucie.

- Przeczucie metafizyka... - pokręciła głową.

- To więcej niż ci się zdaje.

- Ale co z nami?

Do tego momentu byłem w stanie kontrolować tę rozmowę, jednak teraz na to pytanie nie mogłem wymyślić szybkiej odpowiedzi. Nie miałem żadnej odpowiedzi.

- Nie wiem... - odwróciłem głowę w kierunku okna. Na podwórzu akademika panowała cisza. Z rzadka tylko poćwierkiwał jakiś wróbel lub dolatywał z ulicy nie dający się rozpoznać pogłos. - Wiem tylko, że cię kocham - stwierdziłem głucho. - Ciebie i tylko ciebie.

Przysunęła się, oparła policzek o mój bark.

- Też cię kocham. - Po plecach pociekło mi coś mokrego. Nie odwracałem głowy. Nie chciałem widzieć jej łez.

- Może zostaniemy kochankami...

- Znaleźlibyśmy tylko pustkę, która pochłonęłaby wszystko. Zbyt cię kocham, by zezreć tę miłość w łóżku.

- Jesteś niewiarygodnie opanowany.

- Nie jestem. Coraz więcej piję i coraz więcej wybijam zębów.

- Zamiast mnie?

- Zamiast ciebie.

- Też chciałabym dać ci zaspokojenie.

- Nie możesz - odrzuciłem kołdrę i zacząłem całować piersi Oktawii. - Nie możesz...

Dwie godziny później wyszedłem. Jak zwykle nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Musiałem natężyć całą wolę, by odejść. Za każdym razem wydawało mi się to ponad siły. Zostawiałem ją w łóżku nasyconą, ale przecież wciąż ciepłą i roznamiętnioną. Wystarczyłoby jedno słowo, jeden dotyk, by uniosła nogi i... Cholera! Cholera! Cholera! Oparłem skroń o zimną ścianę. Niewiele pomogło... Na moment straciłem nad sobą kontrolę i usiadłem na schodach. Trzeba się zbierać! A gdyby wrócić... Nie! Wstałem i pobrnąłem do wyjścia przez powietrze, które nagle nabrało konsystencji budyniu. Ciepłego... wilgotnego... Jasny szlag! Nic, tylko zacząć tłuc łbem o mur. No, może nie głową i nie o mur... O, w

mordę! Ale mnie wzięło! To chyba przez te koty przepadła jakaś szansa. Najlepiej zapomnieć o nich. Nic się nie stało. Nic się nie zmieniło. Wszystko po staremu. Biodra Oktawii... Żesz kurwa! Zapić! Zapomnieć!

Zataczając się, wypadłem na ulicę. Na szczęście knajpa nie była daleko. Na początek seta obrzydliwie ciepłej, podłej wódki. Wstrząsnęło mną tak, że omal nie odpadła mi głowa, ale pomogło. Podniecenie zaczęło przechodzić.

Po półgodzinie znajdowałem się już w stanie umiarkowanego obłąkania i mogłem zastanowić się nad swym pełnym profesjonalnych sukcesów życiem. Zupełnie jakbym podpisał cyrograf z diabłem i nie dopilnował jednego punktu umowy. Lecz, zdaje się, każdy znajduje na swej drodze jakiś kamulec, o który musi się potknąć. Jeśli potrafi omijać mniejsze, wywali się na większym. Każdemu wedle miary - zawsze ciut ponad możliwości i górny pułap talentu.

Z akademika wyszła Oktawia. Patrzyłem przez szybę, jak idzie prosto na przystanek autobusowy, wsiada do stojącego na pętli 191 i po pięciu minutach odjeżdża. Czułem, że ją zawiodłem. Powinienem był coś zrobić, ale na to miałem albo za mało rozumu, albo za dużo sumienia. Trafiłem na niewłaściwe rozwiązanie, chociaż nie pozbawione podstaw... Pomyślałem o wizytówce kapłanki Freyi. Miałem ten kartonik w wewnętrznej kieszeni kurtki. Lepiej podrzeć i wyrzucić, żeby nie korciło. Sięgnąłem po nią, jednocześnie wypatrując kosza na śmieci.

Zamiast wizytówki, w kieszeni była złożona na pół kartka: *Tomaszu! Rozumiem, że nie chcesz narażać życia Marii. Masz rację i dlatego to ja powinnam zmienić swoje życie. Przecież trzeba coś zrobić, prawda?*

Oktawia

§ § §

Autobus linii 191 jechał na Włochy... Poczułem, że włosy stają mi na głowie. Jeszcze nie myśląc, zerwałem się na równe nogi. Ręka

mimowolnie strąciła jakieś szkło. Nawet nie spojrzałem, już byłem w drzwiach. Na przystanku stało kolejne 191, ale odjedzie, jak przewidywałem, najwcześniej za dziesięć minut. W zasięgu wzroku żadnej taksówki.

- Panie! - wpadłem do kabiny kierowcy. - Jedź pan natychmiast!

- Panie, co pan?! Pijany...

Podetkałem mu pod nos plik banknotów o wartości sporo przekraczającej miesięczną pensję kierowcy MZK.

- Ruszaj pan, o życie idzie! - wrzasnąłem, tracąc panowanie nad sobą.

- Jak mam jechać? - jęknął żałośnie.

- Zwykłą trasą! Za poprzednim 191!

Spojrzał jak na wariata i zobaczył, że jeśli byłem wariatem, to z pewnością nie z tych nieszkodliwych. Wziął pieniądze.

- Mogę dać na wyświetlacze, że to kurs do zajezdni... - zaczął kombinować.

- Dawaj, co pan chcesz, byle prędko!

- Kurs do zajezdni! Awaria! - oznajmił, zwracając się do kilku osób, które zdążyły już wsiąść. Wysiadły z ociąganiem.

Kierowca zamknął drzwi i ruszył. Z westchnieniem ulgi zwałem się na najbliższy fotel. Nie powiedziałem Oktawii wszystkiego, gdyż na wywód teologiczny z pewnością zareagowałyby alergicznie. Należała do ludzi niespecjalnie wierzących, którzy patrząc na sprawy religii, widzieli przede wszystkim księży, a dopiero w tle Boga. Mógłbym mieć podobny problem, ale na szczęście znajdowałem się w bardziej komfortowej sytuacji, częściej mając do czynienia z czcigodnymi ojcami profesorami niż z własnym proboszczem, dla którego byłem tylko zbyt krnąbrną owieczką. Teraz wszakże, omijając tę rafę, popełniłem koszmarny błąd.

Nigdy nie mówiłem Oktawii o bytach-istotach nie przyjmujących poznawalności, ale mogących wpływać na ich przepływ. Ponadto czterowymiarowy wir poznawalności był obszarem nie ustalonej

rzeczywistości, w którym zgodnie z teorią chaosu nawet najdrobniejsza ingerencja powodowała skutek o realnym znaczeniu, czyli wybór łańcucha zdarzeń. Koty nie mogły dokonywać wyborów - były tylko zwierzętami. Mówiąc o ich „intuicji” kapłanka Freyi zdradziła się. Kotem znajdującym się w wirze poznawalności musiał bardzo subtelnie kierować ktoś inny. W tej sytuacji nie chodziło o mysz ani o przetrwanie, zatem kot był tu jedynie neutralnym wykonawcą. Decydował za niego byt anielski lub demoniczny, niepoznawalny, gdyż tak stanowiła reguła zachowania wolnej woli. Pytanie, który z nich? Anioł czy diabeł? Odpowiedź była właśnie natury teologicznej. Człowiek pozwalając dobrowolnie wciągnąć się kotu w wir poznawalności, rezygnował na ten moment z wolnej woli, czyli daru bożego. Był to grzech, a skoro tak, to wyboru losu tego człowieka nie dokonywał wysłannik Boga, lecz przedstawiciel konkurencji...

Przeznaczenie znajomej Oktawii zostało w niezauważalny sposób zdeterminowane. Nikt nie skojarzy faktów, kiedy za jakieś dwadzieścia lat okaże się, że Aśka urodziła psychopatycznego mordercę. Albo zdarzy się coś gorszego...

A teraz Oktawia jechała prosto w paszczę bestii!

Nie zatrzymywaliśmy się na przystankach, więc pod koniec pościgu, w przodzie pokazał się tył autobusu, którym jechała Oktawia. Potem jednak my utknęliśmy w korku, zaś tamten już dojeżdżał do celu. Obliczyłem, że mam około dziesięciu minut straty i teraz wszystko zależało od tego, czy Oktawia dzwoniła przed wyjściem z akademika i czy była oczekiwana?

Była zbyt skrupulatna, by nie zadzwonić...

Wkrótce okazało się, iż zna krótszą drogę do domu kapłanki niż ja. Kiedy jej 191 odjechało z przystanku, mignęła mi kremowa kurtka Oktawii skręcającej w inną przecznicę, niż się spodziewałem. Tam mógł być skrót, sęk w tym, że nie znając dokładnie terenu, nie chciałem ryzykować zabłądzenia. Postanowiłem pobiec drogą, którą znałem.

Wyglądało na to, iż Oktawia była tu nie pierwszy raz. Mogłem się tego spodziewać. Zawsze ceniłem jej charakter i niezależność. Tylko że teraz...

Wyskoczyłem z autobusu, nie oglądając się na kierowcę, który czuł potrzebę skomentowania zaistniałej sytuacji jakąś wiekopomną sentencją w rodzaju: „Kumple nigdy mi nie uwierzą...”

Kiedy zziajany wpadłem na Potrzebną, Oktawii nigdzie nie było widać. Dobrze byłoby zajechać pod sam dom kapłanki - przyszło mi nagle do głowy - ale porywając autobus, nie pomyślałem, by wziąć coś mniejszego od tego dwuprzegubowego sześciodrzwiowca, który ni cholery nie zmieściłby się w tutejszych uliczkach.

Pocwałowałem na złamanie karku. Ulica, która za pierwszym razem sprawiała wrażenie, jakby była stworzona do romantycznych spacerów, teraz dłużyła się okropnie. Wiła się w nieskończoność, a szczerbaty chodnik wręcz gwarantował skręcenie kostki przed zaliczeniem pierwszego kilometra. Wywaliłem się raz, ale na szczęście stłukłem tylko kolano i łokieć.

Furtka przed posesją kapłanki była zamknięta. Przesadziłem płot, w duchu dziękując Bogu za fakt bycia filozofem z gatunku solidnie umięśnionych. Drzwi wejściowe też zamknięte. Uznałem, że nie ma sensu się dobijać i po krótkim namyśle ruszyłem na tyły domu drogą, którą, jak pamiętałem, wybrał Astro.

Wznosił się tu drugi płot, a właściwie szczelna ściana z desek, wysoka na trzy metry. Było w niej przejście dla kota, lecz poza tym żadnej szczeliny. Poraziła mnie dojmująca, dławiąca gardło myśl, że już za późno... że przecież... Zdrowy rozsądek zabrał się za wygłaszanie długiej oskarżycielskiej przemowy. Nie chciałem rozsądku. Musiałem walczyć! Dwa metry nad ziemią dostrzegłem dziurę po sęku. Podskoczyłem, wbijając w nią palce i zawisłem na lewej ręce. Podciągnąłem się, rozpaczliwie szukając czubkami butów jakiegokolwiek, choćby milimetrowego występu. Znalazłem! Przez może dwie sekundy wisiałem

uczepiony desek jak pajak, po czym desperackim szarpnięciem wyrzuciłem w górę prawą rękę. Czubki palców zaczepiły o krawędź ściany. Zawisłem, ale mięśnie wyły z wysiłku. Wzmocnić uchwyt... uwolnić zaklinowane palce lewej dłoni... podciągnąć się... Byłem na szczycie! Po drugiej stronie rosły jakieś krzaki, skoczyłem, nie przyglądając im się zbyt długo.

Z przeraźliwym trzaskiem łamanych gałęzi i dartej ubrania wylądowałem w gąszczu dzikiej róży. Oplotły mnie kolczaste macki. Wiedziałem, że rozdzierają mi skórę na dłoniach, twarzy i udach, ale nie czułem bólu.

Za domem kąpielni Freyi rozciągał się idealnie równy i pusty plac wielkości boiska piłkarskiego, ogrodzony ze wszystkich stron drewnianymi ścianami, u podnóża których rósł różany żywopłot. Możliwe że dziesięć sekund po moim skoku otworzyły się wrota przypominające drzwi do garażu. Najpierw zobaczyłem oplecione uprzężą czarne koty wlokące luźne skórzane pasy.

Rzemienie napięły się i sekundę później z mroku wyjechał srebrzysty rydwan. Za owalną burtą stały kąpielni i Oktawia. Ta pierwsza niedbale trzymała lejce.

- Oktawio! Nie! - krzyknąłem, szamocząc się wściekle.

Wczepione w kurtkę i spodnie gałęzie nie puściły. Oktawia odwróciła głowę, popatrzyła na mnie przelotnie i znów zwróciła wzrok przed siebie.

Astro i Heli ciągnęły równo, sprawiając, że rydwan z każdą chwilą nabierał prędkości. Musiałem uwolnić się i ściągnąć Oktawie na ziemię, zanim będzie za późno!

Ale co potem?

Miłość przychodzi i odchodzi. Trwa długo tylko wtedy, gdy wydaje owoce. W przeciwnym razie staje się zasuszonym kwiatem-wspomnieniem. Taki jest naturalny bieg rzeczy, o ile nie zakłóca go

małostkowe żądze. Skoro nie chciałem mieć Oktawii wbrew regułom kosmicznego ładu, pozostawało pozwolić tej miłości samoistnie wypalić się na popiół przyjaźni. I nie mieszać w to Boga ani szatana. To wystarczyło, by nie czuć w sercu pustki i o to teraz walczyłem. Czy jednak żywioł, który niczym pożar lasu pragnie pochłaniać wciąż nowe obszary, można uwięzić w kominku i skazać na wygaśnięcie?

Zacząłem rozważniej rozgarniać kłujące pędy. Po kolei uwalniałem przyszpilone fałdy ubrania. Minutę później, choć zakrwawiony i obszarpany jak straszycło, byłem wolny. Rzuciłem się pędem na skos przez plac, na spotkanie rydwanu.

Wbrew moim oczekiwaniom, Astro i Heli biegły niewiele wolniej ode mnie, przez co dystans skracał się nie dość szybko. Już po chwili spostrzegłem, że nie zdołam zagrozić im drogi. Nagle koty dokonały nieznacznej korekty kursu. Ich ruchy nabrały płynności, a Astro nieznacznie wysunął się do przodu.

Zobaczyły wir poznawalności! W piersiach wybuchła mi bomba z wrzącą adrenaliną. Przyspieszyłem z nie artykułowanym rykiem i w kilka sekund znalazłem się obok rozpędzonego rydwanu. W oczach Oktawii dostrzegłem błysk przerażenia i... nie zdążyłem...

Oktawia wymknęła mi się z rąk. Chyba zabrakło centymetrów. Nie było czasu na drugą próbę. Zdążyłem tylko obrócić głowę. Moja ukochana stała się niepoznawalna. Jakby się rozplynęła w powietrzu. Pozostała jedynie ta dziwna, śmiejąca się kobieta. Zniknęła. Ktoś zniknął?... Okt... Ok... o co chodziło? Co tu robiłem?

Jakaś dziwaczka na dwukołowym wózku zaprzężonym w koty jeździła dookoła mnie, śmiejąc się głośno. Czułem ból w mięśniach i zamęt w głowie. W mózgu zrywała się burza. Co ta wariatka robi... Zniknęła?! Zostało tylko echo jej śmiechu. Śmiechu? Ktoś się śmiał? Oooo...

Fala wirującej ciemności zalała wszystko.

§ § §

Siedziałem na krawężniku jakiegoś zaułka i strasznie bolała mnie głowa. Musiałem nieźle zabalować, ale ten kac był jakiś dziwny. Nie czułem pragnienia. Na rękach miałem zakrzepłą krew. Skąd? Co powie Maria?

Po drugiej stronie ulicy siedział duży, czarny kot i gapił się na mnie. Nie wiem czemu.

Warszawa, kwiecień 1997

Od Autora: Powyższy utwór zawiera nawiązania do opowiadania „Pólmisek” („Nowa Fantastyka” 1/1996 i tom *Noteka 2015*, Warszawa 1996), którego akcja rozgrywa się sześćdziesiąt lat wcześniej, również w Warszawie XXI wieku. Zawartą w obu tekstach propozycję filozoficzną można traktować serio.

Marcin Wolski

Worek

Najlepiej opowiem od początku, jak było. Postanowiłem kupić worek. W zasadzie nie był mi do niczego potrzebny, aliści od pewnego czasu, a konkretnie od poprzedniej środy, kiedy po nieoczekiwanym spotkaniu mojej żony z moją kochanką, obie panie zdecydowały się mnie porzucić - postanowiłem zostać mężczyzną modnym. A worki, nie te pokutne, o nie, ale te frywolne, w pełni odpowiadające duchowi naszych postmodernistycznych czasów, właśnie wchodziły w modę - w Paryżu, w Nowym Yorku, nie mówiąc już o Tokio.

- W przyszłym roku - perorowała nie dopuszczającym sprzeciwu tonem ekspertka z Korei Południowej na łamach „Periodyka kobiecego” - worek będzie szczytem dobrego smaku, najbardziej wysublimowanym atrybutem elegancji. I każdy szanujący się mężczyzna ostatecznie odrzuci pretensjonalną dyplomatkę czy przejściowo popularny plecaczek. Worek na plecach mężczyzny, który zapragnie się zamienić w kogoś tak atrakcyjnego jak Arnold Schwarzenegger czy Bill Clinton, stanie się symbolem witalności, nonkonformizmu, a zarazem silnym erotycznym wabikiem.

Uwiódł mnie ten kategoryczny ton i niezwłocznie ruszyłem na zakupy. Ponieważ za trendem mody nie podążył jeszcze żaden z renomowanych stołecznych supermarketów, udałem się na wybudowany dla uczczenia narodzin socjalistycznej ojczyzny stadion gigant, gdzie w budzie z galanterią parcianą sprzedawca, chudy Azjata o oczach skośnych jak dach pagody, w najczystszy narzeczu mazowieckim oświadczył mi, zanim jeszcze zdążyłem cokolwiek powiedzieć: - Worek? Zaraz się

znajdzie coś dla pana.

Rzeczywiście, wyciągnięty z jakiegoś kosza wór prezentował się nieźle, zasznurowany dawał się wygodnie chwycić w garść, a wybite jedwabiem wnętrze zawierało mnóstwo przegródek: na papiery, laptopa, telefon komórkowy, mały telewizorek, kij baseballowy i miotacz gazu, słowem wszystko, co może być przydatne nowoczesnemu mężczyźnie w Europie Wschodniej i Środkowej. Cena też okazała się przystępna.

Azjata bez wahania przystał na zapłatę kartą kredytową, a gdy już było po transakcji, zapytał konfidencjonalnie: - A nie kupiłby pan jeszcze kota w worku? Podziękowałem.

- Ale to rozkoszny kociak, rasa mandzurska, czysty, mądry, energooszczędny, w zimie grzeje, w lecie dostarcza przewiewu, a pije tylko wodę...

- Dziękuję, ale nie lubię trzymać zwierząt w mieszkaniu.

- Kot w domu to również prawdziwa radość dla dzieciaków...

- Nie mam dzieci!

- A jaki wspaniały prezent dla małżonki... Na każdą okazję...

- Aktualnie nie posiadam żony.

- Tak myślałem i właśnie dlatego potrzebny jest panu cichy przyjaciel, który będzie panu towarzyszył w chwilach samotności.

- Dziękuję, ale mimo wszystko nie skorzystam. Sprzedawca przełknął ślinę i rzucił z bólem: - Oddam go darmo.

- Powiedziałem już, że nie...

- A jeśli dorzucę w prezencie cotygodniową wizytę mojej młodszej siostry, specjalistki od masażu figurowego, gratis?

Zawahałem się, postanowiłem jednak nie ustępować.

- Przykro mi, ale w pewnych sprawach bywam stanowczy...

- Szkoda, naprawdę szkoda - Azjata w zamyśleniu skubał rzadką bródkę. - Swoją drogą dziwię się panu, zwłaszcza że kot jest już w pańskim worku.

- Co takiego? - Zaskoczony rozsuptałem worek i zajrzałem do środka. Rzeczywiście, gdzieś na samym dnie jarzyła się para żółtawych ślepi. - No nie, proszę natychmiast to zabrać.

- Ja mam zabrać, przecież to pański worek! - Żółtek zakręcił się na pięcie i znikł gdzieś między wietrzącymi się kimonami i trzepaczkami z bambusa.

Zdenerwowałem się. W zasadzie nie lubię kotów jak psów. Odwróciłem worek do góry dnem i usiłowałem wytrząsnąć intruza. Daremnie... Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie nadepnąć na niego i rozwiązać w ten sposób problem definitywnie, ale opanowałem się na myśl o łatwej do przewidzenia reakcji terrorystów z Towarzystwa Miłośników Zwierząt Futerkowych.

- Dobra, policzymy się w domu!

W domu kotek od razu czmychnął mi z worka na gzyms, z gzymsu na szafę, z szafy pod kanapę. Goniłem za nim, aż się zadyszałem. W zasadzie był sympatyczny, malutki, żółtawy i nie miauczał, nawet gdy próbowałem wydłubać go spod kanapy pogrzebaczem. A gdy zmordowany przysiadłem na jej skraju, wyjrzał spod niej z cwaniackim grymasem na pyszczku i zaczął się oblizywać.

- Na razie wygrałeś, koteczku, załatwię się z tobą jutro - wycedziłem zgryźliwie.

Jednak następnego dnia jakoś nie miałem czasu zająć się eksmisją kupionego w worku czworonoga, podobnie złożyło się w czwartek. Zresztą kot nie był uciążliwym lokatorem. Pił jedynie wodę z kranu, który sam odkręcał, a załatwiać się musiał chyba do sedesu, bo nigdzie nie natrafiłem na najmniejszy ślad kocich odchodów. Tak więc nie przeszkadzaliśmy sobie. A przez pierwsze dni prawie się też nie widywaliśmy. Kot zaanektował na stałe miejsce na kanapie w dużym pokoju, nie używanym od odejścia żony, ja pracowałem w moim małym gabineczku. Z łazienki korzystaliśmy w różnych porach. W sobotę,

szukając Nowej Encyklopedii Powszechnej PWN, którą na co dzień przechowuję w kanapie, zajrzałem do salonu. Dziwne. Kotek wydał mi się znacznie większy niż poprzedniego dnia. Na mój widok niechętnie zszedł z kanapy, a kiedy po wyjęciu właściwego tomu opuściłem wieko, wskoczył na nią tak energicznie, że aż zatrzeszczały sprężyny.

Postanowiłem przy okazji zapytać sąsiadki z piętra, czy możliwe jest, by kocię podwoiło swoje rozmiary w trzy dni? Encyklopedia reklamowana sloganem: „Warto wiedzieć więcej” w żadnym bowiem stopniu mej wiedzy na ten temat nie poszerzyła. Hasłu: „Kot” poświęcono jedynie szesnaście wersów, o siedem mniej niż pewnemu politykowi i historykowi o tym nazwisku. Najbardziej popularne rasy kotów domowych zaprezentowane zostały w owej księdze na trzech fotografiach, profesor Kot zaś na żadnej, nie zmieniało to jednak faktu, iż żaden z trzech słodkich kiciusiów uwiecznionych w encyklopedii w niczym nie przypominał łobuza, który rozpanoszył się u mnie w domu, a jeśli już ten łobuz miałby kogoś przypominać, to raczej zwierzę z sąsiedniej strony, kotika polarnego, zwanego też niedźwiedziem morskim, ssaka z rodziny uchatków.

Z sąsiadką porozmawiać jednak nie było mi dane. Kiedy w niedzielę chciałem wyjść na zewnątrz, kot ułożył się w korytarzu, barykadując dostęp do drzwi. Miał już wielkość sporego doga, duże kły i nieprzyjemne refleksy w swych cytrynowych ślepiach. Cholera, czy ja przypadkiem nie kupiłem tygrysa?

Usiłowałem przestąpić ponad nim, ale kiedy tylko się poruszyłem, kot uniósł się na łapach, wyginając siodlasto grzbiet. Koniuszek ogona poruszał się niczym nieubłagane odmierzające czas wahadło.

- Przepuścisz mnie czy nie! - krzyknąłem. - A psik! - Nie zareagował. Wściekły wróciłem do kuchni i wyciągnąłem z szuflady tasak. Oczywiście nie zamierzałem mu przycinać pazurów, a jedynie pogrozić. Ale nie ja tu byłem od pogroźek i od manicure. Z korytarza dobiegł niski, stłumiony

pomruk. Serwis w kredensie zadrżał.

- Daj spokój, kiciu, żartowałem - powiedziałem, odkładając tasak. Pomruk ustał. Kot wycofał się do salonu.

Kiedy jednak w kwadrans potem, na paluszkach zamierzałem przekraść się do wyjścia, znów zajął pozycję w korytarzu. Idiotyczna sprawa! Byłem więźniem we własnym mieszkaniu. Osaczonym przez głupiego czworonoga, którego jedynym atutem był wzrost. Postanowiłem zadzwonić na policję albo do zoo i wezwać pomoc. Trochę głupio, ale żarty się skończyły. Rzeczywiście, skończyły się. Tylko nieco inaczej, niż przewidywałem. Ledwo sięgnąłem po słuchawkę, futrzasty „klawisz” rodem ze wstrząsającego filmu o losie więźniów w tureckich więzieniach wypadł do korytarzyka i kłapnięciem paszczy przeciął przewód.

Cofnąłem się do kuchni. Poczułem wszechogarniający strach. Nigdy nie cierpiałem na klaustrofobię, teraz jednak... Moja kuchnia, pochodząca z czasów późnego Gomułki, w ogóle nie posiadała okna, a małe okienko w gabinecie było solidnie zakratowane. Ani mowy o ucieczce. Kot w zasadzie zadowolony z panowaniem w salonie oraz w korytarzu i nie przeszkadzał mi w korzystaniu z łazienki. Jak długo? Czy miał wobec mnie jakieś bardziej dalekosiężne plany? Czy zależało mu jedynie, abym nie opuszczał mieszkania? Nie musiałem. Póki co miałem pełną lodówkę i dobrze zaopatrzone barek, ale co później...

Gorączkowo szukałem sposobu na dzikiego lokatora. Otruć? Ale czym? Zresztą pił jedynie wodę z kranu. Żadnej broni palnej nie miałem. Co najwyżej mogłem liczyć, że w poniedziałek, kiedy nie zjawię się na umówionym spotkaniu, ktoś mnie odwiedzi... Tak, to była szansa.

W poniedziałek kocur miał już rozmiary cielaka, a kołyszając ogonem, potłukł mi większość bibelotów w salonie. Swojej polityki wobec mnie nie zmienił. Nie atakował, ale i nie wypuszczał z mieszkania.

A we wtorek... We wtorek odwiedził mnie Karol. Mój przyjaciel z

dzieciństwa, najwyraźniej zaniepokojony milczeniem telefonu i nieprzybyciem na spotkanie, zapobiegliwie przyjechał z zapasowym kompletem kluczy. Gdy nie uzyskał odzewu na dzwonienie i pukanie, sam otworzył drzwi. Wszedł. Nie mogłem go ostrzec, choć chciałem, ale każda próba otwarcia ust kończyła się brzydkim wyszczerzeniem zębów mego sublokatora...

- Heniu, jesteś? Heniu, nic ci się nie sta... - zawołał Karol. Tu urwał, osłupiały, widząc skaczącą mu do gardła pręgowaną śmierć. Uderzenie było potężne, jęk krótki, zdławiony, urwany...

- Nie, nie! - wrzasnąłem. Ale co mogłem zrobić. Nieludzko przerażony zamknąłem drzwi do kuchni, zaparłem je kredensem, szafką, stołem. Potem chwyciłem dłuto i młotek. Postanowiłem wykuć przejście na klatkę schodową... Wspomnienie mozolnie wybijającego się na wolność - w o ile gorszych przecież warunkach geologicznych - hrabiego Monte Christo dodawało mi otuchy. Kawałki betonu zaczęły fruwać w powietrzu.

Nie spodobało się to mojemu kotkowi. Zaatakował drzwi. Zaczął uderzać w nie rytmicznie, a każdą łapę miał dwukrotnie większą niż męskie ramię. Wyłamał płyty, rozwalił ramiak, potem rozpoczął destrukcję kredensu. Kredens ów kupiłem okazjnie na pchlim targu, ale nie znaczyło to przecież, by jakieś bydlę mogło go bezkarnie poszturchiwać. Złość moją potęgowało, że w działaniach czworonożnego nieprzyjaciela drzwi i przedwojennych kredensów nie było szалу, tylko trzeźwa, metodyczna logika. Niebawem ujrzałem jego pysk, płonące ślepie. Ledwo mieścił się między framugami...

- Kici, kici - próbowałem przemawiać łagodnie i cicho.

- Daj spokój! Przynajmniej dziś. Zobacz, już zaprzestałem kucia. Odkładam dłuto!

Marzyłem, żeby się cofnął. Jutro przecież będzie zbyt duży, żeby dostać się do mojej kiszkowatej kuchni. Potwór nie miał jednak ochoty

przestać... Prychał gniewnie, kontynuując dewastację. Jeśli go nie powstrzymam, za minutę podzielę los Karola.

Otworzyłem szufladę z nożami. Jeśli udałoby mi się trafić choć w jedno z tych żółtawych ślepi... Przejrzał moje intencje. Ślepie znikły, a zamiast tego do kuchni wsunęła się kosmata łapa. Przywarłem plecami do ściany. Pazury wielkości haków rzeźnickich chybiły moją twarz o centymetry. Schroniłem się do spizarki, a łapa podążała za mną, tak jakbym był kanarkiem w klatce. Dobry Boże, czyż tak miał wyglądać mój koniec? Dlaczego? Robiąc rachunek sumienia, przypomniałem sobie kureę zastrzeloną z wiatrówki, psa, któremu przywiązałem kiedyś kilka puszek do ogona, kota wypranego w pralce automatycznej i łasiczkę przejechaną samochodem... Więcej grzechów przeciw faunie nie pamiętałem.

- Ratunku, pomocy! - darłem się wniebogłoso, zapominając, że we wtorkowe południe dom jest kompletnie opustoszały, a sąsiadka z przeciwka głucha.

Tymczasem prowizoryczna barykada stawiała coraz mniejszy opór. Moje możliwości ucieczki zmniejszyły się, ograniczając się do niewielu centymetrów kwadratowych płytkiej wnęki spizarki i pawlacza wypełnionego walizami. I wtedy wpadł mi do głowy wariacki pomysł. Worek!

Ściągnąłem go z góry. Kot na moment zaprzestał szturmowania potrzaskanych resztek drzwi. Wsunąłem głowę do wnętrza worka. Było tu luźniej, niż przypuszczałem, otoczył mnie śliski jedwab przesycony zapachem jakichś egzotycznych ziół. Wsunąłem się jeszcze bardziej. Worek opadł na mnie jak suknia. I naraz ogarnęła mnie niesamowita, zda się bezkresna przestrzeń. Gdzie byłem? W kosmosie, pod jabłonią, z której zerwany zostanie zaraz owoc zakazany, wśród kwiatów porastających wiszące ogrody Semiramidy? Grały cykady, ponade mną rozpościerało się niebo pełne gwiazd. Wprawdzie ciągle słyszałem ryk olbrzymiego kota, ale jakże był daleki, coraz bardziej się oddalający...

Nagle niebo zaczęło różowieć i niebawem ujrzałem wokół siebie zbocza strzelistych gór, na których odległych szczytach majaczyły się czapy śniegu, a wkrótce zobaczyłem dziewczynę o egzotycznej urodzie, niosącą wodę w dwóch konwiach na drewnianym nosidle. Dziewczyna uśmiechnęła się do mnie zachęcająco. Poszedłem za nią w wilgotny cień bambusów.

§ § §

Przebudzenie było bolesne. Zerwano mi worek z głowy. W zdewastowanym mieszkaniu aż się roiło od policjantów. Chciało mi się krzyżeć: „Nareszcie, nareszcie!” Tylko dlaczego skuto mi ręce. Dlaczego nigdzie nie widzę oszołomionego pociskami usypiającymi albo rozszarpanego seriami z broni automatycznej kota?

Wnet dowiedziałem się, że prokurator wydał nakaz aresztowania mnie pod zarzutem zamordowania Karola Wałęckiego. Nikt nie wierzył w historię o monstrialnej bestii. Karol zginął od jednego ciosu w głowę. Ani na jego ciele, ani w żadnym z pomieszczeń nie znaleziono śladów kocich pazurów. Policjanci sugerowali, że to ja osobiście po dokonaniu zbrodni, symulując atak szału, zrujnowałem mieszkanie. Co gorsza, nieszczęsny worek zdematerializował się podczas przeszukiwania przez policję spiżarki w sposób nie znany nauce, jak stwierdził nie bez ironii jeden z funkcjonariuszy.

Wedle adwokata naszą jedyną nadzieją jest, że badania psychiatryczne wykażą moją pełną niepoczytalność. Ja oczywiście wiem swoje. Mam koncepcję, którą spróbuję rozwinąć w dłuższej dysertacji. Zważywszy na okoliczności, będę miał sporo czasu na przemyślenie tematu i przybranie go w klasyczną, wywodzącą się z ducha tragedii greckiej formę literacką. Teza będzie następująca: zakupiony przeze mnie kot w worku stanowi agresywną formę zmaterializowanego hologramu, worek zaś - sprzedawany przez obcokrajowców z określonej

strefy geograficznej i chyba nie przypadkiem intensywnie lansowany jako przebój sezonu - jest próbnym egzemplarzem cyberprzestrzeni. Co do mojej przygody, uważam ją za kolejny rekonesans przedstawicieli wiadomego regionu przed planowaną inwazją nowych technologii. Azjatyckie tygrysy nadchodzą. Już tu są...

Mój adwokat twierdzi, że leśnicy z Lasu Kabackiego, którzy ciągle poszukują tropów zbiegłego z zoo guźca, natknęli się ostatnio na ślady ogromnych kocich łap. W to, że sprytna afrykańska świnia hasa jeszcze na wolności, wierzą już tylko nieliczni. Jak mam więc przekonać niedowiarków, że powiększający się z nadkocią szybkością potwór z parcianego worka istnieje naprawdę? I przestrzec przed agresywnością wykorzystujących prokocie sentymenty firm handlowych. Tych zwłaszcza, które z kocią przebiegłością sprzedają kota w worku.

Maciej Żerdziński

Żrenice

Kobieta zanurzyła się w wodzie i patrzyła, jak różowawa piana wiruje wokół jej gładkich, dużych piersi. Z ulgą wyprostowała wydepilowane nogi, ręce oparła w specjalnych wgłębieniach ogromnej wanny. Zamknęła oczy, wsłuchując się w muzykę dobiegającą z głośników zamontowanych w szmaragdowych kafelkach łazienki, zaprojektowanej według najnowszej technologii Mitsubishi Live przez samego J.J. Klice'a. System był wart wydanych pieniędzy. Pozwalał przemknąć z rzeczywistości w świat onirycznej pełni szybciej niż najlepszy gatunek cracku. Koił napięte stresem mięśnie, oddalał w chwilowy niebyt następny dzień pracy.

- Mmmm... - zamruczała kobieta, przypominając sobie spotkanie z dziewczyną, którą poznała w czasie ostatniego party u Quadrettów.

Pięć dni temu. Kiedy tylko usiadła za ich domowym barem, poczuła się stara, samotna i zmęczona. Goście - większość z nich znała lepiej niż własne ubrania - kolorowe tartinki, sałatki i owoce ułożone w misterne formy, bardziej przypominające średniowieczne fortyfikacje niż potrawy przeznaczone ludzkiemu ciału, długie, wyczerpujące rozmowy... Wszystko to sprawiło, że od razu chciała być sama. Nie mogła patrzeć na Quadretta Juniora, uwodzącego jakąś młodą damę, i na jego ojca, uparcie mizdrzącego się do Quadrett Żony. I na tych wszystkich podstarzałych dziwaków, zapamiętałe pulsujących w rytmie techno i niemiarewego bicia własnych serc. Kiedy dopiła pierwszego drinka, uznała, że tylko cud może sprawić, iż zostanie u Quadrettów dłużej niż do dziesiątej wieczorem.

- I stał się cud... - wyszeptała rozchylając nieco uda.

Muzyka przybrała na sile, partie instrumentów smyczkowych ostrożnie wyszły na pierwszy plan. W powietrzu rozszedł się opar haszyszu i łagodnie otoczył twarz leżącej w wodzie kobiety. System Mitsubishi nastrojono na jej indywidualne feromony. Aktywował się proporcjonalnie do wzrostu wydzielanych przez nią endorfin. I w odpowiedni sposób potęgował każde przeżywane przez nią marzenie. Był idealny.

- Cud... - Jej dłoń niespiesznie musnęła pępek, zawahała się i zastygła w bezruchu.

Powróciła myślami do domu Quadrettów. Przygotowywała sobie właśnie następnego drinka, kiedy w lustrze okalającym prawe skrzydło baru dostrzegła jasne włosy i prostą, czarną sukienkę. Potem, kiedy dziewczyna usiadła obok niej, poczuła dyskretny zapach jaśminowych perfum.

Dłoń spoczywająca na skórze brzucha drgnęła. Napięte palce pociągnęły ją w dół. Smyczki gwałtownie przybrały na sile, po czym złagodniały, dopuszczając do głosu staccato elektrycznej gitary.

Dziewczyna nazywała się Naomi. Przedstawiła się jako przypadkowy gość na tym wielkim, nudnym party. Była projektantką wnętrz. Zaprojektowała wystrój jadalni Quadrettów, a polecił ją im jeden z bardziej irytujących gości, łysawy Hjuge Faghot. Do niego z kolei trafiła przez rodzinę Heinemanów, przypadkiem tylko nieobecna na dzisiejszym spotkaniu. Naomi mówiła klarownymi, długimi zdaniami, a każde z nich podbudowywała ruchem smukłej, drobnej dłoni. Kiedy zaczynała słuchać, jej ciemne oczy uważnie śledziły każdy gest rozmówcy. Była jednocześnie dojrzała i spontaniczna niczym ciekawa świata licealistka. Była też piękna i czysta. Miała drobny, podkreślony sukienką biust, jej nadgarstki zdobiły dwa srebrne pierścienie. Naomi... Długo oczekiwana, wymarzona w snach kochanka.

Palce kobiety dotknęły wreszcie miejsca, które je przywoływało. Jeden z nich zaczął się poruszać. Staccato gitary nabrało mięsistego podmuchu. Przester turbo-overdrive'a wspomogły smyczki. Wszedł bas; od razu długą, pełną nutą. Tuż za nim pomknęła waltornia.

Kobieta rozchyliła wargi. Więzadła mięśni na jej szyi napięły się, kiedy otworzyła oczy.

Łazienka tętniła życiem. Przemykały przez nią wspomnienia tamtego wieczoru, upojnych chwil spędzonych z Naomi i tych, które jeszcze nie nadeszły. Misterny splot magii i prawdy, kobiecych pragnień i kształtów nadanych im przez Mitsubishi Live System.

Palec zadygotał niczym pałeczka dyrygenta przed finałowym ruchem. Uda zbliżyły się do siebie. Gitara szarpnęła przeciągłym akordem, waltornia szalała w jednej nucie, bas rozsypał swój miarowy pochód. Kobieta krzyknęła ochryple. I znowu grały smyczki, choć inaczej niż wcześniej. Kołysały dźwięk niczym wiatr fale wody; raz cichły, raz nabierały mocy w porwanym rytmie jej gwałtownych oddechów.

Oddychała razem z dogasającą muzyką aż do chwili, kiedy jeden z kafelków oderwał się i wpadł do wanny, iskrząc nadpalonymi półprzewodnikami. Cienki, spiralnie skręcony przewód nadal łączył płytkę ze źródłem sygnału. Kobieta nie zdążyła pomyśleć, że umiera. Widziała tylko, jak para z sykiem gęstnieje pod kryształowym sufitem, oplatając białym uściskiem dwa kółka marihuan owego dymu. Zdawały się obserwować jej agonię. Na białawym tle zamigotały dwie zielone tęczówki z wyciętymi pośrodku pionowymi źrenicami, zgłodniałymi każdej nanosekundy jej śmierci. Oddała im swój ostatni orgazm, zmodyfikowany według Mitsubishi Live, i odeszła na zawsze. Kiedy jej twarz zniknęła pod różową pianą, źrenice zwężyły się, by po chwili zgasnąć wśród rzadniejącej pary.

§ § §

Heineman postawił filiżanki pełne parującej kawy, poprawił reflektorek przyczepiony do stołu, a potem cofnął się o krok i krytycznym spojrzeniem ogarnął pokój.

Lisa nie patrzyła w jego stronę. Uważnie sprawdzała gładkość wypolerowanych paznokci. Hjuge Faghot, który siedział po drugiej stronie stołu, pochwycił już swoją filiżankę i z pietyzmem odmierzał śmietankę. Był gładki, uśmiechnięty, zaróżowiony w świetle halogenowej lampki. Ociekał zręcznymi zdaniem, które wypuszczał z pulchnych warg niczym myszy z kartonowego pudełka. I te jego zdania, jak gryzonie właśnie, biegały gdzieś pomiędzy nimi trojgiem, ale żadnego nie sposób było pochwycić i zatrzymać na dłuższą chwilę. Faghot był przyjacielem rodziny, a Lisy w szczególności. Był także posiadaczem spinki do krawata w kształcie takiego samego jaguara, jakim podjechał pod dom państwa Heinemanów.

- I tak właśnie wygląda ta historia, moi kochani - Faghot upił nieco kawy i skrzywił cienkie wargi. - Powiedziałbym, że to zupełny przypadek, ale nieco grosza udało się wprowadzić na nasze konta. Przypadki więc, zmierzam tu do podsumowania, mają znaczący wpływ na wszystkie z moich interesów. Im coś bardziej mnie zaskoczy, tym grubszy szmal zgarniam...

Heineman przytaknął skwapliwie. Przytakiwał już dłuższy czas, bo nie wiedział, jak powiedzieć Faghotowi, że kot Lisy zwymiotował na jego płaszcz, a potem jeszcze poprawił na nieopatrznie położony na dolnej półce kapelusz, również własność Faghota. Prawdę powiedziawszy, kot Lisy regularnie wymiotował na ubrania gości, szczególnie jednak upodobał sobie odzież Faghota.

- Jesteś genialny, Hjuge - Lisa obdarzyła gościa szerokim uśmiechem. - Nie wiem, jak ci dziękować. Gdyby nie ty, Brandon nigdy by się w to nie włączył. Kolejny raz wyciągnąłeś nas z długów.

- O, tak - Heineman ostrożnie usiadł przy Faghocie i objął go

ramieniem. - Jesteś genialny, Hjuge. Uwielbiam robić z tobą interesy.

Faghot zaśmiał się i ponownie upił nieco kawy.

- O wilku mowa. No, powolutku będziemy się zbierać. Nie wiem, czy ci o tym mówiłem, Brandon, ale chciałbym, żeby Lisa towarzyszyła mi tego wieczoru. Wiesz, ten facet z Blauman & Rideman Factory, ten główny od naszego projektu, szczególnie ceni sobie piękno. Kiedy będziemy świętować nowy kontrakt, chciałbym, żeby nie zabrakło tegoż piękna właśnie. Myślę, że Lisa gwarantuje towar pierwszej klasy. Ha! Dobrze mi się powiedziało...

Na pewno, ty skurwysynu, pomyślał Heineman, po czym przyłgął do Faghota jeszcze mocniej. Lisa chyba domyślała się, o co idzie, ale jak zawsze nie dawała mu żadnego wsparcia. Założyła tylko nogę na nogę, żeby Faghot zobaczył, jak lycra ciasno opina jej ciało i prowokująco skrzy się do jego łysego czoła. Heineman nie chciał o tym teraz myśleć.

- Jasne. Lisa gwarantuje przypieczerowanie kontraktu z Blauman & Rideman. Jakoś tu sobie poradzę... Wiesz, Hjuge...

- W porządeczku, stary. Będziemy pewno radzić całą noc, trzeba ustalić te wszystkie szczególiki i dopiąć guziki. Nuda i poza, ciesz się, że zostajesz w domowym ciepełku.

Faghot pstryknął w reflektorek, dając upust samozadowoleniu. Heineman już dawno rozpracował każdy z jego prymitywnych gestów. Nie pojmował, jak Lisa mogła to lubić. Nie pojmował, jak mogła porzucać go dla tego faceta. Dla tego łysego gaduły, który uwielbiał porządek i tanie motelowe panienki.

- Wiesz co... - powtórzył, czując narastające rozdrażnienie. - Jest coś jeszcze.

- Wał, bracie. Nie co dzień zdarzają się takie wieczory. Wał, co ci leży na duszy.

- Nic specjalnego nie leży mi na duszy, Hjuge. Natomiast nieszczęśliwie przedstawia się twój płaszcz i kapelusz. - Zdjął rękę z

ramion swego szefa i przymknął oczy.

Faghot odstawił filiżankę i potarł czoło.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że ten zasraniec znowu zarzygał mi ubranie?

- Na to wychodzi, Hjuge. Wytarłem je, jak potrafiłem, ale rzygowiny tego kota niełatwo schodzą z materiału.

Lisa ponownie skupiła się na swoich paznokciach. Faghot zaklął cicho i powiedział: - Oddaj to do pralni, Brandon. Żałuję, że nie potrafisz upilnować tego cholernika. Trudno. Będę musiał zabrać twój płaszcz. Powinien pasować.

Heineman przytaknął: - Będzie jak ulał. Zajmę się twoim. Mamy tu niedaleko pralnię chemiczną, prawdziwi zawodowcy. Jutro oddam, jutro odbiorę. Nie będzie nawet śladu. Rzygowiny kocura znikną jak ta kawa, którą wylałeś na moje biurko w zeszłym roku. Pamiętasz? Zaśmiał się, choć od razu zrozumiał, że tylko pogorszył sytuację.

- Prawdę mówiąc, nie pamiętałem - powiedział po chwili Faghot. - Widzę natomiast, że twoja pamięć jest w jak najlepszym porządku. No cóż, czas na nas, Lisa?

Lisa odgarnęła jasne włosy i spojrzała wprost w twarz Heinemana. Pierwszy raz tego popołudnia.

- Tak. Wrócę taksówką, Brandon. Kiedy skończymy ustalać wszystkie szczegóły. Nakarm kota przed ósmą. Jeśli tyle zwymiotował, to teraz może być bardzo głodny.

Nic nie odpowiedział, tylko patrzył w jej złociste szkła kontaktowe i rozmyślał, jaka była dawniej. Czy to wspomnienia nasiąkły fałszem, czy rzeczywiście aż tak się zmieniła? Nie był w stanie tego ocenić. Nie potrafił.

Kiedy Lisa i Faghot wyszli z jego maleńkiego, stożkowatego domu, kiedy już zamilkł silnik jaguara, Heineman wstał i poszedł do łazienki. Lustro przywitało jego chudą, podłużną twarz, rzadkie kręcone włosy i

zapadłe w oczodołach spojrzenie. Widział też swą pomarszczoną szyję, pochwyconą przez prążkowany krawat niczym noga jelenia ucapiona kłusowniczymi wnykami. Tak właśnie się czuł. Jak pochwycone w sidła zwierzę: ciężkie, niezdarne, pewne nadchodzącego końca. Nie było w nim siły. Nie potrafił jej odnaleźć od tamtego dnia, kiedy kot wyjaśnił mu zasady gry.

- Jesteś tu? - wymamrotał suchymi wargami. - Zdaje się, że czeka nas interesujący wieczór.

Wypełznął zza bidetu; czarny cień w niebieskiej łazience, atramentowy kleks na gładkiej bibule. Nie żywił się światłem. Odpychał je, jak olej odpędza wodę, pozostawiał gdzieś obok swej gładkiej sierści.

- No? Musiałeś narzygać na płaszcz tego dupka? I kapelusz?

Kot Lisy otarł się o jego nogi. Heineman poczuł strach. I nagłe podniecenie spodziewaną projekcją.

- Mogłeś jeszcze narzygać mu na buty. Wtedy byłbym już zupełnie kontent.

Kot Lisy przesunął się pod umywalkę, pochylił swą okrągłą czaszkę i zwymiotował raz jeszcze. Tym razem wprost na klapki własnej pani. Heineman uśmiechnął się smutno.

§ § §

Canthy zgasiła brązowego papierosa i rozgoniła resztki dymu szczupłą dłonią. Minęła już piąta po południu i dziewczyna niespiesznie zaczęła przygotowywać się do pracy.

- Paskudna pogoda - powiedziała wstając z fotela. - A zapowiadał się ciepły wieczór.

- Od ośmiu lat zapowiadają się ciepłe wieczory i jakoś gówno z tego wynika - Brownie wzruszyła ramionami, a Sgosi zaśmiała się ochryple.

Canthy podeszła do swojej toaletki. Czuła się dobrze i nie chciała prowokować kolejnej sprzeczki.

- Jest, jak jest, dziewczyny, trzeba pracować - powiedziała zdejmując podkoszulek.

- Może dla ciebie jest, jak jest, kochana - Brownie znowu wzruszyła ramionami. - Bo robisz w fachu dopiero od dwóch lat. Nie pamiętasz prawdziwego ruchu w interesie.

- Już od prawie trzech, nie, Sgosi? - starała się zmienić temat. - Jakoś tak razem żeśmy zaczynały.

- To prawda - Sgosi zamachała długimi nogami. - Ale ja dawałam dupy jeszcze w St. Castle. Razem będzie już czwarty rok. Może nawet piąty, jakby tak dodać szkołę. Chętnych frajerów było sporo i już wtedy wpadłam na to, żeby ich kasować.

Canthy zaśmiała się i wyjęła z kosmetyczki szminkę. Była w tym towarzystwie najmłodsza, ale miała najwięcej klientów. Wiedziała, że drażni tym Brownie, która nie mogła pogodzić się z upływem lat.

- Ja natomiast... - Usłyszała jej ochrypy, ciepły głos. - Obchodziłam już dwudziestolecie kurwowania i dlatego właśnie wiem, co mówię, kobitki. Od tych ośmiu lat pieprzy się pogoda. A kiedy wieczorami pieprzy się pogoda, właściwi klienci zapraszają panienki do domów, natomiast ci niewłaściwi ruszają w teren. Zbyt dużo zboczusiów przyhaczyłam, żeby nie poznać kolejnego. Słuchasz mnie, Canthy?

- Tak - skończyła cieniować powieki i szukała teraz odpowiedniej bielizny. - Mówisz o pogodzie, która pieprzy się od ośmiu lat.

- Gównu - Brownie trzepnęła ręką w gazetę, a potem zrzuciła ją z łóżka. - Mówię o tym, że od ośmiu lat mordują panienki i nic nam z tego, że łapią gościa i pakują do pierdła. Wyłażą kolejni. Jeden za drugim. Gliny, które do mnie przychodzą, są bezradne. Coś się posrało w tym mieście i tylko patrzeć, jak oni sami złączą mordować. Coś wisi w powietrzu.

Canthy uznała, że założy dziś klasyczne czerwone figi i tej samej barwy koronkowe miseczki. Pończochy będą matowe, koloru liliowego

kwiatu. Lubiła ten odcień fioletu. Uważała, że szczególnie dobrze współgra z ciemnym brązem jej gładkich ud.

- Przestań, Brownie - mruknęła pod nosem. - Ty chyba rzeczywiście się starzejesz.

- O! Zaczyna się na dobre - zachichotała Sgosi. - Dajcie spokój, dziewczyny. Pora najwyższa zebrać siły. Przeczuwam ogiera najwyższych lotów. Finansowych, ma się rozumieć.

Sgosi często łagodziła ich spory i Canthy była jej za to wdzięczna. Lubiła Brownie. Nigdy nie chciała jej dowalać.

- Miejsce wolne - podeszła do okna, obciągając po drodze długi podkoszulek.

- Może rzeczywiście się starzeję - Brownie zeskoczyła z łóżka. - Ale niech mnie cholera, jeśli tego wieczora zaliczysz więcej fagasów niż moja dupcia, czarnulko. Pamiętasz, co powiedział ten twój ulubiony łysol? Przypomnę ci. Ten łysol uznał moją klasę, ale nadal przychodzi do ciebie. I to właśnie mnie podkurwia, kochanie. Nie możesz go sobie odpuścić?

- Niech tam - odmruknęła. - Dam ci pana Faghota i jeszcze kilku słabszych. Niech poćwiczą z prawdziwą fachmanką.

Odchyliła nieco zasłonę. W oknie zobaczyła odbicie swej twarzy, rozbłyśki złotych kolczyków i cień ufarbowanych na blond włosów.

- Ha. Dam ci nawet tego niedojdę, który męczy mnie regularnie co czwartek. Ostatnio odgrażał się, że to moja wina i następnym razem przyjdzie z mamą. Podobno zna się baba na rzeczy.

Brownie zakłęła krótko, ale Canthy już nie słuchała. Patrzyła na chmury kryjące zachód słońca, gdzieś tam za połyskliwym jeziorem, przy którym stał ich motel. Były czerwone jak jej bielizna. Jak nigdy dotąd. I coś jej przypominały.

Ach tak, pomyślała, odwracając się w stronę Brownie zajętej makijażem.

- Patrzcie, dziewczyny - wskazała ręką w stronę okna. - Te cholerne

chmury przypominają dzisiaj oczy. Parę czerwonych oczu z pionową źrenicą.

- Pionową? - powtórzyła Sgosi. - Zdaje mi się czy rzeczywiście sugerujesz, że są to oczy we wzwodzie?

- Jasne - Brownie wycelowwała w Canthy szminką. - Na niebie stanęły gały.

Ich śmiech rozwiął obraz, który przed chwilą zobaczyła. Wróciła mgła, kryjąc przed nimi zachodzące słońce.

§ § §

Tego wieczoru dzielnica Lakebridge wyglądała szczególnie ponuro. Chodniki lśniły oleistymi kałużami, fasady budynków tonęły w oparach wzbierającej mgły. Nieliczne światła z trudem przebijały się przez okna mieszkań, a czyhający wszędzie mrok łapał je i dusił w jednej chwili. Był zbyt silnym przeciwnikiem, tak dla świateł żarówek, jak i dla oczu niespiesznego przechodnia. Tylko myśli nie poddawały się jego mocy. Z każdą chwilą nabierały jasności.

Muszę to zrobić. Znowu muszę to zrobić. Teraz, zaraz, tu, w tym miejscu. Nie wytrzymam dłużej, jeśli tego nie zrobię. Już. Teraz. Tu.

Mężczyzna minął kolejną bramę i rozczarowany poszedł dalej. Rozwiane poły jego długiego płaszcza ciągnęły za sobą szal białej mgły, gasiły stukot wąskich, czarnych butów. Już piąty raz w tym miesiącu szedł przez Lakebridge nocą. Nie potrafił powiedzieć, który raz szedł tędy w ogóle. Niewiele będzie pamiętał następnego ranka. Nie pracował dla siebie i wszystko, co tylko zarejestrują jego receptory, odda swemu mocodawcy. Każdą chwilę kobiety, którą zaraz spotka. Ciepło jej rozgrzanej skóry, szminkę pokrywającą jej pełne wargi, kroplę krwi, która spłynie wzdłuż owalu jej podbródka, włosy, które rozsypią się na jego twarzy. Mężczyzna nie zostawi dla siebie nawet jej szeptu, odda także szelest opadającej bielizny. Zachowa w pamięci pieniądze i

rozmowę na temat ceny, bo tamten nie był tym zainteresowany. Jeśli przypadkiem dostawał i te szczegóły, wracały nieoczekiwanie niczym piekielny bumerang. To bolało.

Mężczyzna skręcił w stronę jeziora. Teraz już wiedział. Tam, w drugim z kolei motelu przyozdobionym fantazyjnie skręconym purpurowym neonem, przyjdzie mu kochać się z czarnoskórą prostytutką, którą zadusi potem swymi silnymi palcami i zostawi w łóżku na drugim piętrze. W pokoju z widokiem na jezioro. I ten obraz będzie ważny. Mężczyzna wie, że musi precyzyjnie wykonać to zadanie. Jeśli nie uchwyci wszystkich szczegółów, głód wróci za szybko i już kilka dni później znowu wygna go w noc. A gliny były coraz bliżej. Czuł, że wkrótce go dopadną.

- A tego nie chcę. Tego nie chcę, bo wtedy zapamiętam zbyt dużo - szept ciągnął się za wysoką postacią. Matowe kałuże dyszały siną mgłą. - Teraz. Tu. Już. Juuuuż... Dostaniesz kawał dobrej roboty i dasz mi spokój na wieczność.

§ § §

Heineman dopił kolejnego drinka. Siedział w swoim ulubionym fotelu, w rozchełstanej koszuli, z podwiniętymi nogawkami spodni i gazetą na kolanach. Telewizor mruczał cichym głosem nocny serwis informacyjny, światło halogenowej lampki oświetlało resztki pozostawione na gościnnym stole. Za oknem przejechał samochód, ale to nie była Lisa. Heineman nie spodziewał się jej wcześniej jak po czwartej nad ranem. Teraz dopiero dochodziła dwunasta.

- Dobra - wymruczał. - Nic się takiego nie dzieje. Jestem, jaki jestem, a Lisa wciąż jest ze mną. Mamy forszę dzięki pomysłom jej kochanka, mamy dom. A także kota.

Siedział u jego nóg w charakterystycznej niedbałej pozie. Po kolejnym dniu przeczekanym pomiędzy szafą a bidetem kot Lisy cieszył się dobrą formą.

- *Chcesz kawalek?* - zapytał przeciągając zgłoski. - *Nie jest to żadne cudo, ale najwyraźniej nudzisz się, drogi przyjacielu.*

- Nie chcę - odpowiedział na głos Heineman. - Znam ciało Lisy. Powinienem być może powiedzieć, że pamiętam ciało mojej żony... Wiesz, dawno już nie spaliśmy w jednym łóżku. Z pewnością jednak nie jestem zainteresowany wyczynami tego skurwiela, przemiłego Hjuge'a Faghota.

- *Nie bardzo rozumiem, o co ci chodzi, przyjacielu. Nie chciałbyś znowu posmakować miłości z kobietą? Czy do tego zmierzasz?*

- Chciałbym - Heineman spojrzał na nieruchomą głowę kota. - Ale nie w taki sposób.

- *Och. Wciąż zapominam, jak ważny jest dla ciebie bezpośredni udział fizyczny. Nie zrozum mnie źle, ale jestem kotem i mogą ci to przekazać w niepełnej wersji. Obetną obraz Hjuge'a Faghota, uwypuklę przeżycia Lisy i sprawię, że ty sam staniesz się pełnowymiarowym graczem. O ile mnie pamięć nie myli, robiliśmy już coś takiego i zdaje się, że byłeś zadowolony. Nie musisz się spieszyć. Mogę dać ci retransmisję, choć traci ona nieco na emocjach. Im więcej dni upłynie, tym będzie bledsza.*

Heineman zaśmiał się szyderczo.

- Dla ciebie. Ja nawet nie zauważę, że przeleżała w twoim małym mózgu chociażby i pół roku. Ludzie nie są tacy wyraziści jak wy.

Kot Lisy na jedną chwilę spojrzał w jego oczy. W zielonych tęczówkach Heineman dostrzegł śmiech. Kot rzadko pozwalał sobie na taką szczerłość.

- *No tak. Nie mówiłem ci nigdy, że gromadzę te przeżycia w swoim mózgu. Nie jest do tego dostosowany. Mało pamięci trwalej, fatalna szczelność. Rzygałbym emocjami jak tą papką, którą mnie karmicie. Niestety, to by było niebezpieczne. Zarządzam dużym magazynem. Dopóki żyję, pozostanie on szczelny.*

- Dobra. Powiedz mi więc, gdzie to wszystko przetrzymujesz? Gdzie jest ten twój magazyn? W pudełku na myszy, które kupiliśmy ci pięć lat

temu?

- *Nie. Pudełko służy do przechowywania moich zabawek. I do niczego więcej.*

Heineman przygotował kolejnego drinka. Potem sięgnął po pilota i wyłączył telewizor. Z ulgą rozprostował krótkie nogi. Nie było doniesienia o nowym morderstwie.

- Uniknąłeś pytania. Ale zapytam wprost. Czy sięgasz po te wszystkie zapisy do źródeł? Mówiłeś, że lubisz powtarzać ulubione kawałki. Skąd je bierzesz, jeśli nie z własnych wspomnień?

- *Moje wspomnienia nie wystarczają nawet na tę rozmowę. Rozmawiamy tylko dzięki tobie.*

Heineman machnął ręką i zagrzechotał kostkami lodu w szklaneczce.

- Mówisz zagadkami, ale domyślam się, że sugerujesz, iż teraz rozmawiam sam ze sobą.

Kot potarł pyskiem o jego prawą nogę, przeciągnął się i zamruczał. Uznał widać temat za skończony. Heineman przyzwyczyił się do jego kaprysów. Pogodził się z dominacją kota Lisy, bo zawsze realnie oceniał sytuację i nie tracił czasu na jałowe spekulacje. Jeśli czuł, że wydarzenia go przerastają, wołał się podporządkować. Przyjęta przez niego taktyka zazwyczaj okazywała się słuszna. A przynajmniej mało bolesna.

- *Tak. Jesteś podobny do mnie. Przyznaję, iż podziwiam twoje życie, choć to dopiero pierwsze z wielu. Nie wiem tylko, czy to dobrze, że jesteś akurat człowiekiem, drogi Brandonie. W charakterystyczny dla ludzi sposób lepisz obudowę rzeczom z natury nagim i czystym w przekazie. Mógłbyś sporo przeżyć, gdyby nie ta wada. Wyeliminuj ją. Przeszkadza.*

Heineman przesunął kota owłosioną łydka i przyjrzał mu się krytycznie.

- Jasne. Powinienem być pieprzonym, stabilnym życiowo kotem. Znam już takiego jednego. Cały dzień śpi w jakimś kącie, wieczorem zbiera mu się na gadane, a w nocy podkrada najprzyjemniejsze fragmenty doznań

innych osobników. Mało tego. Wykazuje zadziwiającą ochotę, by się nimi dzielić. Ilu ludzi teraz podglądasz? Stu? Piętnastu? Ja myślę, że więcej. Bóg wie, jak do nich docierasz, ale przecucie podpowiada mi, że jest ich dużo. Musisz być naprawdę silny, żeby to kontrolować.

Kot Lisy zamruczał protestująco i przytulił się ponownie do Heinemanowej łydki. Światło przepęzło po jego gęstej sierści, po czym umknęło niczym sparzona dłoń.

- Ale zniosłem jakiś wypadek, który odebrał mi męskość - kontynuował Heineman. - Wytrzymałem nawet to, tak jak dzisiaj wytrzymuję zachowanie Lisy. Najpierw zaakceptowałem moją teściową, potem psychoterapeutę rodzinnego, a jeszcze później ciebie, czarny mlekożłopie. A ty? Czy pogodziłeś się ze światem?

Upił nieco brandy, rozłoszczony swą wylewnością.

- *Doprawdy nie wiem, co oznacza ten świat* - odpowiedział po dłuższej chwili kot. - *Czerpię z niego tyle, ile dają mi inni, cóż więc mogę o nim powiedzieć? No, przyznaję, że czasem kogoś zachęcę, czasem zniechęcę... Przyprawiam tylko potrawę. Nigdy nie biorę się za gotowanie. To nudne.*

Heineman sięgnął po cygaro i przyciął je niedbale.

- Nie udawaj. To twój koniec. Nie masz dzieci i nie będziesz ich miał. Lisa postarała się o to, kiedy byłeś jeszcze bardzo mały. Twoja pani chciała kotka zabawkę, a nie ponurego kocura.

Kot nie poruszył się nawet, choć Heineman dobrze wiedział, że potrafił najczulszą strunę jego duszy. Nie zrobił tego celowo. Był już nieco pijany.

- *To prawda* - odpowiedź była bardzo cicha. - *Jestem wykastrowany i nie mam przednich pazurów. Nie mogę mieć dzieci, a więc nie będę już nigdy żył. To smutne. Nie spodziewałem się takiej kary, bo zawsze byłem cierpliwy i niezbyt zachłannie korzystałem z ludzkich przeżyć. Ale teraz jest inaczej. Teraz biorę wszystko. Dobro, zło, nijakie emocje marnej motelowej kurwy i wyrafinowane przyjemności dojrzałej kobiety. Niektóre*

daje mi Lisa, inne przywołuję sam. Jest tego tak dużo, emocje są potężne, Brandóme. Skorzystaj. Skorzystaj, póki czas. Moja materia wysyła coraz słabsze sygnały. Chyba zbliża się koniec kociego życia. Wędrownka dobiega kresu.

Brandon Heineman wydmuchnął siny kłęb dymu. Dochodziła druga. Noc parowała wilgotną mgłą, koła bolesne wspomnienia. Wyciszała huk łamanego metalu, jękliwe wycie karetki, nerwowe głosy zespołu operacyjnego. Łagodziła ból w podbrzuszu i to, co było jeszcze gorsze od bólu - pustkę między nogami.

Brandon zaciągnął się cygarem.

- Dawaj, co masz, kocie. Dawaj Lisę z Hjuge'em Faghotem w bezpośrednim zwarcu na żywo. Obawiam się, że mimo późnej pory nadal dokazują.

Kot szczelniej przywarł do jego łydek i ułożył głowę na kapciach.

- *Nie mylisz się, przyjacielu. Lisa jest w świetnej formie i znalazła godnego partnera. Przyjmij więc, co twoje.*

Gwałtownie napłynęły obrazy.

Pustka wypełniła się żywą, pulsującą treścią. Heineman zadygotał.

§ § §

- Och, zamknij się i chociaż na chwilę daj mi spokój - powiedziała Lisa.
- Czy naprawdę za dużo wymagam, Brandon?

Siedziała w luźnym pikowanym szlafroku, z włosami upiętymi w niedbały kok i zachmurzoną twarzą. Jadła spóźnione śniadanie. Nie patrzyła w jego stronę.

- Dobrze - wzruszył ramionami. - Chociaż myślałem, że będziesz zainteresowana przedpołudniową prasą.

- Wróciłam nad ranem, bo załatwiałam nasze interesy. Spałam może ze cztery godziny - nerwowo ujęła w palce ostatniego rogalika. - Czeka na mnie z pięćdziesiąt telefonów, jeszcze więcej faksów i zarzygane przez

kota mieszkanie. To mało?

- I ja - zsunął okulary na koniec nosa i zaszeleścił gazetą. - Zapomniałaś o mnie.

Lisa odgryzła kęs grzanki.

- Dokładnie. Ty i twoje ciekawostki z przedpołudniowego brukowca. Tylko nie opowiadaj mi od rana, że zamordowano kolejną prostytutkę w Lakebridge.

Pieczołowicie złożył gazetę i ponownie wzruszył ramionami.

- Myślisz, że to nieważne? - zapytał nieco głośniej. - Zabito jeszcze jedną kobietę i znowu nie bardzo wiadomo dlaczego. Który to już raz w tym miesiącu?

Odepchnęła talerz. Przez chwilę zastanawiała się, co dalej. Z ulgą usłyszała kolejne pytanie: - Dlaczego mnie męczysz? Dlaczego nie przeczytasz o czymś innym, tylko męczysz mnie kolejnym morderstwem w jakimś marnym motelu? Boże, ty chyba naprawdę nie potrafisz zacząć dnia od czegoś innego... Ty po prostu musisz czytać takie historie.

Złożył gazetę i spojrzał jej w twarz. Natychmiast ukryła się za chmurą papierosowego dymu. Była czujna. Ale miała rację. Nie chciał czytać o statystyce wypadków samochodowych ani o wyborach burmistrza czy wyścigach chartów. Bał się, że Lisa dopije kawę, wypali drugiego papierosa i zniknie w łazience na piętrze. Pragnął z nią rozmawiać, pragnął jej bliskości.

- Owszem - przyznał, zdejmując okulary. - Uważam, że powinno cię to zainteresować. Ponieważ...

Lisa siedziała pod oknem salonu i patrzyła w wilgotne od deszczu szyby. Urwał, widząc jej minę.

- A więc powiem to raz jeszcze. Nie interesują mnie te morderstwa. - Kolejna chmura dymu. - I proszę cię, daj mi spokój.

- Dobrze.

Poszedł do kuchni, by wrócić stamtąd już po chwili ze spryskiwaczem

do kwiatów i pomysłem na kontynuowanie tematu.

- Ja się boję o ciebie, Liso. - Zaczął od roślących fikusów, stojąc tyłem do niej. - Kiedy kolejny raz zapowiadasz, że wrócisz nad ranem, jakąś nocną taryfą... Boję się, że przeczytam w porannej gazecie, że to właśnie ty jesteś kolejną ofiarą.

- Ach tak?

- Tak. Te kobiety giną w parku, nad jeziorem, w bogatych dzielnicach miasta i jak ta ostatnia, w tanich, mało romantycznych motelach. Giną wszędzie. Gdzie popadnie. Cóż z tego, że łapią sprawcę? Nic. One wychodzą z domów i idą prosto w paszczę mroku. Jeśli nawet zostają w domach, mrok przychodzi po nie. Czy naprawdę nie widzisz, że dzieje się coś dziwnego? Nasz znajomy komisarz jasno mówi, że nie ma pojęcia, o co tu chodzi. Sprawcami są zwykli ludzie. Niewiele nawet pamiętają. Ofiary stają się coraz bardziej przypadkowe. Przeczekajmy ten okres razem. Tak będzie bezpieczniej.

Zaczął zraszać kolonię filodendronów, czując na sobie jej rozzłoszczone spojrzenie. Bał się, że Lisa odejdzie. Że roześmieje się i umknie do własnego świata, w którym on zupełnie nie dawał sobie rady. Nie potrafił rozmawiać, kiedy widział jej kosmetyki, toaletkę i te wszystkie magiczne przybory, których przeznaczeniem było słuzenie kobiecej urodzie. Tam, na piętrze, Lisa była poza jego zasięgiem.

- Jesteś szalony. - Odetchnął słysząc jej głos. - Ale nie wylewaj tego na mnie. Zaczęłeś już lata temu, jak tylko przydarzył się ten cholerny wypadek, a w krótki czas później, po śmierci drogiej Habbloth odbiło ci na dobre. Czy ten urwany kafelek-głośnik to także sprawka „mroku”? Czy Habbloth zginęła zamordowana przez instalację Mitsubishi, którą spieprzył partacz, czy może przez niewidzialnego gwałciciela żyjącego w twardym dysku jej domowego komputera? A dziwka, o której mi przed chwilą czytałeś. Czy jej motel sąsiaduje z naszym domem? To są twoje wymysły, Brandon. Wytwory twojej chorej wyobraźni. Zatrzymaj je dla

siebie lub wyślij listem poleconym do jakiegoś brukowca. Mnie zostaw w spokoju.

Dawno nie mówiła tak dużo. Zaciśnął powieki, zatrzymując pod nimi obraz zroszonej wodą zieleni liści. Uspokajał się powoli.

- Boję się o ciebie. Mam złe przeczucia - powtórzył. Zaśmiała się. Wiedział, że zaraz wybuchnie.

- To jakiś nowy wymysł czy twój cynizm po prostu obrasta w tłuszcz? Dasz mi wreszcie spokój?

- Nie - odparł po chwili. - Boję się o ciebie.

Usłyszał przekleństwo. Otworzył oczy i ostrożnie spryskał niskie, gęste grubosze rozstawione w kształcie wieloramiennej gwiazdy, tuż pod parapetem oświetlonym południowym słońcem.

- Wypierdalaj, Brandon. Odejdź z tego domu... Odejdź - powtarzała napiętym głosem.

Kiedy zaczęła krzyczeć, odstawił spryskiwacz i odwrócił się. Nie chciał marnować tej chwili. Sycił się widokiem jej potarganych gniewem włosów, dłoni kurczowo zaciśniętych na brzegach szlafroka. Słuchał, jak przeklina jego imię i jak nieskładnie krzyczy coś o kocich rzygowinach. Zastanawiał się, jak długo Lisa z nim zostanie. Przeczuwał jej rychłe odejście. Przeczuwał, że tym razem utraci ją na zawsze.

- Ty skurwysynu - syczała. - Cieszysz się, prawda? Jesteś zadowolony, że cię zdradzam z byle kim. Przestałeś być mężczyzną, ale to wcale nie dlatego, że mieliśmy ten pieprzony wypadek. Ty już wcześniej byłeś wrakiem. Już wcześniej unikałeś mojego ciała.

Z przyjemnością słuchał jej podniesionego głosu. Napawał się każdą sekundą gniewu Lisy. Wiedział, że tylko tyle może od niej dostać. W to deszczowe przedpołudnie jej widok stanowił prawdziwą ucztę.

- Boję się o ciebie, Liso.

- Skurwysyyyynu!!! - chwyciła popielniczkę i rzuciła nią w barwne doniczki paproci. - Odeeeeejdz ode mnieee... Odejdź!

Uśmiechnął się, patrząc na jej gładkie uda, kiedy sięgała po następny pocisk. Zamachnęła się porcelanowym talerzem, a on stał rozluźniony i zapominał o wczorajszej projekcji kota. Lisa była jego ulubioną używką i ta sama Lisa była jedynym środkiem detoksykacyjnym. Odtruwała go z obrazów ciekących gęstymi emocjami. Pozwalała na chwilę o tych obrazach zapomnieć.

Talerz uderzył go w czoło. Potem poleciał dalej, prosto w fikusy. Heineman poczuł ból.

- Odejdź - powtórzyła. - Błagam cię, odejdź.

Kiedy ocierał krew, zastanawiając się, czy warto raz jeszcze powiedzieć, że bardzo się o nią boi, z ukrycia wyszedł kot. Ostrożnie zbliżył się do jego nóg. Plama czarnej sierści ucięła słowa Lisy niczym kropka postawiona na końcu zdania.

- Co cię tu sprowadza? - zapytał Heineman. - Dopiero dwunasta, chłopie.

Kot zamiauczał kastracim głosem i opadł ciężko na jego pantofle. Otwarte oczy zwierzęcia patrzyły gdzieś w stronę Lisy. Kiedy zaczął wymiotować, jego okrągła głowa bezsilnie stuknęła w dywan.

- Zdycha - Lisa wzruszyła ramionami. - Stary rzygacz wreszcie zdycha. Boże, moje dywany ocaleją. To pierwsza dobra wiadomość od rana.

Heineman strząsnął krew z grzbietu dłoni i ponownie przyłożył ją do czoła.

- Tak. Twój kot zdycha. Na moich kapciach. Lisa odwróciła się.

- Mój kot... - Usłyszał jej zduszony głos. - Dobrze, że mi przypomniałeś.

- Tak. To twój kot. Ty go wykarmiłeś mlekiem i przez ciebie stracił jądra i pazury. Prawdziwy domowy pieszczołek.

Kot przestał wymiotować. Posapywał ciężko.

- *Nie wiedziałem, że tak szybko, przyjacielu.* - Heineman usłyszał jego myśl. - *Szkoda mi życia, szkoda, że tyle go jeszcze zostało, a ja znikam już za minutę.*

- Szkoda. Chociaż dla mnie tak będzie lepiej, kocie Lisy - odmruknął. - Byłeś zbyt łaskawy dla swego pana. Dałeś mi próbki wielkich uczuć, ale to nie dla mnie. Nie potrafię z tym żyć.

- *Dostałeś niewiele. Ale dam ci coś jeszcze. Radę.*

- Jaka?

- *Kocią. Pytałeś, gdzie przechowuję wszystkie zgromadzone przez lata obrazy, pytałeś, czy w pudełku na zabawki.*

- Tak. Ale już nie jestem ciekaw. To twoje problemy. Ja chcę tylko patrzeć na Lisę i cieszyć się, że przynajmniej potrafi jeszcze rzucić we mnie talerzem. To jest mój świat.

Szła właśnie po drewnianych schodach. Na podeście odwróciła się powoli.

- Jeśli rzeczywiście zdechnie, zakop go pod tym iglakiem z Europy. I sprzątnij rzygowiny.

- Dobrze. Tam go zakopię.

Kiedy zniknęły jej długie nogi, kot odezwał się raz jeszcze: - *Obawiam się o te obrazy, Brandonie. Obawiam się, chociaż są w dobrych rękach. Wiesz, dlaczego tak wymiotowałem na buty Lisy i odzież jej gości? Naznaczałem ich. Każdy naznaczony mógł mi oddać swoje dni. Każdy, kto tylko dotykał moich wymiocin, wypranych czy świeżych... Każdy z nich oddał mi rozkosz i cierpienie. Byłem we wszystkich najbardziej zwariowanych miejscach miasta i jego okolic, chociaż nigdy nie opuściłem twego domu. Jeszcze tej nocy mogłem wybierać z tysięcy.*

Kot poruszył się u jego stóp. Na jego futro skapnęła krew człowieka, ale nie zostawiła żadnego śladu.

- *Korzystaj. Korzystaj i nie zastanawiaj się, czy kocie życie może stać się częścią życia człowieka. Nie o to chodzi.*

- Dobrze. Zaskoczyłeś mnie z tym twoim chrzaniem o wymiotach.

- *To tylko obrazy, Brandonie. Po to żyjemy. Ostatnia kocia myśl zgasła w głowie człowieka i umknęła z jękiem przez jego usta.*

Kot Lisy znieruchomiał. Heineman przestał się uśmiechać.

- W końcu cię wykończyłem - powiedział ochryple. - Przez te trzy miesiące zezarłeś więcej trutki niż niejedno stado szczurów. Bo nie chciałem i nie chcę twoich ukradzionych uczuć.

Zapakował kota w plastikowy worek, potem opatrzył krwawiące czoło i wyszedł w siąpiący deszcz. Łopata stała oparta o drzewo.

- Nigdy nie umiałem odmawiać - westchnął. - Uzależniłeś mnie od swojego świata, ale twój świat się skończył. Boże, oddaj mi spokój.

Kopał i rozmyślał, czy Lisa naprawdę lubi tę dziwną pozycję, którą tej nocy narzucił jej Faghot. Nie potrafił w to uwierzyć. On, Heineman, nigdy czegoś takiego nie robił. Nawet w snach.

Potrząsnął z nienawiścią głową i odpędził tę nagłą myśl.

Boże. Przecież to już koniec. Jestem wolny.

§ § §

Mężczyzna krzyknął i złapał się za skronie. Ściany pustego mieszkania zawirowały, zamrugwały żarówki w kinkietach. Potem wokół zatętniła feeria barw i nagle wszystko nabrało czarno-białej ostrości negatywu. W powietrzu rozszedł się zapach ozonu.

- Jesteś tu... - wyszeptał skulony w fotelu człowiek. - Czy za mało ci dałem ostatniej nocy? Znowu jesteś głodny? Nie mogę tak często... Szukają mnie...

Światło lampy zamrugnęło raz jeszcze i spłynęło na jego marynarkę. Odebrał ją właśnie z pralni; kraciasta tkanina odzyskała dawną barwę.

- Jezu... - wyszeptał mężczyzna. - Co się dzieje? Czego ty chcesz? Kochałem się z nią długo, zabijałem jeszcze dłużej, cierpliwie, jak lubisz... Jeszcze nigdy dotąd nie było tak dobrze...

Kratki marynarki zafalowały. Patrzył na setki zielonych oczu, prosto w pionowe, nieruchome źrenice, wiecznie głodne jego życia i ciekawe życia, które odbierał innym.

- Czego chcesz... - skulił się jeszcze bardziej.

Kiedy po raz kolejny wyszeptał imię Zbawiciela, oczy zgasły. Pokój powrócił do zwykłego wyglądu, krata marynarki odzyskała regularny kształt.

Mężczyzna poczuł pustkę. Przymknął powieki i ciężko opadł na oparcie fotela. Nagle zrozumiał.

- Koniec - język oblizał suche usta. - On umarł i zostawił mnie na zawsze.

Deszcz mocniej uderzył w szyby okna. Ostatnie krople zastukały o parapet i w tej samej chwili wielu ludzi w mieście zrozumiało, że z ich życia zniknął jakiś koszmar. Coś przestało zabierać im światło, coś zostawiło ich w spokoju.

Budzili się z długiego snu, kochali tylko dla siebie. Gdzieś daleko odezwiała się stara prostytutka: - Ostrzegałam ją, ale nie chciała mi wierzyć. I teraz nie zobaczy, że słońce świeci po dawnemu. Nie ma już tych oczu na tym cholernym niebie... Biedna Canthy... Ona już nigdy nie zobaczy tego nieba.

§ § §

Heineman rzucił łopatą ostatnią grudkę ziemi i wyrównał niewielki kopczyk. Tak jak chciała Lisa, zakopał kota w najdalszym zakątku ogrodu, w cieniu węzlastego drzewa sprowadzonego ze starej Europy. Nie miało bocznych korzeni i łopata łatwo poradziła sobie z wilgotną ziemią.

- Po wszystkim - mruknął.

Poprawił bandaż, którym owinał głowę, wbił łopatę w trawę i uśmiechnął się, patrząc na czerwoną kulę słońca. Przepędziło gdzieś deszcz, rozwiało posępne mgły. Zapowiadał się cieplejszy tydzień. Wreszcie.

- Kim ty właściwie byłeś? - wymruczał pod nosem Heineman i znowu

poprawił spadający opatrunek. - Wielkim szefem miasta czy marnym wybrykiem natury?

Wiedział, że przypadek rozkręcił zdolności zwierzaka. Kiedy weterynarz pozbawił go jąder, głód emocji gwałtownie przybrał na sile. Wtedy na dobre zaczęło się podpatrywanie ludzi. Kot twierdził, że leży to także w naturze jego pobratymców, ale oni nie mogli w pełni rozwinąć swych możliwości. Brali małe, niepotrzebne ludziom fragmenty, czasem podkradali jakiś bardziej smakowity kawałek, nic więcej. Inne koty nie potrafiły gromadzić tych wszystkich ludzkich uczuć, nie chciały ich przyswajać, bały się z nich korzystać. O ile Heineman dobrze zrozumiał, kot Lisy złamał wiele z obowiązujących go praw. Stworzył własną wizję rzeczywistości, posługiwał się wieloma przypadkowymi dawcami. Brał wszystko, bez żadnej selekcji. Nie z zemsty za kastrację, lecz z potrzeby wrażeń. Heineman znał tę potrzebę.

- Nie wiem, dlaczego właściwie cię otrułem - powiedział do kupki spulchnionej ziemi. - Nie wiem, dlaczego mi na to pozwoliłeś. Ale przeczuwam, że dobrze wiedziałeś, co kryje się w twoim żarciu.

Słaby południowy wiatr ostudził jego rozpalone myśli. Smutna twarz mężczyzny raz jeszcze zwróciła się ku słońcu. Zmarszczki stężyły w napięciu.

„Obawiam się o te obrazy, Brandonie. Obawiam się, chociaż są w dobrych rękach”. Heineman nie potrafił zgasić ostatnich myśli kota Lisy. *„Korzystaj... Korzystaj...”* Stop. Stop. Stop. Ponownie ujął stylisko łopaty i ścisnął drewno ze wszystkich sił.

Moje wspomnienia nie wystarczają nawet na tę rozmowę. Rozmawiamy tylko dzięki tobie...” - kolejny cios przeszył synapsy człowieka. Krew zatętniła w arteriach mózgu, w głowie zrodził się nagły lęk. Nagłe podejrzenie.

„Zarządzam dużym magazynem. Dopóki żyję, pozostanie on szczelny...”

Ale już nie żyjesz. Zdechłeś za sprawą trutki na szczury, bo byłeś jak

ten szczur. I jak szczur zdechłeś.

Heineman splunął na ziemię i ciężkim krokiem ruszył w stronę domu. Kiedy na werandzie pojawiła się Lisa, już ubrana i umalowana, pochylił zabandażowane czoło i gwałtownie zacisnął powieki. Świat zawirował, napłynęły miliony rozwibrowanych od emocji kadrów. Widział ją wczoraj, widział cztery dni temu, dwa tygodnie wstecz i jeszcze wcześniej. Widział jej nagie ciało splecione w uścisku z Hjuge'em Faghotem, patrzył na jej łono obmacywane przez owłosioną dłoń. Potem zobaczył palce na szyi czarnoskórej prostytutki i dogasający orgazm w jej brązowych oczach. Czuł teraz swąd nadpalonej instalacji, smakował gorączkę marihuany i widział masturbującą się pannę Habbloth. Czytał jej kobiece, perfekcyjne myśli: oddawała mu swą młodą kochankę i ostatnie chwile erotycznego marzenia. Przeskoczył. Teraz ta, którą odnaleziono w Lakebridge, i tamta pozostawiona na parkowej ławce. Następna, którą długo pamiętały brukowce: żywcem obdarta ze skóry, wielokrotnie gwałcona i rzucona na pastwę ryb w jeziorze. Tak. Była też dziewczyna wracająca ze szkolnych zajęć, były bliźniaczki odnalezione w asfalcie nowej autostrady. Były wszystkie, które zginęły w tym przeklętym mieście. Żyły w ciele Heinemana, w jego pustym kroczu i rozszerzonych źrenicach. Pamiętał każdą chwilę ich rozkoszy, dysponował pełnym zapisem ich bólu. Był władcą tego umarłego bogactwa ludzkich doznań, był jego jedynym i odwiecznym powiernikiem. To dlatego kot Lisy pozostawał nienasycony. Nic nie mogło go zaspokoić. Nic.

Boże, wyszeptał w myślach Heineman. Więc to we mnie trzymał te wszystkie kawałki piekła. To dzięki mnie zbudował swój przeklęty świat. Boże. Powinienem to jakoś przeczuć. Powinienem być pozwolić mu żyć i modlić się, żeby on pozwolił mi zapomnieć. To kot mordował te kobiety. To ten wykastrowany zwierzak kierował ruchami przypadkowych zabójców; jego rzygowiny dosięgły każdego z nich. Miał na to dziewięć

lat.

Nowe obrazy przepędziły domysły Heinemana. Tkwiły w każdej komórce jego mózgu, w każdym pojedynczym impulsie przerażonych synaps. Nie potrafił nad nimi zapanować. Ściany magazynu wreszcie runęły pod ciężarem nagromadzonych skarbów.

Heineman z trudem otworzył oczy i spojrzał na Lisę. Krzyczała coś do niego. Pewno przestraszyła się na widok jego wykrzywionej bólem twarzy.

Kiedy wrzasnęła raz jeszcze, mężczyzna uśmiechnął się. Nagle zrozumiał, że jest tylko jeden sposób. Magazyn utracił szczelność. On, Heineman, dysponował teraz każdym impulsem zapisanego szaleństwa. I mógł się dzielić ze wszystkimi. Zaczął więc od niej, bo była przecież jego żoną. I skrzywdziła swojego kota.

Nie słyszał już, jak Lisa zwija się na werandzie, nie chciał czekać, aż i ona zrozumie. Wyszedł w popołudniowe słońce, w miasto, które dawno przestało go cieszyć, i dzielił się z każdym napotkanym przechodniem obrazami emocji, które pozostawił mu kot zabity trutką na szczury. Obdarowywał każdego mijanego człowieka i z każdym krokiem odczuwał coraz większą ulgę. Pustoszał.

Tego właśnie nauczył się od kota Heineman. Teraz potrafił już dawać. Był dojrzałym człowiekiem.

Słońce świeciło jasno, południowy wiatr szeleścił w stertach śmieci. Chmury na horyzoncie czekały, żeby Heineman znowu je przywołał. Kiedy już rozda całą kolekcję, będzie musiał ugryźć następny kawałek ciemności.

Ale na to miał jeszcze dużo czasu. Więcej niż ci, których teraz obdarowywał.

Heineman uśmiechnął się raz jeszcze. Pokonał pustkę.

Tomasz Kołodziejczak

Dotyk pamięci

Jest jeden Bóg, który ma dziewięć imion. Każde imię włada swoim ludem, który innym imionom służyć nie może. Dziewięć ludów tworzy jedno ciało Wiernych.

„Biały Zwój, Prawo Kast”

1.

Ciało kota leżące na kolanach Kazziza drżało. Zwierzak co chwila krztusił się, charczał, jego zamglone oczy to otwierały się, to zamykały. Próbował dać znać Kazzizowi, że jest mu tu dobrze i czuje się bezpieczny. Jednak nie potrafił opanować dygotu łap ani nie umiał już wylizać wystrzępionego futra. Ogon, zamiast wychylać się ku górze w kształtny znak zapytania, napręzał się niby rozdeptany wąż. Oronk był stary i zdychał.

Kazziz głaskał jego ciało, czując niemalże, jak z kota uchodzi ciepło żywego stworzenia i jak znika ten drugi rodzaj kociej energii - niemierzalnej aury napełniającej ludzki umysł sennym spokojem.

Przesuwając dłoń wzdłuż giętkiej niegdyś linii kręgosłupa, Kazziz myślał też o tym wszystkim, co oznacza śmierć Oronka. O latach, kiedy zwierzę było posłańcem - niemym i głuchym, nieświadomym swej roli, a jednak przenoszącym muśnięcie dłoni, ciepło, oddech. Pamięć.

Mężczyzna położył Oronka na posłaniu z miękkich poduszek. Dotknął

dłonią wiszącego na szyi medalionu. Jak zawsze, gdy przychodził kot, przed oczami Kazziza przesunął się ciąg wizji - wyraźnych, ostrych, atakujących wszystkie zmysły, niczym nagranie z najwyższej jakości holograficznego odtwarzacza.

§ § §

- Uważaj, Kazzi! Platforma! - w głosie Maraeny słychać było strach. - Platforma jedzie na ciebie!

To mógł być podstęp. Dziewczynka nie potrafiła znaleźć Kazziza od kilku minut. Jako jedyny spośród grających w chowanego dzieciaków zdołał ukryć się przed jej byстрыm wzrokiem. Mogła więc użyć fortelu, aby wywabić go z kryjówki. Z drugiej strony, skoro ostrzegąa go przed platformą transportową, to musiała odgadnąć, że ukrył się w luku cumowniczym. Z trzeciej strony, dziś był Herez, feralny dzień, w którym nikt nie pracuje, gdyż to obraziłoby Bogów. I to na dodatek sam środek jego najgorszej części, He'r. Żadna platforma nie powinna cumować do portu, bo nikt by jej nie rozładował. Z czwartej strony, na stacji orbitalnej pracowało kilku niewiernych, a ci czasem zapominali o panujących na Regelis obyczajach.

Rozważywszy cztery strony rzeczy, jak nakazuje prorok Gahni w Białym Zwoju, Kazziz wolał pozostać w swojej kryjówce. Siedział więc w walcowatej, ciemnej dziurze, mając za plecami srebrzyste pasma łączy, a przed sobą okrągły otwór, wypełniony zielonym blaskiem nieba. Jednak Maraena nie dawała za wygraną.

- Kazzi, platforma! Proszę cię, Kazzi, wyjdź, gdziekolwiek jesteś!

W jej głosie brzmiało coś dziwnego, coś, czego nigdy wcześniej nie słyszał. Wiedział, że jest sprytna, jednak nie spodziewał się, że tak doskonale potrafi udawać.

- Kazzi, poddam się. Przegrałam! Nie znalazłam cię! Nagle poczuł, że się poci. Poddawała się! Więc może... Gdzieś niedaleko rozległ się cichy

trzask. We wnętrzu ciemnej komory zadrżało gorące powietrze. Owalny otwór znajdujący się przed oczami Kazziza został przesłonięty przez cień. O Bogowie! To była platforma! Za chwilę jej bufor wsunie się do środka! Ciało Kazziza nie będzie stanowiło żadnej przeszkody dla pojazdu wiozącego wiele ton towarów. Po prostu zostanie rozprasowane na tylnej ścianie. O Bogowie!

Kazziz nie miał czasu na powolne wychodzenie z komory. Odepchnął się nogami i rękami, rzucił się do przodu niby delfin próbujący przeskoczyć przez obręcz. Oślepił go blask zielonego słońca i srebrzysty błysk slotów umieszczonych na buforze platformy.

Poczuł uderzenie w stopę, zakręciło nim tak, że nie zdołał zamortyzować upadku. Z wysokości dwóch metrów runął na betonową rampę. Spróbował wstać, ale poczuł silne szarpnięcie w prawej nodze i upadł na ziemię. Patrzył, jak szara burta platformy zbliża się do jego twarzy.

Coś pociągnęło go za zranioną nogę tak, że zawył z bólu. To coś nie puściło go jednak, tylko szarpnęło znowu. Teraz już skowyczał. Jednak fala bólu na chwilę go otrzeźwiła. Wbił palce w szczeliny między betonowymi płytami, odepchnął się prosto w kierunku źródła swego cierpienia.

Za plecami usłyszał zgrzyt i głucho uderzenie. To platforma dobiła do ściany rampy, a bufor wypełnił komorę sprzęgową. Jednocześnie z drugiej strony dobiegł jego uszu radosny wrzask dzieciaków i głos Maraeny.

- Żyjesz, o, bogowie, żyjesz! Jak mogłeś tam wejść, jak mogłeś mi to zrobić?!

Kłęcząca nad nim. Wysoka, szczupła, śniada. Jej chude, trzynastoletnie ciało przesłaniało niebo. W oczach o tęczęwkach tak ciemnych, że zlewały się w jedno ze źrenicami, lśniły łzy. Dłoń o wąskich palcach delikatnie gładziła go po głowie.

- Maraena - powiedział cicho. - Nie znalazłaś mnie, wygrałem...

- Tak, kretynie - białe zęby zabłyśły w uśmiechu. - Tak, pokonałeś mnie.

Cętkowany kot otarł się o nogi swej pani. Podeszedł do leżącego na ziemi Kazziza, stanął tuż przed twarzą chłopaka. Z tej perspektywy kocur wydawał się wielki niczym lampart. Jednak różowa plamka na nosie nadawała mu sympatyczny, niegroźny wygląd. Patrzył na Kazziza przyjaźnie i sprawiał wrażenie zadowolonego. Wreszcie nie był niższy od najlepszego przyjaciela swej pani, wreszcie mógł dotknąć jego twarzy wąsami i sprawdzić łapą to dziwne futro porastające jego głowę.

Czekali godzinę, która Kazzizowi wydawała się wiecznością. Chłopak kilkakrotnie tracił przytomność. Maraena gładziła go po głowie, a inne dzieciaki przynosiły zimną wodę z pobliskiego kranu i polewały zranioną nogę. Mokra nogawka przykleiła się do łydki, a po chwili na płótnie pojawiła się smuga krwi.

Wreszcie minął przeklęty czas He'r i lekarze znów zaczęli pełnić służbę. Na szczęście ludzie wykonujący niektóre zawody mogli złamać zakaz pracy w feralnym dniu Herez. Oczywiście musieli to potem odkupić długą modlitwą i postem.

Wycie karetki wdarło się w ciszę portu. Kot odskoczył, prychając gniewnie. Maraena też odstąpiła o kilka kroków. Obok dźwigających nosze lekarzy, ku Kazzizowi powoli kroczyło kilku starych mężczyzn w szatach sług arcykapłana.

§ § §

Wyleczono go w tydzień. W międzyczasie odbyły się procesy strażników i techników odpowiedzialnych za system zabezpieczeń doków transportowych. Po pierwsze, dzieci w ogóle nie powinny móc tam wejść. Po drugie, czujniki nie zareagowały na obecność chłopca w komorze cumowniczej. Po trzecie, prom transportowy wystartował w

fatalnym dniu Herez. Winnych bardzo szybko oczyszczono z drobnych zarzutów. Wszak wypadek zdarzył się w części portu nie objętej kontrolą automatyczną, a strażnicy nie mogli pracować w Herez. Elektroniczne zabezpieczenia komory uległy uszkodzeniu rankiem w dniu wypadku, a w tym czasie informatycy z lotniska obmywali się w świętej rzece Kadlish i nie mogli brukać ciał i myśli pracą.

Największym przestępstwem okazał się więc czyn młodego nawigatora ze stacji orbitalnej. Technik ów wysłał na dół automatyczny prom, wiozący kilka platform transportowych, nie przewidziawszy, że pora lądowania wypadnie już w trakcie feralnego dnia Herez i to niemal dokładnie w przeklętą godzinę He'r. Żaden wyznawca Bogów Rzeki nie mógł w tym czasie pracować. Gdyby promy zacumowały prawidłowo, być może nieszczęsny operator naraziłby się tylko na naganę z ust starców. Ale jego błąd miał liczne konsekwencje - młody człowiek z kasty Czystych o mało nie stracił życia, lekarze musieli złamać tabu Herez, a kapłani zostali oderwani od przypadających na ten dzień rytuałów. Ktoś musiał zapłacić za te zbrodnie i tym kimś okazał się Ueldon, dyspozytor promów orbitalnych.

Kazziz był na sali sądowej, kiedy ogłaszano wyrok. Ubrany na biało Ueldon stał w pokoju komunikacyjnym stacji satelitarnej. Ręce miał skrzyżowane na piersiach, brwi ufarbowane na czerwono, a twarz i czaszkę dokładnie wygolone. Powiadomiono go o wyroku. Pół godziny później Ueldon znów pojawił się na monitorze i pokazał zebranym w sali sądowej swoją lewą, teraz czteropalcą dłoń.

- Dokonałem obrzędu. Jestem ukarany.

- Widzimy twą karę. Wybaczamy ci - powiedział Oorus, kapłan-sędzia, rozstrzygający o winach mieszkańców Seheb. - Proszę cię, synu, byś uważał na siebie. Żyjesz z dala od domu, a światło błogosławionego słońca nie wnika w twoje myśli w zwykły, dany nam przez naturę sposób. Zbyt dużo czasu spędzasz z niewiernymi. Twój grzech wynika z

zapomnienia o prawach Zwojów. Jednak jesteś młody i żyjesz we wrogim świecie. Kara, którą ci wyznaczaliśmy, była łagodna, bo wiemy, że nie jest ci łatwo. Bądź wierny, synu.

- Dziękuję za łaskawy wyrok.

Kiedy Kazziz wyszedł z budynku sądu, zobaczył czekającą na niego Maraenę. Dziewczynka ubrana była w niebieską szatę, właściwą dla członków kasty Posłusznych, kiedy wyruszali do ogólnodostępnej części miasta. Na rękach trzymała swego starego przyjaciela, kota Beroja.

- Ukarali tylko Ueldona - powiedział Kazziz, wyciągając przed siebie dłoń. - Kazali mu obciąć sobie palec. O, ten! Myślę, że da się bez niego żyć. W zasadzie, po co ludziom ten palec? Przecież przedmioty i tak trzymamy w pozostałych...

- Skoro Bogowie stworzyli nas z dziesięcioma palcami u rąk - powiedziała Maraena - widocznie tak powinniśmy wyglądać. Co mówią twoi rodzice?

- Na początku bardzo się gniewali. Wyznaczyli mi już pokutę, będę przez dwa miesiące czyścił ściany świątyni Kal-Abar. Da się wytrzymać. Ale już im przeszło. Za to teraz cały czas martwią się o mnie i o moją przyszłość. Wiesz, jak to jest: „Dokąd idziesz, Kazzi?”, „Co będziesz robił wieczorem, Kazzi?”, „Musisz myśleć o przyszłości, Kazzi!”...

- To tak jak moja matka - uśmiechnęła się Maraena. - Czy wszyscy dorośli są tacy sami? Może dzieci przekształcają się w rodziców, tak jak larwy dromaderów w dorosłe osobniki? Larwom znikają czułki i wielkie oczy, a dzieciom znika chęć do zabawy i poczucie humoru. Dromaderom wyrastają dodatkowe nogi i gęste futro, a u rodziców pojawia się nudne zrzęczenie i chęć pouczania?

- To nie wszystko - powiedział Kazziz, patrząc w ziemię, na czubki swoich palców wystające z sandałów. - To nie wszystko, Maraena. Rodzice chcą, żebym przestał spotykać się z dziećmi. I z tobą. Mówią, że mam prawie czternaście lat, wkrótce zostanę przyjęty do kasty. I ty do

swojej też, i inne dzieci... Mówią, że powinienem zadawać się tylko z Czystymi, bo wśród nich będę w przyszłości żył i pracował.

Podniósł wzrok, lecz nie odważył się spojrzeć w jej twarz. A może nie chciał? Może wolał patrzeć na jej dziewczęce, kościste, ale już nabierające kobiecych kształtów biodra? Na dłonie o pomalowanych na czerwono paznokciach, zgodnie z regułą jej kasty. Na dwie wypukłości naprężone pod ciasno owijającym ciało płótnem. Może chciał tak na nią patrzeć i przypominać sobie swoje pierwsze sny o kobietach? A może bał się spojrzeć na jej usta, które za chwilę przyznają mu rację. Przecież matka Maraeny na pewno powtarzała te same słowa Zwojów co jego rodzice. Dziewczyna też już skończyła trzynaście lat i wkrótce miała zostać przyjęta do swojej kasty. A to oznaczało, że będą mogli widywać się tylko tu, w strefie wspólnej, na krótko, przy okazji wymagających współpracy zajęć. I rozmawiać ze sobą tylko tak, jak na to przedstawicielom różnych kast pozwalają Zwoje.

Kotu Maraeny, Berojowi, boskie prawa nie przeszkadzały. Zeskoczył z rąk swej pani, podszedł do Kazziza i cicho mrucząc, otarł się o jego nogi.

2.

Tak, Oronk, stary kocie, umierający kocie... Tak mówią Zwoje. Uczą, jak godnie żyć, jak dopełnić przymierza z Bogami, jak odkryć cel i sens istnienia. Wskazują tabu, opisują kary za zbrodnie, podpowiadają, jak radzić sobie w trudnych sytuacjach. Określają rytuały i obyczaje, zapisują naszą przeszłość i mówią o przyszłości. Są osnową naszego ludu, bez nich nie istnielibyśmy. Ale i one nie przetrwałyby bez nas, bo czymże jest święta księga i bóg, który nie ma wyznawców? Więc trwamy w tym wzajemnym uzależnieniu od setek pokoleń, od czasu, gdy nasz lud powstał na starej

Ziemi, a potem przywędrował tu, na ten odległy świat.

Jesteśmy odcięci od reszty ludzkiej cywilizacji. Nasi przodkowie wykupili patenty kolonizacyjne Regelis, zdobyli świat, by żyć na nim według reguł spisanych w Zwojach. Te prawa zmusiły Ueldona, aby obciął sobie palec w pokucie za grzech zaniedbania. Te prawa każą piętnastoletnim ludziom wstępować do swych rodzinnych kast, w których popłynie ich dalsze życie. Te prawa nakazą człowiekowi, który znajdzie cię martwego, kocie, dokonać właściwych obrządków, poddać twe ciało mumifikacji i złożyć w piaskach pustyni otaczających nasze miasto-kolonię. Oronk, stary kocie, to ja będę tym człowiekiem.

Czy pamiętasz jeszcze, kiedy ona cię dotykała? Dzisiaj, wczoraj, w zeszłym tygodniu? Ile czasu wlokłeś tu swe stare ciało, by przekazać mi ten dar. Dar pamięci...

Dwa lata po wypadku w porcie Kazziz stał się pełnoprawnym członkiem kasty Czystych. Udał się na pustynię, gdzie przez wiele dni oddawał się medytacjom, nic nie jedząc, a pijąc jedynie czystą wodę. Potem odbyły się uroczystości, w których wzięli udział wszyscy kapłani z Kal-Abar, największej świątyni miasta oraz goście z pozostałych nomów.

Kolonizacja planety rozpoczęła się trzydzieści lat wcześniej, od tego czasu populacja mieszkańców wzrosła z dwudziestu do dwustu tysięcy. Wszystkie kolonistki natychmiast po przybyciu uaktywniły w wylęgarniach swoje płody, teraz zaś na świat przychodziły urodzone już w naturalny sposób dzieci tamtych, sztucznie poczętych Regelian. Planeta była surowa i jałowa - latem panowały tu upały dochodzące do osiemdziesięciu stopni Celsjusza, zimą, nawet na równiku, mrozy przynosiły minus pięćdziesiąt stopni. Jednak glob obfitował w surowce. Energia słoneczna, chemiczna i jądrowa umożliwiały budowanie domów izolujących ludzi od złowrogiego świata. Automaty badawcze odnalazły wiele obszarów, gdzie panował przyjazny mikroklimat. Inne parametry także sprzyjały osadnictwu. Ciężenie na Regelis wynosiło osiemdziesiąt

procent standardu ziemskiego. Kilka płytkich mórz - zimą zamarzających niemal do dna, a latem parujących prawie całkowicie - łagodziło klimat. Rodzime życie Regelis nie wykroczyło poza etap kolonii jednokomórkowców. Łądy planety na ogromnych przestrzeniach pokryte były zielonymi kożuchami organicznej materii, przechodzącej roczny cykl wegetacyjny. Wiosną rozrastały się, pęczniały, tworząc śluzowatą, zlepiającą piasek płwocinę. Latem te dziwne łąki wysychały, zmieniając się w poszarpaną, delikatną, ciemnozieloną pianę. Jesienią silne wichury darły ją na strzępy i roznosiły po powierzchni całej planety. Tak rozsiane zarodniki umiały przetrwać ostrą zimę i doczekać do następnej wiosny. W okresowych morzach i podziemnych rzekach również pieniły się różne formy glonopodobnego życia. Te nieskomplikowane organizmy w ciągu kilku miliardów lat swego istnienia zdołały w procesie fotosyntezy wyprodukować tyle tlenu, że stanowił on dziesięć procent atmosfery Regelis.

Wyznawcy Zwojów zasiedlali kolejne prowincje-nomy, budowali miasta, kopalnie i fabryki żywności. Na orbicie utrzymywano satelitarne centrum łączności z bramą hiperprzestrzenną. Brama znajdowała się bardzo daleko od planety jak na standardy ludzkiej cywilizacji - w odległości ponad czterech parseków. Regelis pozostawała praktycznie odcięta od reszty ludzkiej cywilizacji i jej największej potęgi, Dominium Solarnego.

W czasie ceremonii przyjęcia do kasty, już po próbie głodu, Kazziz został doprowadzony przed oblicze arcykapłana świątyni Kal-Abar. Pokój posłuchań był mały, niski, oświetlały go nie kompaktowe lampy, a płonący w rogu znicz. W komnacie kłębił się dym, wyciskając z oczu Kazziza łzy. Ubrany w czarne szaty starzec siedział na swoim tronie. Na głowie miał diadem, a jego nozdrza, oczy i uszy zasłaniały złote blaszki. W rogach komnaty stali czterej akolici, potężnie zbudowani, łysi, odziani jedynie w przepaski biodrowe. Arcykapłan gestem rozkazał chłopakowi

zbliżyć się. Rosochatą dłonią dotknął jego czoła, ust i brody. Potem ostrym paznokciem naciął skórę na piersi Kazziza. Krwią, która wypłynęła z ranki, narysował na lewej piersi chłopca znak węża, na prawej ptaka. Potem znów umaczał palec we krwi i na brzuchu wyrysował symbol oka - znak kasty Czystych.

Dwaj akolici podeszli do chłopca, wzięli go pod ręce i wprowadzili do sali świątynnej, gdzie oczekiwali rodzice, rodziny starszych braci, sąsiedzi i przyjaciele. Teraz stał się jednym z nich. Rozpoczęło się święto. Barwny korowód ruszył w stronę rodzinnego domu Kazziza, gdzie miała rozpocząć się trwająca dwa dni i dwie noce uczta. Oszołomiony chłopak biernie poddawał się wszystkiemu, czego życzyli sobie jego bliscy - śpiewał, tańczył, ścisnął dłonie mężczyzn, całował policzki kobiet.

Nagle wydało mu się, że w oddali, tuż za zakrętem ulicy widzi drobną sylwetkę. Postać obserwowała orszak, lecz gdy zbyt blisko do niej zbliżył - umknęła. Już po chwili oszołomiony alkoholem i narkotykami Kazziz nie potrafił powiedzieć, czy widział ją naprawdę. Czy Maraena odważyła się przyjść tu, do środka zakazanej dla niej dzielnicy kasty Czystych.

§ § §

Spotkał ją trzy dni później. Właśnie zaczął pracować - wypełniać obowiązek związany z dorosłością. Dzieci wyznawców Zwojów uczyły się do dwudziestego roku życia, jednak ostatnie lata nauki musiały łączyć z pracą zawodową. Kazziz specjalizował się w programowaniu funkcji automatów badawczych. Setki takich maszyn penetrowały całą planetę. Mimo trzydziestu lat ludzkiej obecności na Regelis ogromne obszary globu, szczególnie bardziej odległe od stolicy, wciąż pozostawały mało znane. Automaty przemierzały więc pustynie, szukając przyjaznych nisz klimatycznych, źródeł surowców, nowych gatunków regeliańskiej flory. Maszyny miały dużą autonomię, posiadały programy samouczące i wsparcie stacjonarnych systemów eksperckich, jednak czasami

napotykały na przeszkody i zjawiska, z których interpretacją nie dawały sobie rady. Wtedy do akcji wkraczał człowiek.

Kazziz pracował w swoim domu, wszystkie dane docierały do niego przez sieć. W zasadzie pierwsze miesiące pracy też miały być formą nauki - po prostu obserwował działania automatów i analizował decyzje starszych, wysoko kwalifikowanych programistów. Często stawiano przed nim ten sam problem, który musieli rozwiązać jego doświadczeni koledzy. Podejmował samodzielne decyzje, a potem porównywał je z rzeczywistymi działaniami, które zostały zrealizowane w danej sytuacji.

Na trzeci dzień po uroczystościach inicjacji miał wyznaczony termin wizyty w stacji technicznej, gdzie projektowano i remontowano automaty penetracyjne. Baza mieściła się w dzielnicy centralnej, dostępnej dla wszystkich kast.

Kazziz wysiadł z kapsuły transportowej, która dowiozła go na największy plac miasta, otaczający świątynię Kal-Abar. Tam zobaczył Maraenę.

Miała piętnaście lat, a jej uroda zaczęła dojrzewać. W ciągu minionych miesięcy zniknęły kościste biodra i łokcie, całe ciało nabrało smukłej giętkości.

Maraena stała pod posągami arcykapłana Hatha, pierwszego na tej planecie przewodnika ludu Zwojów. Na rękach trzymała swojego kota, Beroja. Teraz i ona dostrzegła Kazziza, jednak nie ruszyła w jego stronę ani go nie zawołała. Dobrze wiedziała, na co pozwala obyczaj i prawo. On też wiedział.

Szedł ku niej. Obute w sandały stopy miękko plaskały o kamienny dziedziniec, pokryty cienką warstwą białego piasku. Kazziz poczuł gwałtowne bicie serca - a jeśli ktoś ich teraz obserwuje? Jeśli powtórzy kapłanom?

Uspokój się - powiedział do siebie w myślach. - Uspokój się, głupcze. Tylko ty przeszedłeś inicjację, ona jeszcze jest dzieckiem. Możesz do niej

podejść i porozmawiać. Z umiarem, jak mówią Zwoje. Ale możesz, wciąż jeszcze możesz!

Dziesięć dni temu, przed obrzędami, rozstali się jako dzieci. Siedzieli na ziemi, tuż obok rampy towarowej. Maraena głaskała starego Beroja, a Kazziz opowiadał jej o planowanej uroczystości, o przygotowaniach i obrzędach. Słuchała go, uśmiechając się lekko, z uwagą, tak jak zawsze. Dziesięć dni temu...

Teraz wszystko się zmieniło, on jest dorosły, ona jest dzieckiem. On należy do kasty Czystych, ona za dziewięć miesięcy wstąpi do kasty Posłusznych. Na razie wciąż jeszcze może do niej podejść i porozmawiać. Prawie poczuć dotknięcie jej skóry. Już niedługo.

Szedł w stronę dziewczyny i nagle nabrał nieprzeparatego przekonania, że Maraena stoi tu od rana, że była tu również wczoraj i że gdyby nie przyszedł dziś, to czekałaby na niego i jutro, i pojutrze. Poczł wyrzuty sumienia, że uroczystości i nowa praca tak zaprzętnęły jego uwagę, że odsunął w pamięci obraz Maraeny. Jednocześnie postępowanie dziewczyny, sprawiło mu radość, przyniosło poczucie spokoju i bezpieczeństwa.

- Cześć, Maraena - starał się mówić normalnie, tak jak zawsze. Wyczuła, że jest spięty, że nowa społeczna relacja, jaka wytworzyła się między nimi, odbiera mu swobodę. Zawsze potrafiła odgadnąć jego uczucia, wahania i wątpliwości.

- Witaj, Kazzi - powiedziała cicho. - Jak to dobrze, że jesteś.

- Musimy przestrzegać protokołu.

- Pamiętam - uśmiechnęła się smutno. - Wiesz, Beroj znów choruje.

Kazziz spojrzł na kota. Zwierzak nieruchomo leżał na rękach dziewczyny, zamknąwszy oczy i podkuliwszy ogon.

- Śpi dobrze, przynajmniej tak wygląda... - Kazziz próbował pocieszyć Maraenę.

- Dostał lekarstwa, to coś z żołądkiem, chyba nowotwór...

Kot Beroj był przyjacielem ich zabaw, odkąd Kazziz pamiętał. Chodził za Maraeną wszędzie. Kiedy wokół gromadziło się zbyt dużo hałaśliwych dzieciaków, dyskretnie znikał w okolicznych zaroślach lub piwnicach. Jednak kiedy tylko Maraena ruszała z powrotem do swojej dzielnicy, Beroj pojawiał się nagle i cicho, jak to kot. Żądał wzięcia na ręce i odtransportowania do domu. Kazziza polubił, pozwalał mu się głaskać i przytulać, chętniej nawet niż kotka Kazziza - Breda. Na inne, skore do pieszczot dzieciaki, prychał - spokojnie, ale z jednoznaczną determinacją: „Nie podchodź, jeśli nie chcesz obierać dłoni z mięsa jak pomidora ze skórki!” Zazwyczaj to wystarczało.

Beroj wyraźnie się postarzał. Mau - święte koty wyznawców Zwojów, czczone i otoczone szacunkiem, to rasa genetycznie wzmocniona. Dożywają nawet trzydziestu lat, jednak i na nie przychodzi czas, często skrócony przez różne choroby. Beroj dawno już pożegnał się z młodością.

- Kocham cię - powiedział Kazziz, czując w gardle szorstką kulę strachu. Miłość do dziewczyny z innej kasty. Wyznanie tej miłości. To nie mieściło się w dozwolonym protokole. Zaczynało być niebezpieczne. A jednak powiedział.

- Też cię kocham, Kazzi. Ale ty odchodzisz - Maraena wskazała na kota - i on też mnie zostawia.

Od tamtego dnia spotykali się niemal codziennie. Szukał pretekstów, by wypuszczać się z domu do dzielnicy centralnej miasta. Odwiedzał biura konstrukcyjne, obserwował załadunek i odloty promów z nowymi lub wyremontowanymi automatami badawczymi, pracował jednocześnie w kilku zespołach problemowych. Ta aktywność zyskała mu uznanie przełożonych i starszych kolegów. Znał się na swojej robocie i wkrótce przestali traktować go jak młodego zdolnego. Mimo nie ukończonych siedemnastu lat, stał się pełnoprawnym członkiem zespołu programistów. Dzięki temu zyskał kolejne preteksty do opuszczania

dzielnicy kasty Czystych. Brał udział nie tylko w pracach badawczych. Jako członek gildii naukowej musiał uczestniczyć w posługach i uroczystościach religijnych, a także w zwykłych spotkaniach towarzyskich urządzanych dla członków stowarzyszenia. Kazziz odwiedzał centralną dzielnicę cztery, pięć razy w tygodniu.

A tam zawsze czekała na niego Maraena.

Czasami rozmawiali, nie kryjąc tego: w parku czy na centralnym placu miasta. Kodeks nie zakazywał przypadkowych spotkań, choć wydawały się one nieco sprzeczne z dobrymi obyczajami. Jednak na taką beztroskę nie mogli sobie pozwolić zbyt często. Wynaleźli więc wiele sposobów na to, by móc się spotkać choć na chwilę, zobaczyć z daleka, powiedzieć do siebie kilka słów. Umawiali się w wielkiej hali sklepowej, na torze wyścigów wielbłądów, w tłumie odbywającym religijne ceremonie - wszędzie tam, gdzie było wielu ludzi, gdzie spotkanie wyglądało na przypadkowe. Mimo tej ostrożności Kazziz nie wątpił, że wiele par oczu widziało ich razem zbyt często. Czy dwoje ludzi zdoła się ukryć w mieście liczącym sto tysięcy mieszkańców? Szczególnie, gdy razem przebywać mogą tylko na obszarze zajmującym jedną dziesiątą całej aglomeracji - bo taką mniej więcej powierzchnię miała dzielnica centralna.

Dni mijały, przynosząc codzienne dawki pracy, radości i kłopotów. Breda była kotna. Zbliżał się dzień awansu chłopaka na samodzielne stanowisko operatorskie. Nadciągała regeliańska zima, a z nią wielkie mrozy i wichury. Ale co najważniejsze i najstraszniejsze zarazem, każdy dzień przybliżał Maraenę do szesnastej rocznicy urodzin, dnia kastowej inicjacji.

Kasta Posłusznych miała zyskać nową kobietę, zdrową, piękną i mądrą, pracującą jako biolog na żywnościowych stacjach hodowlanych. Kazziz, programista z kasty Czystych, miał ją stracić na zawsze.

3.

Kazziz wstał z pośłania, na którym leżał stary kot. Ze ściennej szafki wyjął oznaczoną czerwonymi napisami tubkę. Podeszedł do Oronka. Wycisnął na palec odrobinę zielonej maści. Prawą dłoń musnął głowę kota, a potem posmarował bok jego pyska.

Oronk otworzył oczy, drgnął. Ogon naprężył się, a potem wygiął miękko i pięknie, jak za dawnych czasów. Zapach maści wyraźnie pobudził kota. Zwierzak oblizał wargę zbiełałym językiem, ściągając do pyska jak najwięcej ożywczej substancji.

„To narkotyk, kocie, łgarstwo. Przynosi smak i siłę, ofiarowuje przyjemność i chwilowe zapomnienie. Pozwala czuć sytość, choć tak naprawdę zdychasz z głodu. Daje radość, choć powinna cię właśnie pożerać rozpacz. Oszustwo. Jakże małe jest jednak to biochemiczne kłamstwo wobec łgarstw budowanych przez nasze własne, zdrowe i sprawne, umysły. Oszustwo, złudna nadzieja, chwila zapomnienia, dreszcz rozkoszy... Dawkujemy je sobie, ale potem zawsze musimy wrócić do prawdziwego świata, tak jak ty wkrótce powrócisz z narkotycznego snu.

Jak dawno to było, kocie? Przez ile lat głaszczę cię tak jak ona i nic więcej nie mogę zrobić? Trzydzieści trzy? Trzydzieści cztery? I tak jesteś dzielny, kocie. Podarowałeś nam kilka lat więcej, niż mogliśmy się spodziewać...”

§ § §

Rozpacz, szaleństwo i kara. Wszystko stało się nagle.

Do inicjacji Maraeny pozostały tylko dwa tygodnie. Widywali się rzadko, bo jej czas pochłaniały długie modlitwy, nocne czuwania w świątyni i szycie stroju. Wokół dziewczyny kręciło się wiele osób -

kobiety z rodziny, kapłani, przyjaciółki. Niewielka była szansa, że zdoła niepostrzeżenie wymknąć się na spotkanie.

Kazziz cierpliwie przychodził do dzielnicy centralnej, niemal codziennie spacerował po wielkim placu, udając, że dokonuje jakiegoś pokutnego obrzędu między pomnikami kapłanów i Bogów.

Poprzedniej nocy płakał.

Religia była fundamentem ich społeczności. Zwoje odnalezione w ruinach ostatniej świątyni starej wiary, na wyspie File, zawierały wizję świata i praw nim rządzących. Ostatni egipscy kapłani, szaleni prorocy, obserwujący zagładę swej tysiącletniej cywilizacji, podjęli próbę zrozumienia tego, co dzieje się wokół. Oto ich świat odchodził w niebyt, a przecież wydawał się niezniszczalny, wieczny. Świątynie ich wiary i grobowce dawnych królów były wszak starożytnością już dla Greków i Rzymian, narodów, które w historii same są określane mianem „starożytnych”. Pokolenia ciemnoskórych kapłanów obserwowały rytm odradzającego się świata - potęgę i upadek władców, zwycięstwa faraonów i najazdy obcych armii, lata urodzaju i głodu. A jednak świątynie z piaskowca, niebosiężne piramidy, pradawne mity i Rzeka trwały niezmiennie. Lecz oto przyszli nowi barbarzyńcy, ze swą dziwną religią, która zawładnęła Cesarstwem i zniosła dawnych Bogów. Jedną po drugiej padały świątynie, wyznawcy odwracali się od swych patronów, a kapłanów wypędzano lub zabijano. Ostatnia świątynia Izydy przetrwała na wyspie File. Tam też dwaj natchnieni, bezimienni kapłani spisali Zwoje - obejmując jedną myślą prawdy gasnącej religii i przepowiadając nadejście proroka, który przywróci wierze dawną siłę. Ukryli Zwoje w podziemnej krypcie, a sami najprawdopodobniej zginęli z rąk fanatycznych chrześcijańskich mnichów. Zwoje przetrwały. Minęły dwa tysiące lat, nim odnalazł je prorok, nowe wcielenie Tota Trismegistosa. Odnowił obrzędy i zaczął głosić słowo Bogów, zapisane w Zwojach.

Wierni przetrwali prześladowania z czasów solarnych Wojen

Wewnętrznych, kult nie zniknął w wieku Światów Wirtualnych, świątynie wykorzystywały Dekadę Eksodusu. Pół wieku temu kapłanom udało się kupić patenty kolonizacyjne na Regelis. Wyznawcy Zwojów budowali też świątynie na wielu innych, zasiedlonych przez ludzi i Obcych globach.

Religia, tradycja i obyczaje dawały ludziom siłę, pomagały zrozumieć świat, wzmacniały poczucie wspólnoty i bezpieczeństwa. Stworzyły Kazziza takiego, jakim był. Zdawał sobie z tego sprawę. Wiedział, że podda się regułom i że Maraena też to robi. Ta świadomość odbierała mu sen i apetyt, uniemożliwiała koncentrację na pracy, sprawiała, że w kontaktach z rodziną stał się mrukliwy, wręcz opryskliwy.

Jednak w końcu zobaczył Maraenę, chociaż stracił już nadzieję. Po kilkunastu dniach rozłąki, po długich godzinach samotnych wędrówek, wypatrywania znajomej sylwetki, odwracania się na każdy kobiecy głos, wreszcie ją zobaczył.

Szła powoli w jego stronę, pomarańczowa tunika, przynależna dziewczętom tuż przed inicjacją falowała na jej ciele w rytm kroków. Czarne, proste włosy opadały na policzki, długie rzęsy osłaniały oczy, cienkie wyskubane brwi zakreślały łagodne łuki. Powieki miała pomalowane na niebiesko, a usta jasnoczerwone, wręcz pomarańczowe. Te ostre barwy jaskrawo kontrastowały z jej ciemną karnacją i czarnymi oczami.

Kiedy podeszła bliżej, Kazziz zobaczył, że Maraena płacze. Miała zaciśnięte wargi, jej głową wstrząsały spazmy szloch.

Zaraz rozmaże sobie makijaż - pomyślał. - Zaraz ludzie zbiegną się wokół, pytając, dlaczego płacze, skoro ma na sobie barwy radości. O Bogowie, dlaczego ona płacze?!

Stanęła naprzeciw niego w odległości dwóch kroków. Milczała zaciskając wargi. Wpatrywała się w jego twarz, jakby chciała zapamiętać każdy szczegół.

- Co się stało, maleńka? - spytał spokojnie.

- Beroj umarł. Rano. Ojciec już zmumifikował ciało i zakopał na pustyni. Nie ma Beroja.

- Był chory, stary - zrobił krok w jej stronę. Wiedział, że wypowiada te wszystkie okropne, bezsensowne zdania, którymi próbuje się pocieszać ludzi rozpaczających po śmierci swych bliskich. - Cierpiał. Teraz już go nie boli.

- Nie ma go - powiedziała cicho, do siebie, jakby w ogóle nie słuchała słów Kazziza. - Nie ma Beroja.

- Koty żyją krócej niż my.

- Ale ty nie żyjesz krócej niż ja - ocknęła się z letargu, na jej twarzy pojawił się grymas złości, a może udręki. - Urodziłeś się tylko dziewięć miesięcy przede mną. A jednak też odchodzisz. Dlaczego? Dlaczego kiedy przejdę inicjację, nie będę mogła z tobą rozmawiać? Dlaczego pozwolą mi opuszczać moją dzielnicę tylko w wyznaczone dni?

- Jesteś z kasty Posłusznych!

- A ty jesteś z kasty Czystych, tak, tobie wolno! - nagle zorientowała się, że jej smutek przeradza się w gniew skierowany na Kazziza. - Przepraszam cię, bardzo cię przepraszam. To jest takie okropne...

- Wiem, co czujesz, Maraeno. Milczała. Spojrzała na zegarek.

- Zbyt długo rozmawiamy. Musisz iść. - Nie drgnął, choć wiedział, że Maraena ma rację. - Idź, proszę, odwróć się i odejź. Nie spotykajmy się tu więcej. To niedobre, to niebezpieczne. Idź, Kazzi, odwróć się i odejź, bo ja nie potrafię... .

Odszedł, nie patrząc za siebie ani razu.

W pracy o mało nie doprowadził do katastrofy, wysyłając automat zwiadowczy na zbyt cienki lód. Pod ciężarem urządzenia zmarzlina pokrywająca płytkie morze zaczęła pękać. Kazzizowi w ostatniej chwili udało się wyprowadzić maszynę na suchy ląd. Opiekun-przełożony pogratulował dobrej akcji ratowniczej, a potem udzielił nagany za

kardynalny błąd. Na koniec powiedział, że Kazziz chyba jest dziś chory i odesłał go do domu.

Nie minęło jeszcze regeliańskie południe.

§ § §

- Kazzi, Kazzi! - już na progu domu wesołym okrzykiem powitała go Zani, młodsza, siedmioletnia siostra. -

Bogowie nam błogosławią. Breda urodziła małe! Pięć kociaczków! Wszystkie żyją, chcesz zobaczyć?

- Chcę - Kazziz wziął siostrę za rękę i razem poszli do kociego pokoju. Poczł dziwny zapach, słodki i mdlący, kojarzący się i z czymś miłym, i z salą operacyjną. Zmęczona Breda leżała na prawym boku. Miała zamknięte oczy i półotwarty pyszczek z lekko wysuniętą końcówką różowego języka. Przy jej brzuchu gramoliło się pięć puszystych kulek. Popiskując i prycając, walczyły o dostęp do matczynych sutków. Każdy kotek uważał zapewne, że tylko on jeden ma prawo napełniać sobie brzuszki ciepłym mlekiem.

Transgeniczne koty mau rodziły się dojrzałe niżli ich naturalni przodkowie. Kocięta nie były ślepe i od razu potrafiły chodzić. Teoretycznie mogły prowadzić samodzielne życie, jedząc to, co i dorosłe koty. W praktyce przez kilka dni szczególnie chętnie przebywały w pobliżu matki i ssały mleko z wyraźnie większą przyjemnością niż jadły inne potrawy.

Widok kociąt nieco uspokoił Kazziza. W miocie były dwie samiczki i trzy samce - piękne, smukłe, o miodowym futrze pokrytym brązowymi cętkami. Jeden z kotków miał na nosie dziwnie znajomą, różową plamkę.

- Zobacz, zobacz, Kazzi - siostra wskazała palcem właśnie na niego. - Ten jest podobny do Beroja Maraeny! Może to jego synek?

- A tamten jest podobny do kota Honnów z naprzeciwka. Może to synek tamtego? - uśmiechnął się.

- Możliwe, całkiem możliwe - Zani zadumała się nad taką kombinacją, przypominając sobie strzępy tych wszystkich wiadomości, których w zasadzie jeszcze nie powinna znać. - Czyli ten jest synkiem Beroja, a tamten Hon-honka. A trzy pozostałe?

- Przypatrz się im i spróbuj zgadnąć - pogłaskała siostrę po głowie. Pochylił się i wziął berojopodobnego kotka na ręce. - Już im dałaś imiona?

- Mam je na razie na etapie wstępnych projektów - dziewczynka dumnie się wyprostowała. - Ale tego już nazwałam, jeśli cię to interesuje.

- Mnie? - zawiesił głos. - W ogóle. Całkowicie i absolutnie mnie to nie interesuje.

- To ci nie powiem! To ci nie powiem! - zaczęła krzyczeć, sprawiając, że kocięta mocniej przywarły do ciała matki, która raczyła wreszcie otworzyć jedno oko. Sprawdziwszy, że hałas powoduje mała Zani - stanowiąca w otoczeniu kotki najczęstsze źródło głośnych, ale bezpiecznych dźwięków - znowu zapadła w drzemkę. Maluch w dłoniach Kazziza zaczął cicho popiskiwać, groźnie szczerząc igiełkowate ząbki. Był ciepły i mięciutki, Kazziz czuł na skórze szybkie bicie jego małego serca.

- Albo powiem - zdecydowała Zani. - Nazywa się Oronk.

Rozmowę przerwał im głośny okrzyk, dobiegający z rodzicielskiej części domu. Ojciec wzywał Kazziza. Skoro przywoływał go do siebie, a nie wychodził do wspólnych pokoi, szykowało się trudna rozmowa. Kazziz od razu domyślił się, o co czy też o kogo chodzi. W jednej chwili prysnął spokój wywołany spotkaniem z siostrą i kociakami. Odkładając Oronka do reszty rodzeństwa, Kazziz znów miał przed oczami twarz Maraeny.

§ § §

Tego samego dnia wieczorem Kazziz wyszedł z rodzinnego domu. Był wściekły, przerażony i smutny. Nie miał konkretnego celu wędrówki,

choć jego rodzice myśleli zapewne, że idzie do baru dla młodych, nieżonatych mężczyzn. Rodzice sądzili, że w takim miejscu, gdzie można było skosztować delikatnych erotycznych symulacji wirtualnych, lekkich narkotyków i ciężkiego alkoholu, ich syn zapomni o swoich kłopotach. Najpierw na kilka godzin, potem na zawsze. Jednak zdenerwowany chłopak nie poszedł do baru - skierował się w stronę doków, gdzie razem z Maraeną spędzili kiedyś wiele dni.

Ojciec uznał, że czas najwyższy przywołać syna do porządku. Najpierw go spoliczkował, żeby pokazać, jaki jest niezadowolony. Nie bił mocno, ale Kazziz boleśnie odczuł każde uderzenie. Był dobrym dzieckiem, na dodatek zawsze traktowanym przez rodziców po partnersku. Bito go rzadko. Ostatni raz ojciec spoliczkował go przed wieloma laty za jakąś zbyt ryzykowną psotę. Teraz jednak potraktował Kazziza jak smarkacza - i to bolało chłopaka bardziej niż same uderzenia.

- Jesteś już dorosłym mężczyzną - powiedział ojciec spokojnie, chociaż Kazziz wyczuł w jego głosie wzburzenie - a zachowujesz się niegodnie, łamiesz obyczaje i narażasz swoją rodzinę na wstyd. Matka nie chce dziś na ciebie patrzeć. Nie przyjdzie tu nawet po to, żeby cię uderzyć, choć, na Bogów!, obydwaj wiemy, jak bardzo na to zasługujesz. Przyjmij to jako wielki znak jej gniewu.

- W czym zawiniłem, ojczy?

- W czym zawiniłeś?! Śmiesz mnie o to pytać?! Masz mnie za głupca?! Czy siebie?! Spotkałeś się dziś z kobietą, właściwie z dzieckiem z kasty Posłusznych. Rozmawiałeś z nią długo, zdecydowanie za długo jak na przypadkowe spotkanie i wymianę pozdrowień. Możesz się z nią witać, bo się znacie, tak nakazuje kultura i obyczaj. Ale ty spędziłeś z nią dużo czasu. Dziś i dwa tygodnie temu, i wcześniej, wiele, wiele razy. Nie próbuj zaprzeczać! Zhańbiłeś siebie i swoją rodzinę, ale też Maraenę i jej bliskich. Co kapłan ma powiedzieć ojcu prowadzącemu swą córkę ku inicjacji, proszącemu dla niej o łaskę i pomyślność? Ze jego dziecko

spotyka się z dorosłym mężczyzną z kasty Czystych? Że nie zerwała dziecięcej znajomości, tylko rozmawia z nim, łamiąc nasze prawa!

- Prawo nie zabrania rozmów!

- Milcz! Bogowie zabraniają, obyczaje zabraniają, ja zabraniam! Teraz nie potrafisz powstrzymać swoich uczuć i odciąć się od świata dziecięcych rojeń. Prawo pozwala ci ją widywać, powiadasz, więc ją widzisz. Tak, prawo pozwala! Ale obyczaj każe ograniczyć te kontakty. Opanować uczucia nie dlatego, że są zabronione, tylko dlatego, że taka jest twoja wola. Prawa są ważne. Święte księgi mówią prawdę. Lecz nic Bogom nie przyjdzie z twych dobrych uczynków, jeśli czynisz tak nie z własnej woli, a jedynie ze strachu przed prawem! Rozumiesz, co do ciebie mówię?

- Tak, ojciec...

- To nie wszystko, to jeszcze nie wszystko. Pewnie myślisz: czemu prawo pozwala, a obyczaj zakazuje? Dlaczego nie ma tu zgody? Wiem, wielu młodych zadaje sobie to pytanie. Odpowiem ci: każdy młody człowiek potrzebuje czasu, by nauczyć się, jak żyć dobrze i sprawiedliwie. Dlatego jeśli dziś nie powstrzymasz się z własnej woli, co najwyżej narazisz na wstyd siebie i swych bliskich. Ale jeśli nie nauczysz się panować nad pragnieniami, to później, gdy zaczną obowiązywać nie obyczaje, a prawo, narazisz się na wielkie niebezpieczeństwa. Znowu zaczniesz folgować słabościom. W tajemnicy, w ukryciu popełnisz dawne występki. Będziesz żył w strachu, a jednak wciąż będziesz ulegał pokusom. I wtedy narazisz się na prawdziwą karę. Gdyż żaden zły uczynek nie pozostaje bez pomsty Bogów - i tu, i w pośmiertnym świecie Dat.

Rozmawiali długo. W końcu ojciec jeszcze raz spoliczkował Kazziza na znak, że mocno się na niego gniewa i że rozmowę uważa za bardzo ważną. Potem jednak uśmiechnął się i powiedział: - Mam też dla ciebie dobrą wiadomość. Wybraliśmy już z matką dziewczynę, która zostanie

twoją żoną. Rozmawialiśmy z jej rodzicami i oni się zgodzili. Jutro wspólnie pójdziemy do nich, by podpisać ślubny kontrakt. Twoja narzeczona ma dziewięć lat, więc będziesz miał jeszcze sporo czasu bez ojcowskich obowiązków: na naukę i karierę zawodową. Co za wspianiała sytuacja! Nim skończysz dwadzieścia jeden lat, ożenisz się i założysz rodzinę. Niech Bogowie mają ją w opiece!

Nie dyskutował z ojcem, nie przekonywał, nawet nie spytał, kogo mu wybrali. W sąsiedztwie mieszkało wiele dziewięcioletnich dziewczynek. Nie znał ich, bo zadawał się raczej ze starszymi. Na dodatek bawił się głównie w centrum, gdzie wiele czasu spędzał z Maraeną i znajomymi z innych dzielnic. Takie było prawo: młodzi powinni poznawać przedstawicieli pozostałych kast, by nauczyć się, że to także ważni i godni szacunku członkowie ludu Zwojów. Lecz kiedy dzieci wstępowały do kast, obowiązywała je separacja od dawnych przyjaciół i znajomych, a wzajemne kontakty mogły odbywać się tylko wedle opisanych w kodeksach protokołów.

Kazziz przez chwilę pomyślał o tej dziewięcioletniej dziewczynce. Czy już wie o kontrakcie ślubnym? Czy słyszała o nim, Kazzizie? Czy jest dumna z jego kariery i czy opowiada o nim koleżankom? A może, tak jak on, jest przerażona? Może nie chce go widzieć i boi się przyszłości? To przecież tylko mała dziewięcioletnia dziewczynka...

Tamtego wieczora Kazziz dotarł w końcu do portowych doków. Zmierzchało. Na niebie rozbłysły pierwsze gwiazdy, lecz żaden z trzech księżyców, „ludzi o twarzach bez oczu”, nie rozpoczął jeszcze swej wędrówki. Za to dokładnie nad głową Kazziza jaśniał czerwonożółty punkt - wisząca na wysokości stu tysięcy kilometrów orbitalna baza kosmiczna.

Kazziz spojrział na czerniejący w mroku kontur rampy wyładunkowej. To tutaj bardzo często spotykał się z innymi dziećmi i z Maraeną. Na tej właśnie rampie o mało kiedyś nie zginął.

Kazziz ukląkł, usiadł na piętach, położył dłonie na kolanach i zamknął oczy. Nie bacząc na ciągnący od ziemi chłód, trwał niemal w bezruchu. Aby uspokoić myśli, zaczął odmawiać modlitwę do Boga Światła. Miarowe, rytmiczne słowa tworzyły w umyśle chłopaka dziwną melodię, powtarzaną dziś tak samo, jak cztery tysiące lat temu, w starożytnych świątyniach. Kiedy dobrnął do końca modlitwy, zaczął ją jeszcze raz, od początku. Potem znowu i znowu, aż w końcu zgubił rachubę i zatracił poczucie czasu. Ogarnął go chłód nocy i zdawało mu się, że poprzez zamknięte powieki dostrzega jasne światło pierwszego z księżycowych wędrowców.

Otworzył oczy dopiero wtedy, gdy usłyszał zbliżające się kroki. Miękkie, ciche - znajome. Przed nim stała Maraena. Wstał i podszedł do dziewczyny, w głowie wciąż kołatały mu rytmiczne słowa modlitwy. Maraena objęła Kazziza, przytulając twarz do jego piersi. Zaczął ją głaskać po włosach, muskać ustami kark i szyję. Jego dłonie stały się dwoma istotami, głodnymi ciepła jej ciała.

Modlitwa, która potem nastąpiła, miała inny rytm niż tamta, powtarzana w myślach litania, lecz była równie pochłaniająca i wszechogarniająca. Maraena krzyknęła bardzo cicho.

§ § §

Okrzyki ludzi pod oknami rodzinnego domu Kazziza były przesycone gniewem. Obudziły chłopaka następnego ranka, gdy po krótkiej nocy we własnym łóżku, nocy pełnej wspaniałych wspomnień, ale i strachu, wreszcie zdołał usnąć.

Kapłani, zarówno z jego dzielnicy, jak i niosący znakinumina kwartału Posłusznych, stali przed drzwiami domu i pokrzykiwali na ojca. Za nimi gromadził się tłum zaciekawionych, wzburzonych ludzi. Ojciec próbował coś tłumaczyć, lecz gdy dotarły doń słowa kapłanów, zaniemówił z wrażenia. Odstąpił od drzwi wejściowych i spojrzał w stronę okna

sypialni syna. Kazziz nie potrafił wtedy powiedzieć, jakie uczucie malowało się na twarzy ojca. Ale ten grymas pamiętał do dziś. Kapłani i strażnicy prawa wbiegli do domu, po chwili dobijali się do sypialni. Ledwie zdążył założyć przepaskę biodrową, gdy wpadli do środka. Brutalnie chwycili go za ramiona i wywlekli na ulicę. Pokrzykując, popychając go i szturchając, ruszyli w stronę świątyni sądów.

4.

Oronk, przyjacielu, jak mogę ci się odwdzięczyć? Byłeś posłańcem, choć nigdy nie przeniosłeś ani jednej kartki, nagrania czy zdjęcia. Po prostu byłeś tu i tam. Dotykały cię jej i moje dłonie. To wszystko, co mogliśmy mieć.

Pozwolili na to, bo prawo nic nie mówiło o takiej sytuacji. Na dodatek jesteś kotem. Mój lud czci wiele zwierząt, choć na Regelis żyje jedynie kilka gatunków przywiezionej tu z Ziemi fauny. Tylko kotów jest wiele, bo kot to najważniejsze zwierzę naszej wiary, cząstka pierwotnej materii Nu, wydzielona od rzeczywistości skórą i futrem, przenosząca pradawną energię. Gdybyś był ibisem lub psem, może próbowaliby cię powstrzymać. Nie odważyli się jednak tknąć kota, o pięknym cętkowanym futrze, kształtnej mordce i śmiesznym różowym znamieniu na nosie. Przecież wiedzieli, że kiedyś skończą się twoje wędrówki. I że wtedy, dzisiaj właśnie, zacznie się najstraszniejsza część wyroku.

§ § §

- Mój syn złamał prawo. Musi ponieść karę. Ale to ona swą grzeszną młodością ściągnęła hańbę na nasz ród. To ona wyczekiwała na niego w

środku miasta, to ona odrywała go od pracy, to ona wykorzystywała każdą okazję, by wzbudzić w jego sercu uczucie. Żądam surowego ukarania mego syna, a ją musimy wygnać z miasta. Jest pohańbiona!

- Moja córka złamała prawo. Musi ponieść karę. Ale to on swą niepohamowaną żądzą ściągnął hańbę na nasz ród. To on szukał jej zawsze, gdy był w mieście, to on zamiast pracować, spacerował z nią po ulicach, to on, dorosły i odpowiedzialny, nie pozwolił jej zapomnieć o sobie. Żądam surowego ukarania mojej córki, a jego musimy wygnać z miasta. To grzesznik!

Mówili rodzice i sędziowie, mówili kapłani i wychowawcy, mówili koledzy z pracy i przyjaciele. Mówili wszyscy. Kazziz nie zdawał sobie sprawy, ilu ludzi ich obserwoowało, jak wielu bliskich znajomych rozmawiało o nich z kapłanami, jakie rozterki dręczyły rodziców, świadomych dziwnego zachowania dzieci.

Ich wina była wielka, wiedział o tym.

Nie otrzymali boskiego i rodzicielskiego błogosławieństwa, a mimo to połączyła ich miłość cielesna. To występki, ale takie przypadki zdarzały się często. On był już dorosły, a ona jeszcze nie. To przewina, ale Maraena była na tyle dojrzała, że nie popełnił przestępstwa. Wyznali sobie miłość, mimo że obydwójce mieli już wyznaczonych przyszłych małżonków. To grzech, ale można go było odkupić ciężką pracą dla społeczności, postem w świątyni, modlitwą i błaganiem o przebaczenie.

Jednak ich zbrodnia polegała na tym, że wszystko to nastąpiło pomiędzy ludźmi z różnych kast. Że wielokrotnie łamiąc obyczaje, czego kulminacją stała się tamta noc, wystąpili przeciw społeczeństwu, zaatakowali jego strukturę, naruszyli wewnętrzną spójność.

- Co się stanie - krzyczał kapłan-sędzia - gdy każdy powie: mogę to zrobić! Gdy słowa Bogów zapisane w Zwojach, gdy mądre reguły określone przez przodków, gdy sprawdzone na przestrzeni wieków obyczaje zaczną być podważane i lekceważone! Kim staniemy się za

dwadzieścia lat, jakie spoiwo połączy nasze dzieci, kto zechce służyć nieistniejącym wartościom?! Kara, która was dotknie, będzie surowa. Będzie właściwą odpłatą za wasz straszny czyn! Będzie przestrożą dla innych! Lecz i wam przyniesie ukojenie, bo poddając się jej, przywrócicie honor rodzinom. Pamiętajcie też, że wciąż pozostajecie dziećmi Zwojów, że Bogowie czekają na wasze myśli, że zaznając kary, jesteście pełnymi członkami naszej społeczności.

Kazziz siedział na sali sądowej otępiały i ogłuszony - liczbą oskarżycieli, gniewem ojca i matki, nienawiścią rodziców Maraeny, a przede wszystkim krzywdą, jaka na nią spadnie za jego słabość. W czasie procesu ani razu się nie zobaczyli. Obydwoje siedzieli w szczelnych klatkach jednoprzepuszczalnego pola. Mogli oglądać salę sądową, lecz ich nikt nie widział. Dopóki nie zostanie wydany wyrok, dopóty każdy, kto na nich spojrzy, porozmawia z nimi lub ich dotknie, straci czystość. Prawo złamania tego zakazu mieli jedynie najbliżsi krewni, przesłuchujący kapłani-sędziowie i strażnicy prawa.

Wygnanie na pustynię musiało zakończyć się śmiercią. Choć skazańców zaopatrywano w żywność, przetrwanie regeliańskiej zimy poza miastem było niemożliwe. A wywożono ich na tak odległe, bezludne tereny, że nie byli w stanie dotrzeć do zasiedlonych nomów. Tak karano morderców, gwałcicieli i świętokradców. Kazziz wiedział, że nic nie stoi na przeszkodzie, by jego i Maraenę zaliczono do tej ostatniej grupy. Myśl, że dziewczyna znajdzie się sama na piaszczystym, pokrytym zielonymi glonami pustkowiu, pośród skał i lodu, przerażała Kazziza tak bardzo, że nie czuł żadnego strachu o własny los.

- Jutro zostanie wydany wyrok - powiedział kapłan-sędzia. - Dziś niech rodziny zabiorą tych dwoje do domów. Niech ich dobrze nakarmią, niech oddadzą się wspólnej modlitwie. Jutro rano przyprowadzicie ich znowu. Wy dwoje, którzy złamaliście prawo! Jutro otrzymacie czas dla siebie. Przed ogłoszeniem wyroku będziecie mogli spędzić wspólnie dwa

kwadrans. Będziecie się widzieć i rozmawiać ze sobą, wolno wam będzie dotknąć swoich twarzy, włosów i dłoni. Wreszcie, każde z was może przynieść dla drugiego podarunek. Potem ogłoszę wyrok. Kara was nie ominie. Będzie gorsza niż wygnanie. Takie jest moje słowo.

Jutro... pół godziny. Widok, słowa, dotyk... O, Bogowie, jakże wtedy był szczęśliwy, jakże wdzięczny sędziom za litość i łaskawość. Wtedy nie rozumiał, dlaczego tak postąpili, myślał, że to ostatni dar dla skazańców przed bezwzględny wyrok. Za ten prezent, za niespodziewane pół godziny z Maraeną gotów był błogosławić kapłanów do końca swych dni. Był głupi. Kapłani nic nie robili bez powodu.

Podarował jej kotka, małego, ciepłego, ze śmieszną plamką na nosie. Maraena dała mu medalion ze swoim hologramem. Nie mówili wiele. Siedzieli naprzeciw siebie na niewygodnych krzesłach, oddzieleni twardym blatem, pilnowani przez strażnika prawa. Gładził dłonie i włosy Maraeny, próbował zetrzeć z jej policzków łzy. Czuł zapach dziewczyny, ten sam zapach, który tak go oszołomił tamtej nocy.

Ostry dźwiękowy sygnał przerwał spotkanie. Ze stołu wystrzeliła w górę siłowa zaporą, błyskawicznie mętniejąca i odcinająca dźwięki. Nim zamgliła się ostatecznie, zdołał jeszcze zobaczyć, jak Maraena tuli do siebie Oronka i jak jej usta bezgłośnie wypowiadają imię: „Kazziz”. Potem wyprowadzono go na salę rozpraw.

- Moglibyśmy was wypędzić, wygnąć na pustynię - mówił kapłan-sędzia. - Żaden uczciwy wyznawca Zwojów nie zarzuciłby nam okrucieństwa. Ale śmierć młodego grzesznika nie jest najlepszym rozwiązaniem. Grzech musi być ukarany cierpieniem, a wy tam, na odludziu szybko zginiecie. Kara musi być przykładem dla innych, a kiedy znikniecie z miasta, ludzie prędko o was zapomną. Zbrodnia domaga się zadośćuczynienia, a martwi nie będziecie mogli pracować dla dobra wspólnoty ani rozważyć własnych przewin. Dlatego mamy dla was inną karę. Karę, która nie pozbawi was życia, ale przyniesie ból i cierpienie,

wskaże drogę innym, posłuży im za przykład dla innych. Mówiliście, że się kochacie. Wierzę wam i choć potępiam wasze uczucia, nie mogę wam ich zakazać. Powiem więcej, kochajcie się nadal, myślcie o sobie, snujcie marzenia, przypominajcie sobie wspólnie spędzone chwile, takie jak ta przed ceremonią. Daliśmy wam dwa kwadransy, byście dobrze mogli zapamiętać swoje twarze, jeszcze raz wyznać sobie miłość.

Kazziz słuchał kapłana z osłupieniem. Widział, że wielu ludzi reaguje na przemowę z niepokojem, nie wiedząc, jak interpretować słowa sędziego. Czyżby kapłan błogosławił grzeszny związek, czyżby pozwalał tym grzesznikom trwać w obłudzie, czyżby dał im szansę wspólnego życia? Nagle Kazziz poczuł, że to wszystko „może się zakończyć dobrze, że kapłani znaleźli w Zwojach zapisy pozwalające szczęśliwie wyjść z tej sytuacji. Ale kiedy spojrzał na sędziego - na jego łysą czaszkę, wąskie, przyczernione brwi, wygoloną brodę, pomalowane na złoto wargi - zrozumiał, że to tylko oratorska zagrywka, podstęp dający skazanym nadzieję, a przez to osłabiający ich odporność na rychły cios.

- Oto wasza kara! Miasto zostanie dla was podzielone na dwie części. W jednej będzie mógł przebywać Kazziz z Czystych, w drugiej Maraena z Posłusznych. Nie wolno wam się kontaktować, rozmawiać, widzieć, przekazywać listów, słuchać o sobie opowieści. Jeśli kiedykolwiek któreś z was zostanie przyłapane na próbie kontaktu z drugą osobą, ta druga osoba zginie. Będziecie tu żyć do końca waszych dni, pamiętajcie miłość, jej smak i barwę. Będziecie wiedzieć, że wasz kochanek jest tuż, tuż, za niewidzialną granicą. Lecz nie będziecie mogli się zobaczyć ani usłyszeć, ani dotknąć... Takie jest moje słowo.

Potem ich zabrali.

§ § §

To stało się trzydzieści cztery lata temu. Myślał o niej każdego dnia. Nie ożenił się z wyznaczoną przez rodziców dziewczyną, bo jej rodzina

zerwała zaręczyny. Niewielu ludzi utrzymywało z nim stosunki towarzyskie. Dużo pracował. Nie wiedział, co się dzieje z Maraeną, bo nie wolno mu było znać jej życia. Wiele razy chodził ulicami, blisko umownej granicy podziału miasta. Myślał, że może ona jest niedaleko: za rogiem budynku, na sąsiedniej ulicy, w przejeżdżającej kapsule transportowej. Ileż to razy chciał stanąć na placu przed świątynią albo w pobliżu portowego doku i czekać na jej przybycie? Nigdy tego nie zrobił, nie śmiał narażać jej na niebezpieczeństwo. Trzydzieści cztery lata.

Mieli tylko kota. Zwierzak pierwszy raz przyszedł do domu Kazziza dwa tygodnie po procesie. Chłopak nie był nawet pewien, czy to Oronk, bo kot przemknął po ulicy wyraźnie czymś przestraszony. Potem zaczął przychodzić częściej. Szybko dostrzegł go ojciec Kazziza i natychmiast wezwał kapłana-sędziego. Schwytali kota, by sprawdzić, czy nie przynosi jakichś wiadomości. Kapłan, po krótkich rozważaniach i ponownej lekturze odpowiednich paragrafów kodeksu Zwojów, uznał, że prawo nie zabrania Kazzizowi zabawy z kotem. I tak zostało - do dziś.

Młodzieniec rósł, dojrzewał, męźniał. Kot przychodził co kilka dni, zostawał parę godzin i znowu znikał w miejskich zaułkach. Kazziz nawet nie miał pewności, że zwierzak wraca do swojej pani. A jednak czuł to.

Gdy głaskał kota, w ciepłe jego ciało, w pomruku zadowolenia, w przyzwalającym na pieszczoty wygięciu kręgosłupa odnajdywał ciepło i łagodny dotyk dłoni Maraeny. Czym był ten kot, posłaniec bez wieści, nosiciel bez wszczepu, pocieszacz bez współczucia? Błogosławieństwem, które pozwala pamiętać? Czy przekleństwem, które nie pozwala zapomnieć? Czym był przez te wszystkie lata dla ciebie, Maraeno...

§ § §

Kot cicho zapiszczał. Otworzył powieki, zmętniałymi oczami spojrzął na Kazziza. Kilka razy uderzył ogonem o posłanie, jakby napinając mięśnie do wysiłku. Wreszcie sapnął i spróbował się podnieść. Nie wyszło to najlepiej,

nogi rozjechały się pod nim, łeb opadł na poduszkę. Jednak Oronk nie dał za wygraną. Szarpnął się jeszcze raz, zsunął się z pośłania i stanął na chwiejnych nogach. Chwilę patrzył na Kazziza. Mężczyzna ukląkł przy kocie, chciał go wziąć na ręce, ale zwierzak odrzucił pomoc - zrobił krok, potem drugi. Sapnął głośno, może z bólu, a może dla dodania sobie otuchy.

Kazziz pogłaskał go po grzbiecie, ledwie muskając zmierzwione futro, bo bał się przewrócić kota lekkim choćby dotykiem. Oronk znów miauknął, a potem ruszył w stronę uchylonych drzwi. Kazziz, wciąż klęcząc, patrzył za nim ze zdumieniem.

„Czy idziesz do niej? Czy zdołasz tam dotrzeć? Czy dasz się jej pogłaskać jeszcze raz? Pewnie ostatni raz, bo nie wątpię, że wyężasz teraz ostatnie siły swego organizmu. Proszę cię, kocie, wytrwaj, bardzo cię proszę, kocie, ten jeden ostatni raz... Żegnaj, kocie. Żegnaj, Maraeno...”

Kot człapał niezgrabnie, wlokąc ciało wcale nie po kociemu. Kiedy spróbował podbiec, o mało się nie wywrócił. Wyszedł z pokoju przez uchylone drzwi. Po chwili Kazziz zobaczył przez okno, jak wolno idzie wzdłuż otaczającego dom płotu. Kiedy zniknął w jakiejś dziurze, mężczyzna długo jeszcze stał w oknie i zdejmował z dłoni kłaczki miodowosiwej kociej sierści.

Iwona Żółtowska

Marobet

Robert spoglądał z góry na dolinę okrytą welonem mgły. Poranne opary wypełniły po brzegi tokańską Val d'Elsa. Tu i ówdzie majaczyły zielone wyspy, tonące wolno w skłębionej bieli.

Franciszkanin, z którym przegadał całą noc, zaprowadził go o świcie na jedną z czternastu wież miasteczka San Gimignano. Strzeliste iglice spinały niebo, ziemię i morze mgieł - trzy żywioły niczym barwne skrawki tkanin, pozszywane z woli Boga ludzkimi rękami.

Robert - jak na angielskiego emigranta przystało - z rozrzewnieniem obserwował zamgloną dolinę. Pagórek, na którym leżało San Gimignano, przypominał teraz wyspę. Anglik czuł się jak u siebie w domu; powietrze było wilgotne, a mokry bezmiar oddzielał go od reszty świata. Zamiast fal burzyły się w dole zwiewne opary, ale mniejsza o szczegóły...

- Nie bądźmy drobiazgowi - powiedział do swego cicerone w brunatnym habicie, wracając do przerwanej rozmowy. - Przecież nie namawiam brata, by został sybarytą i gonił za przyjemnościami. Obstawę jednak przy swoim zdaniu; należy się cieszyć każdą chwilą, najmniejszym drobiazgiem. Uśmiech zadowolenia nie wyklucza świętości. Wiem, że wkrótce jedzie brat do Rzymu. Proszę odwiedzić kościół Santa Maria della Vittoria i popatrzeć na rozpromienioną twarz anioła obserwującego świętą Teresę z Avila ugodzoną strzałą Bożej miłości. Bernini rozumiał, w czym rzecz. Zachwyty na obliczu karmelitanki sprawia przyjemność aniołowi, istocie stanowiącej kwintesencję świętości. Biorę przykład z mieszkańców niebios i z zadowoleniem patrzę, jak moja żona głaszcze kota. Oboje wydają się

bardzo szczęśliwi. Takie niewinne przyjemności sprawiają, że przybywa w nas dobra. Ilekroć odczuwam radość, gotów jestem bez przymusu nakarmić głodnego, podać spragnionemu kubek zimnej wody lub ofiarować parę groszy żebrakowi... nawet jeżeli nieszczęśnik śmierdzi. Czemu brat wytyka mi hedonistyczne nastawienie do życia, skoro przyjemność czyni mnie lepszym? Nie mam talentu do męczeństwa, wyrzeczeń i dramatycznych gestów. Wolę brać przykład z mego kota i wylegiwać się na słońcu.

- Ho, ho! To musi być niezwykle stworzenie. Już po raz drugi pan o nim wspomina - wtrącił żartobliwie zakonnik.

- Trafił brat w dziesiątkę. Niepozorne zwierzątko otwiera nam oczy na wiele spraw. Mary często powtarza, że na stare lata sporo się od niego nauczyła. Trochę nas martwi, że w Italii Toffee nie jest sobą. Zmarkotniał. Przedtem był hałaśliwy, wesoły i psotny. Nadal często miauczy, ale nie dokazuje jak dawniej. Może winne są upały? Przywykł do niższych temperatur. Z czasem się chyba zaaklimatyzuje.

Mgła powoli rzedła. Słońce wzeszło ogrzewając powietrze; wirujące kłęby mlecznej bieli znikaly jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Duchowny zaprosił Roberta do siebie na poranną kawę. Gość miał wnet ruszyć do domu wąską krętą drogą - po zarwanej nocy! Franciszkanin nie chciał go mieć na sumieniu.

§ § §

Robert jechał na południe. W połowie drogi między San Gimignano a Sieną leżała nieco zaniedbana winnica, a za nią stary dom wzniesiony z kamienia i kryty czerwoną dachówką. Przed kilkoma miesiącami osiadło tam angielskie małżeństwo. Oboje szybko przywykli do klimatu i obyczajów Toskanii, ale ich kot nadal snuł się bez celu po obszernej posiadłości - wciąż markotny i apatyczny. Robert martwił się o ulubieńca.

Droga była pusta. Samochód jechał szybko mijając pola kwitnących słoneczników, zielone łąki, płowe łąny zbóż. Samotne cyprysy oraz kępy drzew wabiły oczy ciemną zielenią. Robert skręcił w boczną drogę. Stare pędy winorośli rozpięły nad autem cienisty baldachim. Mężczyzna szukał wzrokiem znajomej sylwetki. Toffee wyczuwał obecność ulubionego człowieka i wychodził mu naprzeciw. Siadał na obrośniętym pnączami kamieniu w połowie drogi do willi i czekał.

Kot nadstawił ucha, słysząc z daleka charakterystyczny odgłos silnika. Zwinne ciało pokryte białym futrem sprężyło się jakby do skoku, a szyja przez chwilę była długa niczym u gęsi. Niebieskie oczy dostrzegły turkusowego volkswagena. Wkrótce auto stanęło przy głazie. Robert przechylił się na bok, by otworzyć drzwi od strony pasażera.

- Dobry kotek. Wskakuj.

Toffee nie kazał sobie tego dwa razy powtarzać. Zajął miejsce obok kierowcy, owinął łapki puszystym ogonem i z nadzieją popatrzył na człowieka.

- Pan nie zapomniał o kocurku - rzucił czule Anglik. - Mam w bagażniku pyszne jedzonko.

- Robercie, kiedy wrócimy do Marobet? - zapytał kot.

- Wiem, wiem, łakomczusku. Cieszysz się, że przywiozłem ci smakołyki. Pamiętaj, że nie wolno bez przerwy jeść, bo wkrótce będziesz obrzydliwym tłusciochem.

- Robercie! Pytałem, kiedy wrócimy do Marobet - miauknął rozpaczliwie Toffee.

- Kochane stworzonko! Jesteś wyjątkowo mądrym kotem - odparł Robert. Zaczął wesoło podśpiewywać. Lubił wracać do domu.

Mary powitała go przy kamiennej szopie służącej za garaż.

- Jak dawałaś sobie radę, kiedy mnie nie było?

- Bez obaw! Nie spaliłam willi - oznajmiła pogodnie szczupła siwowłosa pani. Robert ze stoickim spokojem znosił wszelkie domowe

katastrofy. Mary daremnie próbowała zapanować nad roztargnieniem. Obca jej była rozwaga i trzeźwość umysłu. Miała za to poczucie humoru, bujną wyobraźnię i dar konwersacji. Robert nie nudził się w jej towarzystwie.

Ramię przy ramieniu szli ku domowi. Biały kot plątał im się pod nogami. Cała trójka zjadła obfite angielskie śniadanie. Kontynentalne przekąski budziły święte oburzenie Mary oraz jej męża. Toffee również był zwolennikiem wczesnych i obfitych posiłków. Z apetytem pałaszował kupione przez Roberta smakołyki. Po śniadaniu zamierzał uciąć sobie drzemkę.

Oderwał się w końcu od miski, wychłęptał trochę wody i ruszył do ogrodu. Ułożył się w kępie wysokiej trawy, której Robert nie skosił, bo Toffee miał tam ulubioną kryjówkę.

Anglicy dokładali starań, by kot polubił toskańską posiadłość. Chcieli zostać tam po kres swoich dni. Wyczuwali jednak, że ulubieniec nadal tęskni za Marobet. Tak się nazywała ich angielska willa; złączone sylaby dwu imion dały nazwę wspólnego domu.

Toffee drzemał zwinięty w kłębek. We śnie powracał do Marobet. Biegał po obszernych pokojach rozświetlonych bladym angielskim słońcem. Odczuwał lęk. Powód był zawsze ten sam: daremnie szukał w opuszczonej willi ukochanych ludzi. Mary i Robert nie wracali do przeszłości. Woleli cieszyć się chwilą w zielonkawym cieniu toskańskiej winnicy.

Tego dnia biały kot wyczuł obecność intruza w sennym Marobet. Na sztywnych łapach wkroczył do salonu, gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki. Stał na środku pokoju. Ktoś siedział w fotelu ustawionym przy kominku. Toffee dostrzegł między drewnianymi nogami szczupłe łydki w pomarańczowych spodniach.

- Podejź bliżej, kocie-braciszku - rozległ się władczy kobiecy głos.

Toffee stulił uszy. Kto śmie wydawać mu polecenia? I to w Marobet,

gdzie powrócił na moment dzięki sile woli i tęsknoty! Obszedł fotel i wskoczył na marmurowy parapet kominka. Odruchowo przybrał pozę urokliwej porcelanowej figurynki. Zerknął na nieznajomą.

W fotelu siedziała kobieta-kot. Nosiła pomarańczowy garnitur z połyskliwego jedwabiu. Na wysokości ramion istota ludzka przekształcała się w dorodną czarną kotkę. Prawa ręka okryta jaskrawą tkaniną spoczywała swobodnie wzdłuż boku; lewa porośnięta krótką ciemną sierścią dotykała łokciem poręczy fotela. Gest wydawał się ludzki, ale na miękkiej łapce spoczywała głowa kotki. Niepokojący uśmiezek był koci i kobiecy zarazem.

- Co sądzisz o takim połączeniu, braciszku? Nie mogę się zdecydować, którą postać wolę, dlatego przybieram obie.

- Kim jesteś? Co robisz w moim domu? - Kot wpatrywał się jak urzeczony w dwoistą postać nieznajomej.

- To już nie jest twój dom. Osiadła tu nowa rodzina - stwierdziła z irytacją. - Kim jestem? Też pytanie! Nie poznajesz? Sam mnie wezwałeś, niewdzięczny prostaku. Teraz rozumiem, czemu tak donośnie brzmiała mi w uszach twoja skarga. Głupcy zawsze jęczą najgłośniej. Potrafisz tylko skamleć jak pies, by ktoś cię zabrał do Marobet. Kocie małej wiary, przybyłam ci na ratunek. Powitaj mnie jak należy! Wiesz już, kim jestem? Nie? Co się dzieje na tym padole? Przecież świadomość mego istnienia powinieś wyssać z mlekiem matki. Kto cię wykarmił?

- Mary... Pipetką! - pisnął wystraszony Toffee. Domyślał się, na kogo spogląda z wysokości kominka.

W fotelu siedziała Pani Kotów z południa. Gdy był ślepy i bezradnym maleństwem, wiatr śpiewał mu o niej kołysanki.

- Chcę wrócić do Marobet - oznajmił płacząco. Zeskoczył na podłogę i usiadł zwieszając nisko łebek.

Kobieta-kotka pochyliła się do przodu. Dotknęła podłogi ludzką dłonią i kocią łapą. Pomarańczowy jedwab zgasł pod czarnym futrem, a dwoista

Pani skurczyła się do rozmiarów szczupłego czarnego zwierzątka o długich nogach i spiczastych uszach. Między złotymi ślepiami widniała niewielka biała plamka. Jasny pędzelek na czubku ogona sprawiał, że kotka wyglądała jak negatyw gronostaja.

- Niełatwo będzie spełnić twoją prośbę, ale spróbuję. Musisz we mnie wierzyć. To dodaje sił. Nie zawiodłam dotąd żadnego kota. - Obrzuciła Toffee'ego badawczym spojrzeniem i nagle zmieniła temat. - Jesteś kastratem?

Biały kot przytaknął. Czarna kotka mruknęła: - Szkoda.

Podeszła do wielkiego okna zajmującego całą ścianę salonu. Popatrzyła na angielski ogród. Kępy roślin kwitnących z pozoru beładnie tworzyły labirynt o zmiennej kolorystyce.

- Wyjdźmy do ogrodu. Chciałabym się tam pobawić. Mam na imię... Mów do mnie Bessie.

Dwa koty dokazywały, aż zmogło je angielskie powietrze i silna woń kwiatów. Drzemały zwinięte w biało-czarny kłębek. Śniła im się upalna Toskania.

§ § §

Następnego ranka przed willę Anglików zajechało małe czarne auto. Wsiadła z niego drobna kobieta w garniturze z pomarańczowego jedwabiu. Miała bladą cerę i bardzo jasne włosy ścięte na wysokości płatków uszu i zaczesane do tyłu. Energicznie zatrzęsnęła drzwiczki i podeszła do stojącej w progu Mary.

- Jestem Bessie. Pamiętasz mnie? - zapytała półgłosem.

- Bessie? Bessie? - powtórzyła z wahaniem siwowłosa pani. Spoglądała jak urzeczona w żółte ślepie rozmówczyni. - Egipt? Tam cię poznałam. Kuzynka Bessie!

Kobieta w pomarańczowym garniturze wybuchnęła śmiechem.

- Wiedziałam, że nie zapomnisz o naszym spotkaniu. Rzadko wówczas

rozmawialiśmy, ale chętnie mi się przyglądałaś.

Bessie... Przed laty Mary i Robert istotnie odwiedzili Egipt na zaproszenie dalekiej kuzynki, która przebywała tam na stypendium. Bessie? Tak zapewne miała na imię. Z minuty na minutę Mary utwierdzała się w przekonaniu, że łączy ją z gościem bliskie pokrewieństwo. Weszły do domu. Przywołany z ogrodu Robert po chwili wahania uległ sile sugestii roześmianych kobiet. Bessie lekceważącym gestem zbyła jego próby ustalenia rodzinnych koneksji.

- Daj spokój, mój drogi. Nie mam głowy do genealogii. Rodzina to rodzina.

Robert skwapliwie przyznał jej rację. Bessie nagrodziła go za to promiennym uśmiechem. Wkrótce usiedli do śniadania. Uradowani wizytą gospodarze opowiadali Bessie rozmaite ciekawostki dotyczące ich tokańskiej posiadłości.

- A jak się tu czuje Toffee, wasz kot?

- Skąd wiesz, że mamy kota? Nie widzieliśmy się od lat - mruknął Robert. Jego twarz przybrała wyraz podejrzliwości.

- Sam mi o tym powiedziałaś - odparła półgłosem i spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak... Chyba wspomniałem o kocie. - Roziskrzzone złotem oczy kuzynki wspomogły zmaconą pamięć Anglika. - Wiesz, że jest całkiem biały?

- Tak. - Bessie odsunęła talerz, oparła łokcie o brzeg stołu i rzekła z powagą: - Toffee mówi, że nie jest tu szczęśliwy. Tęskni za Marobet. Bywa tam we śnie, ale to żadna pociecha, bo daremnie szuka was obojga. Nie wracacie do przeszłości.

- Jak Toffee mógł z tobą rozmawiać? - wtrąciła nieufnie Mary. Zamrugła powiekami, jakby nagle przejrzała na oczy. Bessie musnęła dłonią pomarszczony policzek. Siwowłosa kobieta natychmiast odzyskała spokój.

- Naprawdę rozmawiałam z waszym kotem. Jest przygnębiony. Nie umie się tutaj odnaleźć.

- Mamy wrócić do Anglii? - zapytała z pokorą Mary.

- To nie będzie konieczne - odparła skwapliwie Bessie. - Zresztą nie macie już do czego wracać. Marobet przeszło w cudze ręce. Dom się zmienił. Pozostała tylko nazwa. Czemu nie zabraliście jej ze sobą?

- Przez niedopatrzenie - mruknął Robert. - A może z tęsknoty za nowym życiem i całkowitą zmianą? Nie jesteśmy sentymentalni.

- Szkoda. Toffee rozumuje inaczej. Mniejsza z tym. Zrobię, co w mojej mocy. Uratuję waszego kota. Nie pozwolę, by zmarniał pod tokańskim niebem.

Po śniadaniu Mary zaprowadziła kuzynkę do pokoju gościnnego i pomogła jej rozpakować walizkę. Zeszła do winnicy, gdzie Robert przygotował zimne napoje. Bessie została, by się przebrać. Włożyła długą białą suknię, lekką niczym mgła. Ramiona okryła wielkim szalem, pomarańczowym jak rzymskie flammeum. Uśmiechnęła się do odbicia w lustrze i wybiegła z pokoju.

Długo siedzieli przy drewnianym stole, leniwie sącząc koktajle. Było upalnie. Rozmowa się nie kleiła. Wczesnym popołudniem Bessie zwinęła się w kłębek na obszernym wiklinowym fotelu. Przymknęła oczy. Wkrótce nadszedł Toffee. Wskoczył jej na kolana i ułożył się w fałdach pomarańczowego szala.

- Wrócimy do Marobet? - mruknął z nadzieją.

- Tak. - Powieki ciążyły Bessie jak ołów.

Dwa koty ruszyły sennymi drogami. Wkrótce dokazywały już w bezludnym angielskim domu. Zabawa nie trwała długo. Toffee zmarkotniał. We śnie odzyskał swoje miejsce na ziemi, ale brakowało mu Roberta i Mary. Ułożył się w fotelu ustawionym obok kominka i przymknął oczy. Śnił o swych opiekunach spacerujących między krzewami winorośli. W półcieniu kwitły wonne zioła. Toffee odkrył

świeżo posadzoną kocią miętę. W ogrodzie Marobet nie było takich atrakcji.

Bessie czuwała w angielskim salonie. Siedziała bez ruchu na wysokim oparciu fotela, obserwując uśpionego kocurka. Planowała kolejne posunięcia. Musiała zwalczyć ludzkie i kocie uprzedzenia, a także uchwycić istotę Marobet. Od pary Anglików mało się dowiedziała, chociaż nieświadomie zdradzili jej wszystkie domowe sekrety.

Późnym popołudniem koty opuściły angielską posiadłość i przez bramę snu wróciły do Toskanii, by zdążyć na kolację. Nikogo z domowników nie dziwiło, że zmęczona upałem Bessie przespiała całe popołudnie. Robert i Mary czuwali przy niej do zmierzchu. Spotkała ich za to miła niespodzianka; winnicę odwiedziła pod wieczór bardzo ufna kotka - filigranowa, czarna jak smoła, z białą kropką na czole i jasnym pędzelkiem na końcu ogona. Bawiła się z ludźmi jak beztroski kociak. Bessie nie poznała uroczego stworzonka; zniknęło wśród krzewów winnej latorośli, zanim się obudziła.

Bessie zwlekała. Czuła się zmęczona osobliwą egzystencją, którą prowadziła do tej pory. Przed wiekami odbierała cześć jako kobieta z głową kotki. Ludzkie ciało i serce, kocia głowa i rozum... jednocześnie przeciwieństw. Na co dzień jednak kierowała się egoizmem. Odwlekanie decyzji było jej na rękę.

- Dlaczego tak ci zależy na powrocie do Marobet? - zapytała następnego dnia, gdy oba koty spacerowały w cieniu winnicy.

- Kocham tamto miejsce.

- Co to znaczy kochać? - Złote ślepie rozjaśnił dziwny blask. Bessie nie kryła ciekawości. - Co się wtedy czuje?

- Tkliwość.

- Nie rozumiem!

- Ciepło. W środku... Robi się ciepło na sercu.

- Rozgrzewasz się myśląc o Marobet?

- W pewnym sensie.

- Wspaniale! - Bessie uznała problem białego kota za rozwiązany. - W takim razie zamiast rozpamiętywać przeszłość, otwórz szeroko te swoje niebieskie oczka i popatrz na winnicę. Powietrze drży od upału. Żar się z nieba leje, a ty mi zawracasz głowę paplaniną o chłodzie. Wygrzewaj się...

- Sierść będę miał ciepłą - przerwał Toffee - ale serce zimne. Jestem smutny i apatyczny. We śnie Marobet błednie z dnia na dzień. Tamto prawdziwe zajęli inni ludzie. Tutaj... kamienny dom jest mi obcy. Gdyby nie przywiązanie do Mary i Roberta, uciekłbym stąd. - Obrzucił badawczym spojrzeniem czarną towarzyszkę dalekich i bliskich wędrówek. I dodał smutno: - Pani Kotów nie chce mi pomóc. Szuka teraz miejsca dla siebie. Nie szkodzi. Toffee nadal ją kocha.

Podszedł do Bessie i otarł się leciutko. Miała wrażenie, że musnęła ją obłok chłodnej mgły. Pomimo upału mlecznobiałe futerko było nastroszone i zimne. Toffee spuścił łebek i powlókł się w głąb winnicy.

Bessie wróciła do ludzkiej postaci i pobiegła ku domowi. Zacisnęła dłonie, aż długie paznokcie wbiły się w skórę zostawiając czerwone półksiężycy, natychmiast podchodzące krwią.

Była wściekła.

Tego wieczoru bezczelnie kokietowała Roberta i rzucała Mary prowokujące spojrzenia. Szukała okazji do kłótni, ale siwowłosa kobieta ze stoickim spokojem znosiła jej wybryki.

Po kolacji Robert zniknął w gabinecie. Panie siedziały w milczeniu na werandzie. Pierwsza odezwała się Bessie.

- Gdyby Robert był nieco młodszy, pewnie bym go uwiodła - rzuciła z uśmiechem.

- Taki pomysł istotnie mógłby ci przyjść do głowy - odparła spokojnie Mary.

- Bez trudu postawiłabym na swoim.

- Nie sądzę.

- Wątpisz w mój urok?

- Nie. Sama jestem tobą oczarowana. Wiem, że kłamiesz jak z nut, ale chcę wierzyć w twoje kłamstwa. Dla mnie byłaś, jesteś i będziesz najmilszą kuzynką Bessie. A co do uwiedzenia Roberta... Nie sądzę, żebyś się na to zdobyła. Moim zdaniem podrywanie cudzych samców okropnie cię męczy i nudzi. To zbyt pospolite. Szósty zmysł mi podpowiada, że wcale nie jesteś lubieżną kotką. Uginasz się pod brzemieniem odpowiedzialności, a w uszach brzmi ci nieustannie skarga istot oczekujących wsparcia. Nic dziwnego, że nudzą cię banalne rozrywki.

- Skąd wiesz? - wykrztusiła Bessie.

- Odwiedziła mnie we śnie czarna kotka z białą kropką na czole i jasnym pędzelkiem na ogonku. Rozmawiałyśmy długo i szczerze. Biedactwo... Skarżyła się na samotność i wyczerpanie. Zaprosiłam ją do nas. Na zawsze.

- Nie pamiętam tego snu!

- Nocne wizje chowają się czasem za inne wspomnienia. Mary wstała z fotela, podeszła do jasnowłosej kobiety i palcem zakreśliła kółko na jej czole. Pochyliła się, by pocałować to miejsce. Delikatnie pogłaskała ciepłą skórę za uchem. Bessie westchnęła i pochyliła głowę.

- Śliczna koteczka... Biedna Pani Kotów - szepnęła czule Mary. - Toffee również odwiedził mnie we śnie. Pomóż mu. Traci nadzieję i chęć do życia. Szkoda białego kotka. Wróćmy razem do Marobet... cokolwiek to oznacza. - Starsza pani uśmiechnęła się smutno i poszła do sypialni.

Bessie długo siedziała na ciemnej werandzie. Toffee nie zjawił się, by dotrzymać jej towarzystwa. O północy wyszła do ogrodu. Wśród krzewów winorośli odnalazła niewielkie herbarium oświetlone blaskiem księżyca. Zerwała garść kociej miętki i wróciła do domu. W kuchni roztarta w palcach świeże listki, zalała wrzątkiem i długo wdychała delikatną, słodkawą woń. Potem do rana krążyła po willi, podwórku i winnicy. Szeptła tajemnicze formułki w osobliwym języku, którym od

wieków nikt już nie mówił.

Wczesnym rankiem obudziła domowników - z kotem włącznie. Zaprowadziła ich do ogrodu. Wśród krzewów winorośli odbyli tajną naradę.

- Znacie już wiele moich sekretów. Posiałam w waszych umysłach ziarno wiedzy - oznajmiła Bessie. - Przybyłam tu z otchłani wieków, by pomóc kotu. Znalazłam wyjście. Toffee odzyska radość życia, a wy nie będziecie musieli stąd wyjeżdżać. Marobet to wasze imiona. Nowe siedlisko powinno zostać nimi opieczętowane, by należało do was i białego kota. Poważną przeszkodę stanowi natura toskańskiego domu. To krnąbrny, sklerotyczny egoista! Rozmawiałam z nim tej nocy. Jakbym słyszała samą siebie! Postawię na swoim, bo znam wady tego drania tak dobrze jak własne. Poczekam, aż osłabnie czujność starca, ujarzmię go i nadam imię. Dotąd pozostawał bezimienny i bardzo to sobie chwalił. Pora skończyć z samowolą. Ten sklerotyk szybko zapomni, kto go nazaczył. Wszyscy odzyskamy radość życia i spokój ducha. Czeka nas tu wiele przyjemności.

Robert z uśmiechem popatrzył na drobną kobietę w garniturze z pomarańczowego jedwabiu.

- Zachowujcie się naturalnie - ciągnęła Bessie. - Wszystko zrobię sama, byle tylko nikt mi nie przeszkadzał. Toffee, gdzie jesteś?

Kot miauknął i otarł się o jedwab rozgrzany ciepłem szczupłego ciała. Popatrzył z uwielbieniem na swoją Panią. Bessie uklękła na ścieżce i zbliżyła ludzką twarz do kociej mordki.

- Dzięki, że we mnie nie zwątpiłeś, braciszku - mruknęła. Podniosła się i dodała: - Wracajmy. Już czas.

Ruszyła przodem, nucąc dziwną melodię. Oddalała się szybko. Kot i Anglicy zostali w tyle.

Bessie stanęła przed kamienną fasadą. Odwróciła się i pomachała im ręką. Nagle zrobiła pół obrotu i rozłożyła ramiona, jakby pragnęła wziąć

dom w objęcia. Głosem dźwięcznym i donośnym jak świątynny gong krzyknęła przeciągle jedno słowo: - Marobet!

Obraz zmętniał i zakołysał się przed oczyma Roberta i Mary. Toffee przypadł do ziemi i stulił uszy. Cała trójka cofnęła się przed falą starczej furii. Pogrążony we śnie wiekowy dom obudził się z piętnem na karku. Drobną blondynką o donośnym głosie nadała mu imię! Oczy okien chwyciły słoneczne promienie, by oślepić zuchwałą kobietę.

Bessie stała nieruchomo, wyprężona jak struna. Mruczała. Jej gardło wibrowało, senny, kojący dźwięk wypełniał powietrze. Fale spokoju ogarniały dom. Marobet? Dobra nazwa. Nic nie znaczy. Jest chłodna jak mgła i pełna tajemnic. Jak rozumieć to dziwne słowo: Marobet? Rozmyślenia wyczerpały starego sklerotyka. Zapadł w drzemkę i zapomniał o zemście.

Bessie długo patrzyła na kamienną fasadę. Potem odwróciła się z gracją. Ruszyła ku Anglikom i białemu kotu. Przystanęła w odległości dwudziestu kroków i wskazała ręką wille.

- Oto wasze Marobet - rzekła z powagą.

Przez chwilę trwała w bezruchu. Nagle uniosła ramiona i klasnęła w dłonie. Ruszyła biegiem, odbiła się lekko i nim wylądowała na ścieżce, zmieniła się w kotkę. Pomarańczowy jedwab gasł jak płomień zduszony czarnym dymem. Biała kropka na czole i pędzelek jasnej sierści na ogonku jaśniały niczym światła pozycyjne.

Kotka dotknęła ziemi czterema łapami i ponownie sprężyła się do skoku. Udała, że atakuje wyciągniętą dłoń Roberta, ale musnęła ją tylko łapkami. Wspięła się po rękawie lnianej marynarki, przysiadła na ramieniu mężczyzny i popatrzyła z góry na domowników. Ciemne oblicze Pani kotów rozświetlił uśmiech - miły i chytry, koci i kobiecy zarazem. Bessie miała w sercu czystą radość. Cieszyła się życiem.

Andrzej Sapkowski

Muzykanci

Doły Tam, gdzie praktycznie kończyło się miasto, za pętlą tramwaju, za skrytym w wykopie torem kolejowym i pstrym kwadratem ogródków działkowych, rozciągało się nierówne, pagórkowate pole, zaśmiecone i zryte, szczerzące się złomami betonu i kłami drutu zbrojeniowego, gęsto porośnięte ostem, perzem, mietlicą, mleczem i szarłatem.

Był to pas ziemi niczyjej, frontowa strefa pomiędzy kamienną ścianą bloków mieszkalnych a odległym, ciemnozielonym lasem, zasinionym mgłą smogu. Teren ten ludzie nazywali Dołami. Nie była to prawdziwa nazwa tego miejsca.

Okolica ta zawsze była pusta, z rzadka penetrowana nawet przez wszędobylskie dzieci, które, na wzór rodziców, preferowały do zabaw miejsca ukryte w bezpiecznych i przytulnych żelbetowych kanionach. Czasem tylko, i to na samym skraju, zasiadali tu pijaczkowie, atawistycznie ciągnący ku zieleni. Poza tym na Doły nie zapuszczał się nikt.

Nie licząc kotów.

Kotów było pełno na całym osiedlu, ale Doły były ich królestwem, niekwestionowaną domeną i azylem. Osiedlowe psy, regularnie szczute na koty przez swoich właścicieli, zatrzymywały się na pograniczu pustkowie, wracały, kuląc ogony i skamląc. Z pokorą przyjmowały okrutne ciągi, spuszczone im przez panów „za tchórzostwo” - Doły budziły w nich większy strach niż razy. Ludzie również czuli się na Dołach nieswojo. W dzień. Bo w nocy na Doły nie zapuszczał się nikt.

Nie licząc kotów.

W ciągu dnia przyczajone i ostrożne, nocą koty krążyły po Dołach miękkim, ostrzegawczym krokiem, dokonywały niezbędnych korekt liczebności miejscowych szczurów i myszy, budziły mieszkańców pogranicznych bloków przeraźliwym wrzaskiem, oznajmiającym miłość lub krwawy bój. W nocy koty czuły się na Dołach bezpiecznie. W dzień nie.

Mieszkańcy osiedla nie lubili kotów. Zważywszy, że stworzenia, które lubili i które trzymali w swoich kamiennych gniazdach, zwykli byli od czasu do czasu bestialsko męczyć, określenie „nie lubili” w stosunku do kotów nabierało właściwego, ponurego wyrazu. Bywało, że koty zastanawiały się, gdzie leży przyczyna tego stanu. Poglądy były różne - większość kotów uważała, że winę ponoszą owe drobne, pozornie nic nie znaczące drobiazgi, które powoli, acz skutecznie, zabijały ludzi i wiodły ich do obłędu - ostre, mordercze igiełki azbestu, które nosili w płucach, zabójcze promieniowanie, płynące z płyt będących ścianami ich siedzib, kwaśne, życiogubne powietrze, bezustannie wiszące nad miastem. Cóż dziwnego, mówiły koty, że ktoś balansujący na krawędzi zagłady, truty, trawiony przez jady i choroby, nienawidzi witalności, zwinności i siły? Że ktoś roztrzęsiony, nie znający spokoju, wściekłością i szałem reaguje na ciepły, puszysty i rozmruczany spokój innych? Nie, nie było w tym niczego, czemu należało się dziwić. Należało natomiast być czujnym - należało uciekać co sił w nogach, co długości w wyciągniętym skoku, gdy dostrzegło się na horyzoncie duże lub małe dwunogie sylwetki. Należało strzec się kopniaka, kija, kamienia, zębów szczonego psa, kół samochodu. Należało umieć rozpoznać okrucieństwo, kryjące się za cedzonym zza zaciśniętych zębów: „Kici, kici”. I tyle.

Były jednak wśród kotów i takie, które uważały, że przyczyna nienawiści leży gdzie indziej. Że ukryta jest w Dawnych Czasach. Dawne Czasy. Koty wiedziały o Dawnych Czasach. Obrazy z Dawnych Czasów widywało się nocami na Dołach. Bo Doły nie były zwykłym miejscem.

Podczas rozświerszczonych, księżycowych nocy koty widziały obrazy dostępne wyłącznie ich kocim źrenicom. Zamglone, rozmigotane obrazy. Korowody długowłosych panien dookoła dziwacznych budowli z kamienia, obłąkańcze wycia i podskoki wokół okaleczonych ciał zwisających z drewnianych rusztowań, szeregi zakapturzonych ludzi z pochodniami w rękach, płonące domy z wieżami zakończonymi znakiem krzyża, takie same krzyże, ale odwrócone, zatknięte w czarną, pulsującą ziemię. Stosy, pale i szubienice. I czarnego człowieka, wykrzykującego słowa. Słowa będące, jak wiedziały koty, prawdziwą nazwą miejsca nazywanego Dołami.

Locus terribilis.

W takie noce koty bały się. Koty czuły, jak drga Zasłona. Przypadały wówczas płasko do ziemi, wpijały pazury w grunt, bezgłośnie otwierały wąsate pyszczki. Czekwały.

I wówczas rozbrzmiewała muzyka. Muzyka, zagłuszająca niepokój, kojąca strach, niosąca błogość, zwiastująca bezpieczeństwo.

Bo oprócz kotów, na Dołach mieszkali Muzykanci.

VEEHAL Dzień zaczął się tak samo, jak wszystkie inne dni - chłodny ranek rozgrzał się i rozleniwił ciepłym, jesiennym przedpołudniem, rozświecił się smużkami babiego lata w swym zenicie, rozchmurzył i zamglił pod wieczór, zaczął gasnąć.

To stało się zupełnie niespodziewanie, nagle, bez ostrzeżenia. Veehal rozdarł powietrze, przeleciał po chwastach jak wichur, zwielokrotnił się echem odbitym od kamiennej ściany bloków. Potworny strach zjeżył pręgowane i łaciate futerka, położył uszy, wyszczerzył kiełki.

Veehal!

Męczarnia i śmierć!

Mord!

Veehal!

Zasłona! Zasłona pęka!

I muzyka.

Uspokojenie.

Syreny karetek spłynęły na ogródki działkowe dopiero później. Dopiero później zaczęła się oszalała krzątająca ludzi w białych i niebieskich ubraniach. Koty patrzyły na to z ukrycia, spokojne i obojętne. To już ich nie dotyczyło. Ludzie biegali, krzyczeli, klęli. Ludzie wynosili spomiędzy altanek ciała, zmasakrowane, zniekształcone, sączące krew przez białe prześcieradła. Ludzie w niebieskich ubraniach odpychali od drucianej siatki innych, tych, którzy nadbiegali od strony osiedla. Koty patrzyły. Jeden z ludzi w niebieskich ubraniach, wytoczywszy się na otwartą przestrzeń, wymiotował, krztusił się. Ktoś krzyczał, krzyczał okropnie. Wściekle roztrzaskały się drzwi samochodów, potem znowu wyły syreny.

Koty mrucały cicho. Koty słuchały muzyki. Tamto już ich nie dotyczyło.

KROSTOWATY Pograżony w sieci tonów, wiążących i klejących przedartą Zastonę delikatną przędzą muzyki, Krostowaty cofnął się, siejąc wokół kropelkami krwi ściekającej z pazurów i kłów. Cofnął się, zniknął, odgradzany od przejścia kleistym spoiwem, po raz ostatni, już zza Zastony, tchnął ku Muzykantom nienawiścią, złością i groźbą.

Zastona zrosła się, zatarł się ostatni ślad pęknięcia.

MUZYKANCY Muzykanci siedzieli w cieniu pogiętego, okopconego, zarytego w ziemię pieca.

- Udało się - powiedział Kersten. - Udało się tym razem.

- Tak - potwierdził Itka. - Ale następnym razem... Nie wiem.

- Będzie następny raz - zaszeptał Pasiburduk - Itka? Będzie następny raz?

- Ponad wszelką wątpliwość - rzekł Itka. - Nie znasz ich? Nie wiesz, o czym teraz myślą?

- Nie - powiedział Pasiburduk. - Nie wiem.

- A ja wiem - mruknął Kersten. - Dobrze wiem, bo ich znam. Myślą o zemście. Dlatego musimy ją odnaleźć.

- Musimy - powiedział Itka. - Musimy ją wreszcie odnaleźć. Tylko ona może ich powstrzymać. Ona ma z nimi kontakt. A gdy już będzie z nami, odejdziemy stąd. Do Bremy. Do innych. Tak, jak każe Prawo. Musimy iść do Bremy.

BŁĘKITNY POKÓJ Błękitny pokój żył własnym życiem. Oddychał zapachem ozonu i rozgrzanego plastiku, metalu, eteru. Tętnił, jak krwią, elektrycznością bzyczącą w izolowanych kablach, oleisto lśniących wyłącznikach, klawiszach i wtyczkach. Migotał szklistą poświatą ekranów, mnóstwem złych, czerwonych oczek czujników. Pysnił się majestatem chromu i niklu, powagą czerni, dostojeństwem bieli. Żył.

Wzbudzał respekt. Dominował.

Debbe poruszyła się w uścisku rzemieni, rozpinających ją na płask na pokrytym prześcieradłem i ceratą stole. Nie czuła bólu - igły, wbite w czaszkę, i zębate blaszki, przypięte do uszu, nie bolały już, ciążyły tylko splecione koroną przewodów, szpeciły, hańbiąco krępowały, ale przestały zadawać cierpienie. Nieruchomym, bezbarwnym wzrokiem Debbe patrzyła na pelargonię stojącą na parapecie. Pelargonie była w tym pokoju jedyną rzeczą, żyjącą własnym, niezależnym życiem.

Nie licząc Izy.

Iza, zgarbiona nad stołem, pisała szybko, drobnym maczkiem pokrywając strony zeszytu, od czasu do czasu postukując palcami po klawiaturze komputera. Debbe wsłuchiwała się w tętno Pokoju.

- No, maleńka - powiedziała Iza, odwracając się. - Zaczynamy.

Spokojnie.

Szczękniętą wyłącznik, zabrzączały silniki, drgnęły ogromne szpule, łypnęły krwawe czerwone światelka. Przez okrągłe, kratkowane okna ekranów popędziły w podskokach świetliste myszki. Rysiki zadygotały,

rozkołysały się jak cienkie, pajęczne nogi, popęzły na bębnach grzebieniaste linie.

Debbe.

Iza gryzła długopis, wpatrując się w rzędy cyfr, przerażająco równo wyskakujących na ekranie monitora, na linie, na pudełkowate wykresy.

Mruczała pod nosem, długo pisała w zeszycie. Paliała. Przeglądała wydruki. Wreszcie szcęknięł wyłącznik.

Widziała pelargonię. Czuła suchość w nosie, chłodniejące gorąco, spływające od czoła ku oczom. Drętwienie, drętwienie całego ciała.

Iza przeglądała wydruki. Niektóre z nich mięła i ciskała do przepelnionego kosza, inne, oznaczone szybkimi pociągnięciami długopisu, spinała i odkładała na równy stos.

Pokój żył.

- Jeszcze raz - powiedziała Iza. - Jeszcze raz, mała.

Debbe.

Niebieski ekran wyczarowywał zygzaki i linie, regularnymi warstwami piętrzył kolumny cyferek. Rysik, płynnie i spokojnie falując, kreślił na bębnie fantastyczny horyzont.

TO MY. MUSISZ, zdziwiła się, słysząc ten głos. Nigdy przedtem nie słyszała tego głosu, głosu silniejszego niż głos Pokoju, silniejszego niż piekące gorąco, bulgocące w jej mózgu. Igły, od których jeżyła się jej głowa, zawibrowały.

Muzyka! Muzyka! Muzyka!

Czerwona linia na ekranie skoczyła w górę, rysik targnął się i narysował w rozedrganej kresce trzy lub cztery potężne szczyby.

MUSISZ Z NAMI DO BREMY.

- Co jest, cholera - szepnęła Iza, wpatrzona w ekran. Zapominając o tłącym się na popielniczce papierosie, zapaliła drugiego. Wciskała włączniki jeden po drugim, próbując opanować szalejące ekrany.

- Nic nie rozumiem. Co się dzieje, mała?

Wreszcie zrobiła to, co należało. Wyłączyła prąd.

- Neeee - powiedziała przeciągle Debbe. - Nie chcę, jasnowłosa. Nie chceęęęę!

Iza wstała, pogłaskała ją po głowie i grzbiecie. Wszystkie linie na ekranie popędziły ku górze, a rysik zaszamotał się dziko. Iza tego nie widziała.

- Biedny kotek - powiedziała, głaszcząc jedwabiste futerko Debbe. -

Biedna kicia. Żebyś wiedziała, jak mi cię żal. Ale przysłużysz się nauce, koteczku. Przysłużysz się wiedzy. Za plecami Izy kursor komputera podreptał w prawo, rzędami małych, kanciastych literek wypisał:

INCORRECT STATEMENT

i zgasł. Zupełnie.

Rysik zatrzymał się na bębnie.

Świetlista myszka na okrągłym, kratkowanym ekranie pisnęła raz jeszcze i zamarła.

Iza, czując nagle mroczącą oczy słabość, opadła ciężko na biały, trójnogi stołek.

Muzyka, pomyślała, skąd ta...

Debbe mruzczała z przejęciem, z łatwością i lekko, płynnie i naturalnie dopasowując się do harmonii biegnących zewsząd tonów.

Odnajdywała w nich siebie, swoje miejsce, swoje przeznaczenie. Czowała, że bez niej ta muzyka jest niepełna, kaleka. Głosy, punktujące akordy, potwierdzały to. To ty, mówiły, to ty. Uwierz w siebie. To właśnie ty.

Uwierz.

Debbe wierzyła.

My, mówiły głosy, to ty. Słuchaj. Słuchaj nas. Słuchaj naszej muzyki.

Twojej muzyki. Czy słyszysz?

Debbe słyszała.

Czekamy na ciebie, mówiły głosy. Wskażemy ci drogę do nas. A gdy już będziesz z nami, wyruszymy razem do Bremy. Do innych Muzykantów. Ale najpierw musisz dać im szansę. Tylko ty możesz to zrobić. Możesz dać im szansę. Posłuchaj. Powiemy ci, co się stało. Powiemy ci, co zrobić, aby ich powstrzymać. Słuchaj.

Debbe słuchała.

Czy zrobisz to?

Tak, powiedziała Debbe. Zrobię.

Muzyka odpowiedziała kaskadą dźwięków.

Iza martwym wzrokiem patrzyła na pelargonie.

Spójrz na mnie, jasnowłosa, powiedziała Debbe. Czarna litera „M” na czole kotki, znamie wybranki, znak Pajaka Pogońca, błysnęła, zalśniła metalicznym pawim połyskiem.

Spójrz mi w oczy.

NEJMAN - Dwóch - powiedziała pielęgniarka. - Jest ich dwóch. Siedzą w pokoju ordynatora. Recka zrobiła im kawy. Ale mówili, że im się spieszy.

- Czego może chcieć ode mnie milicja? - Iza zdusiła niedopałek papierosa w blaszanym, chwiejnym talerzu korytarzowej popielniczki. - Nie mówili?

- Nic nie mówili - pielęgniarka wykrzywiła pucułowatą buzię. - Wie pani, pani doktor. Oni nigdy niczego nie mówią.

- Skąd mam wiedzieć?

- Niech pani idzie. Mówili, że im się spieszy.

- Idę.

Było ich rzeczywiście dwóch. Przystojny blondyn, kawał chłopca w denimowej kurtce i brunecik w ciemnym swetrze.

Na widok wchodzącej Izy wstali obaj. Zdziwiła się - gest był niecodzienny nawet u zwykłych mężczyzn, a zupełnie nieprawdopodobny u milicjantów. Policjantów, poprawiła się w myśli i równocześnie zawstydziała się - zawstydziała stereotypu, któremu

bezwiednie się poddała.

- Pani doktor Przemęcka - stwierdził fakt blondyn.

- Tak.

- Izabella Przemęcka?

- Tak. Niech panowie usiądą, proszę. Słucham panów.

- A nie - uśmiechnął się blondyn. - To ja słucham.

- Nie bardzo pana rozumiem, panie...

- Komisarzu. To odpowiednik dawniejszego porucznika.

- Chodziło mi o nazwisko, nie o szarżę.

- Nejman. Andrzej Nejman. A to jest aspirant Zdyb. Przepraszam panią, pani doktor. Uznałem prezentację za zbędną, bo pani mnie przecież zna. Pani telefonowała do mnie. Wymieniając moje nazwisko. I szarżę, jak się pani dowcipnie wyraziła.

- Ja? - zdziwiła się szczerze Iza. - Ja do pana telefonowałam? Proszę pana, ja od początku przypuszczałam, że to jakaś pomyłka. A teraz jestem pewna, że tak jest. Nigdy nie dzwoniłam na milicję. Nigdy. Pomylił mnie pan z kimś innym.

- Pani Izo - powiedział poważnie Nejman. - Bardzo proszę, niech pani nie utrudnia mi zadania. Pracuję nad sprawą morderstwa popełnionego na ogródkach działkowych imienia Róży Luksemburg, obecnie generała Andersa. Pewnie pani słyszała: trzech nastolatków zaszlachtowanych przy użyciu sierpa, kosy, bosaka lub podobnego narzędzia. Słyszała pani? To niedaleko stąd, na przedmieściu.

- Słyszałam. Ale co ja mam z tym wspólnego?

- Nie wie pani? Zajmuje się pani jedną z ofiar tego wypadku. Pośrednią ofiarą, tak to nazwijmy. Elżbieta Gruber, lat dziewięć. Ta mała dziewczynka, która widziała cały przebieg zdarzenia, przebieg zbrodni. Leży w tym szpitalu. Słyszałem, że pani się nią zajmuje.

- Ach, ta dziewczynka w komatozie... Nie, panowie, to nie jest moja pacjentka. Doktor Abramik...

- Doktor Abramik, z którym już rozmawiałem, twierdzi, że pani bardzo interesuje się tym przypadkiem. Ta Gruber to pani krewna?

- Skądże znowu... Żadna krewna, nie znam jej. Nie znałam nawet jej nazwiska...

- Pani Izo. Niech pani przestanie. Tolek, pozwól.

Brunecik sięgnął do aktówki, wyjął mały, płaski magnetofon, National Panasonic.

- U nas - powiedział Nejman - nagrywa się rozmowy. Pani rozmowa ze mną też została nagrana. Niestety, nie od początku...

Wbrew woli komisarz zaczerwienił się. Początek rozmowy nie nagrał się z prozaicznych powodów - w kieszeni magnetofonu tkwiła wówczas kasetka z „But Seriously” Phila Collinsa, przegrana z płyty kompaktowej. Brunecik wcisnął klawisz.

- ...przerywaj, Nejman - powiedział głos Izy. - Co cię to obchodzi, kto mówi? Ważniejsze jest, co mówi. A mówi to: nie wolno ci zrobić tego, co zamierzasz. Rozumiesz? Nie wolno. Co chcesz osiągnąć? Chcesz wiedzieć, kto zabił chłopców na ogródkach działkowych? Mogę ci powiedzieć, jeśli chcesz.

- Tak - powiedział głos komisarza. - Chcę. Proszę mi powiedzieć, kto to zrobił.

- Zrobił to ten, który przeszedł przez przedartą Zasłonę. Gdy rozbrzmiał veehal, Zasłona pękła, a on przeszedł. Kiedy Zasłona pęka, ci, którzy znajdują się w pobliżu, są zgubieni.

- Nie rozumiem.

- I nie musisz - powiedział ostro głos Izy. - Wcale nie musisz rozumieć. Masz po prostu przyjąć do wiadomości, że ja wiem, co zamierzasz uczynić. Wiem też, że tego zrobić nie wolno. I po prostu dzielę się z tobą tą wiedzą. Jeśli mnie nie posłuchasz, skutki będą straszne.

- Chwileczkę - odezwał się głos Nejmana. - Miała mi pani powiedzieć, kto...

- Już powiedziałam - przerwał głos Izy.

- Niech więc pani powtórzy, proszę.

- Po co ci to? Myślisz, że możesz coś zrobić temu zza Zasłony? Jesteś w głębokim błędzie. On jest poza twoim zasięgiem. Ale ty... Ty jesteś w jego zasięgu. Strzeż się.

- Pani mi grozi. - To było stwierdzenie, nie pytanie.

- Tak - powiedział beznamyślnie głos Izy. - Grożę. Ale to nie ja ci zagrażam. Nie ja. Nie potrafię wytłumaczyć ci wielu rzeczy, wielu faktów, nie mogę znaleźć właściwych słów. Ale jedno mogę... mogę cię ostrzec. Czy nie za dużo już było ofiar? Ci chłopcy, Elżbieta Gruber. Nie rób tego, co zaplanowałaś, Nejman. Nie rób tego.

- Proszę posłuchać...

- Dosyć. Zapamiętaj. Nie wolno ci.

Trzasnęła słuchawka.

- Pan mi pewnie nie uwierzy... - zaczęła Iza.

- Już nie jesteśmy na ty? - przerwał Nejman. - Szkoda. To było miłe i bezpośrednie. W co nie uwierzę? Że to nie była pani? Faktycznie, trudno by mi było. A teraz, proszę bardzo, słucham. Co ja zaplanowałem? Dlaczego nie wolno mi tego zrobić?

- Nie wiem. To nie ja... To nie był mój głos.

- Kim jest dla pani mała Gruber?

- Nie wiem... Nikim... Ja...

- Kto zamordował dzieciaki na działkach? - Nejman mówił cicho, nie krzyczał, ale mięśnie na szczękach drgały mu wyraźnie i miarowo. - Kto to był? Dlaczego jest poza moim zasięgiem? Dlatego, że jest nienormalny, prawda? Jeżeli go złapię, nie pójdzie do pudła, ale do szpitala, takiego jak ten? A może właśnie do tego? A może już tu był? Co? Pani doktor?

- Nie wiem! - Iza uniosła pięści w mimowolnym geście. - Nie wiem, mówię panu! To nie ja dzwoniłam! Nie ja!

Nejman i aspirant Zdyb milczeli.

- Ja wiem, co pan myśli - powiedziała wolno Iza.

- Wątpię.

- Pan myśli... Że jak w tym dowcipie... że my tym się różnimy od pacjentów, że chodzimy na noc do domu.

- Brawo - powiedział Nejman bez uśmiechu. - A teraz słucham.

- Ja... niczego nie wiem. Ja nie telefonowałam...

- Pani doktor - powiedział Nejman spokojnie i przymilnie, jak do dziecka. - W porządku, ja wiem, że taśma magnetofonowa to wążłutki dowód. Że może pani zaprzeczyć. Może pani, na ogólnie przyjętej fali, oskarżyć nas nawet o manipulację, o fabrykowanie dowodów, o co pani chce. Ale jeżeli faktycznie chodzi pani na noc do domu zasłużenie, a nie tylko dzięki czyjemuś błędowi w diagnozie, to orientuje się pani, jakie będą skutki, gdy sprawa się wyda. A sprawa wyda się prześlicznie. Musi się wydać, bo tak się składa, że zamordowani chłopcy mają ważnych rodziców i żadna siła nie wstrzyma śledztwa, wręcz przeciwnie. Wie pani, co się wówczas stanie.

- Nie rozumiem, o co panu chodzi.

- To ja pani powiem. Pani myśli, że jeżeli maniak z ogródków jest pani krewnym lub kimś bliskim, to nie będzie pani odpowiadać karnie za krycie go. Może. Ale oprócz odpowiedzialności karnej jest jeszcze inna odpowiedzialność. Jeżeli okaże się, że kryła pani homicydalnego maniaka, to w tym szpitalu, a i w innych szpitalach tej branży na całym świecie, będzie pani skończona. Uratować może panią jedynie zdrowy rozsądek. Czekam, aż go pani przejawia.

- Pan... Powtarzam, że nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi - opuściła głowę Iza. - To nie był mój głos, słyszy pan? Podobny, ale nie mój. To nie był mój sposób wyrażania się. Ja tak nie mówię. Może pan spytać, kogo pan chce!

- Pytałem - powiedział Nejman. - Mnóstwo osób panią rozpoznało. Wiem też, z jakiego aparatu dzwoniło. Niech się pani poważnie

zastanowi, pani Izo. Proszę przestać kierować się emocjami. Mamy do czynienia z morderstwem, z bestialskim mordem popełnionym na ludziach. Na ludziach, rozumie pani? Pojmuje pani, że tego nie można usprawiedliwić niczym, a już na pewno nie troską o dobro zwierząt. Ta zbrodnia to typowy przejaw reakcji paranoika, maniaka. Pomścił kota, zabił dzieci, które go męczyły.

A jutro zamorduje kogoś, kto bije psa. Pojutrze zakatrupi panią, gdy rozdepcze pani szczypawkę na chodniku.

- O co panu chodzi?

- Twierdzę, że świetnie pani wie, o co mi chodzi. Bo pani wie, kto to zrobił i dlaczego to zrobił. Bo pani go leczyła, albo nadal leczy, i wie, na czym polega, przepraszam, zajob pani pacjenta. To jest ktoś, przepraszam, szurnięty na punkcie dobroci dla zwierząt.

- Panie Nejman - powiedziała Iza, dygocąc, nie panując nad drżeniem rąk i uciskiem w mostku. - To pan jest szurnięty. Przepraszam. Niech mnie pan aresztuje. Albo niech mnie pan zostawi w spokoju.

Nejman wstał, aspirant Zdyb wstał również.

- Szkoda - powiedział komisarz. - Szkoda, pani Izo. Gdyby pani się jednak zdecydowała, proszę do mnie zatelefonować.

- Nie mam na co się decydować - powiedziała Iza. - I nie znam pana numeru.

- Ach tak - Nejman pokręcił głową, patrząc jej w oczy. - Rozumiem. Szkoda. Do widzenia, pani Izo.

CHĘCLEWSKI - Panie Chęclewski - powiedział komisarz policji Nejman. - Myślałem, że mam do czynienia z poważnym człowiekiem...

- Ej! - adwokat uniósł rękę w ostrzegawczym geście. - Uważaj pan. Nie jesteśmy w komisariacie. O co panu chodzi, do cholery?

- Widzi pan - powiedział aspirant Zdyb, nie kryjąc złości. - Tyle było dowcipów o milicjantach, a tak mało o mecenasach. A wygląda, że niesłusznie.

- Jeszcze słowo, a wyrzucę was obu za drzwi - powiedział wolno Chęclewski. - Co to za gadka? Na co wy sobie pozwalacie, panowie milicjanci?

- Policjanci, jeśli łaska.

- Policjanci od siedmiu boleści. Zabójca mojego syna chodzi sobie na swobodzie, a wy tutaj przychodzicie wygadywać brednie. No, jazda, kawę na ławę. Mój czas to są pieniądze, panowie.

- Pan za dużo gada - rzekł Nejman. - Jak się pan zapamięta, to nie może przerwać. Gada pan do nas, a co gorsza, także do innych. I przez to rypła się cała sprawa, panie mecenasie.

- Co się rypło? Jaśniej, panowie.

- Nazwisko Przemęcka mówi panu coś? Doktor Przemęcka, z wariatkowa.

- Nie mam znajomości u czubków. Co to za jedna?

- Ta jedna wie o wszystkim, cośmy zaplanowali. Nie od nas. Wychodzi na to, że wie od pana. A jeśli tak jest, to nie ona jedyna.

- Bzdura, czyli bullshit - wyprostował się Chęclewski. - O planie wiem wyłącznie ja i wy obaj. Ja nie mówiłem o tym nikomu. To wy jęczeliście i stękaliście, że nie możecie niczego zrobić bez wiedzy przełożonych. A więc poinformowaliście przełożonych, a przełożeni zapewne poinformowali pół miasta, w tym i doktor Przesmęcką, czy jak jej tam. Quod erat demonstrandum, czyli co było do okazania. Szkoda, panowie. I pan się pomylił, panie Zdyb. W dowcipach o milicjantach jest jednak sporo prawdy.

- Nie mówiliśmy o niczym nikomu - poczerwieniał aspirant. - Nikomu, słyszysz pan? Ani przełożonym, ani żonom. Nikomu.

- Dobra, dobra. Cudów nie ma. Chyba, że... Ta doktor z wariatkowa, jak mówicie, mogła was po prostu podpuścić. Blefować. Co wam powiedziała? Kiedy? Przy jakiej okazji?

- Niech pan sam posłucha. Daj magnetofon, Andrzej.

Siedzieli, paląc papierosa za papierosem. Nejman obserwował, jak w domu naprzeciwko łysy facet z pomocą kilku koleżków montuje na balkonie wielką miche, wyglądającą, wypisz wymaluj, jak antena satelitarna. Z sąsiedniego balkonu, na którym stał jaskrawo pomalowany koń na biegunach, przepełzła do monterów łaciata świnka morska. Łysy, nie puszczając michy, kopnął ją. Świnka spadła z balkonu. Nejman nie wstał, by zobaczyć, co się z nią stało. To było ósme piętro.

- Taaak - powiedział adwokat, wysłuchawszy nagrania do końca. - Czy ona ma aby wszystkich w domu, ta lekarka? Znacie ten dowcip...

- Znamy - powiedział aspirant Zdyb.

- Zastona. Jaka zastona? I ten... wehał, czy jak... Bełkot jakiś. Ta doktorka... Przesmycka?

- Przemęcka.

- Znacie ją? Sprawdzaliście, co to za jedna?

- Sprawdzaliśmy. Młoda, bez dużej praktyki klinicznej, mało kontaktów z pacjentami. Zajmuje się jakimiś badaniami. To skomplikowane, cholera, chodzi o fale mózgowo, neurony, zapomniałem.

- Szalona pani doktor Frankenstein - wykrzywił się adwokat. - Wiecie co? Ja bym się całą sprawą nie przejmowałem.

- A ja odwrotnie - powiedział Nejman. - Więcej powiem, już się zacząłem przejmować. Panie Chęclewski, u nas się jeszcze nie skończyło, czystka trwa. Komuś może cholernie zależeć, żeby mnie udupić. Lekko pieprznięta lekarka to taki sam instrument prowokacji, jak każdy inny, ani lepszy, ani gorszy. Ja to mam przerobione.

- Pan jesteś egocentryk, panie Andrzeju - rzekł Chęclewski. - Pańska osoba w tej sprawie jest, wybacz pan, mało ważna.

- Oby - uśmiechnął się komisarz. - Wcale bym się nie zmartwił. Ale i pan, drogi panie Chęclewski, chyba się mylił. Po telefonie od pani doktor głowę bym sobie dał urwać, że pańskiego syna zabił przypadkowy szaleniec. To nie była żadna zemsta. Niezależnie kogo i dlaczego bronił

pan w stanie wojennym i ilu sekretarzom zrobił pan koło pióra po. Piasecki to pan nie jest. Wybaczy pan.

- Konkluzja? - adwokat poczerwieniał lekko.

- Prosta jak drut. Jeżeli to jest szaleniec, to z punktu widzenia prawa jest to człowiek chory. Chory, rozumie pan, mecenasie?

- Jak słyszę coś takiego - wybuchnął Chęclewski - to mi zęby trzeszczą! Chory, skurwysyn! On mojego Maćka... Chory!

- Ja pana rozumiem. Mnie też trzęsie. Ale nic nie da się zrobić i to wyraźnie powiedziała ta lekarka. Założmy, że blefowała, że nie wie nic o naszym planie. Ale mogła się domyślić, więc ostrzegła mnie. Wyraźnie mnie ostrzegła.

- Pan się w jej bełkocie doszukał ostrzeżenia? Przed czym?

- Niech się pan nie zgrywa. Ostrzegła mnie, żebym nie próbował ująć tego wariata w charakterze zimnego mięsa. Mogę go aresztować używając łagodnej perswazji, związać w kaftan i oddać specjalistom. Na kurację.

- Strach pana obleciał, panie Andrzeju, i dlatego nieprawidłowo pan rozumuje - adwokat splótł dłonie. - Ja też słuchałem tego nagrania. I zupełnie co innego miało w nim kardynalne znaczenie. Niech pan posłucha.

Zabawimy się. Ja będę panem, a pan pańskim pułkownikiem czy tam inspektorem policji, tak to się teraz nazywa, jeśli się nie mylę. Słuchaj pan, panie inspektorze policji. Przeanalizowałem dziwną rozmowę z panią doktor Iks. Uderzyło mnie, że kilkakrotnie używała słów, z których wynikało, że podejrzany furiat jest straszliwie niebezpieczny. Utkwiło to w mojej podświadomości tak głęboko, że kiedy doszło do konfrontacji, nerwy mi puściły. Widząc, że atakuje mnie z niebezpiecznym narzędziem, użyłem broni służbowej, nie przekraczając granic obrony koniecznej. Co? Dobrze było, panie inspektorze. Dobrze tłumaczenie?

- W dupę niech pan sobie wsadzi takie tłumaczenie - powiedział

spokojnie Nejman. - Tak powiedziała by, oczywiście, mój inspektor do mnie.

Panie mecenasie, pan dobrze wie, co oznacza obrona konieczna w przypadku uzbrojonego policjanta, który w dodatku wie, że ma do czynienia z kimś o ograniczonej poczytalności. To nie jest Ameryka. Nie mam zamiaru trafić do kryminału.

Adwokat zamyślił się, milczał przez dłuższą chwilę.

- No, dobrze - powiedział wreszcie. - Może faktycznie ma pan rację, panie Nejman. Co więc robimy?

- Rozwiązujemy umowę.

- No, tu idzie już pan nieco za daleko, nie uważa pan? Rozumiem, strzelanie nie wchodzi w grę ani żaden inny poważny wypadek. Ale facet może stawiać opór. Uciekać. Może się potknąć i zdrowo potłuc. Słyszałem o takich wypadkach, nasłuchiwałem się o nich od moich klientów. A propos, wiecie, panowie, że kilku moich klientów jest obecnie w Warszawie?

- I co z tego?

- Bardzo wiele z tego. Moja propozycja jest taka: utrzymujemy umowę w mocy. Proponuję korzystne warunki. Za umożliwienie mi osobistego udziału w akcji, za satysfakcję dotknięcia ręką i nogą mordercy mojego syna daję wam poparcie z bardzo wysoka na wypadek dalszych czystek w policji, względnie jakichś nieprzewidzianych komplikacji w naszym planie. Moi przyjaciele z Warszawy, jeśli będzie trzeba, uciszą też panią Przemęcką od czubków, nie bójcie się. No, a do tego, jak się umówiliśmy, dochodzi konkretna gratyfikacja finansowa dla was dwóch.

- Trzech - powiedział aspirant Zdyb.

- Jak to, do diabła? - zdenerwował się Chęclewski. - Trzech? Trzech to wielka gromada ludzi, imię ich jest legion, kurwa. Po co trzeci?

- Dla uwiarygodnienia raportu. Tak się u nas zawsze robi. Trójka murarska. Panie mecenasie, pan jest od koncepcji, my od techniki. Znamy się na tym.

- Pewny chociaż ten trzeci?

- Sto procent, czyli hundred per cent.

- Niech więc będzie - skrzywił się adwokat. - No? Panie Nejman, mam nadzieję, że jest pan przekonany.

- Nie do końca - powiedział komisarz. - Tolek? Wydaje ci się...

- Powinno być dobrze - rzekł aspirant. - Jedna rzecz mnie trochę niepokoi. Czy nie za szybko zakładamy, że to jest chory psychicznie. To może być taki zielony, greenpeace, rozumiecie? Miłośnik zwierząt.

Zobaczył, że dzieciaki męczą kota, i odbiło mu. Czytałem o podobnym przypadku, w „Przekroju” chyba. Facetowi oślepił psa czy kota, już nie pamiętam. Jak o tym czytałem, to czułem, że w pisaniu o tym facet wyładował swoją wściekłość, żal, chęć zemsty. Inny mógłby wyładować się inaczej. Wzięłby nóż, siekierę, sztchetę i zemścił się za swojego psa.

- To na jedno wychodzi - powiedział Chęclewski. - Kto tak reaguje, ten jest stuknięty. Quod erat demonstrandum.

- To wcale nie na jedno wychodzi - podchwycił myśl Nejman. - Szajba na punkcie zwierzaków może się nie zakwalifikować u psychiatrów. Z ich punktu widzenia facet będzie całkowicie normalny i będą go słuchać, gdy opowie, w jaki sposób go capnęliśmy i cośmy mu wtedy zrobili.

- Widziałem w swojej karierze wielu opowiadających, co wydarzyło im się na milicji - powiedział adwokat, uśmiechając się krzywo. - Ale nie przypominam sobie żadnego, któremu by formalnie dano wiarę. A jeżeli nawet opowie, w jaki sposób go ujęliście, to co? Myślicie, że ktoś się przejmie głupim kotem?

- Może i nie - powiedział Zdyb. - A co się stanie, jeśli tego kota usłyszy ktoś całkiem ni pri czom? I przyleci zobaczyć, co się dzieje?

- Żartujesz, Tolek - Nejman wzruszył ramionami. - Tym to bym się akurat nie przejmował. Kogo może obchodzić kot?

- A propos kota - powiedział Chęclewski. - Trzeba jakiegoś zorganizować.

- Z tym nie powinno być kłopotu - rzekł Nejman. - Kotów jest pełno.

Dzieciaki mojej sąsiadki, na ten przykład, mają kota. Powinien się nadać.

Iza Iza leżała spokojnie, jak gdyby bała się, że najłżejsze poruszenie może spłoszyć ten oddalający się, nieuchwytny sygnał, bałamutną i kłamliwą zapowiedź nieziszczalnego orgazmu. Przytulony do niej mężczyzna oddychał równo, miarowo, najwyraźniej zapadł już w drzemkę. Buczał autoalarm, daleko i cicho.

- Heniu - odezwała się.

Mężczyzna drgnął, wyrwany z półsnu, zbliżył twarz do jej nagiego ramienia.

- Co, Izunia?

- Niedobrze jest ze mną, Heniu.

- Znowu? - przestraszył się mężczyzna. - Cholera, powinnaś jakoś podregulować ten twój cykl, Iza.

- To nie to.

Mężczyzna odczekał chwilę. Iza nie kontynuowała.

- Więc co? - spytał wreszcie.

- Heniu... Objawem czego są okresy niepamięci?

- Dlaczego pytasz? Masz takowe?

- Ostatnio często. Dość długie. Poza tym halucynacje. Urojenia słuchowe. Omamy.

Mężczyzna spojrzał dyskretnie na zegarek.

- Heniu.

- Słyszałem - mruknął, lekko zniecierpliwiony. - I co? Jesteś specjalistką. Jaka jest twoja diagnoza? Anaemia cerebri? Początki schizofrenii? Astrocytoma na płacie czołowym? Inne gównu uciskające śródmózgowie? Iza, każdy psychiatra odnajduje u siebie różne podobne objawy, to po prostu skrzywienie zawodowe. Muszę ci mówić, jak niewiele wiemy o mózgu, o zachodzących tam procesach? Moim

zdaniem, jesteś po prostu przepracowana. Nie powinnaś spędzać tylu godzin z twoimi kotami, przy tej aparaturze. Wiesz przecież, jak szkodliwa jest wysoka częstotliwość, pola, promieniowanie ekranów. Zostaw to wszystko na jakiś czas, weź urlop. Odpocznij.

Iza uniosła się na łokciu. Mężczyzna, leżąc na wznak, głaskał jej piersi, automatycznym, wyuczonym ruchem, którego nie lubiła.

- Heniu.

- Hę?

- Chciałabym, abys mnie zbadał. Na EEG albo izotopem.

- Mogę, czemu nie. Ale...

- Proszę cię.

- Dobrze.

Milczeli.

- Heniu.

- Tak?

- Elżbieta Gruber. Leczysz ją. Co z nią naprawdę jest?

- Interesuje cię to? Prawda, słyszałem. To dość dziwny przypadek, Iza. Przywieźli ją w szoku, z objawami typowymi dla wylewu. Prawie natychmiast przeszła w stan komatyczny, który nie łagodnieje i nie ustępuje. Skłaniam się ku pogładowi, że na szok nałożył się u niej stan zapalny w dnie komory trzeciej lub w wodociągu Sylwiusza.

- Encephalitis lethargica?

- Aha. Dlaczego pytasz?

Iza odwróciła głowę. Zza okna, mieszając się z następnym rozpaczliwym buczeniem autoalarmu, rozbrzmiał skowyt psa, urywany, coraz głośniejszy.

- Nogi bym takiemu powyrywał - odezwał się mężczyzna, patrząc w stronę okna. - Ma problemy w pracy albo w domu, a wyładowuje się na zwierzęciu, bydłak.

- Veehal rozdziera Zasłonę - powiedziała wolno Iza.

- Co?

- Veehal. Głos katowanego zwierzęcia. Głos rozpaczony, strachu, bólu, odbierający zmysły.

- Iza?

- Krzyk, który nie jest krzykiem - Iza mówiła coraz głośniej - Veehal. Veehal rozdziera Zastłonę. Tak mówiła... Ela Gruber. Ona to widziała.

- Podobno... - zająknął się mężczyzna. - Iza! Ona nie mogła... Dziewczynka jest w śpiączce! O czym ty mówisz?

- Ona mówi do mnie. Mówi i każe mi robić różne rzeczy.

- Iza, naprawdę powinnaś wziąć urlop - mężczyzna spojrzał na nią, westchnął. - Ale przedtem przyjdź do mnie, zbadam cię. To ten cholerny stres, ta parszywa robota, wszystko w tym kraju. Nie można się tak tym przejmować, Iza.

- Heniu - Iza usiadła na łóżku. - Czy nie rozumiesz, o czym mówię? Ela Gruber mówi do mnie. Słyszę ją. Ona widziała...

- Wiem, co ona widziała. To zapewne było przyczyną szoku i wylewu. Była świadkiem morderstwa na działkach.

- Nie.

- Jak to?

- To było później. Ona tego już nie widziała. Widziała... deskę położoną na głowie kota, zakopanego po szyję w ziemi. Nogi deptające po tej desce. Oczy... Dwie kuleczki...

- Jezus Maria! Iza? Skąd ty o tym... Od kogo?

- Powie... dzieli mi...

- Kto?

- Muzy... kanci...

- Kto?

Iza, opuściwszy głowę na podkurczone kolana, zatrzęsła się od płaczu.

Mężczyzna milczał. Myślał o tym, jak nieodporne są kobiety, do jakiego stopnia ich babskie emocje rządzą nimi, przeszkadzają pracować,

przeszkadzają cieszyć się życiem. O tym, że ogromnym nieszczęściem jest feminizacja pewnych zawodów, absolutnie nieodpowiednich dla kobiet. Z Izą, myślał, naprawdę jest niedobrze. Niepokoił się. Przez chwilę. A po chwili górę wziął poważniejszy niepokój - co powiedzieć żonie, gdy wróci od Izy do domu. W tym miesiącu wykorzystał już wszystkie dobre tłumaczenia.

Pomyślał, że koniecznie musi zbadać Izę, zrobić jej EEG, przeprowadzić testy. Mógłby to zrobić nawet we wtorek, ale obiecał koledze, że we wtorek wpadnie do niego na działkę, by pomóc truc krety. Cholera, pomyślał, zapomniałem dzisiaj wziąć strychninę ze szpitala.

- Weź urlop, Iza - powiedział.

BŁĘKITNY POKÓJ - Marylko! - zawołała Iza, patrząc na pusty, pokryty białym prześcieradłem i ceratą stół, na porozrzucane przewody, igły, czujniki, skórzane paski i sprzączki.

- Marylko!

- Jestem, pani doktor.

- Gdzie jest moja kotka?

- Kotka? - zdziwiła się laborantka.

- Kotka - powtórzyła Iza. - Ta pręgowana. Ta, której ostatnio używałam. Co się z nią stało?

- Jak to? Przecież pani sama...

- Co, ja?

- Pani kazała mi ją przenieść... O, tu stoi klateczka. Potem kazała mi pani przynieść mleka. Jak przyniosłam, pani nakarmiła tego kota...

- Ja?

- Tak, pani doktor. A potem otworzyła pani okno. Nie pamięta pani?

Kot wskoczył na parapet. Nawet powiedziałam wtedy, że on pani ucieknie. I kot uciekł. A pani...

- Co, ja? - Iza słyszała muzykę. Potarła twarz dłonią.

- Pani zaczęła się śmiać...

- Muszę, pomyślała Iza, muszę iść do Eli Gruber.
- Dlaczego? Po co?
- Muszę iść do Eli Gruber.
- Dlaczego?
- Ela Gruber mnie wzywa.

DEBBE Debbe biegła, to szybciotko drobiąc łapkami, to wyprężając się w długich susach. Wiedziała, dokąd bieć. Daleka muzyka, odległy zew cichej melodii nieomylnie wskazywały jej drogę.

Dobiegła do skraju krzewów, za którymi, niczym powierzchnia zatrutej rzeki, połyskiwał asfalt. Po nim, dudniąc i sycząc jak smok, przemknął, kołyszając się, wielki, ociężały autobus.

Muszę się z nią pożegnać, pomyślała Debbe. Zanim odejdę, muszę jeszcze się z nią pożegnać. I ostrzec. Po raz ostatni. Ciekawe, gdzie też może być Brema?

Skoczyła.

Nadjeżdżający samochód omiótł ją światłami. Na sekundę dostrzegła czerwoną, tłustą gębę człowieka, dodającego gazu i raptownie skręcającego kierownicę. Samochód runął w jej kierunku, czuła, jak maszyna drga wściekłością, zdecydowaniem i żądzą mordy. Uskoczyła w ostatniej chwili, podmuch musnął jej futerko.

Pobiegła wzdłuż żywopłotu, mały, pręgowany cień.

LOCUS TERRIBILIS Koty były wszędzie dookoła - nieruchome, z uniesionymi głowami, patrzyły, nasłuchiwały. Odwracały głowy za przechodzącą Debbe, witały ją miauknięciami, pełnymi szacunku zmrużeniami oczu. Żaden nie poruszył się, nie podszedł. Znak Pająka Pogońca na czole kotki płonął w mroku widmowym światłem.

Czuła, że to miejsce jest dziwne, niebezpieczne. Wyczuwała opuszkami łapek pulsowanie ziemi, słyszała nierealne szepczące głosy. Przez chwilę, za zasłoną z rozdygotanej mgły, widziała... ogień i krzyże,

odwrócone, zatknięte...

Debbe zamruczała w takt melodii. Obrazy znikły.

Z daleka zobaczyła czarny kształt - resztki pieca zarytego w ziemi niczym wypalony wrak czołgu na polu bitwy. Obok pieca, ciemne na tle nieba, trzy niewielkie sylwetki. Podeszła bliżej.

Czarny pies z krzywą, zgiętą łapą.

Szary szczur z długim wąsatym pyszczkiem.

I mały rudawy chomik.

Muzykanci.

ŻÓŁTY POKÓJ - ...uciekł rozbójnik, co sił w nogach - czytała monotennie babcia - i zdał sprawę hersztowi. To na nic, straciliśmy naszą siedzibę, powiedział. W domu siedzi straszliwa czarownica, która naparskała na mnie i podrapała mi twarz pazurami. Przy drzwiach czai się człowiek uzbrojony w nóż. Na podwórzu ma legowisko czarny potwór, ten uderzył mnie pałką. A na dachu siedział sędzia, który krzyknął: „Dajcie łotra tu!”

Chłopiec zaśmiał się srebrnym głosikiem. Venerdina, leżąca na łóżku, zwinęła się w kłębek, zastrzygła uchem.

- I co dalej? Czytaj, babciu!

- I to koniec bajki. Rozbójnicy uciekli i nigdy nie wrócili, a pies, kot, osioł i kogut zamieszkali w leśnym domku i żyli długo i szczęśliwie.

- I nie poszli tam... no, tam, dokąd się wybierali?

- Do Bremy? Nie. Chyba nie. Zostali w domku i tam sobie żyli.

- Aha - chłopiec zamyślił się, gryząc palec. - Szkoda. Przecież tam właśnie powinni iść. To pies wymyślił, kiedy go wygnali, bo już był stary. To bardzo brzydko. Ja nigdy nie pozwolę wygnać naszej Mruczki, choćby była nie wiem jak stara.

Venerdina uniosła głowę i popatrzyła na malca żółtym, nieodgadnionym spojrzeniem.

- Śpij, Mariuszk. Już późno.

- Tak - rzekł sennie chłopczyk. - Nawet gdy będzie bardzo stara. U nas

i tak nie ma myszy. A oni powinni pójść do tej Bremy. Oni wszyscy byli... Nie zabieraj Mruczki, babciu. Niech śpi ze mną.

- Nie powinno się spać z kotem...

- A ja chcę.

ELA GRUBER Iza poderwała głowę, budząc się, przeciągnęła ręką po prześcieradle. Za oknem była ciemność. Siedziała na łóżku, a dotyk prześcieradła poraził ją obcością, brutalnie szczerą pewnością, że...

Nie powinna być tutaj.

- Słyszysz mnie? - powiedziała dziewczynka leżąca na łóżku.

Iza kiwnęła głową, potwierdzając to, co było niemożliwe. Oczy dziewczynki były szkliste i puste, po brodzie ciekła jej wążutka, lśniąca strużka śliny.

- Słyszysz? - powtórzyła dziewczynka, sepleniąc z lekka, niezgrabnie poruszając skrzywionymi wargami zlepionymi białawym nalotem.

- Tak - powiedziała Iza.

- To dobrze. Chciałam się z tobą pożegnać.

- Tak - szepnęła Iza. - Ale to przecież...

- Niemożliwe? To chciałaś powiedzieć? Nie szkodzi. Nie udało nam się, dużo nam się nie udało, jasnowłosa. Chcę się z tobą pożegnać. Może cię to zdziwi, ale... polubiłam dotyk twojej dłoni. Posłuchaj mnie uważnie. Jeżeli dzisiejszej nocy zabrzmi veehał, Zasłona pęknie. Nie wiem, czy uda nam się powstrzymać... tamtych. Dlatego musisz uciekać. Co masz zrobić, powtórz.

- Nie wiem - jęknęła Iza.

- Masz uciekać! - krzyknęła Ela Gruber, szarpiąc nagle głowę po poduszce. - Uciekać, jak najdalej od Zasłony! Nie staraj się niczego zrozumieć i wierz w to, co widzisz! Wyda ci się, że majaczysz, że to sen, koszmar, a to będzie rzeczywistość! Pojmujesz?

- Nie... Nie pojmuję. Ja... zwariowałam, tak?

Dziewczynka milczała, wpatrzona w sufit maleńkimi jak ukłucia

szpilki punkcikami źrenic.

- Tak - powiedziała. - Wszyscyście zwariowali. Już dawno temu. Jeszcze jedno szaleństwo, maleńkie ziarenko na szczycie ogromnej góry szaleństw. Ten ostatni veehal, którego nie miało być. Kto wie, może to dzisiaj? Słuchasz mnie?

- Słucham - powiedziała Iza, zupełnie spokojnie. - Ale ja jestem psychiatrą. Doskonale wiem, że ty nie możesz do mnie mówić. Jesteś w śpiączce, w komatozie. To nie ty. Głos, który słyszę, emituje mój chory mózg. To halucynacja.

- Halucynacja - powtórzyła dziewczynka, uśmiechając się. To przykurcz mięśni twarzy, wyłącznie przykurcz powylewowy, pomyślała Iza, w tym nie ma niczego upiornego. Niczego upiornego, pomyślała, czując, jak jeżą się jej włosy na karku.

- Halucynacja, mówisz - ciągnęła Ela Gruber. - Czyli coś, czego w istocie nie ma. Fałszywy obraz. Czy tak?

- Tak.

- Można to słyszeć. Można to widzieć. Ale tego nie ma. Czy tak?

- Tak.

- Jak my bardzo się różnimy, ty i ja. Podobno mój mózg jest mniej rozwinięty od twojego, ale ja, dla przykładu, wiem, że to, co widzę i co słyszę, jest. Istnieje. Gdyby nie istniało, jak można by to zobaczyć? A jeżeli istnieje i ma szpony, kły, żądło, to trzeba przed tym uciekać, bo może cię okaleczyć, zmiażdżyć, rozszarpać. Dlatego właśnie musisz uciekać, jasnowłosa. Przez przedartą Zastonę przejdą halucynacje. To dobre określenie na coś, co nie ma własnej postaci, ale zyskuje ją w mózgu tego, kto na to patrzy. O ile ten mózg wytrzyma taką próbę. A mało który wytrzyma. Ostatni raz mówię: żegnaj, jasnowłosa.

Głowa Eli Gruber obróciła się bezwładnie w bok, spoglądając na Izę martwym, szklanym okiem.

Kot - Dobra, już. Teraz - szepnął Chęclewski.

Nejman spojrział na zegarek. Była dziewiąta dwadzieścia trzy. Gdy patrzył, ostatnia cyferka zatańczyła jak kościotrup w animowanym filmie, stając się czwórka. Po torach, za ogródkiem, w głębokim, obrośniętym jarzębiną wykopie łoskotał i dudnił pociąg.

- Na co czekamy, cholera? - denerwował się adwokat.

Nejman wyciągnął z plastikowego worka gruby tłumok okręcony kilkoma ręcznikami i jutowym sznurkiem. Z zawiniątka wystawał biało-czarny koci łeb, z drugiej strony - ogon i tylne łapki zwierzątka.

Nejman wydobył z kieszeni kurtki kombinerki izolowane pomarańczowym plastikiem.

Dalej, za altankami, Zdyb, przyczajony obok Wendy, ciężko bulgocącego przez zakatarzony nos, wzdrygnął się na odgłos, który dobiegł go od strony ogródków.

- Jezu - smarknął Wenda. - Ale to go musi boleć...

Na Dołach koty przypadły do ziemi, szczerząc białe kły, płasko kładąc uszy.

Muzykanci, cała czwórka, byli gotowi.

ZDYB Dudnienie pociągu ścichło, echem toczyło się jeszcze po betonowych ścianach bloków. I wtedy potworny wrzask od strony ogródków powtórzył się, eksplodował jak granat, wzbił się nieprawdopodobnie wysoko, falujący, rozedrgany, straszny.

- Matko Boska! - krzyknął Wenda. - Tolek! To nie kot!

Zdyb zerwał się, rozpinając kurtkę, wyszarpnął pistolet z kabury. Ryk - bo to był już ryk, nie wrzask, urwał się, pękł, wibrując jak przecięty nożycami stalowy drut. Zdyb biegł. Przeskoczył żywopłot, przedarł się przez krzaki agrestu. W tym momencie noc rozszarpał drugi wrzask, jeszcze potworniejszy od poprzedniego, krótki, urwany.

- Andrzejeeej!!! - ryknął aspirant.

Rwąc przez pomidorowe tyczki, zderzył się z pełną wody beczką, odbił się od niej jak od muru, potknął się, upadł, zerwał się, poślizgnął,

upadł ponownie, podpierając się odruchowo, wtłoczył lufę P-83 w mokrą ziemię. Za sobą słyszał przekleństwa Wendy, który utknął na elastycznej przegrodzie drucianej siatki.

- Andrzej!!!

Potknął się znowu. Zobaczył, o co. I wtedy zaczął krzyczeć.

Nejman nie miał głowy.

Coś uderzyło go w pierś. Zdyb, klęcząc, zadławił się i wrzasnął, wrzasnął do bólu, tak że własny wrzask zakołatał mu w uszach. Gwałtownym, nie skoordynowanym ruchem odtrącił od siebie rękę w skrwawionym, popelinowym rękawie, z którego sterczała oślizgła, gładka, biała nawet w mroku kość.

Na trawniku, na tle wyraźnej, rzadkiej palisady słoneczników coś siedziało. Coś, co było wielkie. Wielkie jak ciężarówka. Granatowe niebo, podczerwienione dalekim neonem, rozświetlało się lekko za plecami siedzącego na trawie ogromu - wyglądało tak, jak gdyby to ogromne coś przedarło się przez niebo i noc, zostawiając za sobą dziurę i choinkę pęknięć.

Kolejny pociąg, wpadając na przejazd kolejowy, smagnął zarośla jaskrawym batem światła. Zdyb otworzył usta i zachrypiał.

Przykucnięty na trawniku garbaty stwór o ogromnym, pokrytym naroślami brzuszysku, olbrzymich uszach i wydłużonym, najeżonym zębami pysku, uniósł ciało Chęclewskiego w sękatych łapach. Reflektory pociągu zakotłowały ogródki tysiącem ruchliwych cieni. Zdyb chrypiał.

Stwór otworzył paszczkę i z chrzęstem, jednym kłapnięciem, odgryzł Chęclewskiemu głowę, daleko, z rozmachem, odrzucając korpus. Zdyb usłyszał, jak ciało huknęło o konstrukcję z falistej blachy. Mocz ciepłą falą spływał mu po udzie. Nie widział już nic, ale wiedział, czuł, że potwór, miarowo przestawiając krótkie, wielkostożowe łapy, idzie ku niemu.

Zdyb chrypiał. Bardzo chciał coś zrobić. Cokolwiek.

Ale nie mógł.

KROPLE Muzyka klejąca Zastonę rwała się, pękała, rozpadała na elastyczne strzępy. Pęknięcie powiększało się, z tamtej strony pełzły kłębiaste, cuchnące opary, wielkie, postrzępione cirrusy, mgła brzemienista ciężką jak plwocina wilgocią, mieszając się z kwaśnym smogiem miasta. Na dachy, na asfalt, na szyby, na samochody padły pierwsze, rzadkie krople.

Padły krople żółtawe, syczące w zetknięciu z metalem, wciskające się w szpary i szczeliny, gdzie paliły izolację kabli i gryzły miedź przewodów.

Padły krople brunatne, wielkie i lepkie, a tam, gdzie padły, bledła trawa, liście zwijały się w trąbki, czerniały łodygi i gałązki.

Padły krople atramentowosine, a tam, gdzie padły, parował i topił się beton, gotowała cegła, a tynk płynął po murze jak łyzy.

I padły krople przejrzyste, które wcale nie były kroplami.

RENATA Renata Wodo miała niegroźną obsesję, dziwaczny zwyczaj - niezmiennie, kładąc się do łóżka, sprawdzała, czy pokrywa sedesu jest opuszczona, a drzwi do łazienki zamknięte. Sedes, otwarty na tajemniczy i złowrogi labirynt kanałów i rur, był zagrożeniem - nie mógł pozostać otwarty, nie zabezpieczony - wszakże „coś” mogło z niego wyjść i zaskoczyć Renatę podczas snu.

Tej nocy Renata jak zwykle opuściła pokrywę. Przebudziwszy się, zaniepokojona, zlaną zimnym potem, targając się w półśnie jak ryba na lince, starała się przypomnieć sobie, czy zamknęła drzwi. Drzwi do łazienki.

Zamknęłam, pomyślała usypiając. Na pewno zamknęłam.

Myliła się. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia.

Pokrywa sedesu uniosła się powoli.

BARBARA Barbara Mazanek panicznie bała się wszelkich owadów i robaków, ale prawdziwy, tryskający adrenaliną strach i miotający całym

ciałem wstręt budziły w niej skorki - płasko-obłe, ruchliwe, brązowe monstra, zbrojne w cęgowate kleszcze na końcu odwłoka. Barbara głęboko wierzyła, że ta szybko biegająca, wciskająca się w każdą szparę obrzydliwość czyha tylko na okazję, by wypełznąć jej do ucha i od środka wyžreć cały mózg. Spędzając wakacje pod namiotem, każdej nocy pieczołowicie wpychała do uszu korki ukrecone z waty.

Tej nocy, budząc się zaniepokojona, odruchowo przycisnęła lewe ucho do poduszki, a prawe przykryła ramieniem.

Nie miało to żadnego znaczenia.

Przez nieszczelne drzwi balkonowe, niczym brudna, oleista fala, zaczęły sączyć się i rozlewać po pokoju miliardy ruchliwych owadów. Oczka świeciły im czerwono, a kleszcze na końcach odwłoków były ostre jak brzytwy.

MUZYKANCI - Koniec - powiedział Kersten. Debbe milczała, siedząc nieruchomo z szeroko otwartymi oczami, leciutko poruszając czarnym końcem ogonka.

- Koniec - powtórzył pies. - Itka, nie możemy niczego zrobić. Niczego. Słyszycie? Pasiburduk, przestań, to nie ma sensu.

Chomik przestał grać, znieruchomiał, uniósł ku górze czarne guziczki ślepi. Taki już jest, pomyślał Kersten, nie zmieni się. Wszystko mu trzeba powtarzać dwa razy. Cóż, to tylko chomik.

Debbe milczała. Kersten położył się, opuścił pysk na łapy.

- Nie udało się i nie ma co dłużej próbować - powiedział. - Zasłona pękła ostatecznie i nie załatamy jej tym razem. Przeszli. Tamci. Oczywiście, Zasłona wkrótce zrośnie się sama, ale nie muszę wam mówić...

- Nie musisz - Itka wyszczerzył zęby. - Nie musisz, Kersten.

- Pewne szanse jeszcze to miasto ma. Dopóki Krostowaty nie przeszedł na tę stronę, miasto ma szanse.

- A inne miasta? - odezwał się niespodziewanie Pasiburduk. Kersten

nie odpowiedział.

- A my? - zapytał szczur. - Zostajemy?

- Po co?

Itka usiadł, opuszczając szpiczasty pyszczek.

- A zatem... Zgodnie z planem?

- Widzisz inne rozwiązanie?

Z oddali, od strony osiedla dobiegł ich dźwięk. Fala dźwięku.

Kersten zjeżył się, a Pasiburduk skulił w rudą kulkę.

- Masz rację, Kersten - powiedział Itka. - To koniec. Odchodzimy do Bremy. Tam czekają inni.

Szczur obrócił się w stronę Debbe, wciąż siedzącej nieruchomo jak puszysty, pręgowany posążek.

- Debbe... Co ci jest? Nie słyszałaś? Koniec!

- Zostaw ją, Itka - zawarczał Kersten.

- Wyglądasz - syknął szczur do kotki - jakby ci było ich żal. Co, Debbe? Żal ci ich?

- Co ty możesz wiedzieć, Itka - miauknęła cicho, złowrogo kotka.

- Żal? Może i tak, żal mi ich. Żal mi dotyku ich rąk. Żal mi szmeru ich oddechów, gdy śpią. Żal mi ciepła ich kolan. Żal mi naszej muzyki, którą, ledwo poznana, tracę. Bo to jest nikomu niepotrzebna muzyka i nigdy nikogo już nią nie uratujemy. Dlatego, że w każdej minucie, w każdej sekundzie, w tysięcznych punktach tej planety rozbrzmiewa veehal i będzie rozbrzmiewał coraz częściej. Aż do końca. Was też mi żal. Ciebie, Itka, i Kerstena, i Pasiburduka. Żal mi was, przegranych, zmuszonych do ucieczki. I siebie też mi żal, bo przecież i tak pójdę z wami, jako jedna z was. Chociaż to nie ma żadnego sensu.

- Mylisz się, Debbe - rzekł spokojnie Kersten. - My nie uciekamy. Tym razem nam się nie udało. Ale w Bremie... w Bremie czekają inni. Od niepamiętnych czasów Muzykanci schodzą się do Bremy. A gdy będzie nas więcej, silniejsza będzie i nasza muzyka, i kiedyś zamkniemy Zasłonę

ostatecznie i na zawsze, uczynimy z niej nieprzenikalny mur. Dlatego mylisz się, sądząc, że nasza muzyka jest niepotrzebna. I że ją utraciłaś. To nieprawda. I ty o tym wiesz.

- Uczucia biorą u ciebie górę nad rozumem, Debbe - dodał Itka. - Co z tego, że to miasto trochę się wyludni? W końcu zasłużyli na to. A ty... myślisz o ratowaniu jednostek. Pojedynczych ludzi, tych, których lubisz? To nieracjonalne. Myśl o gatunku. Jednostki nie mają znaczenia.

Kotka wstała raptownie, przeciągnęła się, mierzając szczura zielonym, złym spojrzeniem, w którym przez sekundę zagrała i zabłysła krwawa nienawiść gatunków. Itka nie drgnął nawet. Był Muzykantem i Debbe była Muzykantką. Patrzył, jak odchodzi na bok, pomiędzy osty i baldachimy traw, wyniosła, dumna i niepokonana. Do końca.

- Sentymentalna idiotka - mruknął, gdy był pewien, że kotka go już nie usłyszy.

- Zostaw ją - warknął Kersten. - Nie możesz jej zrozumieć.

- Mogę - wyszczerzył zęby szczur. - Ale nie chcę. Tłumaczyć dlaczego, też nie chcę. Najważniejsze, że jest z nami. To dobra Muzykantka. Kersten, może byśmy tak sobie wreszcie poszli?

- Poszli? - uśmiechnął się pies. - Dlaczego mamy iść, jeżeli możemy pojechać?

DIETER WIPFLER Dieter Wipfler przetarł oczy wierzchem dłoni, usiłując opanować dreszcze, mdłości i zawrót głowy. Wytarł spocone ręce o spodnie, chwycił kierownicę, ruszył, gdy zapaliło się zielone światło. Nie wiedział, gdzie jest. Z całą pewnością nie była to droga na Świecko, na której powinien się znajdować.

Ulice były puste, wyludnione, jak ze złego snu. Dieter Wipfler przymknął oczy, mocno je zacisnął, otworzył. Co ja tu robię, myślał, mijając krańcówkę tramwaju, gdzie ja jestem? Co ja tu robię? Co się ze mną dzieje, verfluchte Scheisse, ich muss krank sein. Jestem chory. Zjadłem coś trującego. Muszę się zatrzymać. Nie wolno mi jechać w takim

stanie.

Zatrzymać się. To, co leżało na krawężniku, to nie mógł być trup. Muszę się zatrzymać!

Dieter Wipfler nie zatrzymał się. Minął krańcówkę tramwaju i ogródki działkowe, jechał dalej żuźlową drogą, skrajem okropnego pustkowia, prosto w dziki księżycowy pejzaż. Jechał, chociaż nie chciał jechać. Nie wiedział, co się z nim dzieje. Nie mógł wiedzieć.

Zza rozświetlonej, drżącej zasłony Dieter Wipfler widział kończystą, smukłą wieżę kościoła buchającą jęzorami ognia. Widział drewniane rusztowania i zwisające z nich okaleczone ciała.

Das ist unmöglich!

Widział małego, czarnego człowieka, wymachującego krucyfiksem, krzyczącego...

Das ist unmöglich! Ich träume!

Locus terribilis!

Ogromna ciężarówka jechała wolno, miażdżąc kołami żużel, wygniatając w połaciach gliny zębate ślady protektorów. Na niebieskim boku potężnej przyczepy widniał napis, złożony z wielkich, trupiobiałych liter: KÜHN TEXTILTRANSPORTE GMBH

A poniżej była nazwa miasta: BREMEN

ŻÓŁTY POKÓJ Chłopiec spał niespokojnie, rzucał się. Venerdina postawiła uszy, wyteżyła słuch.

To coś, co powoli pełzło po murze, nie miało stałego kształtu - to była czarna plama, kłębek ciemności, pulsujący, rozdymający się, penetrujący mrok długimi mackami. Sierść na grzbiecie Venerdiny zjeżyła się jak szczotka.

Stwór, już na parapecie uchylonego okna, nadał się, zaczął twardnieć, unosić się na pokręconych odnóżach. Najeżył się kolcami, wzniósł w górę żądlasty ogon.

Kotka zmieniła pozycję. Przeciągnęła się lekko, wyciągnąwszy obie

łapki, wystawiła pazury. Wpatrzona w stwora szeroko otwartymi oczami, położyła uszy, skurczyła pyszczek, obnażając kły.

Stwór zawahał się.

Tylko spróbuj, powiedziała Venerdina. Spróbuj tylko. Przyszedłeś mordować śpiących, spróbuj stawić czoła tej, która czuwa. Lubisz zadawać ból i śmierć? Ja również. No, wejdź, jeśli się ośmielisz!

Stwór nie poruszył się.

Precz, powiedziała kotka z pogardą.

Przyczajony na parapecie kłębek mroku, czarny jak nicość, skurczył się, oklapł. I znikł.

Chłopiec jęknął przez sen, obrócił się na drugi bok. Oddychał równo.

Venerdina lubiła słuchać, jak oddycha.

Iza Ela Gruber nie żyła. Miała oczy otwarte, ale Iza była pewna, że nie żyje. Nie bardzo wiedziała, co zrobić. W tym momencie otworzyły się drzwi.

Weszła pielęgniarka.

- Obawiam się... - zaczęła Iza i urwała.

Pucołowata twarz pielęgniarki, jeszcze nie tak dawno temu sympatycznie naiwna, zmieniła się. Teraz była to twarz idiotki, kretyńsko uśmiechniętej hebefreniczki.

Pielęgniarka, nie zauważając Izy, podeszła do łóżka Eli Gruber, bezmyślnym, automatycznym ruchem poprawiła poduszkę. Ze stolika, stojącego obok, wzięła szklankę. Zapatrzona w okno, zgmiotła ją w pięści.

Z jej dłoni spłynęła strużka krwi. Pielęgniarka nie zwróciła na to uwagi, jej twarz nie drgnęła nawet. Podwinąwszy lewy rękaw, odłamkiem szkła rozcięła sobie wewnętrzną stronę przedramienia, ostrym, gwałtownym pociągnięciem - od zgięcia łokcia aż po wnętrze dłoni - raz, potem drugi raz. Krew bryznęła na biały fartuch, na połyskliwy blat stolika, na pościel, siknęła ostro na linoleum. Pielęgniarka zatrzęsała się we wstrzymywanym śmiechu, uniosła rękę,

lubując się tętniącymi falami buchającej krwi.

- Na pomoooooc! - wrzasnęła Iza, przełamując dławiącą jej gardło zgrozę. - Ludzie! Na pomoc! Niech ktoś pomoże!

- ...dzieeeee! - zawtórował histeryczny krzyk z korytarza.

- Ludzieeeee!

Do krzyku dołączyły inne, głośne, nienaturalne. Iza zorientowała się, że nakłada się na nie wycie syreny karetki. Pod pielęgniarzką ugięły się nogi, dziewczyna ciężko klapnęła na linoleum, schyliła głowę, zaczęła łkać.

Iza, cofając się, nie mogąc oderwać wzroku od pielęgniarki, wymacała za plecami kłamkę, wybiegła na korytarz.

Przy kaloryferze, opierając czoło o ścianę, klęczał młody lekarz, którego nie znała, rękawem wycierał cieknące po twarzy łzy. Spojrzał na Izę błędnym, przestraszonym wzrokiem.

- To wojna, proszę pani - wybełkotał. - To pewnie bomby z gazem psychotropowym. Pewnie użyto broni bakteriologicznej. Wszyscy powariowali... Wszyscy... To wojna! Trzeba zejść do schronów!

Iza cofnęła się, przerażona. Obok, z oddziału, słychać było brzęk i odgłosy walki. Coś ciężkiego huknęło o zamknięte drzwi.

- Gdzie tu jest schron? - krzyknął lekarz przy kaloryferze. - Ja nie chcę umierać.

- Miliicjaaaa! - wył ktoś piętro wyżej. - Jezuuuuu! Ratunkuuu!

Drzwi otworzyły się, oparte o nie ciało, zbryzgane czerwienią, wysunęło się na korytarz. Ogromny, półnagi, nie ogolony mężczyzna, uzbrojony w żelazny pręt, powoli, ostrożnie przestąpił nad trupem. Lekarz przy kaloryferze wrzasnął, wtulając twarz w żeliwne żeberka. Półnagi zakrakał dzikim śmiechem i uniósł pręt.

Iza obróciła się i popędziła przez korytarz, ścigana krzykiem i tępyimi odgłosami razów. Wybiegła przed szpital, przed samym wejściem poślizgnęła się na zwiędłych liściach, z trudem utrzymała równowagę.

Przed szpitalem stała karetka pogotowia, migocząca prawym kierunkowskazem. Boczne drzwi były otwarte, kierowca leżał na siedzeniach, jego ręka, fioletowosina w świetle jarzeńówek, zwisała bezwładnie na zewnątrz. Z głębi szpitala dobiegało obłąkańcze wycie, wrzask, brzęk tłuczonych szyb i szklanych naczyń.

Ulicą przemknął samochód z rozbitym przodem, z przygarbioną, pogiętą pokrywą silnika. Nad miastem, od strony ogródków działkowych, unosiła się powoli łuna, chmura dymu i krzyki, z oddali przypominające brzęczenie chrabąszczy.

Iza spojrzała na niebo, które zdążyło już nabrać koloru purpury przetykanej cienkimi, złotymi nitkami. Krople upadły jej na twarz. Starła je i pobięła.

W domu po przeciwnej stronie ulicy z brzękiem wyleciała okienna szyba, a za nią dziecko. Trzykrotnie obróciło się w powietrzu, zanim plasnęło o beton. Iza biegła. Krople - a może łzy - spływały jej po policzkach.

Obok jej fiata leżał mężczyzna w pasiastej piżamie, wpięty o mur przy bramie. Oddychał, rżąc, przy każdym wydechu u nozdrzy rosły mu krwawe, pękające bańki.

Nie mogła odszukać kluczyków w torebce. Drżącymi rękoma wytrząsnęła na chodnik całą zawartość. Podniosła tylko kluczyki i portmonetkę. Coś zgrzytnęło tuż obok niej, aż drgnęła, upuszczając kluczyki.

Żeliwna pokrywa kanału ściekowego podskoczyła, upadła na chodnik, a z kanału, z głuchym mlaśnięciem, trysnęła krew, zmieszana z nieczystościami, szeroko rozlewając się po asfalcie, wlewając się jej do butów obrzydliwym ciepłem. Iza wrzasnęła, cofnęła się od samochodu, potknęła się o ciało mężczyzny w piżamie, przyłgnęła plecami do muru. W czarnej, lśniącej otchłani kanału coś poruszało się, pluszcząc i bulgocąc.

Zza rogu ulicy, wyjąć, wybiegł człowiek, za nim drugi, obaj w szaleńczym tempie minęli Izę, pobiegli dalej. Iza zamarła, uniosła głowę. Wiatr, ciepły wiatr, który zerwał się nagle, uderzył w nią przerażającym smrodem.

Zza rogu ulicy...

Iza знаła to uczucie. Pamiętała je z dzieciństwa - sen, który tylekroć sprawiał, że budziła się z krzykiem. Sen, w którym sparaliżowana, bezwolna, patrzyła na drzwi, zamknięte od wewnątrz na zasuwę, wiedząc, że za chwilę, pomimo zasuwy, te drzwi jednak otworzą się. Otworzą się, a za nimi stanie coś, przed czym nie ma ratunku ani ucieczki. Coś, co nie zostawia nadziei.

Nie wiedząc o tym, krzyczała cienkim, nieustającym falsetem, wizgiem katowanego zwierzęcia. Nagle stała się zwierzęciem, tu, na tej ciemnej, zalanej krwią i gównem ulicy, wśród asfaltu, betonu, szkła, samochodów i elektryczności, wśród tysięcznych wytworów cywilizacji, z których żaden nie miał w tej chwili najmniejszego znaczenia. Nagle była bobrem dławionym elastycznym drutem sideł, lisem, którego łapę miażdżą stalowe szczęki pułapki, foką tłuczoną drągiem po głowie, sarną postrzeloną z obrzyna, tarzającym się w konwulsjach otrutym szczurem. Była tymi, z którymi dzieliła strach i ból, i pewność, że za chwilę będzie niczym - bo niczym jest zimny, zboczony, cuchnący ochłap.

To coś, co za rogiem ulicy zgrzytało i chrobotowało, akcentując swoje kroki ciężkim, chrapliwym dyszeniem, wyszło i spojrzało na nią złocisto-karminową poświatą ogromnych oczu.

Wrzask zgasł w gardle Izy w zduszonym rżeniu. Jej świadomość, rozum, inteligencja i wola eksplodowały i pękły, jak ciśnięta o bruk żarówka.

Krostowaty przeszedł przez przedartą Zasłonę.

Łódź, sierpień 1990